REDAGUJE PROFESOR JAN ŻARYN



wSIECI

AŻ 132 STRONY W TEJ SAMEJ CENIE

Nr 7–8 (74–75)
LIPIEC–SIERPIEŃ 2019
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI

HISTORII

MIESIĘCZNIK O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

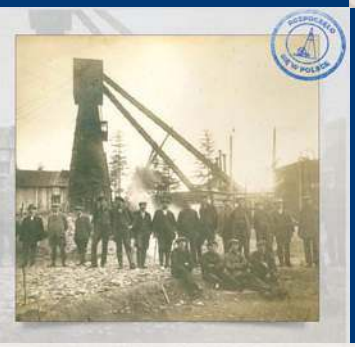
1569 UNIA LUBELSKA

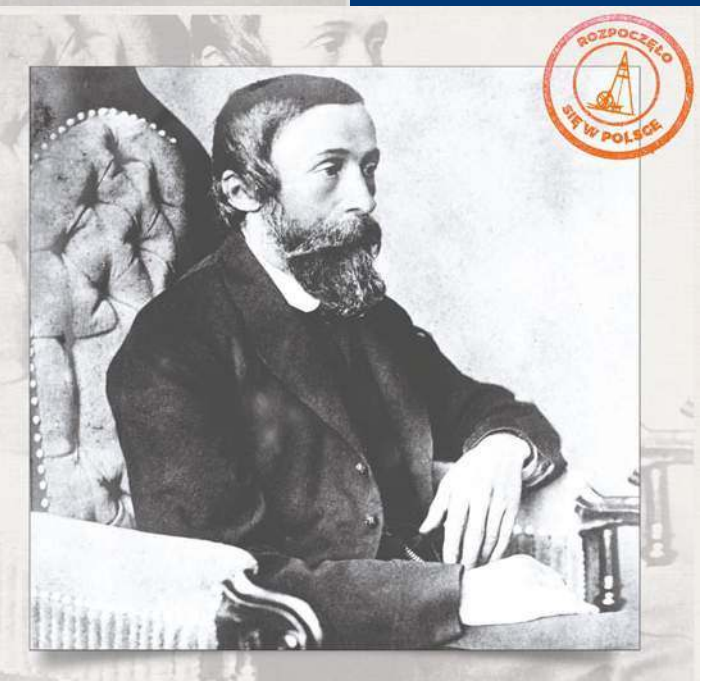
NARODZINY MOCARSTWA

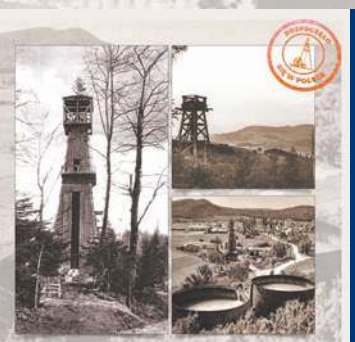
INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803











Rozpoczęło się w Polsce

Zapraszamy do obejrzenia wystawy plenerowej przy ul. Kasprzaka 25 w Warszawie dotyczącej początków zorganizowanego przemysłu naftowego.

PGNiG

eprasa.pl d16ae12b4e

PARLAMENTARYZM POLSKI – WCZORAJ I DZIŚ

Podejmujemy temat unii lubelskiej jako zjawiska historycznego, a jednocześnie modelowego – szczególnie z punktu widzenia zasad demokracji. Historia unii zawartej w lipcu 1569 r. z inicjatywy króla i dzięki jego determinacji uczy nas, że bez silnego stanowiska władcy – dziś centralnych instytucji państwa – żadna poważna reforma ustrojowa nie może się wydarzyć. Uczy nas ta historia jednak także pokory wobec woli ludu, w tamtym przypadku rodów szlacheckich rozsianych po Wielkim Księstwie Litewskim. Zapisy unii trwały, a jednocześnie następowało rzeczywiste zbliżenie kulturowe i propaństwowe szlachty wszelkich ziem. Ścieranie się odśrodkowych sił z jednej strony i propaństwowych z drugiej nigdy się nie zakończyło, ale przecież to jednak Konstytucja 3 maja z 1791 r. stała się dla nas – współczesnych Polaków – wypełnieniem decyzji podjętej przez króla Zygmunta Augusta z 1569 r. Warto o tym pamiętać, czytając po raz kolejny Adama Mickiewicza i jego inwokację do „Pana Tadeusza", zaczynającą się od słów „Litwo, Ojczyzno moja...". To świadectwo miłości do jednej Polski, tej Polski, którą i dziś obdarzamy tym samym uczuciem. Dziedzictwo polskie, zachowując swą różnorodność stanowo-geograficzną i wyznaniową, pozostało trwałym spoiwem, synonimem naszej tkanki kulturowej, w której żyjemy i w której się komunikujemy, posługując się cytatami, obrazami, językiem i kulturowymi skojarzeniami. Dlaczego tak się stało? Pewnie dlatego, że I Rzeczpospolita nie była państwem opresyjnym, ale zbudowanym na fundamencie wolności, a zatem dobrowolności.

Ten punkt widzenia zbliża nas do zrozumienia innej rocznicy, która także jest zbiorowym bohaterem niniejszego numeru „wSieci Historii". Obchodzimy setną rocznicę traktatu wersalskiego, którego treść stanowiła kompromis między sprzecznymi racjami i interesami mocarstw. To najsłabsza jego cecha, która w konsekwencji 20 lat później przyniosła Europie zgubę. Jednocześnie jednak Wersal to porządek etyczno-polityczny, zaprzeczający wcześniejszym i późniejszym rozwiązaniom pokojowym, ogólnoświatowym. Ten porządek był oparty na idei samostanowienia narodowego, a zatem opowiedziano się zgodnie za uznaniem, że jednostka i rodzina ma prawo identyfikować swoje potrzeby w ramach wspólnoty wyższej, jaką jest Naród posiadający własne Państwo. Zarówno porządek wiedeński z 1815 r., jak i jałtański z lutego 1945 r. wykluczał jedne wybrane narody, by dać satysfakcję mocarstwom nierespektującym podstawowych praw człowieka.

Jaki z tego wniosek? Ano demokracja i naród jako naturalna wspólnota to dwa fundamenty ustroju opartego na pozytywnym porządku etycznym. Narodem nie staje się jednak wspólnota, która tego związku nie chce ani nie czuje. To dobrowolnie przyjęty fundament. Polacy w 1919 r. chcieli żyć w wolnym i suwerennym państwie, czemu dali wyraz m.in. poprzez obecność silnej reprezentacji polskiej w Paryżu, gdzie ważyły się losy pokoju światowego. Wielokrotnie tę wolę udowadniali, walcząc w powstaniach – wielkopolskim, śląskich i sejneńskim, w wojnach z bolszewikami i Ukraińcami. Ofiara szła w parze z wizją państwa, o które walczono – sięgającego dziedzictwa i przykładu I Rzeczypospolitej.

JAN ŻARYN



35/0818/F

eprasa.pl

wSIECI HISTORII
SPIS TREŚCI
NR 7–8 (74–75) LIPIEC–SIERPIEŃ 2019



13 SEJM UNIJNY W LUBLINIE 1 LIPCA 1569 r. USTANOWIŁ PORZĄDEK POLITYCZNO-USTROJOWY OBEJMUJĄCY WIELKIE PRZESTRZENIE EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ, CHRONIONY PRZEZ SYSTEM POLITYCZNY ZWANY DEMOKRACJĄ SZLACHECKĄ – OCENIA HENRYK LITWIN



35 DZIEŃ 28 CZERWCA 1919 r. NALEŻAŁ DO JEDNEGO Z NAJBARDZIEJ UDANYCH W NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI. OTO PAŃSTWO, KTÓREGO JESZCZE NIEDAWNO NIE BYŁO NA MAPIE ŚWIATA, STANOWIŁO ZWYCIĘSKI POKÓJ NA KONFERENCJI W WERSALU – WSKAZUJE JAN ŻARYN

3 **GŁOS NACZELNEGO**
PROF. JAN ŻARYN

STO ODSŁON NA STULECIE

9 **W OBRONIE CYWILIZACJI KOBIETY DO URN!**
PROF. PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

10 **POCZĄTKI MONARCHII POLSKO-LITEWSKIEJ**
WOJCIECH FAŁKOWSKI

13 **SEJM UNIJNY 1569**
HENRYK LITWIN

16 **LEGNICKI PIAST NA SEJMIE W LUBLINIE**
ARTUR GUZICKI

20 **UNIA POLSKO-LITEWSKA W EPOCE WIELKIEJ REFORMY**
ZOFIA ZIELIŃSKA

23 **POWSTANIE STYCZNIOWE, POZYTYWIZM I ROZPAD IDEI UNII LUBELSKIEJ**
MACIEJ GLOGER

26 **DROGA LITWY DO EUROPY PROWADZI PRZEZ POLSKĘ**
ROZMOWA Z PROF. ALFREDASEM BUMBLAUSKASEM

30 **O UNII LUBELSKIEJ W KIJOWIE**
HENRYK LITWIN

32 **ZANIM WRÓCIŁ KOMENDANT...**
PIOTR ŚWIĄTECKI

35 **POLACY W WERSALU**
JAN ŻARYN

38 **ŁAD WERSALSKI. CZY MUSIAŁO TAK SIĘ SKOŃCZYĆ?**
MAREK KORNAT

41 **PRZED WERSALEM. ŻYCIE PARYSKIE KONFERENCJI**
JOANNA PUCHALSKA

44 **TRAKTAT WERSALSKI W PRASIE FRANCUSKIEJ 28-29 CZERWCA 1919 r.**
JOANNA METZGER

FELIETONY

29 **STRAJKI SZKOLNE**
GRZEGORZ GÓRNY

47 **1943 – ROK BRUNATNYCH TULIPANÓW**
PAWEŁ SKIBIŃSKI

91 **WYBORY KONTRAKTOWE – BEZ PRZESADY**
MAREK JUREK

112 **KIEDY TO SIĘ ZACZĘŁO?**
PAWEŁ KOWAL

112 **„WIOSNY LUDÓW" NIE BYŁO, ALE...**
RYSZARD CZARNECKI

122 **GOŁĄBKI ŚLĄSKIEJ WOLNOŚCI**
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

130 **METAMORFOZA**
ANTONI DUDEK

130 **OBRAZKI Z WYSTAWY**
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

HISTORIA NAJNOWSZA

48 **NIEPODLEGŁOŚĆ BYŁA CELEM NAJWAŻNIEJSZYM**
ROZMOWA Z ROMANEM ZWIERCANEM, WSPÓŁZAŁOŻYCIELEM SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

WEHIKUŁ CZASU

52 **LIPIEC, SIERPIEŃ**
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

56 **POCZĄTKI RZECZYPOSPOLITEJ**
JACEK KROCHMAL

TAJEMNICE AAN

58 **GEN. JÓZEF KORDIAN ZAMORSKI. OSTATNI PRZEDWOJENNY KOMENDANT GŁÓWNY POLICJI PAŃSTWOWEJ**
KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

POLSCY WYNALAZCY

60 **CO O POLSKIM WKŁADZIE W ROZWÓJ TECHNIKI ŚWIADOMY OBYWATEL RP WIEDZIEĆ POWINIEN (6)**
BOLESŁAW ORŁOWSKI

DUSZA KONTUSZA

62 **FILIP PADNIEWSKI I FRANCISZEK KRASIŃSKI – DUCHOWNI, MINISTROWIE, BISKUPI I WSPÓŁTWÓRCY UNII LUBELSKIEJ**
HENRYK LITWIN

BITWA MIESIĄCA

65 **BOHATEROWIE SPOD RADZYMINA 1920 r.**
JANUSZ ODZIEMKOWSKI

DAWNO TEMU

68 **DLACZEGO REWOLUCJA?**
ROZMOWA Z DR HAB. MARTYNĄ DESZCZYŃSKĄ

ZDARZYŁO SIĘ

72 **LILPOPOWIE**
JACEK LILPOP

75 **INŻYNIER TADEUSZ SUŁOWSKI, PIONIER POLSKIEGO PRZEMYSŁU**
JAN OŚKO

eprasa.pl d16ae12b4e



FOT. MNW; EAST NEWS; ZBIORY AAN

92 W OSTATNICH DNIACH LIPCA W KWATERZE BATALIONU „ZOŚKA" NA POWĄZKACH WOJSKOWYCH ZOSTANIE POCHOWANA URNA Z PROCHAMI DOWÓDCY TEGO LEGENDARNEGO ODDZIAŁU RYSZARDA BIAŁOUSA PS. JERZY. ZMARŁ W DALEKIEJ PATAGONII W 1992 r. TERAZ DOWÓDCA POWRÓCI DO SWOICH ŻOŁNIERZY – PISZE MARIUSZ OLCZAK

80 JAK POLACY NIEMCOM MORDOWAĆ ŻYDÓW NIE POMAGALI
ADAM CYRA



83 JESZCZE O MARCU '68
NORBERT PATALAS

86 PIELGRZYMKA, KTÓRA WYWOŁAŁA EKSPLOZJĘ
ROZMOWA Z KS. PROF. KAZIMIERZEM GINTEREM

88 EPISKOPAT POLSKI WOBEC DELEGALIZACJI „SOLIDARNOŚCI"
RAFAŁ ŁATKA

POWSTANIE WARSZAWSKIE

92 POWRÓT DO KRAJU DOWÓDCY BATALIONU „ZOŚKA"
MARIUSZ OLCZAK

96 WALKA O PAMIĘĆ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO
KATARZYNA UTRACKA

POLITYKA HISTORYCZNA

99 „NIEUSTRASZONY ŻOŁNIERZ CZERWONY". PRZYPADEK SZYMONA HARNAMA
JERZY BEDNAREK

ZIEMIAŃSTWO

102 MARIA KLENIEWSKA. ZAPOMNIANA Z POKOLENIA NIEPOKORNYCH
AGNIESZKA ŁUCZAK

PRASPORT

105 MECZE POD SPECJALNĄ OCHRONĄ
GRZEGORZ MAJCHRZAK

POLONIA

108 POLONIJNY BIZNESMEN I GRY WYWIADU PRL
KRZYSZTOF TARKA

WŁADCZYNIE

111 JADWIGA, KRÓL POLSKI
MAREK BARAŃSKI

PEŁNA KULTURA

113 ZOFIA KOSSAK. KATOLICKA PISARKA, KTÓRA RATOWAŁA ŻYDÓW
ARKADIUSZ MELLER



116 Z HERBATĄ NIE TYLKO O PIĄTEJ
MARCIN WIŚNIARSKI



120 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

123 WOJNA NA EKRANIE
KAROL MAZUR

DIABEŁ NIE MÓGŁ

124 KSIĘŻNA MARIA, CZYLI DOMYŚLNOŚĆ SERCA
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

126 TURYSTYKA MEDYKA
KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ

128 POLSKI GRANATNIK WZ. 36 – PROSTY, ALE SKUTECZNY
KACPER GROCHOCKI

NAC PREZENTUJE

129 CICHOCIEMNI AKTORZY
KATARZYNA BRĄKOWSKA

NAC PREZENTUJE

131 POLSKIE WOJSKO NA PL. ŚWIĘTEGO PIOTRA
KONRAD WIESŁAW ŚLUSARSKI



wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Paweł Kowal, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Magdalena Szczepaniak, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Wajngertner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Maciej Majtczak, Lidia Słowikowska,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Bartłomiej Szyperski, bartlomiej.szyperski@fratria.pl
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: LSC Communications Europe

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 15 70
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Koncepcja: Michał Korsun; obraz: © Copyright by Żółtowska-Huszcza Teresa/ Muzeum Narodowe w Warszawie

POD PATRONATEM „WSIECI HISTORII”

Upamiętniliśmy 71. rocznicę śmierci Witolda Pileckiego

25 maja w Warszawie odbyły się obchody 71. rocznicy śmierci Witolda Pileckiego. Ich głównym elementem był IX Warszawski Marsz Rotmistrza, zorganizowany przez Fundację Służba Niepodległej, Stowarzyszenie KoLiber, Młodych dla Polski i Studentów dla Rzeczypospolitej. Uczestnicy marszu zebrali się pod pomnikiem Mikołaja Kopernika i przeszli Traktem Królewskim, a następnie kolejnymi ulicami stolicy, aby dotrzeć do miejsca śmierci ochotnika do Auschwitz, dawnego więzienia przy ul. Rakowieckiej. Odbyła się tam uroczystość złożenia wieńców pod tablicą poświęconą ofiarom stalinowskiego reżimu. Następnie zebrani brali udział w dalszych elementach programu obchodów na terenie Muzeum „Żołnierzy Wyklętych” i Więźniów Politycznych PRL. Uczestników przywitali tam córka rotmistrza Zofia Pilecka oraz dyrektor Muzeum Jacek Pawłowicz. W imieniu rządu wystąpienie wygłosił wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr



FOT. MUZEUM ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH W WARSZAWIE

Gliński, który objął uroczystości patronatem honorowym. Mówił m.in.: „Musimy przypominać heroiczną postawę Niezłomnego Rotmistrza, który Ojczyznę ukochał ponad wszystko. Pamiętać warto, tym bardziej że Witold Pilecki może być przywoływany także w mniej znanym charakterze, jako patron jedności ponad politycznymi podziałami. Najbardziej symbolicznym przykładem jego niezwykłej zdolności współpracy z ludźmi z różnych nurtów ideowych było zaangażowanie do działającej wewnątrz Auschwitz konspiracji zarówno przedwojennego socjalisty Stanisława Dubois, jak i przywódcy ONR oraz Młodzieży Wszechpolskiej Jana Mosdorfa. Dziękując za społeczne zaangażowanie w proces przywracania pamięci o Witoldzie Pileckim, pragnę zapewnić, że także władze publiczne w ostatnich latach angażują się w przypominanie o naszym herosie. Powołujemy instytucje, takie jak Muzeum Dom Rodziny Pileckich w Ostrowi Mazowieckiej czy Instytut Pileckiego. Imię Rotmistrza nadaliśmy jednej z najważniejszych sal w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Zadbaliśmy o należne wyeksponowanie tej postaci w Muzeum II Wojny Światowej. Już w 2006 r. prezydent RP śp. prof. Lech Kaczyński odznaczył pośmiertnie Rotmistrza Orderem Orła Białego. Działania w zakresie propagowania wiedzy o jego bohaterstwie będziemy kontynuować”. Warszawski Marsz Rotmistrza został dofinansowany z programu „Patriotyzm jutra” prowadzonego przez Muzeum Historii Polski.



FOT. ROBERT ISAJUK

Jubileusz 50-lecia Szkoły Polskiej w Moskwie

25 maja swój jubileusz 50-lecia obchodziła Szkoła Polska w Moskwie, pierwsza i najstarsza tego typu placówka w Europie i na świecie. Uroczysta akademia z tej okazji odbyła się w Instytucie Polskim w Moskwie. Rozpoczęła się ona od odśpiewania hymnu państwowego, po czym kierownik szkoły Barbara Waliczko powitała zebranych, wśród których byli ambasador RP w Rosji Włodzimierz Marciniak oraz wielu innych dyplomatów. Odczytano listy gratulacyjne, m.in. od marszałka Senatu RP Stanisława Karczewskiego. Wyświetlona została prezentacja multimedialna „Jak to było? 50 lat Szkoły Polskiej w Moskwie”. Uczniowie przygotowali część artystyczną, w której aktywnie uczestniczyli także rodzice. Jednym z punktów programu było odczytanie znanych wszystkim Polakom fragmentów „Pana Tadeusza” w językach: polskim, angielskim, rosyjskim, a także tatarskim. Ogromny entuzjazm wywołał „Polonez Ogińskiego” wykonany przez uczniów klasy trzeciej. Szkolną uroczystość uświetnił występ Polonijnego Klubu Seniora w Moskwie oraz chóru polonijnego „Baśki”. Wspólne śpiewanie polskich pieśni: „Orkiestry dęte”, „Kwiaty polskie”, „Żeby Polska była Polską” z udziałem publiczności nadały szczególny charakter uroczystości. Zainteresowanie wzbudzała wystawa zdjęć pokazująca życie szkoły na przestrzeni 50 lat.

Gala nagrody Kustosz Pamięci Narodowej

28 maja na Zamku Królewskim w Warszawie odbyła się gala 18. edycji nagrody Kustosz Pamięci Narodowej, której pomysłodawcą był śp. prezes IPN prof. Janusz Kurtyka. W tym roku nagrodzeni zostali: ostatni prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski (pośmiertnie), propagator pamięci o ofiarach ludobójstwa na Wołyniu Janusz Horoszkiewicz, przyjaciółka Jana Pawła II, więźniarka Ravensbrück prof. Wanda Półtawska, autor publikacji o powstaniu warszawskim Marek Strok oraz Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie. Uroczysta gala została objęta Patronatem Narodowym Prezydenta RP Andrzeja Dudy.



eprasa.pl d16ae12b4e

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII”

Znamy zwycięzców plebiscytu „Wydarzenie Historyczne Roku”

3 czerwca w Pałacu Rzeczypospolitej w Warszawie odbyła się gala wręczenia nagród w konkursie Muzeum Historii Polski oraz portalu Historia.org.pl na „Wydarzenie Historyczne Roku”. W tym roku w plebiscycie zgłoszono blisko 200 wydarzeń z całego kraju i z zagranicy, m.in. Austrii, Francji, Niemiec, Australii, Kanady, Litwy i Ukrainy. Spośród nich jury w składzie: Gabriela Sierocińska-Dec (Muzeum Historii Polski), Alicja Knast (Muzeum Śląskie), Piotr Legutko (TVP Historia), dr Tomasz Makowski (Biblioteka Narodowa), dr Marek Mutor (Centrum Historii Zajezdnia we Wrocławiu), prof. Andrzej Szczerski (Uniwersytet Jagielloński), Wojciech Duch (historia.org.pl) wybrało finałową piętnastkę, na którą głosowali internauci.

W kategorii „Wystawa” najwięcej głosów otrzymała ekspozycja czasowa „Karol Śliwka. Polskie projekty. Polscy projektanci”, zorganizowana przez Muzeum Miasta Gdyni. Ekspozycja stanowiła prezentację dorobku nestora polskiego designu, autora projektów dziesiątków opakowań, etykiet, okładek i plakatów, mistrza znaku graficznego. Prace Karola Śliwki przez ostatnie 60 lat współtworzyły codzienność Polaków, kształtując ikonosferę przestrzeni publicznej.

W kategorii „Wydarzenie” za najważniejszy w 2018 r. uznano Festiwal Dziedzictwa Kresów przygotowany przez Gminę Lubaczów. Festiwal ten to jedno z większych wydarzeń kulturalnych na Podkarpaciu, dostarczające niezwykle istotnych impulsów do rozwoju przedsiębiorczości społecznej i gospodarczej. Coroczny program to kilkadziesiąt wydarzeń w kilkunastu miejscach, które spaja idea kultywowania pamięci o Kresach dawnej Rzeczypospolitej.

W kategorii „Edukacja i multimedia najwięcej głosów internautów uzyskała rodzinna publikacja edukacyjna „Książka otwarta na świat” wydana przez Muzeum Emigracji w Gdyni. Publikacja to spojrzenie na historię Polski, a przede wszystkim Polaków i Polek, z innej, nieoczywistej perspektywy. To przekrojowa opowieść o przeszłości i teraźniejszości, których stałym elementem są mobilność i przemieszczanie się, odmieniane w publikacji przez wszystkie przypadki. Podczas uroczystej gali wręczono trzy nagrody główne – statuetki wykonane przez rzeźbiarza Macieja Zychowicza oraz dyplomy dla wszystkich finalistów.

Plebiscyt cieszy się ogromną popularnością. Z roku na rok wzrasta liczba zgłaszanych projektów, które rywalizują o miano tego najważniejszego. Od początku istnienia konkursu zgłoszono ok. 1,2 tys. przedsięwzięć, a w głosowaniach wzięło udział ok. 50 tys. internautów. Projekt został objęty honorowym patronatem wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego.



FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU W OŚWIĘCIMIU

Obchody 79. rocznicy pierwszego transportu do Auschwitz

14 czerwca 1940 r. do obozu w Auschwitz I przyjechał pierwszy transport więźniów. Było to 728 Polaków z Tarnowa. Tak rozpoczął funkcjonowanie KL Auschwitz. W 79. rocznicę tego wydarzenia zorganizowane zostały okolicznościowe uroczystości. Rozpoczęły się one od mszy św. w klasztorze Franciszkanów w Harmężach. Następnie miały miejsce: udostępnienie dla zwiedzających wystawy „Klisze pamięci. Labirynty” autorstwa byłego więźnia Auschwitz nr 432 Mariana Kołodzieja, złożenie kwiatów pod tablicą upamiętniającą przybycie pierwszego transportu oraz pomnikiem rtm. Witolda Pileckiego, a także zapalenie zniczy pod Ścianą Śmierci. Organizatorem obchodów było Stowarzyszenie Kontynuatorów Pamięci o Zagładzie Narodu Polskiego – Prawo do Prawdy, a w części również – Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Wokół rocznicy pielgrzymki papieskiej

30–31 maja w WSD w Gnieźnie, z inicjatywy abp. Wojciecha Polaka, prymasa Polski, oraz IPN Oddziały w Krakowie i Poznaniu odbyła się dwudniowa konferencja naukowa poświęcona wizycie Jana Pawła II w tym mieście 40 lat temu, 3 czerwca 1979 r. Poza referatami, m.in. profesorów Adama Dziuroka, Konrada Białeckiego, Jana Żaryna, Rafała Reczka oraz dr. Andrzeja Grajewskiego i dr. Rafała Łatki, uczestnicy konferencji mogli usłyszeć nieznane świadectwa, m.in. ks. dr. Andrzeja Grzelaka o okolicznościach powstania najsłynniejszego baneru gnieźnieńskiego.

2 czerwca przypadła 40. rocznica pierwszej Podróży Apostolskiej św. Jana Pawła II do Ojczyzny. Z tej okazji Biuro Programu „Niepodległa” zorganizowało otwarte widowisko „Wsłuchiwać się w Papieża” na warszawskim pl. Piłsudskiego, w miejscu, w którym polski papież wygłosił słynną homilię ze słowami „Wołam ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja, Jan Paweł II, papież. Wołam z całej głębi tego Tysiąclecia, wołam w przeddzień Święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”. W wydarzeniu wzięły udział tysiące warszawiaków, a także przedstawiciele władz publicznych na czele z prezydentem RP Andrzejem Dudą oraz wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotrem Glińskim. Dzień później obchody związane z upamiętnieniem papieskiej pielgrzymki odbyły się na terenie Stoczni Gdańskiej. Wzięła w nich udział delegacja rządowa kierowana przez premiera Mateusza Morawieckiego. W trakcie uroczystości, które zorganizowała NSZZ „Solidarność”, wręczono tytuł „Człowieka Roku” przyznawany przez „Tygodnik Solidarność”. Otrzymał go proboszcz Bazyliki Świętej Brygidy w Gdańsku ks. prałat Ludwik Kowalski.

eprasa.pl d16ae12b4e

Kielce: konferencja o relacjach polsko-żydowskich

3 lipca w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia" przy ul. Warszawskiej 5 w Kielcach odbędzie się konferencja naukowa „Relacje polsko-żydowskie w XX w. Badania – kontrowersje – perspektywy. Colloquium III: Polacy i Żydzi w cieniu okupacji niemieckiej na ziemiach polskich", której organizatorami są Instytut Pamięci Narodowej oraz Instytut Historii Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Tematem przewodnim konferencji będą stosunki polsko-żydowskie w realiach okupacji. W szczególności poruszone zostaną takie obszary i problemy badawcze jak: niemieckie podziały administracyjne a położenie ludności w okupowanej Polsce, założenia niemieckiej polityki narodowościowej i gospodarczej oraz narzędzia jej realizacji, wprowadzenie opresyjnego ustawodawstwa szczegółowo określającego ramy funkcjonowania Polaków i obywateli polskich w warunkach okupacyjnych, a także współpraca organizacji podziemnych polskich i żydowskich wobec polityki eksterminacyjnej. Szczegółowy program sesji będzie można znaleźć na stronie www.ipn.gov.pl.

Kolejny projekt Roberta Grudnia „Moniuszko i jego czasy"

Rozpoczyna się kolejny ogólnopolski projekt autorski Roberta Grudnia. Opery, pieśni, poezja, dramat, a wszystko w wykonaniu gwiazd polskich scen muzycznych i teatralnych – to elementy składowe inicjatywy „Moniuszko i jego czasy". Twórczość kompozytora polskiej opery narodowej jest kontynuacją ubiegłorocznego projektu „Zrozumieć Niepodległą". Projekt, podobnie jak twórczość wielkiego polskiego kompozytora, łączy patriotyzm ze sztuką. Inauguracja miała miejsce w Stromcu k. Białobrzegów Radomskich koncertem z okazji „Urodzin gen. Ryszarda Kuklińskiego w jego rodzinnych stronach" i koncertem Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca Ludowego „Mazowsze" w Lublinie. To drugie wydarzenie było jednocześnie inauguracją Festiwalu Organowego Lublin – Czuby. Cykl koncertów, spektakli słowno-muzycznych oraz imprez towarzyszących będzie się odbywał w całej Polsce (Brzeźce, Wrociszew, Lipsko, Radom, Orońsko, Warszawa, Pionki, Kozienice, Zwoleń, Ciepielów, Stalowa Wola – Rozwadów, Jędrzejów, Wolbórz, Zelów, Krynica-Zdrój, Kazimierz Dolny nad Wisłą, Puławy, Starachowice, Kraków). Wystąpią m.in. Jerzy Trela, Bogusław Morka, Konstanty Andrzej Kulka, Wojciech Trela, Jerzy Zelnik, Alicja Węgorzewska oraz soliści oper i teatrów muzycznych z Łodzi, Lublina, Wrocławia, Warszawy. Będą m.in. koncertowe wykonania oper Stanisława Moniuszki, pieśni, ale także „Dziady" Adama Mickiewicza. Projekt odwołuje się również do późniejszych wydarzeń i rocznic: 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej czy 40. rocznicy pierwszej wizyty papieża Polaka w jeszcze zniewolonej Ojczyźnie. Projekt Roberta Grudnia to także nawiązanie do wielkiej akcji popularyzatorskiej, podjętej przez światowej sławy śpiewaczkę Marię Fołtyn, która od lat 80. XX w. promowała twórczość wielkiego kompozytora na całym świecie. Szczegółowy program będzie przedstawiany na bieżąco na stronie autora projektu: www.grudzien.pl.

Rusza Polska Liga Husarii!

Rusza Polska Liga Husarii. W turniejach związanych z jej powstaniem weźmie udział 9 grup husarskich i aż 44 husarzy! Uczestniczyć w nich będą osoby, które pragną przybliżyć specyfikę husarii, a za przyczyną przyjacielskiego współzawodnictwa wyłonić najlepszego husarza, czynnie jeżdżącego konno i używającego broni typowej dla husarii. Dariusz Wasilewski, przewodniczący Ligi, z satysfakcją stwierdził, że po ponad 300 latach powraca husaria, która chce ukazać piękno i skuteczność tego symbolu polskości. Panowie husarze staną w szranki w ramach pięciu Ogólnopolskich Turniejów Husarskich, gdzie będą konkurować w trzech dyscyplinach: gonitwie z szablą, kopią, pałaszem lub koncerzem. Wielki finał odbędzie się 15 września na Zamku w Pułtusku. Zainteresowanych zapraszamy do odwiedzania strony internetowej: obowiazekpolski.pl, śledzenia facebookowego profilu Podlaskiej Chorągwi Husarskiej, jak również kontaktu na adres e-mailowy: biuro@obowiazekpolski.pl.



FOT. ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

15 czerwca (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

1 lipca (poniedziałek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz miesięcznik „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gościem Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w radiowej Trójce...

Rozmowy, recenzje, felietony, kalendarium historyczne, muzyka, a także co miesiąc prezentacja numeru „wSieci Historii" w programie Marka Stremeckiego „Historie jak z książki", w radiowej Trójce. W każdy wtorek o godz. 22.05.

eprasa.pl d16ae12b4e

W obronie cywilizacji

„To była osiemnasta decydująca bitwa w dziejach świata” – tak skomentował i ocenił Bitwę Warszawską z 1920 r. ówczesny brytyjski dyplomata lord Edgar d’Abernon. Zestawił ją przy tym z tak przełomowymi dla losów cywilizacji bataliami jak starcie pod Maratonem (490 r. p.n.e. – ocalenie Grecji przed inwazją Persów), Poitiers (732 r. – zahamowanie pochodu Arabów przez Europę) czy Hastings (1066 r. – inwazja Normanów na Wyspy Brytyjskie), klęska hiszpańskiej Wielkiej Armady (1588 r. – złamanie światowej dominacji Hiszpanii przez Anglię jako nową potęgę), bitwa pod Waterloo (1815 r. – koniec dominacji napoleońskiej Francji w Europie) czy nad Marną (1914 r. – powstrzymanie niemieckiej agresji na Francję w okresie I wojny światowej).

Współcześnie historycy polscy i zagraniczni są zgodni – w opinii angielskiego polityka nie ma żadnej przesady. Przypomnijmy. Wojna polsko-sowiecka rozpoczęła się z początkiem 1919 r. Przez wojska Rzeczypospolitej prowadzona była pod hasłem „Za wolność waszą i naszą” – nie tylko dla zapewnienia bezpieczeństwa Polsce, ale również obrony Litwy, Białorusi i Ukrainy przed nowym, bolszewickim imperializmem Kremla, które wraz z państwem polskim miały stworzyć federację w myśl idei „wolni z wolnymi”. Wiosną 1920 r. rozpoczęła się najważniejsza batalia tej wojny. Po zawarciu sojuszu przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego i ukraińskiego przywódcę, Wielkiego Atamana Semena Petlurę, armie polskie, wspierane przez Ukraińców, zaatakowały bolszewików okupujących Ukrainę i błyskawicznie zdobyły Kijów. Jednak kontrofensywa sowiecka odrzuciła je nad Wisłę, na przedpola Warszawy. To tam miała się rozegrać bitwa decydująca już nie tylko o losach Polski i jej partnerów w ewentualnej przyszłej federacji, ale i o przyszłości całego kontynentu. Bolszewicy planowali bowiem – po pokonaniu Rzeczypospolitej – inwazję na Europę Środkową i Zachodnią, aby i tam zaprowadzić komunistyczny, totalitarny reżim.

Dzięki obmyślonemu i osobiście dowodzonemu przez Wodza Naczelnego Józefa Piłsudskiego uderzeniu wojsk polskich na tyły zgromadzonych pod Warszawą sił Armii Czerwonej bitwa zakończyła się całkowitym polskim zwycięstwem i pogromem bolszewików. I choć Rzeczypospolitej nie stało już sił, aby zrealizować koncepcję wielkiej federacji, to triumf wojsk Piłsudskiego ocalił nie tylko Polskę, ale także całą Europę Środkową i Zachodnią przed spodziewaną bolszewicką nawałą. Doczekał się też – wobec wielkiej przewagi sił sowieckich nad wojskami polskimi – nazwy „Cudu nad Wisłą”.



FOT. NAC



PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Kobiety do urn!

Od XVIII w., kiedy walkę o prawa wyborcze dla kobiet rozpoczęła Olimpia de Gouges, ścięta podczas rewolucji francuskiej za przygotowanie „Deklaracji praw kobiety i obywatelki”, panie domagające się dostępu do urn przeszły długą drogę. Ważnym krokiem, jaki na niej uczyniły, było zdobycie pełni praw wyborczych w międzywojennej Polsce – wówczas jednym z największych europejskich państw.

W odrodzonej Rzeczypospolitej kobiety uzyskały prawa wyborcze już na progu niepodległości – w listopadzie 1918 r. Ówczesny dekret o ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego stanowił, że „wyborcą do Sejmu jest każdy obywatel Państwa bez różnicy płci”. Podkreślał także, że wybieralni do Sejmu są wszyscy obywatele państwa posiadający czynne prawo wyborcze (a zatem i obywatelki). Anegdota głosi, iż wpływ na błyskawiczną decyzję Piłsudskiego – który zresztą jako polityk związany wcześniej z lewicą i posiadający doświadczenie w politycznej współpracy z kobietami, nie żywił uprzedzeń wobec ich wyborczych ambicji – miała podziwu godna determinacja samych pań. Ich liczna delegacja, niezadowolona z „opieszałości” rządu w pracy nad uregulowaniem „kwestii kobiecej” – choć godzi się przypomnieć, że zarówno Naczelnik Państwa, jak i premier Moraczewski z wszystkimi ministrami mieli „ręce urobione po łokcie” w pracy nad tworzeniem prawa, administracji i wojska rodzącego się państwa – dopóty stukała Piłsudskiemu w kolejne listopadowe wieczory w okna parasolkami, dopóki jej nie wpuścił i nie wysłuchał cierpliwie politycznych próśb polskich sufrażystek. Oczywiście obiecując później szybkie zadekretowanie czynnego i biernego prawa wyborczego dla kobiet. W ten sposób międzywojenna Rzeczpospolita ustąpiła co prawda pierwszeństwa w dziele politycznego równouprawnienia pań Nowej Zelandii (mogły tu głosować od 1869 r., ale być wybierane dopiero od 1919 r.), Australii (prawo wyborcze dla kobiet wprowadzono tu w 1902 r.) i Skandynawii (prawa te ustanowiono w latach 1906–1921), jednak uprzedziła choćby Holandię i Belgię (1919), Stany Zjednoczone (1920), Wielką Brytanię (1928), a nawet często stawianą reszcie świata jako godny naśladowania przykład i państwa obywatelskiego Szwajcarię (1971).

Trzeba zresztą przyznać, że kobiety potrafiły wykorzystać wywalczone prawa. W II Rzeczypospolitej chętnie stawiały się przy urnach przy okazji wyborów i kandydowały do kolejnych polskich parlamentów.

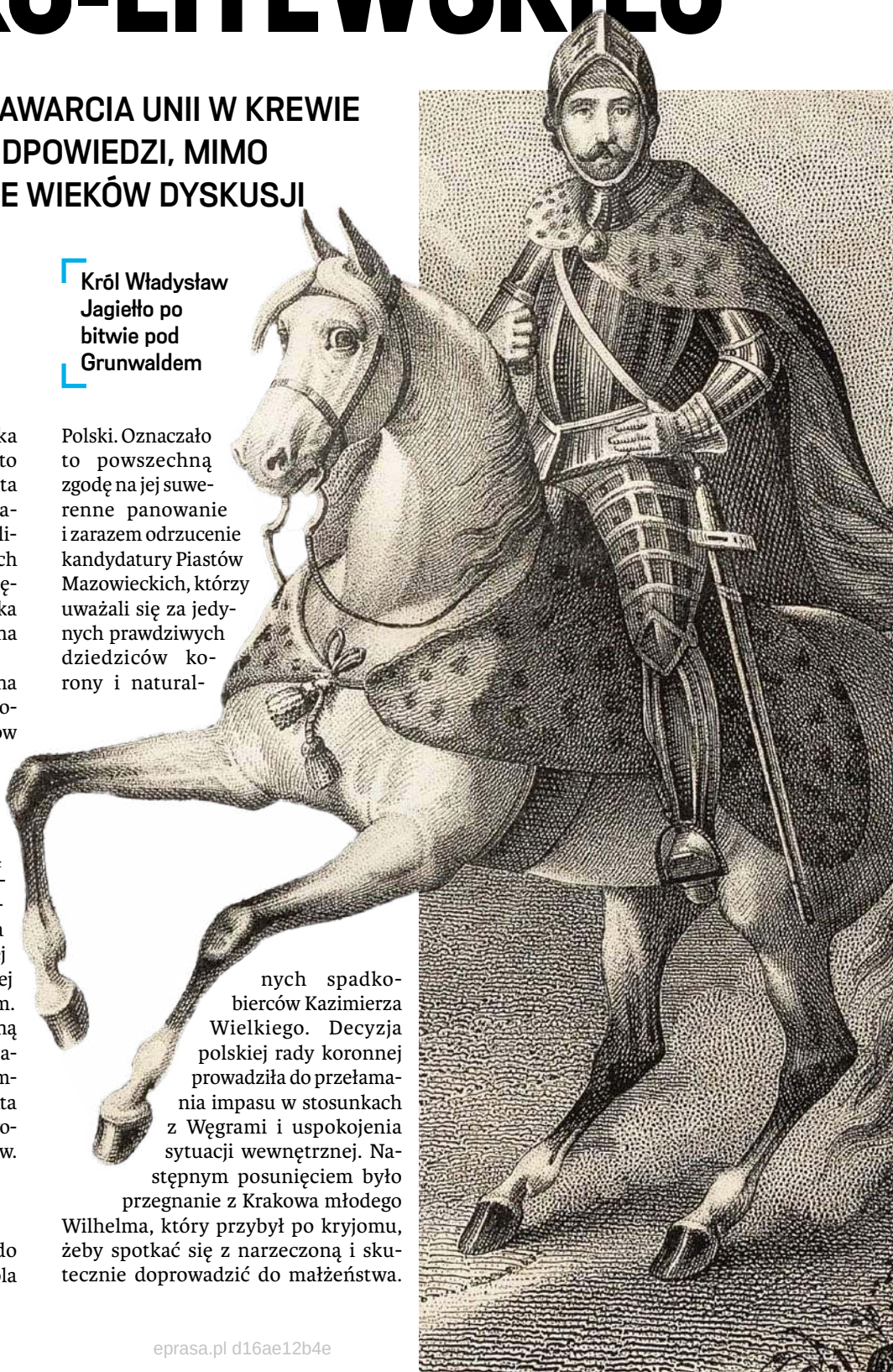
eprasa.pl d16ae12b4e

POCZĄTKI MONARCHII POLSKO-LITEWSKIEJ

PYTANIE O POWODY ZAWARCIA UNII W KREWIE NADAL DOMAGA SIĘ ODPOWIEDZI, MIMO TRWAJĄCEJ JUŻ WIELE WIEKÓW DYSKUSJI



WOJCIECH FAŁKOWSKI



Król Władysław Jagiełło po bitwie pod Grunwaldem

Okres od śmierci Ludwika Węgierskiego w 1382 r. to w Królestwie Polskim lata pełne zamieszania, rywalizacji różnych frakcji politycznych, koalicji rodowych i ugrupowań regionalnych. Z braku męskiego dziedzica dynastia andegaweńska starała się ze wszelkich sił umieścić na tronie jedną z córek.

Starsza z nich, Maria, była poślubiona Zygmuntowi Luksemburskiemu, wywodzącemu się ze wspaniałej dynastii królów czeskich i cesarzy rzymskich. Jego styl rządów i trudny charakter oraz przyzwyczajenie do sprawowania władzy w sposób arbitralny, bez względu na lokalne zwyczaje, zraził do niego całą elitę kraju i uniemożliwił koronację małżonki. Otworzyło to drogę do wyniesienia na tron młodszej córki, Jadwigi, która jednak była zaręczona z księciem z innej dynastii, również niechętnie widzianej w Krakowie, z Wilhelmem Habsburgiem. To właśnie ten związek stał się przyczyną kryzysu między dworem węgierskim a panami polskimi. Zerwanie zaręczyn i skompromitowanie austriackiego kandydata było pierwszym krokiem do zdobycia swobody przy planowaniu przyszłych rządów.

Małżeństwo i polityka

Jesienią 1384 r. Jadwiga przybyła do Krakowa i została koronowana na króla Polski. Oznaczało to powszechną zgodę na jej suwerenne panowanie i zarazem odrzucenie kandydatury Piastów Mazowieckich, którzy uważali się za jedynych prawdziwych dziedziców korony i naturalnych spadkobierców Kazimierza Wielkiego. Decyzja polskiej rady koronnej prowadziła do przełamania impasu w stosunkach z Węgrami i uspokojenia sytuacji wewnętrznej. Następnym posunięciem było przegnanie z Krakowa młodego Wilhelma, który przybył po kryjomu, żeby spotkać się z narzeczoną i skutecznie doprowadzić do małżeństwa.

eprasa.pl d16ae12b4e

Wygnanie go siłą z miasta nosiło znamiona skandalu, ale było jedynym sposobem na zerwanie zaręczyn i pozwoliło rozpocząć poszukiwania innego narzeczonego. Działania panów koronnych zmierzały w istocie do przygotowania nowego planu politycznego. Już wtedy zaczęto rozważać w Krakowie możliwość sojuszu z wielkim księciem litewskim Jagiełłą, który pojąłby za żonę Jadwigę. Małżeństwo z nieznanym bliżej władcą było śmiałym, wręcz obrazoburczym projektem, który w praktyce osłabiał związki z dworami zachodniej Europy i kierował myśli ku wschodowi. Do realizacji planu przystąpiono niemal od razu po koronacji młodziutkiej królowej. Już w sierpniu 1385 r. w Krewie, małej miejscowości na Litwie z dworem myśliwskim Giedyminowiczów, zawarto kontrakt między królową matką Elżbietą a wielkim księciem Jagiełłą w sprawie ślubu i objęcia rządów w Polsce. Traktat przewidywał przede wszystkim chrzest litewskiego władcy, jego małżeństwo z Jadwigą i następnie koronację na króla Polski. Ponadto pretendent obiecał zapłacić odszkodowanie Habsburgowi, wykupić polskich jeńców z obcej niewoli oraz wcielić ziemie Wielkiego Księstwa do Korony. Formułując ostatni warunek, użyto terminu applicare, o którego dokładne znaczenie od wieków toczy się spór. Przygotowując dokument, obie kancelarie świadomie użyły terminu wieloznacznego, który dla strony polskiej z pewnością oznaczał bezwarunkowe wcielenie wielkiego księstwa do Korony, natomiast Litwinom umożliwiał zachowanie pewnej autonomii pod władzą rodzimej dynastii.

Między Wschodem a Zachodem. Szanse i zagrożenia

Pytanie o powody zawarcia unii w Krewie nadal domaga się odpowiedzi, mimo trwającej już wiele wieków dyskusji. Odrzucony konkurent habsburski mógł przecież umożliwić pakt z dworami cesarstwa i ułatwić ekspansję na południe. Dwór wiedeński w krótkim czasie stał się atrakcyjnym centrum administracyjnym i kulturalnym i bardzo szybko zyskiwał na znaczeniu, zostając ważnym ośrodkiem politycznym. Wybór króla małżonka spośród książąt niemieckich lub francuskich także był możliwy i stosunkowo łatwy do przeprowadzenia, zwłaszcza że nic nie zmuszało do pośpiechu i gwałtownych poszukiwań. Dlatego decyzja o związku z księciem litewskim wzbudziła zdziwienie i mimo upływu czasu nadal nie jest jasna. Niewątpliwie miała znaczenie chęć zabezpieczenia wschodniej granicy królestwa od niszczycielskich najazdów i grabieży, które trwały przez niemal cały XIII w. i wielokrotnie zdarzały się w trakcie dekad poprzedzających zawarcie unii. Z pewnością możnowładztwo małopolskie miało na uwadze rozwój kontaktów handlowych i inwestycji na Rusi i Wołyniu, co mogło się udać tylko w warunkach pokoju i stabilnej sytuacji politycznej. Trzecim argumentem przemawiającym za zawarciem traktatu krewskiego było stałe zagrożenie krzyżackie, które nie malało i wiązało się ze stałą ekspansją. Dotyczyło to przede wszystkim terenów Żmudzi i Litwy właściwej, ale w Polsce dobrze pamiętano o zdradzieckim napadzie na Gdańsk i zajęciu Pomorza za panowania Władysława Łokietka, a mieszkańcy Kujaw i Mazowsza ciągle nie mogli spać spokojnie. Państwo krzyżackie było bardzo bogate i znakomicie zorganizowane, miało duże poparcie rycerstwa i dworów Europy Zachodniej, a ciągłe wypady i zbrojna ekspansja połączona z tworzeniem komturii i budową zamków były częścią strategii państwowej. Krzyżacy realizowali cel, do którego ich państwo zostało powołane, polegający na nawracaniu pogan i krzewieniu chrześcijaństwa. Chrzest Litwy, który był następstwem unii w Krewie, odbierał im argument nie tylko do prowadzenia wojny, ale także istnienia ich państwa.

Mimo korzyści, które musiały być dostrzegane i brane pod uwagę, przyczyny zaproszenia Jagiełły do Polski nie wydają się jasne ani do końca przekonujące. Różnica poziomu cywilizacyjnego między Koroną a wielkim księstwem była ogromna i nie mogła być zniwelowana w krótkim okresie. Stopień urbanizacji, gęstość zaludnienia oraz rozwój rzemiosła i rolnictwa były całkowicie odmienne i wręcz nieporównywalne na korzyść Polski. Sam pretendent miał reputację poganina i był podejrzewany o pochodzenie od wilkołaka z powodu gęstego owłosienia ciała. Było także oczywiste, że związek z Giedyminowiczami musi wprowadzić Polskę na pierwszą linię konfliktu z Krzyżakami, a nowo pozyskany koalicjant będzie wyraźnie słabszy i nie dość wiarygodny. Zdrady książąt i bojarów litewskich były częste i powszechnie znane. Tym niemniej decyzja polskich panów była nie tylko trafna, lecz także przełomowa. Zapewniła Koronie długotrwałą możliwość rozwoju i wspaniały impuls polityczny, gospodarczy i demograficzny już w niedalekiej przyszłości.

Niełatwy początek wspólnej drogi

Jagiełło przyjechał do Krakowa w lutym 1386 r. Od razu przyjął chrzest, poślubił narzeczoną i został koronowany na króla małżonka. W następnym roku została ochrzczona Litwa, przez co Krzyżacy stracili uzasadnienie swojej ekspansji, a jednocześnie polski król zyskał powód do chwały i uznanie w całej Europie. W ślad za tym sukcesem postępowało ugruntowanie władzy w kraju i zdobywanie autorytetu. Powolne, ale systematyczne umacnianie wpływów i budowanie własnego stronnictwa przerwała śmierć Jadwigi w 1399 r. Z całą jaskrawością został przypomniany prawny status Jagiełły jako panującego u boku naturalnego dziedzica korony i prawowitego króla. Śmierć królowej spowodowała poważny kryzys wewnętrzny w królestwie, pogłębiony przez deklarację monarchy o natychmiastowym wyjeździe na Litwę i rezygnacji z tronu. Sytuacja była na tyle poważna, że rada koronna nie mogła sama znaleźć dobrego rozwiązania i zwołała zjazd szerokiej reprezentacji politycznej państwa. Na sejmiku w Korczynie zdecydowano o utrzymaniu unii polsko-litewskiej. Miało się to odbyć najpierw przez potwierdzenie Jagiełły na tronie i ponowne złożenie mu przysięgi wierności i posłuszeństwa, a następnie przez zawarcie nowej umowy między Koroną i Wielkim Księstwem.

Nowe otwarcie

Pierwszym krokiem było zawarcie porozumienia z księciem Witoldem, bratem stryjecznym króla, który od lat walczył o prymat na Litwie i wyrwanie się spod kurateli władcy. Odbyło się to na jesieni 1400 r. W myśl tej ugody Jagiełło pozostawał najwyższym władcą na Litwie, ale jednocześnie przyznawał Witoldowi prawo do samodzielnego zarządzania księstwem. Następnie w styczniu kolejnego roku w Wilnie, a później w marcu w Radomiu zawarto nową unię polsko-litewską. W pierwszym wydanym dokumencie duża grupa najwybitniejszych możnych litewskich (45 kniaziów »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl d16ae12b4e



Bitwa pod Grunwaldem, 14 lipca 1410 r., była początkiem legendy dynastycznej Jagiellonów

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

» i bojarów) przysięgła wierność królowi i Koronie, co potwierdził osobnym aktem książę Witold. Niemal dwa miesiące po deklaracji wileńskiej 52 panów polskich wystąpiło w imieniu mieszkańców królestwa z podobnym dokumentem, w którym akceptowali wcześniejsze ustalenia i obiecywali nie wybierać nowego władcy bez uzgodnień z Litwinami. Oświadczyli, że w każdej potrzebie będą stać przy nich i nie przestaną umacniać związku obu państw. W ten sposób sygnatariusze obu dokumentów, niejako symetrycznie, w ramach wspólnego planu i mając te same intencje, tworzyli porządek konstytucyjny połączonej monarchii. Poparcie dla Władysława Jagiełły i wschodniego kierunku polityki było wyraźne i szerokie, potwierdzone przez niemal całą urzędniczą elitę państwa. Natomiast po stronie litewskiej dobrze widać dążenie do zacieśnienia związków z Koroną i dominującą pozycję Witolda, który w tym czasie lojalnie współdziałał z królem.

Ku wspólnocie

Następne lata stały pod znakiem potęgujących się konfliktów z Zakonem i coraz wyraźniej zbliżającej się wielkiej wojny, do której obie strony zaczęły się przygotowywać. Decydująca bitwa rozegrała się 15 lipca 1410 r. na polach pod Grunwaldem i zakończyła klęską Krzyżaków. Zwycięstwo oznaczało oprócz uzyskania przewagi militarnej także szybkie zmiany sytuacji geopolitycznej w całym regionie oraz kolejne wzmocnienie osobistego autorytetu Jagiełły. Ustanowienie pierwszego święta narodowego w dniu tej wiktorii było znakiem, że rozpoczęto kreowanie legendy państwowej i dynastycznej. W dobie pogrunwaldzkiej, w atmosferze triumfu i radości, w momencie zasadniczej zmiany międzynarodowej pozycji państwa z kraju podrzędnego w liczące się mocarstwo, król zaczął być poważany jak nigdy wcześniej. Pozwalało to na realizację planu wprowadzenia monarchii dziedzicznej w rodzie Jagiełły i stworzenie zwartego, jednolitego państwa polsko-litewskiego. W osiągnięciu tego celu miała pomóc kolejna unia polsko-litewska zawarta w Horodle jesienią 1413 r.

Wprowadzana umowa polityczna, która tworzyła nowy ustrój połączonej monarchii, składała się z trzech dokumentów: jednego wydanego przez możnych polskich, drugiego wystawionego przez panów litewskich oraz wspólny akt Jagiełły i Witolda. Wspólne przedsięwzięcie zostało starannie przygotowane i miało wprowadzić nowe rozwiązania ustrojowe. Pierwszym zasadniczo ważnym postanowieniem było przecięcie długotrwałych wątpliwości na temat wzajemnego związku dwóch państw. Akt obu Giedyminowiczów stwierdzał jednoznacznie, że wszystkie ziemie litewskie są odtąd wcielone do Korony i tworzą razem jedno państwo. Wszyscy panowie litewscy otrzymali pełnię praw i przywilejów polskich, o ile byli katolikami i mieli potwierdzony status szlachecki. Od tego momentu obowiązywał ich ten sam kodeks honorowy co w Koronie i w związku z tym mieli po wsze czasy dochować wierności królowi i wielkiemu księciu oraz ich potomkom. Osobnym aktem było dokonanie adopcji herbowej na dużą skalę, ponieważ 47 polskich rodów przyjęło rodziny i rody litewskie, co wprowadzało elitę wielkiego księstwa na scenę polityczną i w kręgi towarzyskie Korony. Intencja obu stron była całkowicie jasna: chciano doprowadzić do szybkiego i pełnego zespolenia państw i jak najbardziej ułatwić kontakty między obu społeczeństwami we wszystkich warstwach. Jagiełło, w porozumieniu z Witoldem, dążył do włączenia Litwy do Korony, ponieważ tylko w ten sposób mógł doprowadzić do powstania monarchii dziedzicznej z jego potomkami na tronie. Unia horodelska stworzyła model państwa, który przetrwał następne 150 lat, i zapewniła harmonijną współpracę dwóch najwybitniejszych przywódców obu narodów. Utrwaliła pierwszy akt łączący Polskę i Litwę zawarty w Krewie, a jednocześnie była nowatorskim rozwiązaniem ustrojowym, wyprzedzającym swoje czasy.

eprasa.pl d16ae12b4e

SEJM UNIJNY 1569

W ROKU 2019 MIJA 450 LAT OD ZAWIĄZANIA UNII LUBELSKIEJ, NIEZWYKLE WAŻNEGO AKTU PRAWNEGO, KTÓRY W ISTOTNY SPOSÓB WPŁYNĄŁ NA HISTORIĘ EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ I NARODÓW JĄ ZAMIESZKUJĄCYCH



Sejm, który przyjął unię polsko-litewską, trwał od stycznia do sierpnia 1569 r. i miał burzliwą historię. Fragment obrazu Jana Matejki „Unia Lubelska" (1869)

FOT. MNW

HENRYK LITWIN

W 1569 r. w Lublinie podjęto decyzje, które prowadziły do powstania Rzeczypospolitej Obojga Narodów – państwa wielokulturowego, wielojęzykowego i wielowyznaniowego. Jego spuścizna współkształtowała – z różną siłą i w różnym stopniu – oblicze dziś żyjących na jego terytorium narodów: Polaków, Białorusinów, Litwinów i Ukraińców. Ten wpływ bywał różnie oceniany w poszczególnych narodowych historiografiach i do dzisiaj pytanie o znaczenie unii lubelskiej potrafi wzbudzać gorące dyskusje.

Sejm, który przyjął unię polsko-litewską, trwał od stycznia do sierpnia 1569 r. i miał burzliwą historię. Jest to niezwykle intrygująca opowieść, ale ciekawsza niż przebieg zdarzeń wydaje »

eprasa.pl d16ae12b4e

» się kwestia dorobku tego pamiętnego zgromadzenia. Aby naświetlić ją dostatecznie jasno, warto przypomnieć geopolityczne tło, na którym rozgrywał się sejm lubelski.

Struktura Europy

W latach 60. XVI w. Europa była areną wielu konfliktów. Trwała reformacja i toczył się ostry spór nowych wyznań z katolicyzmem, spór przeistaczający się w polityczną, a nawet militarną konfrontację. Anglia, Szkocja, Dania i Szwecja oficjalnie stanęły po stronie protestanckiej. Niemcy, Francja, Polska i Litwa były wewnętrznie podzielone. Katolickie pozostały Hiszpania, Portugalia i rozdrobnione na państewka Włochy. Jednocześnie toczyła się dynastyczna rywalizacja o dominację między Habsburgami panującymi na tronie cesarskim i hiszpańskim a Walezjuszami prezentującymi aspiracje Francji. Choć XVI w. uznaje się często za epokę tworzenia państw scentralizowanych podlegających silnej władzy królewskiej, to w rzeczywistości mapa polityczna Europy zabudowana była przede wszystkim przez państwa o skomplikowanej strukturze wewnętrznej, spajane głównie więzią dynastyczną. Nazwa „Hiszpania" w odniesieniu do tej epoki jest określeniem w istocie umownym. Król Filip II w rzeczywistości panował nad odrębnymi królestwami Kastylii i Aragonii oraz szeregiem innych państw, takich jak Niderlandy, Burgundia, Neapol, Sycylia, Sardynia, Księstwo Mediolanu itd. Rzesza Niemiecka była konglomeratem mniejszych i większych podmiotów terytorialnych o znacznym stopniu niezależności. Także „imperium" Habsburgów austriackich składało się z wielu państw o odrębnych systemach polityczno-ustrojowych: Węgry, Czechy, Austria, Karyntia, Tyrol i mnóstwo mniejszych księstw, hrabstw i władztw. Król angielski panował także w Irlandii, król duński w Norwegii, król szwedzki w Finlandii. Nawet jednolita pozornie Francja dzieliła się na pays d'élections, czyli prowincje domeny królewskiej administrowane bezpośrednio oraz pays d'états z silnymi instytucjami prowincjalnymi, będącymi pozostałością niegdysiejszej odrębności. Na tym tle unię personalną łączącą Koronę Królestwa Polskiego i Wielkie Księstwo Litewskie można uznać za zjawisko typowe.

Miejsce Polski i Litwy, szanse i zagrożenia

Oba kraje jeszcze pod koniec XIV w. połączył wspólny strategiczny interes – walka z ekspansywnym zakonem krzyżackim. W XVI w. Krzyżaków udało się ostatecznie pokonać, choć w spadku po nich pozostało Księstwo Pruskie, będące lennem Polski. Nieco później ku upadkowi zaczęło się chylić państwo Zakonu Kawalerów Mieczowych (Inflanty, Livland), dawnych krzyżackich sąsiadów i sojuszników. Tworzyła się na skutek tego strefa geopolitycznej próżni, która zmusiła do działania wszystkie pobliskie potęgi. Szwecja, Dania, Prusy i przede wszystkim Moskwa zgłosiły akces do wzięcia pod swoją kontrolę niestabilnego terytorium. Panujący w Polsce i na Litwie Zygmunt August uważał, że tylko włączenie Inflant do jego dziedzin może umocnić efekt stabilności, powodzenie zaś ekspansji północnych i wschodnich sąsiadów, a zwłaszcza Moskwy, będzie dla tejże stabilności śmiertelnym zagrożeniem. Miał przy tym ambicje silnego oparcia się o Bałtyk i stworzenia „państwa morskiego".

Uznanie przez ostatniego Jagiellona i jego polityczną ekipę Moskwy Iwana IV Groźnego za głównego przeciwnika strategicznego wynikało nie tylko z dokonania bilansu sił w sporze o Inflanty, lecz przede wszystkim z ciągnącej się od ok. 200 lat rywalizacji między Wielkim Księstwem Moskiewskim i Wielkim Księstwem Litewskim o ziemie ruskie będące dziedzictwem dawnej Rusi Kijowskiej. W tym sporze, po ponad 100 latach sukcesów, od końca XV w. Litwę spotykały już tylko porażki. Jej wschodnia granica w ciągu sześćdziesięciu kilku lat cofnęła się z podmoskiewskich pól do linii rzeki Dźwiny, gdy w 1563 r. wojska Iwana Groźnego zajęły Połock. Wielkie Księstwo Litewskie znalazło się już nie tyle w głębokiej defensywie, ile w stanie bezpośredniego zagrożenia.

W stronę unii

Zygmunt August był przekonany, że wielkim wyzwaniom polityki międzynarodowej Korona i Wielkie Księstwo mogą sprostać wyłącznie razem, w ścisłym sojuszu. Jednocześnie zaś rozważał niewątpliwie kwestię ustrojowej przyszłości krajów, którymi władał. Tak jak wiele innych konglomeratów państw w Europie Polska i Litwa były wówczas związkiem dynastycznym, który po śmierci bezdzietnego monarchy mógł się łatwo rozpaść. Ostatni z Jagiellonów rozumiał to zagrożenie, dlatego postanowił w miejsce dynastycznej unii stworzyć jednolitą strukturę państwową, jaka mogłaby przetrwać kryzys dynastyczny. Dlatego w sprawie unii polsko-litewskiej ze sceptyka stał się od początku lat 60. XVI w. entuzjastą. Jego korespondencja z przyjaciółmi i powinowatymi z Litwy Mikołajem „Czarnym" i Mikołajem „Rudym" Radziwiłłami dobrze ilustruje tę zmianę poglądów króla.

Ostrożna, ale konsekwentna polityka Zygmunta Augusta doprowadziła w końcu do zwołania wspólnego polsko-litewskiego sejmu, który miał się zająć uchwaleniem unii. Nie było to proste przedsięwzięcie, ponieważ pozycje wyjściowe głównych partnerów były od siebie odległe. Większość reprezentantów szlachty polskiej zgromadzonych w izbie poselskiej wraz z częścią senatorów dążyła do ścisłej unii, polegającej właściwie na całkowitym zlikwidowaniu odrębności państwowej Litwy, nazywając to rozwiązanie „unia in toto". Reprezentowani przez grupę możnowładców Litwini unii nie chcieli wcale i dążyli do zachowania wszystkich atrybutów suwerenności, godząc się jedynie na jakąś formę sojuszu wojskowego. Król i wspierająca go grupa

ZYGMUNT AUGUST BYŁ PRZEKONANY, ŻE WIELKIM WYZWANIOM POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ KORONA I WIELKIE KSIĘSTWO MOGĄ SPROSTAĆ WYŁĄCZNIE RAZEM, W ŚCISŁYM SOJUSZU

eprasa.pl d16ae12b4e

senatorów dążyli do stworzenia państwa o charakterze federacyjnym, w którym byłby wspólny monarcha i wspólny sejm a jednocześnie zachowana odrębność poszczególnych podmiotów. Ta ostatnia opcja miała poważne szanse na zdobycie sobie zwolenników także na Litwie. Rozwiązanie kwestii polsko-litewskiej unii realnej miało też otworzyć drogę do prawno-ustrojowego uregulowania statusu terytoriów będących spadkiem po Zakonie Kawalerów Mieczowych – Inflant i Księstwa Kurlandii. Szlachta polska domagała się także podobnych rozstrzygnięć w odniesieniu do tzw. Prus Królewskich, które uznawały się dotąd bardziej za jedno z państw króla niż prowincję królestwa. W trakcie sporu o unię pojawiła się jeszcze kwestia odrębnego statusu Wołynia i Kijowszczyzny.

Próba sił

Po trudnych początkach sejmu w styczniu 1569 r. w lutym doszło do poważnego kryzysu wobec pogłębiających się różnic zdań w sprawie unii. Nocą ostatniego dnia lutego delegacja litewska nieoczekiwanie dla króla i sejmu koronnego wyjechała z Lublina, zrywając de facto negocjacje. Król zademonstrował wówczas swoją determinację w dążeniu do przeprowadzenia unii i ogłosił włączenie do Korony Wołynia (wraz z Bracławszczyzną) i Podlasia, które do tego momentu należały do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Podlasianie stosunkowo szybko pogodzili się z tą decyzją monarchy, natomiast Wołynianie stawili opór. Zjazd tamtejszej szlachty zorganizowany w końcu marca 1569 r. dopuścił możliwość związku Wołynia z Koroną, ale na zasadzie umowy dwustronnej. Król domagał się posłuszeństwa, jednak stopniowo pozycje stron zaczęły się do siebie zbliżać, a w ostatecznym efekcie Wołynianie otrzymali przywilej gwarantujący im znaczny zakres odrębności. Oni też wystąpili z inicjatywą, by na podobnej zasadzie przyłączono do Korony Kijowszczyznę, co zostało zrealizowane.

Przyłączenie do Korony Wołynia i Podlasia zostało źle przyjęte na Litwie, ale skłoniło tamtejszą elitę do powrotu do negocjacji. „Panowie rada" mieli nadzieję, że porozumienie w sprawie unii doprowadzi do wycofania decyzji w sprawie Wołynia i Podlasia, ale nadzieje te okazały się płonne. Zygmunt August był stanowczy. W czerwcu trwały w Lublinie rozmowy o ostatecznym kształcie unii i 1 lipca została ona wreszcie zawarta. Uregulowano także sprawy Prus Królewskich i Inflant.

Wielość w jedności

Porozumienie osiągnięte ostatecznie przez Zygmunta Augusta i sejm polsko-litewski odbyty w Lublinie w 1569 r. ukonstytuowało Rzeczpospolitą Obojga Narodów. W tej litewsko-polskiej federacji wspólny był władca i sejm, oddzielne zaś pozostawały skarb, wojsko, urzędy centralne, system prawa sądowego i język urzędowy. Można powiedzieć, że utworzono nowe państwo, nie likwidując dwóch istniejących wcześniej. Status autonomiczny w związku z obiema częściami Rzeczypospolitej zyskiwały Inflanty, przyłączone zarówno do Polski, jak i do Litwy. W granicach Korony Królestwa Polskiego istniała od 1569 r. autonomia Kijowszczyzny, Wołynia i Bracławszczyzny posiadająca własny język urzędowy i odrębny system prawa sądowego. Znaczną dozę odrębności zachowały też Prusy Królewskie (np. udział miast w sejmikach, odrębny system prawa sądowego, obywatelstwo prowincji, czyli „indygenat pruski"). W czasie sejmu lubelskiego uregulowano także status Kurlandii, która została księstwem lennym Rzeczypospolitej. Odbył się też wówczas hołd lenny księcia Albrechta Fryderyka Hohenzollerna, który potwierdził zależność lenną Prus Książęcych od państwa polsko-litewskiego. Także hospodar Mołdawii Bogdan Lapusneanu uznał wówczas Rzeczpospolitą za swojego suzerena, a jego poselstwo dokonało w Lublinie aktu homagium.

Pochwała wolności

Sejm unijny ustanowił zatem pewien porządek polityczno-ustrojowy obejmujący wielkie przestrzenie Europy Środkowo-Wschodniej. Porządek oparty na współistnieniu i współpracy wielu podmiotów o różnych charakterystykach etniczno-kulturowych i wyznaniowych, chroniony przez wypracowany w Polsce system polityczny zwany demokracją szlachecką. Był to ustrój zapewniający sejmowi i sejmikom znaczny wpływ na rządzenie państwem, a przez to gwarantujący lokalnym samorządom szlacheckim znaczny zakres samodzielności. Z punktu widzenia szlachcica Rzeczpospolita była krajem wolności. Najbardziej popularny w owych czasach „publicysta" – Stanisław Orzechowski – ujmował to entuzjastycznie: „Polak zawsze wesołym w królestwie swem jest! Śpiewa, tańcuje swobodnie, nie mając na sobie niewolnego obowiązku żadnego". Tak pojmowaną atrakcyjność swego systemu miała szlachta polska do zaoferowania partnerom w roku 1569. Litwini w danym momencie raczej kontestowali zawiązanie unii. Dopiero z czasem zaczęli – zwłaszcza szlachta średnia – uznawać zalety „polskich wolności". Wołyńscy i kijowscy Rusini doceniali swój specjalny status, który uznali za postęp w porównaniu z epoką litewską. Nie można w to wątpić, w czasie pierwszego bezkrólewia stanowczo bowiem sprzeciwili się więc planom ponownego przyłączenia ich do Litwy. Najmniejszy był polityczny zysk szlachty inflanckiej, trwające i przedłużające się bowiem w nieskończoność działania wojenne na jej terenach uniemożliwiły tu w praktyce „ekspansję ustrojową" Rzeczypospolitej poza stosunkowo niewielkim terytorium Inflant południowych, zwanych potem polskimi.

Powołany do życia w Lublinie system państwowy przetrwał, choć z pewnymi ubytkami terytorialnymi, do roku 1791, gdy uchwalono Konstytucję 3 maja, która całkowicie przebudowała państwo. Rzeczpospolita Obojga Narodów przetrwała zatem 222 lata. Aby uświadomić sobie, co to w rzeczywistości oznacza, trzeba przypomnieć, jak trwałe były inne systemy polityczno-państwowe. Weźmy zatem pod uwagę, że hiszpańskie imperium Habsburgów istniało 184 lata (1516–1700), Francja Bourbonów 200 lat (1589–1789), Anglia Tudorów i Stuartów nieco ponad 170 lat (od 1485–1646/9) i wszystkie te podziwiane przez historiografię systemy kończyły swój żywot spektakularnymi katastrofami. Nie zapominajmy też, iż III Rzesza przetrwała zaledwie 12 lat, Związek Radziecki 70, a Stany Zjednoczone dopiero niedawno mogły obchodzić 222. urodziny (w 1998 lub 2005). Rzeczpospolita była zatem trwałym i stabilnym elementem europejskiego systemu politycznego epoki nowożytnej, a jej istnienie miało decydujący wpływ na ukształtowanie się mapy tożsamości etniczno-kulturowych w Europie Środkowo-Wschodniej. Idąc za tą myślą, można zaryzykować tezę, że dla tego wielkiego europejskiego regionu istnienie ZSRS było kontynuacją systemu porozbiorowego, a rozpad sowieckiego imperium był równoznaczny z powrotem do spuścizny kulturowej dawnej Rzeczypospolitej.

eprasa.pl d16ae12b4e

LEGNICKI PIAST NA SEJMIE W LUBLINIE



Henryk XI (1539–1588), potomek śląskiej linii rodu Piastów

LATEM 1569 r. OCZY POLITYCZNEJ EUROPY ZWRÓCONE BYŁY NA LUBLIN. PRZYBYLI DO MIASTA POSŁOWIE CESARSCY, TURECCY, MOSKIEWSCY, SZWEDZCY I PAPIESCY CHCIELI NA WŁASNE OCZY ZOBACZYĆ, JAK POWSTAJE WIELKIE POLSKO-LITEWSKIE PAŃSTWO



ARTUR GUZICKI

Wśród dostojnych gości wyróżniał się jednak książę legnicki Henryk XI, potomek śląskiej linii królewskiego rodu Piastów. Legnicki książę przyjechał do Lublina nie po to, żeby być świadkiem przełomowego wydarzenia. Jego cel był inny. Henryk chciał po śmierci króla Zygmunta Augusta zasiąść na polskim tronie. Bo – jak sam lubił powtarzać – „pochodził z szlachetnej krwi królów polskich, przeto ta polska krew w nim dotąd wrze i Polaków bardzo lubi". Żeby zrobić wrażenie na polskim królu i jego otoczeniu, książę przywiózł monarsze niezwykły dar – dwa młode lwy.

Przyjazd Piasta do Lublina był nie lada sensacją. Sam król z ciekawością wyczekiwał potomka dawnych władców Polski. Na jego powitanie wysłał orszak składający się z 300 koni. Książę, mimo wielkiego tłoku i trudności ze zdobyciem mieszkania, dostał do dyspozycji aż dwie kamienice, co mocno rozsierdziło posłów cesarskich, którzy musieli się zadowolić marną kwaterą poza miastem. Przedstawiciele cesarza uznali to za afront. Oni bowiem mieli na sejmie reprezentować cesarski majestat, Henryk zaś był zaledwie jednym z wielu książąt Rzeszy – cesarskich lenników. Sam książę tym się nie przejmował. Każdego dnia zapraszał na uczty polskich magnatów, licząc po cichu, że w ten sposób zjedna sobie ich przychylność i zdobędzie głosy podczas przyszłej elekcji. Rachuby te były błędne. O polską koronę Henryk legnicki ubiegał się dwa razy. Najlepszy wynik, jaki uzyskał, to trzy głosy.

Pobyt w Lublinie był bardzo kosztowny. Książę oprócz dwóch lwów ofiarował królowi Zygmuntowi Augustowi wiele drogich klejnotów, szablę w złotej pochwie i szczerozłoty puchar z orłem. Także dworzanie króla byli zachwyceni spotkaniem z legnickim Piastem – każdy z nich dostał na pamiątkę złoty łańcuch. Król odwdzięczył się znacznie skromniejszymi darami, co spotkało się z niezadowoleniem książęcego otoczenia. Hans Schweinichen, wieloletni pokojowiec i powiernik legnickiego księcia, zanotował w swoim pamiętniku: „...dary, jakie dostałem od polskiego króla, wcale królewskie nie są. A królewska uczta, na którą nas JKM zaprosił, była marna. Nasz pan lepiej jadał na co dzień...".

Ta wyprawa kosztowała księcia Henryka 24 tys. talarów. Była to kwota zawrotna, dwukrotnie przekraczająca roczny dochód całego księstwa. Ale legnicki książę rzadko przejmował się swoimi wydatkami. Zawsze żył ponad stan, zaciągając długi, gdzie tylko się dało.

Kandydat do angielskiego tronu

Henryk XI objął księstwo legnickie w wieku 20 lat. Jego ojciec Fryderyk III, także znany z rozrzutności i częstych konfliktów z otoczeniem, został odsunięty od władzy przez późniejszego cesarza – Ferdynanda I. Młody Piastowicz przejął księstwo mocno zadłużone. Dług wynosił blisko 60 tys. talarów. Ale, jak pokazał czas, była to zaledwie kropla w morzu długów, jakich sam narobił. W ciągu zaledwie 10 lat dług księcia urósł dziesięciokrotnie. Żeby wyjść z finansowych tarapatów, sprzedawał rodowe dobra i nakładał na poddanych wielkie podatki. Niezadowolona szlachta śląska zaczęła słać do cesarza listy ze skargami. Także młodszy brat Henryka – Fryderyk uznał, że rozrzutnego księcia należy pozbawić władzy. Ten zaś wyruszył w kolejną podróż, tym razem na zachód. Tam szybko popadł w kolejne finansowe tarapaty. Ratunkiem okazał się polityczny związek z Ludwikiem Kondeuszem, który szykował się do wyprawy na Francję. Kondeusz zaproponował Henrykowi XI stałą pensję za przeprowadzenie zaciągu wojsk i wyekwipowanie armii, która wyruszy przeciw katolickiemu królowi Francji. Jednak ta przygoda szybko się skończyła. Kondeusz zgromadził za małe siły, żeby rozprawić się z królem. Z wyprawy nic nie wyszło. W tej sytuacji legnicki książę został bez pieniędzy na życie. Przez jakiś czas utrzymywał się na powierzchni, zaciągając kolejne pożyczki. Ale i te możliwości szybko się wyczerpały. Potomek Piastów, żeby nie przymierać głodem, zaczął zastawiać rzeczy osobiste. Korzystał z kredytu u Żydów, naciągał na gościnę karczmarzy. Od czasu do czasu wpadał na szalone pomysły.

Dowiedziawszy się, że dziedziczka tronu angielskiego poszukuje kandydata na męża, chciał wysłać do Londynu z ofertą ożenku towarzyszącego mu Hansa Schweinichena. Twierdził przy tym, że skoro ona jest krwi królewskiej i on także, to taki związek jest jak najbardziej na miejscu. Zupełnie nie przejmował się tym, że na legnickim zamku czekała na niego żona Zofia. Przerażony pokojowiec zapisał w swoim pamiętniku, że książę nakazał mu przy okazji zaciągnąć u „narzeczonej" pożyczkę w wysokości 10 tys. talarów, po to by Henryk – już jako oblubieniec – mógł się na londyńskim dworze godnie pokazać.

Cesarska łaska i niełaska

Wielkie długi, sympatia do Polaków i związek z Kondeuszem ściągnęły na głowę Henryka gniew cesarza. Po powrocie do Legnicy książę został pozbawiony władzy. W Legnicy rządził już jego brat. Henrykowi cesarz na siedzibę wyznaczył znacznie mniejszy Chojnów. Na swoje utrzymanie miał dostawać pieniądze od młodszego brata. Ten jednak nie kwapił się z przekazywaniem należnych bratu sum i danin w naturze. Zdesperowany Henryk postanowił sam pobierać swoje należności. Zamiast osiąść w Chojnowie, siłą zajął zamek w Grodźcu, gdzie były zgromadzone znaczne ilości zboża. Ziarno szybko sprzedał, a za zdobyte w ten sposób pieniądze zakupił wino. Odtąd potomek Piastów zaczął wieść żywot rycerza – rozbójnika. Z wiernymi sobie sługami napadał na kupieckie »

RYS. HENRYK BACA

eprasa.pl d16ae12b4e

» karawany, rabował okolicznych chłopów, nie odpuszczał nawet zarządzanym przez brata książęcym dobrom. Przy czym cały czas słał listy do cesarza, skarżąc się na młodszego brata, że ten nie dotrzymuje umów, i domagał się przywrócenia go na książęcy stolec.

Z rządów Fryderyka IV nie byli zadowoleni także poddani. Młodszy brat Henryka był bowiem człowiekiem małostkowym, a przy tym skąpym i niesprawiedliwym. Szlachta, mieszczanie i chłopi zaczęli tęsknić za Henrykiem, który był co prawda nieobliczalny, ale za to życie na legnickim zamku za jego rządów było wesołe. W końcu cesarz uznał, że bracia powinni wspólnie rządzić księstwem. Henryk mógł wrócić na zamek w Legnicy i jako starszy przejął ster rządów. Wraz z jego powrotem na legnicki zamek wróciły uczty i wystawne życie. Książęcy dwór, mimo że skarbiec świecił pustkami, a z każdej strony zgłaszali się wierzyciele, zaczął przypominać największe dwory ówczesnej Europy. Książę nie śpieszył się z wypełnianiem poleceń cesarskich. Odmówił złożenia hołdu i lekceważył namiestnika cesarskiego, którym był biskup wrocławski. W końcu namiestnik ów postanowił zmusić siłą legnickiego księcia do posłuszeństwa. W 500 koni wyprawił się na Legnicę. Jednak Henryk nie oddał pola. Zgromadziwszy znaczne zapasy, zamknął się w mieście. Na pomoc przyszły mu wierne hufce z okolicznych miast. Wyprawa biskupa zakończyła się niczym. Książę odmówił nawet ugodowego załatwienia sprawy, bo, jak twierdził, jako potomek królów „nie może układać się z biskupem, który nawet księciem nie jest". W końcu zawarto porozumienie, w myśl którego Henryk i jego brat Fryderyk mieli się stawić w Pradze i tam poddać cesarskiemu sądowi.

Wyprawa do Pragi okazała się dla księcia brzemienna w skutkach. Cesarz tym razem nie miał litości, uwięził Henryka, a księstwo przekazał we władanie Fryderykowi. Po rocznym pobycie w praskim więzieniu Henryk został przewieziony do Wrocławia. Tam zdany sam na siebie postanowił odzyskać wolność. Okazja nadarzyła się sama. Kiedy do miasta dotarła epidemia i zapanowało wielkie rozprężenie – większość możnych bowiem uciekło przed zarazą – przekonał swoich strażników, że przed zachorowaniem najlepiej zabezpiecza alkohol. Spiwszy ich do nieprzytomności, uciekł. Tym razem miał tylko jedną drogę. Do Polski.

Sojusznik Wazy – wróg Habsburgów

W jesienny wieczór 1585 r. w dworku wielkopolskiego szlachcica Piotra Chojeńskiego pojawił się dziwny gość. Ubrany w potarganą koszulę zażądał skontaktowania go z marszałkiem wielkim koronnym Andrzejem Opalińskim. Pan Chojeński uznał, że dziwny gość mimo podłego wyglądu musi być kimś znacznym. Zdradzały to postawa i maniery. Po dłuższym zastanowieniu posłał do marszałka list z informacją, że w dworku jego przebywa ktoś, kto się podaje za potomka Piastów. Opaliński, który znał Henryka z jego wcześniejszych podróży po Polsce, otoczył zbiega opieką. Ukrył go na zamku w Nakle i choć pobyt ten został otoczony tajemnicą, to informacja o tym dotarła do cesarza. Stało się tak, bo za uciekinierem wysłano do Polski szpiegów – głównie żydowskich kupców, którzy mieli się dowiedzieć, gdzie przebywa nieposłuszny poddany. Kiedy tajemnica wyszła na jaw, książę uznał, że bezpieczniejszy będzie, jeśli postara się o opiekę króla. Jednak Stefan Batory nie spieszył się z pomocą. Henryk legnicki mógł za to liczyć na wsparcie Anny Jagiellonki, która hojnie podjęła go w Warszawie. Dopiero z Warszawy udał się do Grodna i tam uzyskał od sprawującego królewską władzę Batorego wsparcie finansowe. Batory wyznaczył Henrykowi tygodniową pensję w wysokości 300 polskich złotych. Tak zaopatrzony książę ruszył w dalszą podróż. Odwiedził swojego szwagra księcia pruskiego Fryderyka.

O POLSKĄ KORONĘ HENRYK LEGNICKI UBIEGAŁ SIĘ DWA RAZY. NAJLEPSZY WYNIK, JAKI UZYSKAŁ, TO TRZY GŁOSY

Po śmierci Batorego wygnany książę już nie starał się o uzyskanie polskiej korony, ale nie zrezygnował z udziału w życiu politycznym. Wsparł Zygmunta Wazę, kandydata wysuniętego przez obóz Anny Jagiellonki. Kiedy kandydatura ta uzyskała większość, wyruszył w kolejną podróż. Tym razem do Szwecji, gdzie jako członek poselstwa polskiego zyskał przyjaźń nowego króla Polski. Po ostatecznym osadzeniu na tronie Wazy, co nastąpiło po bitwie pod Byczyną, w której wojska polskie pobiły armię cesarza, dla Henryka zaczęły rysować się nowe perspektywy. Całkiem poważnie myślał o odzyskaniu ojcowizny. Okoliczności wydawały się sprzyjające. Miał poparcie polskiego króla, który mógł na cesarzu wymusić wiele ustępstw, cesarski bowiem syn, niedawny kandydat do polskiego tronu, przebywał w polskiej niewoli. Pełen nadziei na odmianę losu wczesną wiosną 1588 r. legnicki książę stanął w Krakowie. Była to jego ostatnia podróż. Cieszący się doskonałym zdrowiem książę zmarł nagle. Po wypiciu dwóch szklanek mleka dostał boleści brzucha. Po dwóch godzinach odszedł. Jego otoczenie nie miało wątpliwości – książę został otruty. Pytanie tylko przez kogo?

Wszystko wskazuje na to, że Henryk XI został ofiarą spisku Habsburgów. Cesarz doskonale wiedział, że usuwając z tego świata niesfornego poddanego, oddala niebezpieczeństwo jego powrotu na legnicki stolec, co mogłoby spowodować oderwanie tej części Śląska od jego państwa i związanie jej z Polską. W ten sposób jedyna szansa powrotu polskiej władzy na terytorium rządzone przez legnickich Piastów została utracona.

Książę Henryk przez całe życie sprawiał wiele problemów swojemu otoczeniu. Nie inaczej było po śmierci. W katolickim Krakowie trudno było znaleźć godne miejsce pochówku dla potomka królewskiego rodu, który przez całe życie był luteraninem. W końcu, za odpowiednią opłatą, ciało zmarłego zgodzili się przyjąć do swojej świątyni franciszkanie. Jednak i tam książę nie spoczął na długo. Kiedy okazało się, że obiecane sumy nie dotarły do zakonników, ci bez skrupułów wystawili trumnę na ulicę. Dopiero składka członków krakowskiego cechu białoskórników, wśród których było wielu dawnych mieszkańców Legnicy, udobruchała mnichów i książę wrócił do kościoła.

Jego brat Fryderyk chciał sprowadzić ciało księcia Henryka do Legnicy, aby spoczął w miejscowym kościele obok swoich przodków. Jednak cesarz odmówił zgody. Zawzięty Habsburg mścił się nawet na nieboszczyku.

12/0519/F

eprasa.pl d16ae12b4e

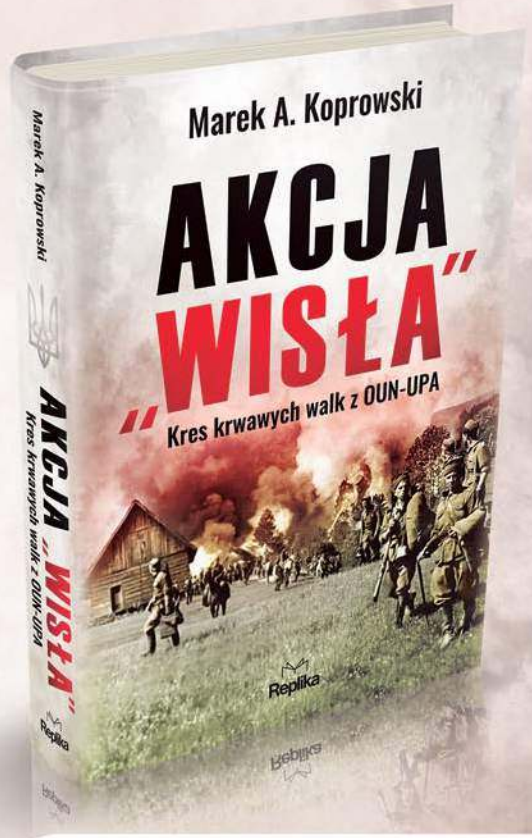
Marek A. Koprowski

AKCJA „WISŁA”

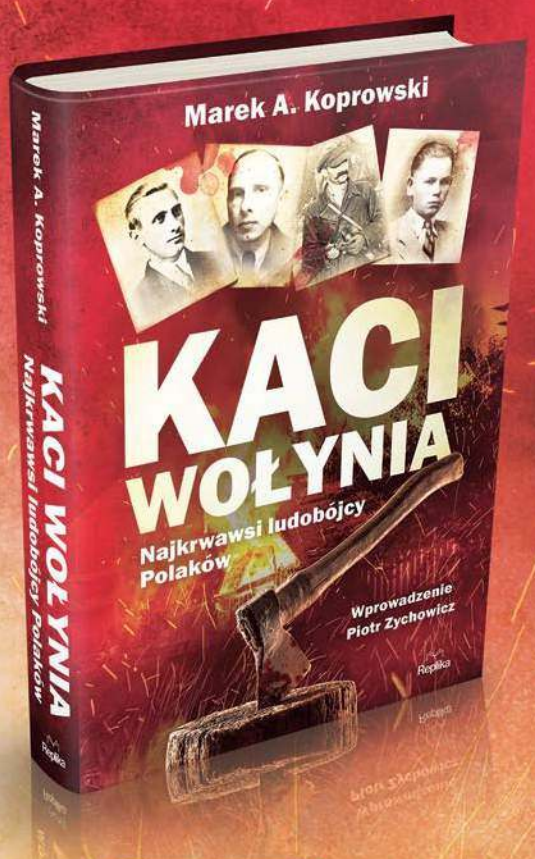
Kres krwawych walk z OUN-UPA

Akcja „Wisła” skutecznie zakończyła banderowskie ludobójstwo, tym samym była operacją konieczną dla zapewnienia bezpieczeństwa ludności polskiej.

Replika



PODKARPACKA HISTORIA · Polskie Radio RZESZÓW · W MROKU HISTORII · NIEZŁOMNI · Myśl Polska



Marek A. Koprowski

KACI WOŁYNIA

Najkrwawsi ludobójcy Polaków

Jest to monografia, na którą długo czekałem. Jej autor – znany popularyzator historii – udowadnia, że za ludobójstwem Polaków na Wołyniu stali konkretni ludzie.

PIOTR ZYCHOWICZ

Replika

www.replika.eu

Tel. 61 868 25 37

Tel. 515 339 739

Myśl Polska · wMeritum.pl · HISTORIA · KRESY.PL · Polskie Radio RZESZÓW · NIEZŁOMNI · WPOLSCE.PL

eprasa.pl d16ae12b4e

UNIA POLSKO-LITEWSKA W EPOCE WIELKIEJ REFORMY



„Uchwalenie Konstytucji 3 maja przez Sejm Czteroletni", reprodukcja fotograficzna obrazu Kazimierza Wojniakowskiego z 1806 r. Poniżej: Ustawa rządowa z dnia 3 maja 1791 r. wraz z „Prawem o miastach" i „Zaręczeniem wzajemnem obojga narodów"

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE/WIKIMEDIA COMMONS/DP, BIBLIOTEKA NARODOWA

W XVIII w. DOPRACOWYWANO IDEĘ WSPÓLNOTY KORONY I LITWY. TRAGEDIA ROZBIORÓW NIE POZWOLIŁA SPRAWDZIĆ SIĘ NOWYM ROZWIĄZANIOM W PRAKTYCE



ZOFIA ZIELIŃSKA

Zanim przejdziemy do lat Sejmu Czteroletniego (1788--1792), stanowiących sedno rozważań, trzeba przypomnieć, że „długi" XVIII w. zaczął się od ważnego aktu koekwacji (zrównania) praw Wielkiego Księstwa Litewskiego z Koroną, uchwalonego podczas bezkrólewia 1696 r. i zaakceptowanego rok później przez Augusta II. Potrzeba koekwacji wynikła z wciąż istniejących po unii lubelskiej odmienności praw obu prowincji. Chodziło przede wszystkim o nieporównanie silniejszą w Wielkim Księstwie niż w Koronie pozycję magnaterii wobec szlachty. Przejawem tej nierówności była nie tylko zdecydowana przewaga w prowincji jednego rodu (u schyłku XVII w. należała ona do Sapiehów), ale także szersze na Litwie niż w Koronie kompetencje ministeriów, sprawowane tradycyjnie przez magnatów. Koekwacja zrównywała pozycję owych ministeriów z zakresem władzy, jakie miały one w Koronie. Odebrano m.in. kanclerzom litewskim prawo pieczętowania (zatwierdzania) wyroków trybunalskich, a hetmanom możliwość lokowania wojsk wedle woli; odtąd poszczególne oddziały armii miały trwale przypisane tereny, z których pobierały podatki. Determinacji szlachty litewskiej, by wprowadzić koekwację w praktyce, dowodziła koalicja przeciw Sapiehom, która doprowadziła do ich klęski pod Olkienikami w 1700 r. Od czasu tych wydarzeń przestrzegano też zasady niepołączalności kilku ministeriów w jednym rodzie (incompatibilitas), stanowiącej w Koronie regułę od XVI w.

W epoce saskiej nie było już innych ważnych wydarzeń dotyczących unii

eprasa.pl d16ae12b4e

polsko-litewskiej. Wbrew temu, co sądziła dawniejsza historiografia (Józef Feldman), dostęp do źródeł rosyjskich ujawnił, iż rzekome separatystyczne dążenia Litwinów do porozumienia z carem Piotrem I bez oglądania się na Koronę w początkach wielkiej wojny północnej (1701–1721), były podejmowane z inspiracji i za wiedzą Augusta II. Zgodnie z tradycją Wielkiego Księstwa Litewskiego przewagę po Sapiehach przejęli Radziwiłłowie, za Augusta III zaś coraz silniejsze były wpływy rywalizującej z nimi „Familii" Czartoryskich; żadne z ugrupowań nie doszło już jednak do pozycji, jaką mieli wcześniej Sapiehowie czy, przed nimi, Pacowie. O postępie unifikacji Litwy z Koroną przesądzało też to, że łączył wszystkie prowincje Rzeczypospolitej, Kościół (ze zwierzchnikiem w Gnieźnie), szkolnictwo zakonne, reformowane jednakowo w Koronie i Litwie, a cały kraj obejmowały te same konstelacje polityczne – „Familia" Czartoryskich oraz opozycja Potockich (wcielona później w kamarylę Jerzego Mniszcha).

Królewskie próby unifikacji

Stanisław August (1764–1795) zastał oba człony państwa mocno zunifikowane – Wielkie Księstwo Litewskie stawało się w coraz większym stopniu jedną z trzech prowincji Rzeczypospolitej (obok Wielko- i Małopolski), nie zaś odrębnym państwem. Zachowywało jednak osobny komplet urzędników oraz instytucji centralnych, pewne odrębności w zakresie urzędów lokalnych, za swą chlubę uważało III Statut litewski oraz niepodważalność wyroków Trybunału Litewskiego. Miało nadto własny uniwersytet w Wilnie, sprawujący po I rozbiorze nadzór nad litewską częścią szkół Komisji Edukacji Narodowej, ale coraz więcej czynników sprzyjało unifikacji całego państwa. Rada Nieustająca po reformie z 1776 r. pozostawała (poza zarządem skarbu) centralnym organem wykonawczym dla całego kraju i grupowała przedstawicieli zarówno Litwy, jak Wielko- i Małopolski. Po 1776 r. konstytucje sejmowe dla Litwy stanowiły wyjątki, legislacja była w dominującym stopniu wspólna dla całej Rzeczypospolitej.

Stanisław August traktował podział kraju na Wielkie Księstwo Litewskie i Koronę jako przeżytek i w początkowym okresie panowania próbował dokonać głębszej unifikacji; także dlatego, że zależało mu na skupieniu najważniejszych urzędów w stolicy. Nie doszło do tego przed epoką wielkiej reformy zarówno z uwagi na sprzeciw hegemona – Rosji (nie dopuszczała np. do scalenia Komisji Skarbowej Litewskiej i Koronnej, by nie wzmocnić aparatu skarbowego Rzeczypospolitej), jak i wskutek ambicji wpływowych piastunów litewskich godności, także z obozu królewskiego: najpierw Czartoryskich, a potem przywódcy regalistów w Wielkim Księstwie – podskarbiego Antoniego Tyzenhauza. Dualizm urzędów ułatwiał im kaptowanie stronników, choć dla utrącenia ich redukcji posługiwali się często stwierdzeniem, że godziłaby ona w zasady unii polsko-litewskiej. Argument ten musiał być – mimo faktycznie postępującej unifikacji – politycznie nośny, skoro szermując nim, nie dopuszczono nawet do rozpoczęcia prac nad „kodeksem Stanisława Augusta" (1766) – jednym dla całego Królestwa oraz do proponowanych przez monarchę równocześnie reform sądownictwa zakładających częściowe odejście od Statutu litewskiego. Ważnym czynnikiem, który ułatwił w 1780 r. rosyjskiemu ambasadorowi Ottonowi Stackelbergowi utrącenie „Zbioru praw" Andrzeja Zamoyskiego, było uznanie przez wszystkie niemal sejmiki litewskie sprzeczności jego zapisów z zasadami Statutu litewskiego.

Projekty Sejmu Wielkiego

Na Sejmie Czteroletnim po obaleniu Departamentu Wojskowego Rady Nieustającej zdecydowano się na utworzenie wspólnej dla Korony i Litwy Komisji Wojskowej (grudzień 1788 r.), której siedzibą miała być Warszawa lub Grodno (w wypadku sejmów w grodzie n. Niemnem). Dalsze dyskusje znów dotyczyły kwestii osobnych czy wspólnych centralnych władz wykonawczych. Wyłoniona z owych dysput ostatecznie Ustawa Rządowa 3 maja 1791 r. nie zawierała słów „unia", „koronny", „litewski" ani „Rzeczpospolita Obojga Narodów". Milczenie to nie przesądzało jednak kwestii unii, o której wielokrotnie i z szacunkiem podczas obrad sejmu wspominano, choć stanowiło zapewne wynik cichej intencji króla i zwolenników dalszej unifikacji państwa. Wielkie komisje, czyli ministerstwa, były wedle Konstytucji 3 maja wspólne dla całego kraju, natomiast trybunały miały istnieć trzy (wielkopolski, małopolski i litewski), sądy zaś kanclerskie (asesorie) – dwa (litewski i koronny). W ustawie o sejmach (z maja 1791 r.), dopełniającej konstytucję, przewidziano co trzeci sejm w Grodnie. Żywszy spór wynikł w czerwcu, gdy tworzono Komisję Policji; dopiero głosowanie, z wyraźną większością na rzecz unifikacji, rozstrzygnęło, że także to ministerium pozostanie jedno dla całego kraju, przy czym Litwini mieli stanowić jego trzecią część. Jeszcze ważniejsza uchwała unifikacyjna zapadła 10 października 1791 r., gdy w Wielkim Księstwie (co stanowiło efekt wieloletniego procesu) wprowadzono ostatecznie ten sam system podatkowy, jaki istniał w Koronie.

Na tle tych wydarzeń zaskoczyła Koroniarzy ostra opozycja, przejawiona podczas dyskusji 13, 14 i 17 października przez posłów Wielkiego Księstwa Litewskiego wobec projektu jednej dla całego kraju Komisji Skarbowej. Gdy król i część posłów koronnych chciała ustąpić, uważając, że najważniejsze jest nieujawnianie rozłamu wśród sejmujących, pod koniec sesji 17 października Stanisław Kostka Potocki ponowił projekt jednej komisji, ale z parytetem w niej delegowanych z Korony i Litwy. Parytet miał dotyczyć w przyszłości także Komisji Wojskowej. Po zakulisowych ustaleniach na sesji 20 października 1791 r. marszałek konfederacji litewskiej Kazimierz Nestor Sapieha w uroczysty sposób podziękował Stanisławowi Augustowi za efekt prac, stwierdzając, że gdy „panowaniu Zygmunta Augusta winny narody unią, panowaniu Stanisława Augusta winne będą tym silniejsze spojenie z oznaką udzielności swojej", po czym odczytano projekt „Zaręczenie wzajemne obojga narodów", który po krótkiej dyskusji uchwalono z demonstracyjną jednomyślnością. Ustawa przewidywała parytet komisarzy Litwy i Korony w Komisji zarówno Skarbowej, jak i w Wojskowej, kilkakrotnie odwoływała się do aktu unii, zapewniała, że także inne tworzone w przyszłości wspólne instytucje centralne będą miały równą liczbę Koroniarzy i Litwinów, potwierdzała istnienie odrębnych litewskich „ministrów i urzędników narodowych, z temiż tytuły i obowiązkami jak Korona". „Zaręczenie" miało w przyszłości wejść w skład paktów konwentów władców, doraźnie zaś ułatwiło przyjęcie ustawy o Komisji Skarbowej Obojga Narodów, w maju zaś 1792 r. – o Komisji Wojskowej.

Odrębne pozostały organa sądowe – asesorie (ustawa z października »

eprasa.pl d16ae12b4e

» 1791 r.) i trybunały (ustawa ze stycznia 1792 r.), znacząco jednak ujednolicono zasady ich funkcjonowania w Koronie i Wielkim Księstwie Litewskim. Wcześniej, w czerwcu 1791 r., Litwini nie zgodzili się na wspólną komisję kodyfikacyjną, która miała wypracować nowy kodeks praw dla Królestwa (Kodeks Stanisława Augusta); powołano dwie osobne deputacje – koronną i litewską. Wiemy jednak, że ich szefowie porozumiewali się między sobą, starali się ujednolicić tytuły i liczby paragrafów poszczególnych działów, a komisja litewska bardziej niż Statutem litewskim kierowała się – podobnie jak koronna – oświeceniowymi zasadami prawa (odwoływała się do Monteskiusza, Beccarii i Franklina, optowała za zniesieniem kary śmierci). Mimo „Zaręczenia", utrwalającego formalnie dualizm instytucji wykonawczych, unifikacja Korony i Wielkiego czyniła więc dalsze realne postępy.



Stanisław August traktował podział kraju na Wielkie Księstwo Litewskie i Koronę jako przeżytek. Na rycinie Polska z 1764 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Natura „Zaręczenia"

„Akt ten – napisał o „Zaręczeniu" historyk prawa Jerzy Malec – nie tylko gwarantował coraz bardziej wówczas uszczuplane prawa Wielkiego Księstwa Litewskiego, lecz także – a może przede wszystkim – grał istotną rolę na drodze do ujednolicenia i scentralizowania zarządu szczebla centralnego. [...] Dając Litwie poczucie pewnej odrębności, a przede wszystkim równorzędności, »Zaręczenie« usprawniało zarazem aparat wykonawczy w państwie".

Rozumiemy to w ten sposób, że za cenę składu wspólnych instytucji centralnych, do których wchodzić miała połowa polityków wywodzących się z Wielkiego Księstwa, niczym się wszak od Koroniarzy nieróżniących, uczyniono znaczny krok na drodze unifikacji państwa.

Ale tę interpretację kwestionuje sam autor przytoczonego wyżej cytatu, konkludując po nim, że „Zaręczenie" „przywracało wyraźny zapis o federacyjnym charakterze państwa..." (podkreślenie ZZ). Takie rozumienie opiera się głównie na tekście Juliusza Bardacha z 1991 r. Bardach, wybitny znawca dziejów prawa w średniowieczu i u progu nowożytności, tym razem podjął wycieczkę w wiek XVIII. Zgadzając się z tym, że Konstytucja 3 maja po cichu zmierzała do likwidacji dualizmu państwowego, Bardach (wbrew opinii takich badaczy jak Stanisław Kutrzeba, Władysław Konopczyński czy Bogusław Leśnodorski), uznał, że „Zaręczenie" wymuszone przez posłów Wielkiego Księstwa Litewskiego miało znaczenie nie tylko formalne, dzięki któremu faktycznie więzy między Litwą i Koroną uległy dalszemu zacieśnieniu, lecz konkludował, że utrzymało ono – „mimo postępów centralizacji – federacyjny charakter państwa polsko-litewskiego". I jeszcze silniej: „Zaręczenie Wzajemne Obojga Narodów było ustępstwem na rzecz broniących swojej podmiotowości politycznej Litwinów. Kompromis dokonał się w ramach istniejącej federacji, zacieśniając ją przez powołanie wspólnych organów opartych na zasadzie równorzędności. Umacniało to więź pomiędzy »narodami politycznymi« Korony i Wielkiego Księstwa, a jednocześnie umożliwiało Litwinom zachowanie tradycji własnej państwowości, istotnego elementu ich współczesnej świadomości narodowej".

Istota novum tak silnie akcentowanego przez Bardacha polega na nieuznaniu formalnego tylko znaczenia „Zaręczenia", które ułatwiało drogę dalszej unifikacji Rzeczypospolitej, lecz akcentowaniu jej „federacyjnego" charakteru i uznaniu Wielkiego Księstwa Litewskiego za osobną państwowość. Nic dziwnego, że stanowisko tego historyka prawa skwapliwie podchwyciła i uznała za biblię współczesna historiografia litewska, która najczęściej pisze o Litwie XVIII w. tak, jakby istniała ona bez związku z Koroną.

Koniec Rzeczypospolitej

Trzeba jednak stwierdzić, że faktyczne znaczenie nowych instytucji weryfikuje praktyka. Wskutek interwencji Rosji w maju 1792 r. i obalenia dzieła Sejmu Czteroletniego nie mieliśmy okazji poznać głębiej praktycznych skutków „Zaręczenia". I na takiej konkluzji – przy wyraźnym dystansie wobec przerysowujących formalne aspekty „Zaręczenia" twierdzeń Bardacha – wypadnie poprzestać.

Okres targowickiej reakcji był dla Wielkiego Księstwa szczególnie ciężki. Władzę uchwycili tam bracia Kossakowscy – generał rosyjski, a następnie samozwańczy „hetman" litewski Szymon, zaprzyjaźniony z faworytem Katarzyny II, Płatonem Zubowem, i jego brat, wieloletni jurgieltnik ambasady rosyjskiej w Warszawie, biskup inflancki Józef. Grabiąc skarb prowincji, mszcząc się na swoich politycznych przeciwnikach i dążąc do separatystycznego odcięcia Wielkiego Księstwa od Korony, Kossakowscy liczyli na przejęcie z rosyjskich rąk zarządu Litwy. Zapłacono im za to w czasach insurekcji kościuszkowskiej: Szymona powieszono w Wilnie natychmiast po opanowaniu miasta przez powstańców (25 kwietnia 1794 r.), biskupa spotkał zaś ten sam los podczas samosądów w Warszawie 9 maja. Powstanie kościuszkowskie stanowiło już jednak ostatni okres wspólnoty losów obu narodów politycznych Rzeczypospolitej.

eprasa.pl d16ae12b4e



MACIEJ GLOGER



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

POWSTANIE STYCZNIOWE, POZYTYWIZM I ROZPAD IDEI UNII LUBELSKIEJ

12 SIERPNIA 1861 r. W WILNIE NA MOŚCIE NAD NIEMNEM SPOTKAŁY SIĘ DWIE PROCESJE, POLSKA I LITEWSKA, W CELU UPAMIĘTNIENIA ROCZNICY USTANOWIENIA UNII LUBELSKIEJ. BYŁO TO JEDNO Z SYMBOLICZNYCH WYDARZEŃ, KTÓRE PODWYŻSZAŁY NAPIĘCIE PATRIOTYCZNE I KSZTAŁTOWAŁY, JAK TO PÓŹNIEJ OKREŚLILI STAŃCZYCY, TZW. POLITYKĘ NERWOWĄ

Wśród innych takich wydarzeń, które przyspieszyły wybuch powstania styczniowego, była manifestacja w 30. rocznicę wybuchu powstania listopadowego oraz w 1861 r. manifestacja w rocznicę bitwy pod Grochowem. Przywódcy powstania z gen. Ludwikiem Mierosławskim przykładali wielką wagę do rozciągania atmosfery rewolucyjnej na ziemie zabrane i forsowali nierealny postulat połączenia ziem Królestwa z ziemiami litewsko-ruskimi. 10 października tego roku na polach Horodła odbyła się manifestacja, w trakcie której spisano akt odnowienia tekstu unii polsko-litewskiej z 1413 r. (unia horodelska). Te wystąpienia jednak zapoczątkowały nie powrót do założeń aktu z 1569 r. i zbliżenie narodów polskiego oraz litewskiego, ale stały się początkiem procesu dezintegracji idei Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Przekreśliły także zdobycze reform margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, odtąd wielkiego autorytetu pozytywistów warszawskich.

Powstanie bez wizji

U podstaw wybuchu powstania 1863 r. leżało się dążenie do wskrzeszenia dawnej Rzeczypospolitej, w obrębie której swobodny byt i szeroką autonomię uzyskają trzy narody: polski, »

eprasa.pl d16ae12b4e

» litewsko-białoruski, ukraiński. Na sztandarach powstańczych sąsiadowały z sobą orzeł biały, litewska Pogoń i ruski Archanioł. Ideologom powstania nie udało się jednak wypracować przejrzystej wizji ustrojowej przyszłego unijnego państwa. Wahali się między koncepcjami państwa unitarnego i federacyjnego. Mimo tych niejasności udział ludności ziem litewskich i białoruskich w powstaniu był duży. Złożono sporą daninę krwi, przyjmując udział w powstaniu, ale to właśnie wywołało narastającą awersję do polskości wśród Litwinów, często nawet tych najbardziej spolonizowanych. Przywódcom powstania nie udało się satysfakcjonująco połączyć socjalnych i społecznych aspektów powstania na Litwie z aspiracjami narodowymi i politycznymi. Pragnienie walki z caratem nie było u Litwinów jednoznaczne z pragnieniem wskrzeszania dawnej Polski. Udział w powstaniu i złożona ofiara krwi uznane zostały przez Litwinów za bezowocne i niepotrzebnie sprowokowane przez polskich szlacheckich polityków. Na ziemiach ukraińskich hasła powstania nie miały zaś najmniejszego odzewu z powodu głębokiej niechęci tamtejszej ludności chłopskiej do tradycji i ustroju dawnej Polski.

Fiasko idei jagiellońskiej

Przyczyny niemożliwości powrotu do idei jagiellońskiej były złożone, ale można je sprowadzić do trzech:

1) obudzenie się etnicznej, nowoczesnej świadomości narodowej na skutek rozwoju romantycznej i pozytywistycznej etnografii i sztuki;

2) rozwój idei demokratycznych i narastanie kwestii socjalnej, wiążącej się z dążeniami do nadania pełni praw politycznych, a zwłaszcza ekonomicznych – hasła uwłaszczenia szerokich warstw ludowych, z których przeważnie składały się etnosy dzielnic kresowych dawnej Rzeczypospolitej. Dążenia te kolidowały z interesami wielkiej własności i polskiego ziemiaństwa, co siłą rzeczy budziło animozje narodowe i nie sprzyjało dobrej pamięci o dawnych feudalnych czasach;

3) rozwój tendencji pozytywistycznych i realistycznych w polskiej myśli politycznej (Wielopolski i konserwatywni realiści, krakowscy stańczycy, później pozytywiści warszawscy i narodowi demokraci, w końcu po II wojnie środowisko paryskiej „Kultury" i geopolityczna myśl Juliusza Mieroszewskiego), które z jednej strony uznawały idee powrotu do granic sprzed 1772 r. za romantyczne mrzonki, a z drugiej prowadziły w konsekwencji do zwycięstwa idei etnicznej jednolitości narodu. Realizm splatał się z nacjonalizmem i prowadził do zapanowania idei państwa narodowego. Było to u nas przede wszystkim zasługą potęgi intelektu największego polskiego pozytywisty Romana Dmowskiego i Narodowej Demokracji, stronnictwa przez niego stworzonego. Pozytywizm wypływał bowiem z idei organicznej jedności wspólnoty, którą osiąga się przez wspólne kulturę, język, historię. Ten sam organicyzm wyznawali budziciele świadomości narodowej litewskiej i ukraińskiej (rusińskiej), także czeskiej czy żydowskiej, co siłą rzeczy prowadzić musiało do konfliktów, a nie do tendencji scalających. Federacjonistyczna idea jagiellońska okazywała się anachronizmem we wschodniej i środkowoeuropejskiej rzeczywistości u progu XX w.

PRASA I KULTURA LITEWSKA OTRZYMYWAŁA PO POWSTANIU ZE STRONY ZABORCY WIĘKSZE KONCESJE NIŻ PRASA POLSKA

W zaborze rosyjskim

Sposób określania tożsamości formułą „jestem »gente Lithuanus, natione Polonus«" jeszcze przez drugą połowę XIX w. był dość powszechny na Litwie, jednak już w latach 80. pojawiały się pierwsze nieprzyjemne incydenty na tle językowym i religijnym, np. podczas nabożeństw w kościołach, które stały się powszechne na początku XX w. Wydawana w latach 1883–1886 w Ragnecie odrodzeniowa „Auszra" przedstawiała negatywną ocenę unii polsko-litewskiej. Ten często niezrozumiały psychologicznie dla dawnego pokolenia, dramatyczny rozbrat znakomicie ilustruje opowiadanie Henryka Sienkiewicza „Dzwonnik" z 1907 r. Notabene prasa i kultura litewska otrzymywały po powstaniu ze strony zaborcy większe koncesje niż prasa polska. Na skutek popowstaniowych represji kultura polska poniosła ogromne straty na Litwie. Rozpoczęła się bezwzględna walka z polską książką, w trakcie której praktykowano przez władze zaborcze nawet niszczenie czcionek w polskich drukarniach.

W tym czasie w Wilnie kwitła bez żadnych ograniczeń kultura żydowska, która była zorientowana prorosyjsko. Rozwój kultury oraz siły ekonomicznej Żydów po powstaniu styczniowym był tak znaczący, że wywołał w końcu ze strony rosyjskiej restrykcje i prawa tymczasowe, m.in. ograniczające listę dostępnych dla Żydów zawodów. Fala pogromów (zwłaszcza w r. 1881 i 1903) wywołała masową żydowską emigrację, ale, co istotniejsze, skierowała tę mniejszość w stronę radykalnych prądów politycznych: socjalizmu i syjonizmu (czyli ku nacjonalizmowi żydowskiemu). Formowała się kolejna wpływowa grupa etniczna w żaden sposób niezainteresowana ideą państwa jagiellońskiego. Ideologia syjonistyczna była na tyle silnie obecna w Wilnie, że koła tej organizacji wizytował w 1903 r. osobiście Teodor Herzl – twórca nacjonalizmu żydowskiego.

W zaborze austriackim

Nieco inna sytuacja była w zaborze austriackim. Era konstytucyjna dawała znacznie większe możliwości rozwoju pamięci o unii lubelskiej. W 1869 r. podjęto w Galicji próbę organizacji wielkich obchodów okrągłej rocznicy unii lubelskiej. Pomysł zrodził się w emigracyjnych środowiskach politycznych zastanawiających się nad przyczynami bierności Rusinów wobec haseł powstania styczniowego oraz starających się budować fundament pod kolejne wspólne powstanie. Stwierdzono, że największym zagrożeniem dla przyszłego udziału Ukrainy w powstaniu jest rozwój ruchu panslawistycznego i rosyjskie dążenie do hegemonii nad narodami słowiańskimi. 15 lutego 1869 r. wydano oświadczenie podpisane m.in. przez Agatona Gillera, Ludwika Nabielaka, Ludwika Żulińskiego, w którym dawny akt zjednoczeniowy zestawiano z aktualną sytuacją Polski i przedstawiano jako wzór i fundament, na którym można oprzeć „korzystne zrzeszanie się nacji w ramach jednego państwa". Idea

eprasa.pl d16ae12b4e



Położenie kamienia węgielnego pod kopiec Unii Lubelskiej we Lwowie, 11 sierpnia 1869 r. (wg fotografii z rysunku K. Dzbańskiego, przechowywanej w Muzeum Historycznym m. Lwowa)

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

obchodów rocznicy została przeniesiona do Galicji, a u jej podłoża, niezależnie od reprezentowanego stronnictwa, leżała chęć uregulowania polsko-ruskiego sporu w dążeniu do poszerzenia autonomii narodowej po nastaniu ery konstytucyjnej w Galicji w 1867 r. Pomysł obchodów wywołał wśród rusofilsko zorientowanych Rusinów jednak akcję konkurencyjną. Zapowiedziano np. jako odpowiedź i konkurencyjny obchód organizację jubileuszu księżnej Olgi, żony Igora, która rządziła Rusią w okresie małoletności syna Światosława i przyjęła z Bizancjum chrzest. Wydano specjalną broszurę dezawuującą unię oraz słano do władz różne petycje i skargi na organizatorów jubileuszu.

Jubileuszowe wysiłki

W jubileusz włączył się intensywnie wielkopolski organicznik i demokrata Karol Libelt, który w duchu idei solidaryzmu i organicyzmu postulował konieczność pojednania polsko-ukraińskiego. Obecność Libelta w Krakowie sprawiła, że 26 kwietnia 1869 r. zawiązał się komitet obchodów w liczbie 30 osób pod przewodnictwem Franciszka Smolki. Od razu wyznaczono specjalną komisję, która miała doprowadzić do wypracowania konsensusu z narodowymi środowiskami ukraińskimi. Przygotowania do obchodów w gronie środowisk demokratycznych wzmogły jednak czujność władz, obiekcje środowisk konserwatywnych, podejrzliwość i niechęć samych Ukraińców. Raporty policyjne zaświadczają, że namiestnictwo podejrzewało nawet, iż obchody są wynikiem emigracyjnego spisku mającego doprowadzić do wybuchu powstania i zorganizowania wyprawy powstańczej z Galicji na Rosję. Obawiano się pogorszenia stosunków z Rosją w wyniku głośnego jubileuszu. Podejrzewano nawet, że akcja obchodów odbywała się w związku z przygotowaniami do jakiejś ogólnosłowiańskiej rewolucji, którą miały zapoczątkować radykalne środowiska czeskie i polskie. Na skutek niepokojących rząd austriacki oraz władze namiestnictwa raportów policyjnych opowiedziano się jednoznacznie za delegalizacją obchodów. Mimo napiętej w lipcu i sierpniu sytuacji między komitetem a władzami skromne obchody udało się przeprowadzić we Lwowie, w Krakowie i ok. 30 innych miastach i miasteczkach, w tym ok. 20 powiatowych. Rada miasta Lwowa zezwoliła na usypanie kopca unii lubelskiej. We Lwowie obchody zapoczątkowała msza św. w kościele oo. dominikanów, następnie procesja ok. tysiąca osób przeszła na Wysoki Zamek, tam nastąpiły przemówienia oraz odbyło się skromne przyjęcie w restauracji z nielicznymi delegacjami, w teatrze hr. Skarbka zaprezentowano fragmenty „Krakowiaków i górali" oraz żywe obrazy historyczne, wieczorem miasto zostało iluminowane. Na jubileusz wybito także specjalne medale. W pracowni rzeźbiarza Filippiego przygotowano kamień węgielny pod kopiec, na którym wyryto trzy herby narodowe oraz napis „Wolni z wolnymi, równi z równymi".

Obchody, jak podsumowuje Paweł Sierżęga, zamiast jednoczyć społeczeństwo, uwidoczniły narastające w nim różnice narodowe, społeczne, polityczne. Na skutek obaw przed represjami nie zrealizowano dążenia do ukazania trójzaborowej jedności. Wyszły na jaw różnice między orientacjami politycznymi, przede wszystkim między szeroką opcją demokratyczno-patriotyczną i konserwatywno-realistyczno-lojalistyczną, którą można też nazywać pozytywistyczną. Nade wszystko nie udało się zrealizować priorytetowego celu obchodów, czyli doprowadzić do zbliżenia polsko-ukraińskiego.

Określanie własnej tożsamości „genthe Ruteni, natione Poloni" przechodziło i na tych ziemiach do historii...

Największą może zdobyczą obchodów były dzieła artystyczne, historyczne i literackie, z obrazem Jana Matejki na czele, które po dziś dzień sprawiają, że – jak to ujął Bogumił Jasinowski – kresy zajmują w budowie polskiej psychiki i świadomości narodowej ważne miejsce, niezależnie od wszelkich historycznych, narodowych i politycznych animozji.

eprasa.pl d16ae12b4e

DROGA LITWY DO EUROPY PROWADZI PRZEZ POLSKĘ

Z PROF. ALFREDASEM BUMBLAUSKASEM, historykiem, kierownikiem Katedry Teorii Historii i Historii Kultury Uniwersytetu Wileńskiego, rozmawia Ilona Lewandowska, dziennikarka „Kuriera Wileńskiego"

Polska i Litwa obchodzą w tym roku 450. rocznicę unii lubelskiej. Jest to jedno z wydarzeń historycznych, na które spojrzenia Polaków i Litwinów znacznie się różnią. Jakie miejsce zajmuje obecnie unia w litewskiej historiografii?

Prof. Alfredas Bumblauskas: Odpowiem, przywołując wydarzenie, które może być w zasadzie anegdotą. Jednego z najbardziej zaskakujących dla mnie odkryć na temat stanu badań nad unią lubelską dokonałem przypadkiem, 10 lat temu. Pracowaliśmy wówczas nad polsko-litewską książką poświęconą 440. rocznicy unii. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Edward Piórko, tłumacz, który pracował nad dwujęzycznym wydaniem, tak często dzwoni do mnie z pytaniami na temat litewskich wersji terminów czy nazwisk w dokumencie unii. Wreszcie doszło do mnie oczywiste, a jednak zupełnie niespodziewane wyjaśnienie: nie było dotąd tłumaczenia całości aktu unii lubelskiej na język litewski! Sam nigdy go nie potrzebowałem, bo jako historyk czytam dokumenty w oryginale. To, że przez 440 lat nikt nie przetłumaczył na litewski jednego z najważniejszych dokumentów w naszej historii, było jednak dla mnie bardzo wymowne. To według mnie bardzo czytelne świadectwo o tym, jakie miejsce unia lubelska zajmuje w litewskiej historiografii.



Z czego wynika tak powściągliwe podejście do unii? Czy jedynie z kontekstu politycznego, w jakim została zawarta?
Na pewno zaważyły na tym późniejsze konflikty XX w. Jednak trzeba przyznać, że już 450 lat temu w Lublinie stosunek do perspektywy unii po polskiej i litewskiej stronie był zupełnie inny. Litwini chcieli unii jako związku dwóch równoprawnych państw, tymczasem Polacy chcieli po prostu przyłączenia Litwy do Polski. O podpisaniu aktu unii lubelskiej zadecydowało w końcu przyłączenie przez króla Zygmunta Augusta do Korony prawie połowy terytorium Wielkiego Księstwa Litewskiego i oczywiście zagrożenie ze strony Moskwy.



TO, ŻE PRZEZ 440 LAT NIKT NIE PRZETŁUMACZYŁ NA LITEWSKI JEDNEGO Z NAJWAŻNIEJSZYCH DOKUMENTÓW W NASZEJ HISTORII, BYŁO DLA MNIE BARDZO WYMOWNE

Nie można się więc dziwić, że Litwini jeszcze w XIX w. wspominali to wydarzenie z żalem. Nie były to ani równe negocjacje, ani równy związek. Tak jak się to czasem mówi: Litwini grali na nie swoim boisku, a sędzia, czyli Zygmunt August, był wyraźnie po polskiej stronie. Było to upokorzenie, ale nie koniec litewskiej odrębności. Dzięki staraniom starosty żmudzkiego Jana Hieronima Chodkiewicza obok pieczęci koronnej pozostała pieczęć Wielkiego Księstwa Litewskiego. Była to pewna sprzeczność – uzgodniono wspólną pieczęć, ale jednocześnie nadal używano dwóch. W ten sposób sytuacja początkowo bez wyjścia zyskała wymiar kompromisu, który choć upokarzający, był jednak do przyjęcia na tyle, że przez następne ponad 200 lat nie był podważany.

Wśród zgubnych skutków unii wymieniana jest bardzo często dominacja języka polskiego, choć faktycznie zastąpił w litewskim państwie nie litewski, lecz ruski, a pierwszym dokumentem w litewskiej wersji jest Konstytucja 3 maja, stworzona u schyłku Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Czy związek z Polską groził całkowitą utratą odrębności narodowej przez Litwinów?
To bardzo ciekawa kwestia. Patrząc z perspektywy Litwy, unie były czynnikiem decydującym o polonizacji kultury litewskiej. To właśnie unia dała Polsce Mickiewicza, tym samym zabierając go Litwie. To dostrzegają nie tylko Litwini, lecz także wielu polskich intelektualistów, np. współpracownik Jerzego Giedroycia, Juliusz Mieroszewski. „Rzeczpospolita Obojga Narodów zakończyła się całkowitym spolonizowaniem szlachty litewskiej i najgorętsze wyznanie miłości do Litwy (»Litwo, Ojczyzno moja, Ty jesteś jak Zdrowie«) zostało napisane w języku polskim" – pisał. Patrzę na to w trochę innej perspektywie. Język oczywiście jest ważny, ale nie jest jedynym czynnikiem, który warunkuje odrębność narodową. Uważam, że gdyby Rzeczpospolita Obojga Narodów trwała, język litewski nie miałby takiego statusu jak dzisiaj, być może nie byłby językiem państwowym. Jednak wyraźnie widać, że litewska świadomość narodowa zaczyna się kształtować już w czasach zbliżonych do Konstytucji 3 maja. Mam na myśli poloneza Ogińskiego czy koncepcje historyczne Dionizego Poszki. To wtedy zaczyna się tworzyć legendarną historię Litwy, która jest alternatywą dla polskiej historii. Myślę, iż możemy wysunąć tezę, że w przypadku trwania unii litewska świadomość narodowa mogłaby iść w kierunku podobnym do irlandzkiego: bez odrębnego języka, jednak z bardzo silną świadomością odrębności narodowej.

Co ostatecznie zadecydowało o utrwaleniu negatywnego postrzegania unii w świadomości szerokich kręgów litewskiego społeczeństwa?
Sedno problemu tkwi w czasach Antanasa Smetony. Litewska tożsamość narodowa, świadomość historyczna, formowały się w czasie konfliktu z Polską o Wilno. Ten konflikt odgrywał ogromną rolę, był symbolem jednoczącym naród. W tym konkretnym kontekście politycznym powstała jedyna kanoniczna, odpowiadająca potrzebom narodowym synteza historii Litwy, jaką stworzył Adolfas Šapoka w swojej „Historii Litwy". Jego książka wywarła ogromny wpływ na kształtowanie świadomości historycznej następnych pokoleń.

Jakie są główne założenia koncepcji historycznej Šapoki?
Jest to koncepcja podporządkowana idei wyzwolenia narodowego, a konflikt z Polską jest w niej na tyle wyraźny, że możemy wręcz zapytać – od kogo naród litewski się wyzwolił? Od Rosji czy od Polski? W świetle książki Šapoki Litwini musieli się wyzwolić przede wszystkim od polskojęzycznej szlachty. Bardzo wyraźna w tej narracji jest nie tyle antypolskość, ile antyszlacheckość. Ten naród litewski na początku XX w. był oparty na podłożu chłopskim. Osoby takie jak Michał Romer czy Stanisław Narutowicz były wyjątkami. Wojsko, inteligencja były całkowicie zdominowane przez chłopów. Oczywiście wizja historii Litwy, którą zaprezentował w swojej książce, była oparta na mocno już ugruntowanych w społeczeństwie poglądach. Bardzo ważną osobą w powstawaniu tej nowoczesnej, litewskiej tożsamości narodowej był Maironis, którego możemy śmiało uznać za litewskiego wieszcza narodowego. Złotym wiekiem były dla niego czasy Wielkiego Księstwa Litewskiego przed unią krewską i tuż po niej. Właśnie opowieści o heroicznych czynach Giedymina, Olgierda czy Kiejstuta są podstawą wizji historycznej »

FOT. MARIAN PALUSZKIEWICZ; BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl d16ae12b4e

» Šapoki. Ten „złoty wiek" kończy panowanie Witolda. Po Witoldzie historia wolnej Litwy powoli chyli się ku upadkowi, a ostatecznym jej końcem jest śmierć Zygmunta Augusta, po którym Litwą rządzą obcy władcy.

Czyli czas po unii lubelskiej przedstawiany jest jako faktyczny brak niepodległości?

Nie do końca. Šapoka za ostatniego szlachetnego władcę uważa Stefana Batorego. Maironis szedł o wiele dalej, mówił, że po Witoldzie nastało pięć wieków nocy bez świtu. Można sparafrazować, że Šapoka widział tylko dwa wieki ciemne, po Batorym. Oczywiście, zarówno w wizji Maironisa, jak i Šapoki czasy unii lubelskiej bez wątpienia należą do tych najciemniejszych w historii Litwy.

Czy w okresie międzywojennym ktoś próbował na Litwie polemizować z Šapoką?

Nie. Nie było wówczas silnego środowiska akademickiego, które mogłoby taką dyskusję prowadzić. Nie było także na to czasu. „Historia Litwy" Šapoki powstała w 1936 r., niedługo przed wojną. Wkrótce potem przyszły kolejne okupacje. Aż do rozpadu Związku Sowieckiego nie było więc szansy na poważną dyskusję historyczną wewnątrz Litwy. Co więcej, książka Šapoki, jako jedyna „prawdziwa" książka historyczna napisana w wolnej Litwie, stała się na długie lata niepodważalną wykładnią historii dla pokoleń Litwinów, którzy nie chcieli przyjąć sowieckiej narracji historycznej. Obok Pogoni, trójkolorowej flagi i hymnu autorstwa Kudirki, stała się jednym z symboli narodowych. Ponownie wolna dyskusja na tematy historyczne stała się możliwa dopiero w latach 90. Tematy unii czy relacji polsko-litewskich nie były jednak w tym czasie najważniejsze. W przestrzeni publicznej najczęściej podnoszone były kwestie związane z historią XX w. Oczywiście zmiany świadomości o wiele szybciej następowały w środowisku akademickim.

Czy dziś ten monopol historyczny udało się przełamać?

Monopol tak, ponieważ w opozycji do tej wersji dziejów istnieje inna. Książka Šapoki pozostaje jednak narodowym sanktuarium. Najlepszym dla mnie dowodem na to było jej ponowne wydanie z okazji 100-lecia niepodległości Litwy. Jeżeli mówimy o spojrzeniu na unię lubelską, był to temat, który nie miał dobrego klimatu do badań nie tylko w czasach międzywojennych, lecz także w sowieckiej Litwie. W tym okresie powstały również wartościowe prace, dotyczące średniowiecza czy czasów nowożytnych, jednak wyraźnie niepożądane było pisanie o konfliktach z Rosją, a przecież nie można mówić uczciwie o unii, pomijając to, że była spowodowana zagrożeniem ze strony Moskwy. Prawdziwą rewolucję w litewskiej historiografii w kwestii spojrzenia na Polskę już w czasach sowieckich rozpoczął prof. Edvardas Gudavičius. Miał on ogromny wpływ także na moje myślenie jako historyka. Można powiedzieć, że dzięki niemu zrozumiałem, że w historii można szukać odpowiedzi również na najważniejsze, egzystencjalne pytania. W 1979 r., kiedy kończyłem studia historyczne na Uniwersytecie Wileńskim, nie lubiłem historii. Bardziej kierowałem się ku litewskiej tradycji pogańskiej, wtedy dla mnie atrakcyjnej. Moje spojrzenie zmienił właśnie Gudavičius. Przekonał mnie, że problem Litwy polegał na tym, że była wyspą, którą opływały sąsiednie cywilizacje, nie wywierając do końca wpływu. Ostatecznie bramę do Rzymu, do Konstancji, otworzyły kontakty z Polską, dlatego trzeba jeszcze raz przemyśleć wspólną, polsko-litewską historię. Zająłem się więc tą tematyką. O tym, jak duży miał wpływ na mnie ten kierunek myślenia, najlepiej świadczy to, że moja córka, urodzona w 1983 r., otrzymała imię Jogailė, czyli żeńską wersję imienia Jagiełło. Zawsze powtarzam, że zrozumienie tego, że tylko przez Polskę prowadziła i nadal prowadzi droga Litwy do Europy, jest kwestią elementarnej znajomości geografii. Czy dziś będziemy jechać do Rzymu przez Skandynawię czy Belgię? Nie ma innej drogi.

Mam wrażenie, że w oswojeniu Litwinów ze słowem „unia" bardzo pomogła przynależność Litwy do Unii Europejskiej...

Nie ma wobec tego wątpliwości. Litwini po 15 latach przynależności do UE należą do największych eurooptymistów. Jest to dla mnie pewnym zaskoczeniem, bo doskonale pamiętam nastroje panujące na Litwie przed referendum nad przystąpieniem do Unii. Ten czas pozwolił na lepsze poznanie się Polaków i Litwinów, pokazał również, że Polskę i Litwę wiele łączy. Niewątpliwie wzrasta również nasza świadomość geopolityczna. Dziś co prawda zdarzają się pojedyncze głosy polityków, którzy proponują budować nasze bezpieczeństwo na więzi z Łotwą, jednak dla zdrowo myślących ludzi oczywiste jest, że wobec zagrożenia ze strony Rosji to właśnie Polska jest najpewniejszym partnerem. Po 450 latach od unii lubelskiej geopolityka nadal skłania nas do budowania polsko-litewskich relacji. Naturalne więc jest, że z coraz większym zrozumieniem patrzy się na zawarcie unii w roku 1569. Oczywiście pojawiają się głosy, które wskazują przede wszystkim na język litewski, który w przypadku trwania polsko-litewskiego państwa prawdopodobnie zostałby całkowicie wyparty. Ja jednak pytam – czy rzeczywiście ten język wystarczyłby Litwinom, gdyby można było go usłyszeć tylko na Syberii? Taka jest prawda o naszej sytuacji geopolitycznej. Zawsze musieliśmy wybierać między sojuszem z Polską albo zależnością od Rosji. Dziś nic się w tej kwestii nie zmieniło.


FOT. NAC

Wieś na Kowieńszczyźnie, Litwa, ok. 1920 r.

eprasa.pl d16ae12b4e



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Dzieci wrzesińskie karane 20 maja 1901 r.

DUCH I POLITYKA

Strajki szkolne



GRZEGORZ GÓRNY

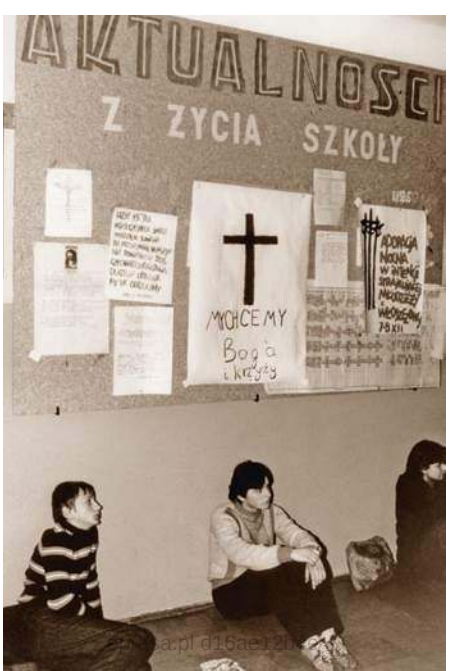
Jednym z mało zbadanych zjawisk w historii Polski są strajki szkolne. Wybuchały one zazwyczaj w okresach zniewolenia i łączyły w sobie wątki religijne oraz narodowe.

Wynikało to głównie z tego, że zaborcy niemieccy i rosyjscy prowadzili politykę nie tylko antypolską, lecz również antykatolicką. Germanizatorzy faworyzowali protestantyzm, rusyfikatorzy zaś wspierali prawosławie. W tej sytuacji obrona katolicyzmu stawała się czynem patriotycznym. Znamy wiele świadectw z tamtej epoki, które mówią o takich właśnie sytuacjach. Szczególne miejsce zajmują wśród nich wydarzenia, w których główną rolę odgrywały dzieci, np. strajki szkolne.

Najbardziej znany z nich wybuchł w 1901 r. we Wrześni, gdy 13-letni polscy uczniowie postanowili nie modlić się na lekcji w języku niemieckim. Sprawa zakończyła się wychłostaniem dzieci oraz skazaniem ich rodziców na grzywny lub więzienie. Brutalne represje wywołały jednak skutek odwrotny do zamierzonego – opór Polaków wobec germanizacji wzrósł jeszcze bardziej. Henryk Sienkiewicz i Maria Konopnicka nagłośnili skandal poza granicami Niemiec, co stało się wizerunkowym ciosem dla władz w Berlinie.

Akcja strajkowa szerzyła się w kolejnych latach. Doszło do tego, że w szczytowym momencie w 1906 r. strajkowało w zaborze niemieckim aż 75 tys. polskich uczniów w 800 szkołach na 1,1 tys. działających.

Mniej znane pozostają tego typu protesty, do których dochodziło w 1905 r. w Rosji. Imperium Romanowów ogarnęło wówczas rewolucyjne wrzenie. Co rusz wybuchały bunty, rozruchy, zamieszki. Polscy uczniowie, widząc słabość państwa zaborczego, postanowili wykorzystać sprzyjający moment, by poszerzyć swój obszar wolności. Organizowali więc strajki szkolne, wymuszając na władzach kolejne ustępstwa. Jeden z takich buntów miał miejsce w szkole miejskiej w Oszmianie. Jego przebieg znamy dzięki wspomnieniom przywódcy



FOT. EAST NEWS/WOJTEK LASKI

owego protestu, 17-letniego wówczas Michała Sopoćki (późniejszego kapłana, niestrudzonego misjonarza kultu Bożego Miłosierdzia, beatyfikowanego w 2008 r. przez Benedykta XVI). On i jego koledzy dość mieli nachalnej rusyfikacji prowadzonej przez kadrę nauczycielską. Wszyscy uczniowie zmuszani byli bowiem przed lekcjami do odmawiania modlitwy w języku rosyjskim oraz śpiewania cerkiewnych pieśni. Nauczycielem religii katolickiej nie był ksiądz, lecz rosyjski inspektor szkolny, niejaki Paweł Mordwiłko, niekryjący swej nienawiści wobec łacińskiego Zachodu.

Strajkujący zażądali od władz oświatowych przywrócenia nauki religii katolickiej prowadzonej przez księdza w języku polskim, a także zwolnienia uczniów żydowskich z zadań wykonywanych w soboty. Ich postulaty zostały spełnione. Sopoćko doprowadził też do przywrócenia w szkole porannych modlitw po polsku przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej. Wymuszono też zdymisjonowanie nielubianego inspektora Mordwiłki, któremu zarzucono dyskryminację, niesumienność i łapownictwo. Podobnych buntów uczniowskich zakończonych sukcesem było wówczas więcej.

Era strajków szkolnych nie skończyła się definitywnie wraz z zaborami. Znów zaczęły wybuchać one w czasach komunistycznych. Najszerszym echem odbił się uczniowski bunt, do którego doszło w marcu 1984 r. w szkole rolniczej w Miętnem. Po raz kolejny w historii nastolatkowie stanęli w obronie wiary. Kilkuset uczniów weszło z dyrekcją w spór o obecność symboli religijnych na terenie placówki. Młodzież kilkakrotnie zawieszała w klasach krzyże, a władze szkolne kilka razy je usuwały. W końcu doszło do strajku okupacyjnego, do którego przystąpiło 400 osób. Sprawa stała się tak głośna, że doszło do negocjacji między rządem PRL a Episkopatem. W efekcie protest zakończył się sukcesem, gdyż na mocy porozumienia krzyż powrócił do szkoły. Podobne strajki na tym samym tle wybuchły też we Włoszczowie, w Suwałkach czy Krobi. Po latach jeden z uczestników akcji w Miętnem powie: „Gdybyśmy się zgodzili na usunięcie krzyża, toby znaczyło, że wyrzekamy się nie tylko wiary, ale Polski i wolności. Oddając krzyż, cóż by nam zostało?”.

W proteście przeciwko usunięciu krzyży rozpoczął się strajk szkolny. Po kilku miesiącach sporu konflikt zażegnano. Miętne, kwiecień 1984 r.



Konferencja naukowa nt. unii lubelskiej, Kijów, 24 maja 2019 r.

O UNII LUBELSKIEJ W KIJOWIE



HENRYK LITWIN

450. ROCZNICA UNII LUBELSKIEJ SKŁANIA DO REFLEKSJI NAD TYM NIEZWYKLE WAŻNYM HISTORYCZNYM WYDARZENIEM I JEGO KONSEKWENCJAMI

Temat wzbudza wielkie zainteresowanie historyków i publicystów we wszystkich krajach, które – w różnym stopniu – dziedziczą spuściznę lubelskiego aktu. Wśród Białorusinów, Litwinów i Ukraińców dyskurs unijny był przez długie lata zdominowany przez polityczne konteksty i w konsekwencji sprowadzał się do pryncypialnej krytyki „polskiego ekspansjonizmu". Historiografie tych narodów tworzyły się i długo rozwijały w warunkach swoistego separatyzmu kulturowego. Poszukiwano źródeł własnej tożsamości w konfrontacji z dorobkiem kulturowym Rzeczypospolitej Obojga Narodów, identyfikowanym z XIX- i XX-wieczną polskością. Także w polskiej historiografii funkcjonowały ideowe schematy wprowadzające do historycznej narracji nadmiar patriotycznych emocji, utrudniających zrównoważoną i wszechstronną analizę przebiegu oraz dorobku sejmu unijnego 1569 r. Rozwój historiografii we wszystkich zainteresowanych krajach pozwala dzisiaj na prowadzenie coraz spokojniejszej i merytorycznej dyskusji. 450. rocznica unii jest świetną okazją, by taką rozmowę prowadzić.

Na Ukrainie po raz pierwszy

Polskie placówki dyplomatyczne w krajach naszych wschodnich sąsiadów wystąpiły z szeregiem inicjatyw upamiętniających unię lubelską i promujących wiedzę o tym wydarzeniu. Pierwsza impreza odbyła się 24 maja w Kijowie, a była nią konferencja naukowa „»Równi z równymi, wolni z wolnymi«. Unia lubelska 1569 roku w historii Europy Środkowo-Wschodniej". Pomysłodawcą był w tym przypadku Instytut Polski w Kijowie i jego dyrektor Bartosz Musiałowicz. Ze strony ukraińskiej głównym partnerem IP i kluczowym współorganizatorem stał się Instytut Historii Narodowej Akademii Nauk Ukrainy (NANU). Wsparcia przedsięwzięciu udzieliły także ambasady litewska i polska, przedstawicielstwo PAN w Kijowie, Akademia Dyplomatyczna MSZ Ukrainy i Towarzystwo Naukowe Historii Dyplomacji oraz Stosunków Międzynarodowych w Kijowie. Wysiłki wszystkich tych podmiotów zostały uwieńczone przeprowadzeniem jednodniowego spotkania historyków z wielu krajów, które – jak komentowali jego miejscowi uczestnicy – było pierwszą w historii konferencją naukową poświęconą unii lubelskiej zorganizowaną na Ukrainie.

Zagospodarowanie wspólnego dziedzictwa

Konferencję rozpoczęła uroczysta sesja wstępna, w czasie której publiczność zebrana w reprezentacyjnej sali Akademii Dyplomatycznej wysłuchała przemówień ambasadora RP Bartosza Cichockiego, ambasadora Litwy Mariusa Janukonisa oraz wiceministra spraw zagranicznych Ukrainy Wasyla Bodnara. Wystąpienia

eprasa.pl d16ae12b4e



FOT. INSTYTUT POLSKI W KIJOWIE (x2)

te wykazały, że pojmowanie historycznej roli unii lubelskiej w trzech sąsiednich krajach wykazuje dziś wiele podobieństw, a i zobowiązania do politycznego zagospodarowania wspólnego dziedzictwa kulturowego rozumiane są podobnie w Kijowie, Warszawie i Wilnie. Właśnie wspólnota była we wspomnianych przemówieniach pojęciem kluczowym i oczywiście występowała w powiązaniu z dziedzictwem unii lubelskiej.

Unia jako historyczny kompromis

Spotkanie zgromadziło historyków z Białorusi, Litwy, Polski i Ukrainy. Przyłączyli się do nich także wybitni znawcy dziejów Rzeczypospolitej Obojga Narodów z Europy Zachodniej – Karen Friedrich, Robert Frost i Mathias Niendorf. Odbyły się trzy panele dyskusyjne i sesja podsumowująca. W sesji otwierającej spotkanie historyków, którą moderował prof. Wiktor Horobec' z Instytutu Historii NANU, przedstawiono referaty zawierające generalną ocenę unii formułowaną z różnych punktów widzenia. Już pierwsze wystąpienie prof. Roberta Frosta z Uniwersytetu w Aberdeen wzbudziło duże zainteresowanie publiczności. Brytyjski historyk przedstawił pozytywną ocenę unii jako historycznego kompromisu, korzystnego w ogólnym rozrachunku dla wszystkich zawierających go podmiotów. Podkreślił też decydującą rolę króla Zygmunta Augusta w zawarciu unii tworzącej państwo o charakterze federacyjnym, akcentując przy tym „republikańskie poglądy" monarchy zamanifestowane w jego testamencie. Profesor Frost z naciskiem mówił o potrzebie analizowania osiągnięć sejmu lubelskiego przy uwzględnieniu ówczesnego systemu pojęć i terminów, krytycznie odnosząc się do częstego w dzisiejszych ocenach ulegania prezentyzmowi. W podobnym kręgu zagadnień utrzymał się prof. Alfredas Bumblauskas, który objaśniał zebranym przyczyny długo utrzymującego się hiperkrytycznego wobec unii nastawienia nauki litewskiej (wywiad z prof. Bumblauskasem na stronach 26–28 tego wydania „wSieci Historii"). Ciekawą ilustracją do tego wywodu była anegdota o braku tłumaczenia aktu unii lubelskiej na język litewski, które zostało sporządzone dopiero w związku z 440. rocznicą. Podsumowanie prof. Bumblauskasa było jednak z polskiego punktu widzenia optymistyczne. Jego zdaniem ostatnie lata były okresem intensywnego rozwoju litewskich badań epoki unii litewskiej, skupionych na naukowej analizie i wolnych od politycznych uprzedzeń.

Pozamerytoryczne podstawy interpretacji

Uwagę publiczności przyciągnął z kolei jedyny obecny na konferencji reprezentant nauki białoruskiej, Aleksandr Kraucewicz. Mówił on nie tyle o unii lubelskiej, ile o możliwości prowadzenia wartościowej dyskusji naukowej na ten temat w warunkach dzisiejszej Białorusi. Opisał sytuację, w której „nauka państwowa" ma zapewnione warunki komfortowego funkcjonowania, ale pozostaje w nurcie postsowieckim, służąc polityce historycznej władz. W związku z tym hołduje paradygmatowi „polskiej i katolickiej ekspansji". Jednocześnie historycy niezależni w oparciu o badania źródłowe tworzą wyważoną narrację na temat unii lubelskiej, skupiając się na analizie reakcji społeczeństwa Wielkiego Księstwa Litewskiego na utworzenie Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Brak wsparcia instytucji państwowych dla tego nurtu historiografii białoruskiej tworzy jednak poważne bariery organizacyjne i techniczne, co ogranicza zdolność środowisk białoruskich do udziału w międzynarodowej wymianie naukowej. W dalszej części konferencji refleksje na temat polskiej i ukraińskiej historiografii w powiązaniu z tematem unii lubelskiej przedstawiły Dorota Michaluk z UMK w Toruniu i Natalia Biłous z Instytutu Historii NANU.

W kręgu Wołynia i Kijowszczyzny

W pozostałych referatach przeważały refleksje na temat przebiegu, dorobku i skutków unii. Natalia Starczenko (Instytut Archeografii NANU) i niżej podpisany zajęli się kwestią inkorporacji Wołynia i Kijowszczyzny do Korony w czasie sejmu unijnego. Wskazywali na aktywną postawę zwłaszcza szlachty wołyńskiej i jej zdolność do wynegocjowania korzystnych dla społeczności lokalnej warunków „przywrócenia", które pozwalają mówić o autonomii wymienionych ziem w ramach Korony i ukształtowaniu się terytorium związanego z istnieniem „ruskiego narodu politycznego", który z czasem aspirował do roli „trzeciego narodu Rzeczypospolitej". W kręgu problematyki integracji Wołynia i Kijowszczyzny z Koroną poruszał się także Petro Kułakowski z Akademii Ostrogskiej. Starał się on ocenić proporcje między procesami integracyjnymi a dążeniami do zachowania regionalnych odrębności, oceniając, iż przenikanie prawa i obyczaju koronnego było intensywniejsze niż obrona partykularyzmów. Doszło zresztą w tej sprawie do ciekawej polemiki z prof. Natalią Starczenko, która podobnie oceniając generalny obraz wspomnianej konfrontacji, uznała za silniejsze odruchy zachowania regionalnej odrębności, zwłaszcza w zakresie prawa sądowego.

Brak miejsca nie pozwala na szerszą opowieść o tej niezwykle ciekawej konferencji i zwrócenie należnej uwagi na referaty Karin Friedrich (unia lubelska z punktu widzenia Prus Królewskich), Mathiasa Niendorfa (unia i III Statut litewski), Genute Kirkiene (pochwała litewskiej sztuki negocjacji w czasie sejmu lubelskiego), Andrzeja Gila (moskiewski kontekst unii), Dominika Szulca (unia horodelska a lubelska) i Dmytro Wirskiego (unia jako początek „ukraińskiej rewolucji modernizacyjnej").

Dyskusja w Kijowie ujawniła rzecz jasna wiele różnic między stanowiskami poszczególnych historyków w kwestiach partykularnych, ale unaoczniła też, iż zebrana grupa historyków wykazała całkowitą zgodność co do potrzeby prowadzenia badań dziejów Rzeczypospolitej Obojga Narodów jako wspólnego domu Polaków, Litwinów i Rusinów (i nie tylko) tworzącego wartości kulturowe, w których zakorzenione są tożsamości wszystkich narodów naszego regionu Europy.

eprasa.pl d16ae12b4e


Warszawa, Piątek 29 Listopada 1918 roku. Rok I.

PRENUMERATA.
Rocznie 24 mk., półrocznie 12 mk., kwartalnie 6 mk., miesięcznie 2 mk.
Numer pojedyńczy 20 fenigów.

MONITOR POLSKI
DZIENNIK URZĘDOWY REPUBLIKI POLSKIEJ.
WYCHODZI CODZIENNIE Z WYJĄTKIEM NIEDZIEL I ŚWIĄT.

OGŁOSZENIA.
Cena za wiersz drobnego pisma (petit) po tekście 1 mk.
Numer pojedyńczy 20 fenigów.

Redakcja i Administracja Miodowa Nr. 20. | Redakcja otwarta od 9—12 i 3—4 p. p. | Redaktor przyjmuje od 11—12 w południe.

DZIAŁ URZĘDOWY.

REPUBLIKA POLSKA.

DEKRET

WYBORACH DO SEJMU USTAWODAWCZ

zatwierdzonej przezemnie ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego zarządzam powszech

dzień 26 stycznia 1919 r.

poczną się o godz. 8 rano i trwać będą bez przerwy do 10 wieczorem.

dą się:

emiach dawnego zaboru rosyjskiego:

gi wyborcze (po

ZANIM WRÓCIŁ KOMENDANT...

PIERWSZE DWA TYGODNIE LISTOPADA 1918 r. W „MONITORZE POLSKIM”...



PIOTR ŚWIĄTECKI

Art. 21 dekretu Rady Regencyjnej o tymczasowej organizacji Władz Naczelnych w Królestwie Polskim z 3 stycznia 1918 r. stał się podstawą wydawania gazety rządowej „pod zwierzchnictwem Prezydenta Ministrów” (ówczesne określenie premiera). Gazetą tą był „Monitor Polski”. W przeciwieństwie do „Dziennika Praw”, również wydawanego przez rząd, „Monitor Polski” z przełomu 1918 i 1919 r., zawierając, prócz aktów normatywnych, także liczne informacje bieżące, jest źródłem wiedzy o wydarzeniach skupiających wówczas uwagę opinii publicznej. Śledząc niżej ciekawostki z numerów 191–200 „Monitora” (dalej określanego też skrótem „MP”, dziś również stosowanym), zwróćmy uwagę na konsekwentną, trzeźwą pracę państwową czynnych w tych gorących dniach współtwórców niepodległości, pamiętających m.in. o konieczności budowy materialnych podstaw państwa.

Warszawa
7 Mińsk
5 Siedlce
6 Łuków
6 Biała
7 Chełm
10 Lublin
10 Zamość
9 Sandomierz
6 Opoczno
37 pow. polit. Chrza... sąd. Bialski
38 pow. polit. Wadowica... Kęcki
39 pow. polit. Nowotarski, Lim... nicki i pow. sąd. Dobczyc... Orawy, z pow. Trzciańskiego, ... reżnica, Biały Potok, Chabówka, ... na, Harkubuz, Czymkowa, Chyżne, D... Stodółka, Jabłonka, Lasek, Lipnica Górn... Lipnica Dolna, Orlewka, Piekielnik, Podskale, Podwiele, Surma, Studzienki, Szulagorsk, Witanowa, Zubrzyce, Zubrzyce górne, Zubrzyce dolne, dalej zaś z powiatu Namiestowskiego gminy: Sędzików, Czernica, Damelki, Erdedka, Chrustek, Klin Zakamienny, Krusetnia, Mętna, Nowoty,

Pierwszy w listopadzie 1918 r. był numer 191...

2 listopada 1918 r., „MP" nr 191

„MP" relacjonuje wymianę korespondencji między premierem Świeżyńskim a kanclerzem Rzeszy, ks. Maksymilianem Badeńskim. Niemiec potwierdza odebranie telegramu z 23 października o objęciu przez Świeżyńskiego urzędu i zastrzega, iż zwolnienie Piłsudskiego z internowania będzie możliwe dopiero po uzyskaniu gwarancji, że nie wpłynie to negatywnie na spokój na obszarze okupacji niemieckiej. Świeżyński odparł na to w kolejnym telegramie, iż objęcie przez Piłsudskiego stanowiska ministra obrony krajowej będzie najlepszą gwarancją spokoju.

„MP" drukuje również rozkazy szefa Sztabu Głównego gen. Tadeusza Rozwadowskiego nakazujące najstarszym oficerom Polakom w miejscowościach Galicji i okupacji austriackiej przejęcie komendy, zaprzysiężenie żołnierzy Polaków na wierność Polsce i oznaczenie ich przynajmniej polskimi orłami na czapkach, jeśli nie da się ujednolicić całego umundurowania. Generał nakazał też traktowanie wojsk niemieckich i austriackich jako neutralnych, a oddziałów ukraińskich jako zaprzyjaźnionych; gdy zaś dojdzie niestety do starć z tymi ostatnimi, polecał je rozbrajać.

Z zagranicy donoszą o abdykacji króla Borysa i proklamowaniu bułgarskiej republiki ludowej, o walkach w Budapeszcie między wojskiem bośniackim i węgierskim zakończonych zwycięstwem tego ostatniego. Na froncie zachodnim trwa wojna pozycyjna armii francuskiej z niemiecką.

4 listopada 1918 r., „MP" nr 192

Premier Świeżyński wysyła telegramy gratulacyjne do rad narodowych w Pradze, Budapeszcie i Zagrzebiu, z okazji odradzania się niepodległych Czech, Węgier i państwa południowosłowiańskiego.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zapowiada kursy towaroznawstwa dla... gazeciarzy ulicznych, uznając, że chłopcy ci ujawniają dużo sprytu i zdolności kupieckich, mogliby więc „wyrobić się na dobry element drobnokupiecki".

Wiedeńskie c.k. biuro telegraficzne donosi: wiadomość o mającym nastąpić rozwiązaniu dworu i rozpuszczeniu gwardii odpowiada faktycznemu stanowi rzeczy. Cesarz zapowiedział abdykację. Na zachodnim teatrze wojennym, zgodnie z komunikatem kwatery głównej, m.in. walki na północ od Gandawy i na wschodnim brzegu Mozy. W Warszawie w Teatrze Wielkim grają „Erosa i Psyche", w Teatrze Polskim „Dwie cnoty", w Teatrze Małym – „Karnawał".

4 listopada 1918 r., „MP" nr 193 (drugi tego dnia!), dodatek nadzwyczajny

„MP" zawiera tylko jedną pozycję – reskrypt Rady Regencyjnej dymisjonującej rząd Józefa Świeżyńskiego in corpore, zawieszającej natychmiast w czynnościach premiera i wszystkich ministrów i powierzającej prowadzenie spraw najstarszemu urzędnikowi w każdym ministerstwie. Pierwszy w dziejach odrodzonej zamach stanu Świeżyńskiego przeciw Radzie Regencyjnej nie powiódł się...

6 listopada 1918 r., „MP" nr 196

Skarb polski wypuszcza asygnaty pożyczki w markach polskich i w koronach austriackich, oprocentowane 5 proc. rocznie. Zdaniem redakcji „MP" „wysokie napięcie uczucia patriotycznego jest rękojmią, że pożyczka pokryta zostanie". Większą czcionką gazeta zachęca: „Jednym z warunków pokoju jest utworzenie niepodległego Państwa Polskiego z dostępem do morza. Kupujmy więc natychmiast Polską Pożyczkę Państwową!". W kolejnych dniach wezwania do wzięcia udziału w tej pożyczce będą się powtarzać.

Pułki polskie (z poboru w Galicji) wojsk austriackich z Chersonia n. Dnieprem po uzyskaniu informacji o proklamacji niepodległości Polski dokonanej przez Radę Regencyjną 5 października 1918 r. deklarują poddanie się polskiemu rządowi i powrót do kraju.

W kraju batalion wojska polskiego przybyły z Warszawy do Krakowa objął służbę w mieście. Poseł ukraiński w Wiedniu Wacław Lipiński odwiedził przedstawicielstwo polskie i oświadczył, iż rząd kijowski nie ma nic wspólnego z zajściami w Galicji Wschodniej i chce z Polską utrzymać przyjazne stosunki. Tymczasem w Galicji we Lwowie w rękach polskich są dworzec kolejowy, gmach poczty i zachodnia część miasta. Walki uliczne trwają wzdłuż linii bojowej biegnącej środkiem miasta.

W Budapeszcie rząd Karolyiego traci kontrolę, ruch bolszewicki bierze górę; premier Karolyi zwrócił się do Wiednia o pomoc militarną, wiadomo jednak, że jej nie uzyska. Cesarsko-królewskiej armii przecież praktycznie już nie ma. Z Wiednia donoszą, iż wojska koalicji otaczają kordonem te jednostki c.k. armii, które „nie rozbiegły się jeszcze". Inaczej z Niemcami. Na zachodnim terenie walk piechota walczących stron ściera się w dolinie Skaldy i nad Mozą. Tylko 4 listopada Niemcy zestrzelili aż 45 samolotów nieprzyjacielskich, porucznicy Bolle i Koennnecke osiągnęli 35. zwycięstwo powietrzne każdy.

Rosyjskie przedstawicielstwo dyplomatyczne opuściło Berlin i wraca do kraju.

A w warszawskim Teatrze Wielkim dziś „Stara baśń", jutro „Pajace". W Rozmaitości dziś „Konstytucja", jutro „Raptus puellae". W Teatrze Polskim nadal „Dwie cnoty".

7 listopada 1918 r., „MP" nr 197

W „MP" ogłoszenie o naborze inspektorów szkolnych i ustalenie kalendarza roku szkolnego ze wskazaniem dni świątecznych. Wolne będą: wakacje Bożego Narodzenia (od 2 grudnia do 7 stycznia), 3–5 marca (Ostatki i Popielec), 25 marca (Zwiastowanie NMP), wakacje Wielkanocne 12–28 kwietnia, 3 maja (święto narodowe), 8 maja (św. Stanisława), 29 maja (Wniebowstąpienie), 9 czerwca (Zielone Świątki), 9 czerwca (Boże Ciało).

Wielką czcionką złożono kolejne pożyczkowe wezwanie: „O wojnę powszechną modlił się Mickiewicz jako o jedyną chwilę naszego wyzwolenia. Chwila ta nadeszła. Wyzyskajmy ją. Niepodległa Polska potrzebuje pieniędzy. Kupujmy Polską Pożyczkę Państwową!".

Wydział Opieki Społecznej przypomina magistratom o obowiązku rejestracji weteranów powstania styczniowego. Inny wydział przypomina przepisy o ochronie lokatorów, ograniczające wysokość czynszu.

W Rosji w Czelabińsku powstał Polski Komitet Wykonawczy jednoczący komitety polskich wojskowych. Przedstawiciele słowackiej rady narodowej »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d16ae12b4e

» przybyli do Pragi z deklaracją, iż Słowacy „z całej duszy" postanowili przyłączyć się do czesko-słowackiego państwa.

W Lublinie 1,4 tys. żołnierzy żydowskich z 58 c.k. pułku piechoty wybrało własny komitet wykonawczy i ogłosiło się wojskiem neutralnym.

Książę Maksymilian Badeński, kanclerz Rzeszy, przekazał opinii publicznej, iż prezydent Wilson poinformował go o powstaniu warunków do rokowań pokojowych w wyniku akceptacji przez sprzymierzonych jego 14 punktów. Z Berlina wyrusza delegacja pokojowa na spotkanie z marszałkiem Fochem. We Lwowie osłabła strzelanina; dotąd w walkach polsko-ukraińskich zginęło ok. 300 osób. W Sokalu Ukraińcy napadli pociąg z żołnierzami – Włochami i Tyrolczykami, wracającymi z Ukrainy i obrabowali go doszczętnie, zabierając pasażerom nawet chleb. W Krakowie związki młodzieży żydowskiej im. Berka Joselewicza nawołują swoich członków do wstępowania do wojska polskiego. Magistrat warszawski w 25. rocznicę śmierci Jana Matejki ufundował stypendium jego imienia dla studenta – malarza oraz nadał jego imię ul. Instytutowej.

W warszawskim Teatrze Wielkim „Pajace", „Eros i psyche". W Małym bez zmian – „Karnawał".

8 listopada 1918 r., „MP" nr 198

Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie uznaje rząd polski za swoją jedyną władzę zwierzchnią. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przystępując do planowej, racjonalnej odbudowy kraju, zamierza opracować i wydać broszury poświęcone m.in. ceglarstwu wiejskiemu, wyrobowi dachówki palonej i cementowej, sposobom krycia dachów tymi dachówkami, budowie domów z cegły palonej, z gliny, z kamienia, ogniotrwałym strzechom. Wydział budownictwa zaprasza fachowców do współpracy.

Wielkimi literami „MP" przypomina: „Skarga mówi »nikt za to zapłaty nie czeka, iż sam sobie dobrze czyni, bo to samo hojną mu jest zapłatą. Kto ojczyźnie swojej służy, sam sobie służy, bo w niej wszystko dobro, jako się rzekło, zamyka«. Czy jest Polak, który nie podpisze Polskiej Pożyczki Państwowej?".

W Warszawie powstała Liga Obrony Kultury Narodowej.

Z Rotterdamu donoszą, iż parlamentarzyści niemieccy przybyli już do marszałka Focha. Prasa szwajcarska spekuluje, że do końca wojny pozostało zaledwie kilka dni. Cesarz Niemiec Wilhelm odrzuca pierwsze sugestie abdykacji. Uważa, że jest gwarantem spokoju w kraju po zakończeniu wojny.

Tymczasem na froncie nadal giną ludzie. Niemcy odrzucili Francuzów na zachodni brzeg Skaldy. Walki trwają też na wschód od Mozy. Kanclerz Rzeszy książę Badeński wyjechał do głównej kwatery wojska, wcześnie wydał jednak odezwę do rodaków: „Zwycięstwo, na które wielu liczyło, nie stało się naszym udziałem. Natomiast naród niemiecki osiągnął inne wielkie zwycięstwo. Albowiem przezwyciężył siebie i swoją wiarę w prawo przemocy". Dziś wiemy, że książę Maksymilian nie miał racji...

Teatr Mały w Warszawie nadal gra „Karnawał". W księgarni Geberthnera i Wolffa jest do nabycia projekt konstytucji państwa polskiego i ordynacji sejmowej opracowany przez komisję Tymczasowej Rady Stanu. Tymczasową ustawę o powszechnym obowiązku służby wojskowej można kupić w administracji „Monitora Polskiego" i w księgarniach.

9 listopada 1918 r., „MP" nr 199

„MP" publikuje dekret Rady Regencyjnej z 31 października: „Wszelkie zabytki kultury i sztuki, znajdujące się w granicach Państwa Polskiego, wpisane do inwentarza zabytków kultury i sztuki, podlegają opiece prawa".

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zapowiada, iż w drugiej połowie listopada rozpocznie się roczny kurs dla nauczycieli gimnastyki. Kierownik Ministerstwa Spraw Wojskowych płk Wroczyński informuje, iż nie zachodzi obecnie potrzeba powołania pod broń młodzieży wyższych klas szkoły średniej. „Jako żołnierz i obywatel" wzywa młodzież szkolną, by w spokoju i rozwadze „pracowała w wyznaczonym sobie zakresie".

Wielkimi literami „MP" przypomina: „Skarb zasobny – to w chwili obecnej cała siła Państwa Polskiego. Od tego zależy nasz przyszłość i porządek w kraju. Kupujcie Polską Pożyczkę Państwową!".

W Berlinie brak papieru, dzienniki wychodzą w zmniejszonym rozmiarze. Kanclerz Badeński złożył dymisję, cesarz nie przyjął jej, sam zaś zdecydował abdykować. Na wschodnim brzegu Mozy nadal trwają walki. W południowej Bukowinie wybuchło powstanie bolszewickie. Flota brytyjska przepłynęła Dardanele i zarzuciła kotwice przed świątynią Haga Sofia w Stambule. W warszawskich teatrach „Stara baśń", „Raptus puellae", „Dwie cnoty", „Karnawał".

10 listopada 1918 r., „MP" nr 200

Rada Regencyjna wysłała do krakowskiej Komisji Likwidacyjnej oraz do Koła Polskiego w Poznaniu jednobrzmiące depesze: „Okupacja niemiecka przestaje istnieć. Komendant Piłsudski przyjechał do Warszawy. Wzywamy wszystkich zebranych przedstawicieli stronnictw do Warszawy, dla utworzenia Rządu Narodowego".

W Krakowie wiec pod hasłem „Na odsiecz Lwowa", na który z referatem z tego miasta „aeroplanem przyjechał" prof. Stroński. Stroński mówił, iż Rusini zamknęli dzienniki polskie w mieście, a ich redakcje i drukarnie zdemolowali granatami ręcznymi. Tymczasem Przemyśl został odbity przez Polaków pod komendą mjr. Stachiewicza. Witos oświadczył Polskiej Agencji Telegraficznej, iż wymieniono go w składzie rządu lubelskiego bez jego zgody. Nowy kanclerz Rzeszy Eberth ogłosił, iż jego rząd będzie rządem ludowym. Prawie wszyscy książęta niemieccy zostali zdetronizowani lub sami zrzekli się tronu, we wszystkim miastach niemieckich władzę przejęły rady robotniczo-żołnierskie. Były już cesarz niemiecki Wilhelm przybył do Holandii.

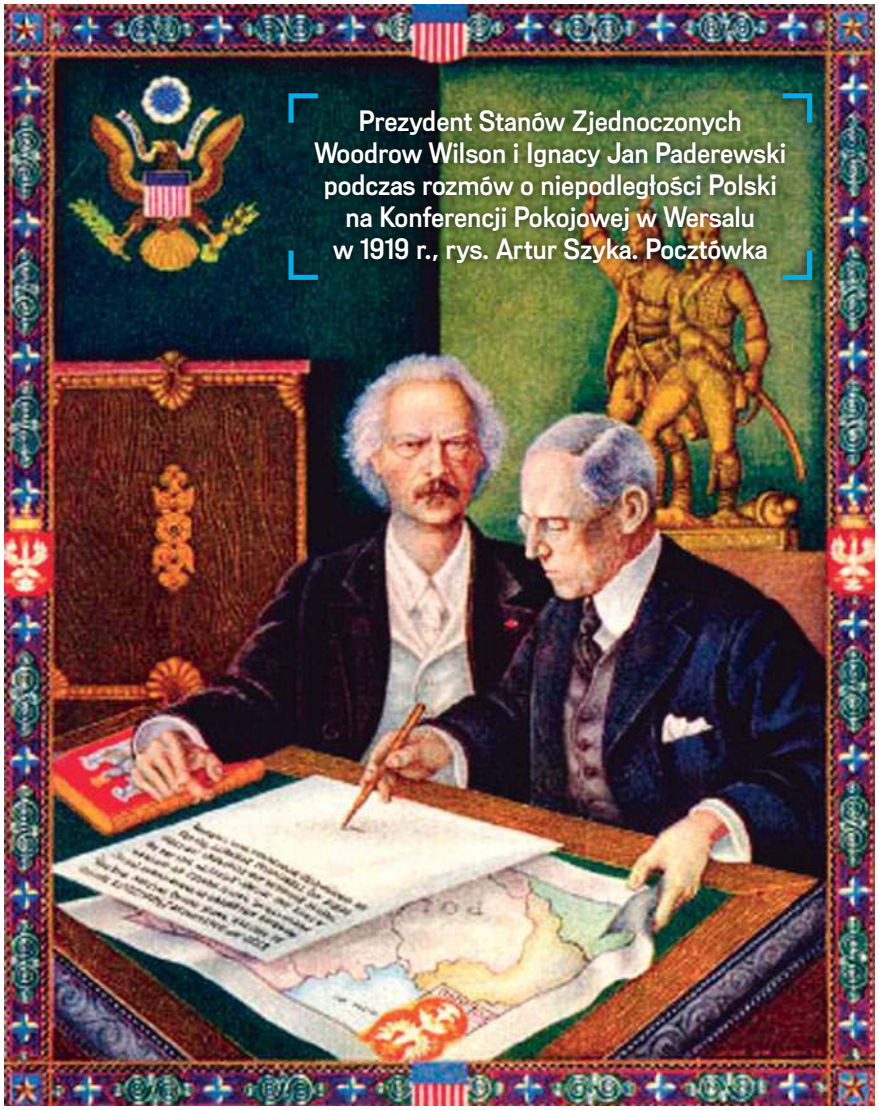
12 listopada 1918 r., „MP" nr 201

Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu władzę nad wojskiem. Józef Piłsudski wzywa do spokojnego przeprowadzenia ewakuacji wojsk niemieckich; rozpoczęcie rozmów zmierzających do utworzenia Rządu Narodowego oraz pierwszy rozkaz dzienny do sił zbrojnych, kontrasygnowany przez szefa Sztabu Generalnego gen. Rozwadowskiego.

Wojsko polskie odebrało Niemcom warszawskie obiekty publiczne: pocztę, dworzec kolejowy, cytadelę, banki.

Nikt już nie wątpi – wybuchła Polska...

eprasa.pl d16ae12b4e



Prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson i Ignacy Jan Paderewski podczas rozmów o niepodległości Polski na Konferencji Pokojowej w Wersalu w 1919 r., rys. Artur Szyka. Pocztówka

FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

POLACY W WERSALU

W STYCZNIU 1919 r. OCZY CAŁEGO ŚWIATA BYŁY SKIEROWANE NA PARYŻ I TAK POZOSTAŁO CO NAJMNIEJ DO KOŃCA CZERWCA. 18 STYCZNIA W SALI ZEGAROWEJ PAŁACU QUAI D'ORSAY (SIEDZIBA MSZ) KONFERENCJĘ KOŃCZĄCĄ WIELKĄ WOJNĘ OTWORZYŁ PREZYDENT FRANCJI RAYMOND POINCARÉ



JAN ŻARYN

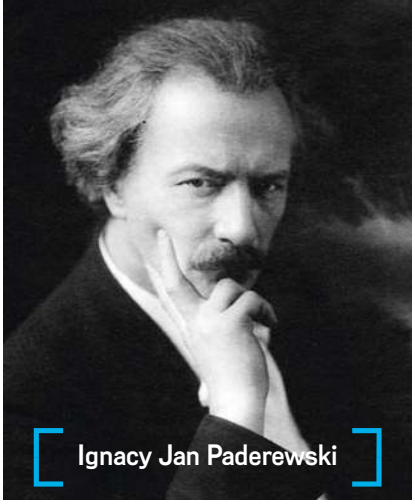
Przywódcy trzech mocarstw: USA, Anglii i Francji, mieli największy wpływ na budowanie przyszłej mapy świata, w tym Europy Środkowo-Wschodniej i Polski. Mieli też rozbieżne cele.

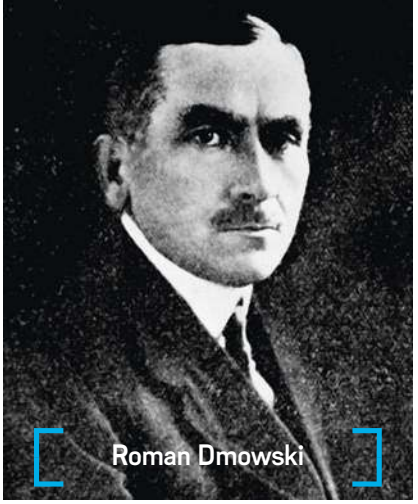
Polska delegacja

Dzięki powstaniu rządu Ignacego J. Paderewskiego polska delegacja znalazła się wśród zwycięzców i mogła od początku kongresu przemawiać jednym głosem. W pierwszym rzędzie udało się Romanowi Dmowskiemu, dzięki wsparciu Francji, uzyskać dla Polski dwa miejsca dla naszej delegacji. Drugim delegatem został premier Ignacy J. Paderewski, który jednak w pierwszych miesiącach nieczęsto przebywał w Paryżu (dlatego Dmowski za zgodą premiera mianował trzeciego delegata, którym został Władysław Grabski). Dwa mandaty świadczyły o dużym prestiżu polskiej delegacji, mimo iż Polska jako kraj dopiero powstała. Przykładowo Portugalia miała jednego delegata, chociaż skierowała na front zachodni ok. 60 tys. żołnierzy. Mimo iż Naczelnik Państwa przysłał swoich przedstawicieli do Paryża z dr. Kazimierzem Dłuskim na czele, to jednak niekwestionowanym liderem polskiej delegacji pozostał Dmowski jako ówczesny prezes Komitetu Narodowego Polskiego, znany powszechnie polityk wśród sprzymierzonych.

Siedziba KNP mieściła się od momentu powstania w sierpniu 1917 r. w centrum stolicy Francji, obok Łuku Triumfalnego, idąc w stronę Trocadero, przy Avenue de Kleeber 11 bis. Członkowie KNP stali się zatem od stycznia 1919 r. naturalnym zapleczem organizacyjno-intelektualnym dla Dmowskiego i dla kolejnych, pojawiających się w Paryżu ekspertów czy polityków. Wśród najbliższych współpracowników Dmowskiego należy wymienić w tym okresie m.in. Stanisława Kozickiego, Maurycego Zamoyskiego i Erazma Piltza, z kolei wśród ekspertów z Biura Prac Kongresowych: Eugeniusza Romera, geografa, i historyków, »

eprasa.pl d16ae12b4e


Ignacy Jan Paderewski FOT. NAC


Roman Dmowski FOT. NAC

» Władysława Konopczyńskiego czy Oskara Haleckiego. Ich zadaniem było nie tylko dostarczanie szczegółowej wiedzy delegatowi, ale także promowanie Polski w salonach polityczno-dziennikarskich Paryża.

Dmowski był już postacią znaną, szczególnie wśród polityków Ententy, którzy zamierzali dyktować warunki pokoju zarówno przegranym, jak i – poniekąd – współkoalicjantom. Wyrobił sobie pozycję, przyjaciół, ale także zaciekłych wrogów. Był postrzegany jako wybitny analityk, w sposób sprawny i suwerenny dopominający się o polskie interesy, ale jednocześnie nie zawsze był lubiany, bo zbyt często miał... rację. Wyraźna niechęć i chłód, z miesiąca na miesiąc przedłużających się negocjacji paryskich, narastał ze strony delegacji angielskiej, w której coraz wyraźniej był marginalizowany autorytet Balfoura – z którym Dmowskiemu dobrze się współpracowało od 1916 r. – na rzecz Lloyda George'a, w otoczeniu którego można było odnaleźć osobistych wrogów Dmowskiego. Co innego Ignacy J. Paderewski, który przybywał na konferencję nieregularnie, by natychmiast ten chłód ocieplić swoją charyzmą: „Anglicy ciągle są wściekli – pisał nie bez ironii Dmowski do Stanisława Grabskiego w maju 1919 r., w sprawie nacisków polskiej strony na to, by przyznano nam bezapelacyjnie całą Galicję Wschodnią, do Zbrucza. – Może ich Paderewski udobrucha. Patrzą oni na Mistrza, jako na tego, który by się chętnie do ich planów nagiął, gdyby mu łajdaki nie przeszkadzali. Za jednego z gorszych łajdaków, niestety, uważają mnie. Od czasu zerwanych przez moją odmowę pourparlers [pertraktacji] o rozejmie z Ukraińcami (sic!) boczą się na mnie bardzo, choć rzecz przeprowadziłem w tonie bardzo uprzejmym i nawet miłym i nie dopuściłem ani na chwilę do zadrażnienia w rozmowie [np. wspomnieniem o sprawie irlandzkiej, wykluczanej przez Anglików i USA z agendy konferencji, mimo przyjęcia przez Wilsona idei samostanowienia narodowego]. W tych warunkach dobrze, że istnieje Paderewski, do którego i oni, i Wilson mają więcej przekonania" – kontynuował w liście.

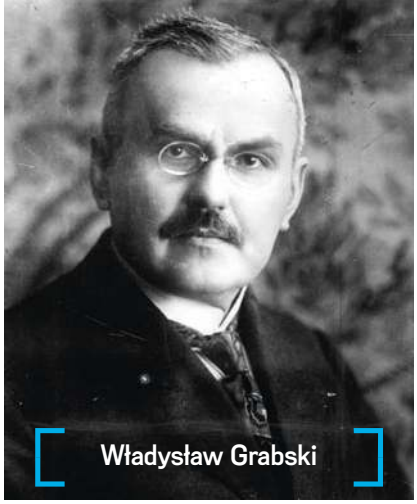
Sojusznik do wyzyskania

Dmowski miał pozycję niekwestionowaną i pełne wsparcie jedynie (lub aż) ze strony Francji, gospodarza konferencji. Wynikała ona – rzecz jasna – nie z miłości do oskarżanego o imperializm polskiego delegata, ale z tego, że interesy polskie i francuskie, szczególnie co do granicy II RP z Niemcami, w zasadzie w pełni się pokrywały. Co więcej, strona francuska była bombardowana przez Dmowskiego w latach 1916–1918 analizami, które – jak się wydaje – miały wpływ na lokatorów Quai d'Orsay w tworzeniu własnej doktryny politycznej. Już jesienią 1917 r. we francuskim MSZ powstała bowiem analiza opracowana przez zespół pod kierunkiem Pierre'a de Margerie i Phillipe'a Berthelota, w której pisano o czterech filarach, niezbędnych, by „powściągnąć Niemcy" i ustanowić trwały pokój. Stanowić je miały, wobec nierozwiązywalności kwestii rosyjskiej, cztery państwa Europy Środkowo-Wschodniej: „wielka Polska", „Czechosłowacja powstała ze wszystkich kawałków", „Jugosławia, skonfederowana ojczyzna południowych Słowian" i „powiększona Rumunia". Raport powyższy, zdaniem wybitnego historyka francuskiego, był w swej treści bliźniaczo podobny do słynnego memoriału Dmowskiego z lipca 1917 r. „Zagadnienia Środkowo- i wschodnio-europejskie", przekazanego sojusznikom zachodnim. W raporcie tym autor postulował zbudowanie Międzymorza, m.in. na gruzach Austro-Węgier – wykorzystywanych przez Niemców jako most na drodze do Turcji i kolonii – w skład którego wchodziłyby państwa mające – dzięki morskiej komunikacji – ścisłe relacje gospodarczo-obronne z Zachodem, w pierwszej kolejności z Francją. Budowanie mostu nad Niemcami miało także przynieść Anglii satysfakcję polityczną, gdyż autor raportu dowodził, iż Międzymorze stanowiłoby równowagę wobec potencji niemieckiej, która nie zostanie zlikwidowana w wyniku I wojny światowej. Jak zawsze, Dmowski miał mocne argumenty – można powiedzieć, obiektywne – widoczne z miesiąca na miesiąc, wobec przedłużającej się konferencji w Wersalu. Rzeczywiście, jeszcze w listopadzie 1918 r. siły alianckie liczyły 198 dywizji, ale w czerwcu 1919 r. – po wyjściu Amerykanów – pozostało ich na terytorium Europy jedynie 39. Armia niemiecka została pokonana, ale zachowała strukturę dowodzenia i setki tysięcy wyszkolonych ludzi: „Foch stale powtarzał, że istnieje 75 mln Niemców, a tylko 40 mln Francuzów. Alianccy obserwatorzy zauważyli wrogi nastrój ludności [Niemiec] co do podpisania surowego pokoju" – pisała Margaret Macmillan. Jak wiadomo, to jednak tylko Francja obawiała się szybkiej reakcji, nawet zbrojnej, Niemiec w reakcji na podsunięty im do podpisu projekt traktatu. Clemenceau używał zresztą tego argumentu, strachu – szantażując pozostałych partnerów. Dmowski, znając cele polityki Francji, mógł więc szukać w niej głównego sojusznika spraw polskich. Dla niego bowiem kwestią najistotniejszą było pokonanie Niemiec, ustalenie najkorzystniejszych dla Polski granic na zachodzie i północy, a następnie zrealizowanie programu Międzymorza (m.in. postulowanej przez niego konfederacji polsko-czechosłowackiej, nierealnej wobec oporu sąsiada), którego ostrze byłoby skierowane nie przeciwko Rosji, ale przeciwko Niemcom: z obydwoma naraz nie można bowiem walczyć, dowodził – przekonany, że Niemcy nigdy nie pogodzą się z utratą ziem dawnego zaboru pruskiego.

Mowa Dmowskiego

Wyartykułowanie polskiego programu granic podczas konferencji nastąpiło 29 stycznia rano, gdy po wcześniejszym zaproszeniu polskiej delegacji na posiedzenie Rady Dziesięciu (zwanej Najwyższą) premier Francji wskazał na Dmow-

eprasa.pl d16ae12b4e


Władysław Grabski

FOT. NAC

skiego i powiedział: „Panie Dmowski, ma pan głos". Dzień ten utrwalił w swoich pamiętnikach David Lloyd George: „Na konferencji pokojowej polski punkt widzenia wyłożony został przez nadzwyczaj zdolnego i wykształconego Polaka, nazwiskiem Dmowski. Przemawiał najprzód płynną francuszczyzną, potem – doskonałym angielskim. Dmowski nie ukrywał, że w stosunku do niektórych polskich życzeń Polacy nie godzą się na kryterium samostanowienia". Dmowski zaczął rzeczywiście mówić po francusku, ale Clemenceau przerwał mu, zwracając się do tłumacza, by symultanicznie przekładał słowa delegata polskiego na angielski: „Wtedy Pan Roman zapytał, czy może sam tłumaczyć. Z tą błyskawiczną orientacją, jaką miał zawsze, zrozumiał, że tłumacz może przekręcić tekst" – wspominał Adam Grzymała-Siedlecki. Dmowski z kolei pisał po latach, że gdy podczas poprzedniego spotkania konferencyjnego dotyczącego Ligi Narodów, przemawiając stwierdził: „Kraj mój leży w tej części Europy, w której największe niebezpieczeństwa zagrażają przyszłemu pokojowi", tłumacz był łaskaw zrozumieć: „Kraj mój przedstawia największe niebezpieczeństwo dla przyszłego pokoju". A zatem przemówienie Dmowskiego trwać miało ponad pięć godzin. Przyjrzyjmy się treści przemówienia, bo stanowiło ono kluczowy moment dotyczący walki o przyszłe granice Polski i jej bezpieczeństwa. Po pierwsze, Dmowski zażądał Gdańska dla Polski, mimo że nie stanowiliśmy tam większości. Tłumaczył to m.in. względami gospodarczymi, ale także bezpieczeństwa. Domagał się natychmiastowego wycofania wojsk niemieckich z naszej części Europy, a w zamian za to przepuszczenie drogą przez Gdańsk armii polskiej pozostającej we Francji, pod dowództwem gen. Józefa Hallera. „Jesteśmy – powiedziałem – otoczeni ze wszystkich stron przez rewolucje: rosyjską, węgierską, niemiecką. Nie mamy zaś armii". Tłumacząc powstanie jednostronnego rządu socjalistycznego w listopadzie 1918 r. (na Zachodzie postrzeganego jako proniemiecki), dodał: „Zrobiliśmy więc z konieczności to, co w przyrodzie robią zwierzęta słabe, pozbawione kłów i pazurów: przybraliśmy zabarwienie ochronne". Wobec bieżącej kwestii, jaką było powstanie wielkopolskie i decyzji Rady Najwyższej o zaprzestaniu walk, poddał krytyce rozumowanie polityków debatujących w Paryżu. To Polacy, twierdził, są jedynymi, którzy szanują apele Rady, Niemcy nie: „Nie wystarcza wydać odezwę, ale trzeba narzucić rozejm, wysłać komisję, która ustanowi linię demarkacyjną między walczącymi stronami". I tak się stało (na czele komisji ds. polskich stanął polityk francuski Jules M. Cambon), co skutkowało włączeniem Wielkopolski bezpośrednio do Rzeczypospolitej. Dmowski przedstawiał następnie pożądany przez Polskę kształt granic, wpisując postulaty w szerszy kontekst. Przedstawił plan rewindykacji ziem polskich z 1772 r., domagał się przyłączenia Gdańska i Pomorza, całego Górnego Śląska utraconego przez Polskę w XIV w., gdzie jednak większość stanowili Polacy, a ponadto Śląska Cieszyńskiego, ze względu na znajdujące się tam pokłady węgla kamiennego. Po południu kontynuował swoje wywody, dowodząc, że cała Galicja Wschodnia powinna być przyłączona do Polski oraz Wileńszczyzna. Litwa i Polska powinny zaś podzielić się znaczną częścią Prus Książęcych, na pozostałym terytorium powinno powstać dominium pod nadzorem Ligi Narodów, tak by Niemcy nie rościli sobie pretensji do połączenia dwóch części swego państwa. Dmowski przedstawił niewątpliwie plan maksimum, z którego taktycznie wycofywał się, gdy następował konflikt. Faktycznie, jak twierdził, z punktu widzenia koncepcji inkorporacyjnej realną granicą Polski na wschodzie powinna być granica II rozbioru, a nie pierwszego. Uznawał bowiem, że Polska nie może w przyszłości – jak sądził w niedalekiej – walczyć na dwa fronty: i przeciwko Niemcom, którzy nie pogodzą się z werdyktem wersalskim, i z Rosją, gdy ta odzyska przytomność polityczną. Trzeba więc na wschodzie uzyskać granice do przyjęcia przez każdą Rosję, tak białą, jak i czerwoną. Dziś, znając konsekwencje paktu Hitler–Stalin z 23 sierpnia 1939 r., można zaryzykować stwierdzenie: gdyby posłuchano Dmowskiego w Paryżu, być może wybuch II wojny światowej nikomu by się nie opłacił.

Finał szczęśliwy

Walka Dmowskiego, wspieranego przez Paderewskiego, na forum Wersalu trwała przez kolejne miesiące. Jednocześnie trzeba było reagować na bieżące kwestie, jak powstanie wielkopolskie czy wojny na Wschodzie, a z drugiej strony pilnować głównych postulatów granicznych. Gdy w końcu delegacja niemiecka otrzymała projekt traktatu, odrzuciła go z racji m.in. odłączenia od ich macierzy całego Górnego Śląska na rzecz plebiscytu, a przede wszystkim utraty Gdańska. Politycy zachodni, mimo ostrych sprzeciwów płynących zgodnie z ust obydwu polskich delegatów, ugięli się przed straszącymi Wersal Niemcami. Drugim ciosem, przygotowanym Polsce przez Wersal była konieczność równoległego podpisania się pod tzw. traktatem mniejszościowym, za cenę m.in. wycofania się Zachodu z postulatu syjonistów o zbudowaniu na ziemiach polskich autonomicznego kraju dla polskich Żydów.

Mimo tych ograniczeń 28 czerwca 1919 r. należał do jednego z najbardziej udanych w najnowszej historii Polski. Oto państwo, którego jeszcze niedawno nie było na mapie świata, stanowiło zwycięski pokój: „W alfabetycznym porządku nazw państw wzywano delegatów do księgi traktatowej. Dość długo trzeba było czekać na literę »P« – wspominał Adam Grzymała-Siedlecki – aż z fotela prezydialnego zadźwięczał nam głos Clemenceau'a: – La Pologne.

Podnieśli się ze swoich miejsc: Paderewski i Dmowski. [...] Twarz Paderewskiego skupiona, wzruszona była jakby ucieleśnioną modlitwą do świętości tego momentu, jakim on jest dla Polski. Za tą modlitwą idzie Dmowski; wydaje się jeszcze większy niż zazwyczaj, może dla tego, że wyprostowany. Idzie krokiem pewnym, twardym, lekko kołysze na boki swoją muskularną staturę, w rysach twarzy powaga – i tylko w leciutkim na kątach ust uśmieszku, tylko w oczach, w oczach – co za radość!!! Cała wigorna szumność polskiej duszy biła mu ze wzroku. Jak dwa światła, odmienne w sobie, a w tej chwili złączone w jakąś konieczną całość, niosły się te dwie głowy przez salę zwierciadlaną Wersalu, by Polskę po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, podpisać w historii politycznej świata".

eprasa.pl d16ae12b4e

ŁAD WERSALSKI

CZY MUSIAŁO TAK SIĘ SKOŃCZYĆ?

TRAKTAT WERSALSKI Z 1919 r. BYŁ WIELKIM AKTEM FUNDACYJNYM NOWEGO PORZĄDKU TERYTORIALNEGO W EUROPIE. PORÓWNUJE SIĘ GO Z TRAKTATAMI WESTFALSKIMI Z 1648 r., Z UCHWAŁAMI KONGRESU WIEDEŃSKIEGO Z 1815 r., WRESZCIE Z DECYZJAMI JAŁTAŃSKO-POCZDAMSKIMI Z 1945 r.



MAREK KORNAT



„Wersal/Zielona zemsta", chciwość, zemsta i inne diabły cieszą się traktatem wersalskim. Niemiecka karykatura z 1919 r. w piśmie „Simplicissimus"

RYS. BEW

Wśród wszystkich tych doniosłych postanowień terytorialnych pokój zawarty przed stu laty przynosił największe zmiany, gdyż burzył świat imperiów i zatwierdzał dla Europy ład państw narodowych. „Jest jednym z podstawowych błędów sądzić, że w Paryżu podczas rokowań pokojowych budowany był świat nowy. Tam w rzeczywistości likwidowano tylko stary, rozbijając go w gruzy i starając się spośród nich zabrać, co się komu z jakichkolwiek względów wydawało wartościowym" – pisał w 1926 r. publicysta polityczny Konstanty Srokowski. Trudno nie być przekonanym o głębokiej słuszności tego twierdzenia.

Generał Wilhelm Groener w memorandum złożonym 19 maja 1919 r. w Kwaterze Głównej Naczelnego Dowództwa armii niemieckiej napisał, że skutkiem

eprasa.pl d16ae12b4e

zakończonej wojny jest „eliminacja Niemiec jako wielkiego mocarstwa europejskiego". Traktat wersalski zdawał się to przypieczętować. Nie byłoby jednak prawdą twierdzenie, iż pokój ten pozbawił Niemcy szans dalszego istnienia. Nie był to pokój kartagiński. Odebrał im głównie terytoria, które Prusy nabyły w rozbiorach Rzeczypospolitej, oraz Alzację i Lotaryngię zdobyte w 1870 r. Pamiętajmy też, że na konferencji w Locarno Rzesza Niemiecka powróciła do grona mocarstw Europy.

Dopełnienie na wschodzie

W swoim artykule 87 traktat wersalski postanawiał, że mocarstwa zwycięskie określą w przyszłości granice wschodnie Polski. W rzeczywistości zostawiono Europę Wschodnią w stanie anarchii. To zwycięska wojna przeciwko Rosji sowieckiej w 1920 r. – uwieńczona traktatem pokojowym w Rydze, zawartym 18 marca 1921 r. – ustanowiła ład terytorialny dla tej części kontynentu. Ład wersalski – jak słusznie pisał o tym Andrzej Nowak – został w ten sposób ocalony i w naszym regionie Europy dopełniony drugim, nader istotnym komponentem. Jak pisał Aleksander Lednicki: „Bitwa nad Wisłą była nie tylko bitwą o Warszawę, ale także o spokój na świecie, o traktat wersalski [...]. Jeżeli traktat wersalski w tej chwili nie jest tylko dokumentem historycznym, a wojna światowa ponownie nie wybuchła, to tylko dlatego, że się nad Wisłą załamał najazd bolszewicki". Polska nie była więc tylko „konsumentem" owoców ładu wersalskiego – ona go ocaliła na wschodzie Europy. Bez polskiego zwycięstwa nad Wisłą byłaby nie do pomyślenia niepodległość państw bałtyckich, Rumunii, Węgier czy Czechosłowacji. To też jest powodem, że powstała w historiografii koncepcja „ładu wersalsko-ryskiego". Należę do jej zwolenników.

„Rozejm na 20 lat"

Dlaczego regulację pokojową w powojennej Europie spotkało tak rychło spektakularne niepowodzenie? Co sprawiło, że spełniła się wprost literalnie przepowiednia naczelnego woda armii sprzymierzonych marszałka Ferdynanda Focha, który zaraz po ceremonii podpisania traktatu stwierdził, że jest to „rozejm na 20 lat" (armistice de vingt ans)?

Można wskazać kilka najważniejszych krytycznych kierunków myślenia o pokoju wersalskim – w stulecie traktatu z 28 czerwca 1919 r. warto im się przyjrzeć.

Ekonomista brytyjski John Maynard Keynes uznał traktat pokojowy z Niemcami za katastrofę polityczną, a nade wszystko gospodarczą klęskę Europy, bo osłabione Niemcy nie będą w stanie zapłacić odszkodowań za wojnę. Był to w jego opinii „pokój kartagiński", stojący w jaskrawej sprzeczności z założeniami „czternastu punktów" prezydenta Woodrowa Wilsona. O głównym twórcy pokoju, czyli premierze Clemenceau, Keynes napisał, iż to „stary człowiek", którego „wyobraźnia tkwi w przeszłości, [a] nie w przyszłości". W chwili kiedy pisał swoje „Economic consequences of the Peace", opinia polityczna zachodniej Europy przyjmowała jego wypowiedzi z uznaniem, jako ekonomisty i eksperta. Najostrzej atakował Polskę, pisząc, że pozostaje ona głównym beneficjentem tej regulacji pokojowej, ale jest również organizmem niezdolnym do życia. „Polacy potrafią jedynie prześladować Żydów" – twierdził Keynes. Argumentami swoimi utorował on swoisty kierunek krytyki pokoju wersalskiego. Wyznawcy teorii Keynesa podnosili, że traktat z 28 czerwca 1919 r. ustanowił „pokój francuski" w Europie. Nie będzie on trwały i skończy się klęską.

Własną interpretację ładu wersalskiego przedstawił wybitny pisarz polityczny francuskiej prawicy Jacques Bainville, który postawił trzy tezy. Po pierwsze, zniknięcie Austro-Węgier przyniosło „bałkanizację" regionu Międzymorza. Po drugie, istnienie Polski sprawi, że Niemcy i Rosja pójdą na współpracę przeciw niej. Po trzecie, Polska musiałaby mieć silnego partnera regionalnego, aby pełnić funkcję stabilizacyjną między dwoma silniejszymi od siebie sąsiadami.

Krytyka politycznego idealizmu

W krytyce ładu wersalskiego dużą rolę odgrywały te wszystkie interpretacje, których wspólnym mianownikiem była teza o zafundowaniu światu anarchii – w imię politycznego idealizmu, który miał ożywiać wyobraźnię zwłaszcza Wilsona, ale i przywódców mocarstw zwycięskich. Wizja ta niesie u podstaw preferencję dla imperiów kosztem narodów ujarzmionych. Liczy się stabilność, a nie sprawiedliwość. Im mniej organizmów państwowych, tym lepiej, bo mniej będzie konfliktów. W książce „From Sarajevo to Potsdam" brytyjski profesor w Oksfordzie Alan Taylor twierdził, że po I wojnie światowej stworzono porządek oparty na zasadach stawiający w centrum ideę sprawiedliwości, a nie bezpieczeństwa. Oczywiście konflikt między nimi należało rozstrzygnąć na rzecz tej drugiej wartości.

Inną popularną koncepcją zwłaszcza w świecie anglosaskim jest teoria destrukcyjnej roli małych państw, strzegących swej suwerenności za wszelką cenę i skłóconych z powodu sporów terytorialnych. „Chaotyczne warunki Europy Środowo-Wschodniej i Południowo-Wschodniej otwarły pole niemieckiej ekspansji" – dowodził znany amerykański historyk dyplomacji Paul Schroeder. Innymi słowy, to samoczynna destabilizacja ładu międzynarodowego zachęciła agresywne Niemcy do działań zaborczych. Nietrudno zauważyć, że teoria ta nawiązuje do znanej już w dobie międzywojennej tezy o „bałkanizacji" Europy Wschodniej po I wojnie światowej.

System z Locarno

Ważną koncepcją w sporze wokół ładu wersalskiego pozostaje z pewnością teoria „okrojenia zwycięstwa" (mutilation d'une victoire). Jej wykład dał rzecznik antyniemieckiego kursu polityki francuskiej Georges Clemenceau. Na kartach wspomnień „Blasków i nędzy zwycięstwa" pokazał proces osłabiania ładu pokojowego. Pierwszym wyłomem stało się utrącenie gwarancji mocarstw anglosaskich dla Francji wskutek odrzucenia przez Senat Stanów Zjednoczonych traktatu wersalskiego. Te gwarancje przyznano jej w zamian za rezygnację z żądania granicy na Renie. Potem przyszedł plan Dawesa (sierpień 1924), będący kompromisowym rozwiązaniem sprawy reparacji. Stał się on gospodarczą podstawą systemu lokarneńskiego. W Locarno (październik 1925), w zamian za brytyjską gwarancję, rząd francuski zgodził się na pakt reński i polityka francuska wkroczyła na kurs ustępstw. Summa summarum, Francja poszła na wiele ustępstw w zamian za brytyjską obietnicę pomocy militarnej w przyszłości, nie uzyskując od Niemiec realnych gwarancji bezpieczeństwa.

Brak równowagi

Pojawiła się w historiografii interpretacja podnosząca argument o „antysowietyzmie" twórców pokoju wersalskiego, »

eprasa.pl d16ae12b4e

» który miał być przyczyną jego słabości. Oczywiście koncepcja ta bierze za punkt wyjścia tezę o niezbędności Rosji w systemie międzynarodowym. Główny doradca Wilsona, płk House, oznajmił, że „dopóki Rosja nie stanie się żywą częścią Europy – nie będzie ani pokoju, ani zwycięstwa". Polityk czechosłowacki Edward Benesz już po II wojnie światowej doszedł do wniosku, że głównym powodem nieefektywności ładu wersalskiego było nieuczestniczenie Rosji w jego budowie. Dopiero jednak historycy anglosascy orientacji rewizjonistycznej podnieśli argument o programowym „antybolszewizmie" głównych bohaterów paryskiej konferencji pokojowej. Tacy historycy jak Arno Mayer czy Michael Jabara-Carley twierdzili, że ów antybolszewizm nie pozwolił na zaproszenie Rosji Lenina do udziału w kształtowaniu powojennego porządku świata. Historycy ci nie szczędzili oczywiście krytyki zwłaszcza Polsce za „ekspansjonizm" na wschodzie i przypisywali jej winę za wojnę polsko-sowiecką. Ich zdaniem mocarstwa Zachodu wznosiły w Europie Wschodniej „kordon sanitarny" przeciw Rosji.

Jedną z ważniejszych koncepcji wyjaśnienia przyczyn niestabilności i słabości ładu wersalskiego dał Henry Kissinger. Jak wiadomo, ów historyk i polityk amerykański pozostaje oddanym rzecznikiem systemu równowagi sił jako nadrzędnego regulatora stosunków międzynarodowych. System taki „nie zakładał uniknięcia wszelkich kryzysów czy nawet wojen" – pisał. Oczywiście „nie sposób całkowicie zadowolić wszystkich członków takiego układu międzynarodowego. System ten działa najlepiej, kiedy poziom niezadowolenia utrzymuje się poniżej punktu, w którym pokrzywdzona strona uznaje za konieczne obalenie międzynarodowego porządku". Ten punkt został – zdaniem Kissingera – przekroczony, gdyż poza systemem zostawiono pokonane Niemcy i wykluczoną z konferencji pokojowej bolszewicką Rosję.

Odnotujmy jeszcze koncepcję „europejskiej wojny domowej". Jej prekursorem pozostaje zmarły niedawno konserwatywny historyk niemiecki Ernst Nolte. Trwać miała ona – według tego rozumowania – od 1917 do 1945 r. Owa „wielka europejska wojna domowa" to konflikt ideologiczny. I wojna światowa zakończyła się nie pokojem, lecz rozejmem. Co więcej, ona zaprogramowała ten nieunikniony konflikt, jakim stała się II wojna światowa.

Wszystkie te koncepcje wyjaśniające kruchość ładu wersalskiego nie biorą w rachubę tego, że do 1936 r., czyli do remilitaryzacji Nadrenii i osiągnięcia przez Niemcy wydatnej przewagi w Europie, utrzymywała się przewaga mocarstw zachodnich. Jakże łatwo jednak przyszło ją utracić. Nieustające różnice zdań między Londynem a Paryżem i powrót Stanów Zjednoczonych do krótkowzrocznej polityki izolacjonizmu tak osłabiły Zachód, że skuteczna polityka w obronie ładu pokojowego okazała się niemożliwa.

WOJNA ŚWIATOWA PONOWNIE NIE WYBUCHŁA TYLKO DLATEGO, ŻE NAD WISŁĄ ZAŁAMAŁ SIĘ NAJAZD BOLSZEWICKI

Za największy dogmat racji stanu uważał rząd francuski brytyjską gwarancję pomocy na wypadek uwikłania w nową wojnę z Niemcami. Z tą myślą godzono się na system lokarneński. To zaś oznaczało uzależnienie od Wielkiej Brytanii i niosło konieczność ustępstw na rzecz Niemiec. Tymczasem było niezmiernie trudno wyobrazić sobie, aby Zjednoczone Królestwo pozostało bezczynne w obliczu konfliktu francusko-niemieckiego, w którym Francja jest stroną walczącą z agresją.

Dwa totalitaryzmy razem

Kiedy tworzono podstawy ładu wersalskiego, nie do przewidzenia pozostawały dwie okoliczności zupełnie nadzwyczajne. Po pierwsze, że dwa mocarstwa totalitarne sprzymierzą się taktycznie, aby wywołać nową wojnę. Bolszewizm uważano za reżim chwilowy. O tym, że powstaną totalitarne Niemcy, nikt nie mógł pomyśleć. Po drugie, że dzieło trzech wielkich mocarstw, jakim był pokój wersalski, nie będzie bronione. Stany Zjednoczone skierują się na drogę izolacjonizmu, co nie wykluczało gospodarczej obecności w Europie. Wielka Brytania zmierzała do rewizji niektórych klauzul terytorialnych. W obliczu appeasementu Francja skapitulowała w obronie pokoju, który nazywano francuskim (la paix française).

O krachu ładu wersalskiego były i zapewne będą dwie zasadnicze opinie. Pierwsza głosi, że był od początku skazany na klęskę. Druga mówi, że został zburzony przez Niemcy Hitlera. Pierwsza nie wygląda na prawdziwą, druga ma za sobą rację, ale nie wyczerpuje problemu.

Potrzebna jest większa świadomość, że zburzenie pokoju wersalskiego dokonało się za sprawą taktycznego sojuszu Niemiec i Związku Sowieckiego. Przyznał jakże trafnie historyk niemiecki Martin Broszat, że w osobie Stalina znalazł Hitler partnera do prowadzenia totalnej wojny na wyniszczenie, „partnera równie skorego do rozporządzania lekką ręką obcym terytorium". Sprawiło to, że „hitlerowski sposób myślenia kategoriami rozgraniczenia stref interesów na wielkich obszarach, który Hitler na próżno usiłował proponować Anglikom – spotkał się ze wzajemnością [...]".

Ład pokojowy nie został zburzony przez anarchię spowodowaną przez małe państwa. Nie może być zgody na to twierdzenie. System wersalski nie był chorym projektem od postaw. Jego podstawy zostały oparte na myśli, aby możliwie jak największej liczbie narodów dać szansę samostanowienia i urządzania własnego losu w swoim państwie. Konflikty graniczne nie wygenerowały konfliktu europejskiego. Czas stopniowo goił rany. Totalitarny ekspansjonizm stał się jednak siłą sprawczą wojny.

Polityk francuski Albert Thomas (szef Międzynarodowego Biura Pracy) stwierdził w 1918 r., iż „pierwszy to raz zdarza się w dziejach, że świat podnosi sprawę winy wobec narodu, który rozpętał potworną wojnę. Jeżeli naród niemiecki zdoła zrozumieć, o co w tej sprawie chodzi, wtedy on sam i świat cały będzie ocalony". Tak się jednak nie stało. Niemcy nie pogodziły się ze stratami terytorialnymi i pragnęły za wszelką cenę rewanżu za klęskę. Odwetowe dążenia kierowały się na pierwszym miejscu na Polskę. Odegrały oczywistą rolę spiritus movens w procesie rujnowania pokoju. Historyk musi jednak widzieć jeszcze drugiego aktora zainteresowanego w zmianach terytorialnych i mającego plany ekspansji. Był to oczywiście Związek Sowiecki.

eprasa.pl d16ae12b4e

GDY W 1918 r. POLSKA ODZYSKAŁA WŁASNE PAŃSTWO, JEDNA Z RODZIN SZLACHECKICH – JAK ZANOTOWAŁ PEWIEN ANGIELSKI DYPLOMATA – WYDOBYŁA WINO Z 1772 r., CZASU PIERWSZEGO ROZBIORU, ZACHOWANE NA TOAST DO TEJ CHWILI. „CO DZIWNE, NADAWAŁO SIĘ DO PICIA”

PRZED WERSALEM ŻYCIE PARYSKIE KONFERENCJI



JOANNA PUCHALSKA

Kilka miesięcy później, w styczniu 1919 r., politycy, dyplomaci, bankierzy, żołnierze, profesorowie, ekonomiści i prawnicy z całego świata zjechali się do Paryża ustalać nowy ład. Przybyli: prezydent USA Thomas Woodrow Wilson, któremu towarzyszył sekretarz stanu Robert Lansing, premierzy Francji oraz Włoch Georges Clemencau i Vittorio Emanuele Orlando i brytyjski premier David Lloyd George. Było też dwóch przyszłych sekretarzy stanu USA, przyszły premier Japonii i pierwszy prezydent Izraela. Kolorytu dodawali Lawrence z Arabii w arabskich szatach, genialny Ignacy Jan Paderewski, tym razem jako polityk, i rumuńska królowa Maria. Francuski ambasador w Londynie pisał: „Paryż staje się miejscem rozrywki setek Anglików, »

eprasa.pl d16ae12b4e

» Amerykanów, Włochów i nieokreślonych zagranicznych panów, zwalających się nam pod pretekstem udziału w rozmowach o pokoju".

Do omówienia były kwestie granic, a także prawo głosu dla kobiet, regulacje pracy, rozbrojenie, petycje sufrażystek, apele syjonistów. Aby usprawnić obrady, zbadano przebieg kongresu wiedeńskiego, na którym świat ustalał swój porządek 100 lat wcześniej. Okazało się, że do Wiednia brytyjski minister zabrał ze sobą 14 współpracowników. W 1919 r. zaś delegacja Albionu liczyła blisko 400 osób.

Konferencją paryską rządzili David Lloyd George, Georges Clemenceau, Woodrow Wilson i Vittorio Orlando. Panowie pod przewodnictwem Clemenceau spotykali się dwa albo trzy razy dziennie w biurze ministra spraw zagranicznych Francji Stéphena Pichona. Zapamiętano, że premier Francji, siedząc w fotelu przed kominkiem, garbił się i często patrzył ze znudzeniem w sufit. Wilson natomiast wiercił się i od czasu do czasu wstawał dla rozprostowania nóg. Jego sekretarz stanu Lansing rysował karykatury. Po południu otwierały się drzwi i służący wnosili herbatę i ciasteczka. Wilson wyrażał zaskoczenie, że przerywa się dyskusję nad losami świata z tak błahego powodu, rozumiejąc wszak, że to taki tutejszy zwyczaj.

Francuzi chcieli, by ich język był oficjalnym językiem konferencji, bo najlepiej na świecie oddaje niuanse i w ogóle od wieków jest językiem dyplomacji. Anglicy i Amerykanie oponowali, że angielski jest coraz częściej wszędzie używany. Włosi usiłowali przeforsować włoski, argumentując, że czują się wykluczeni. (Wykluczeni to musieli czuć się Japończycy, słabo znający europejskie języki). Ostatecznie wygrały angielski i francuski równorzędnie.

Zakwaterowanie

Pozostający w separacji z żoną David Lloyd George słynął z licznych romansów. W Paryżu towarzyszyła mu kochanka, mądra i wykształcona Frances Stevenson, która prowadziła jego biuro. Zabrał też ze sobą ulubioną córkę, 16-letnią Megan. Miał luksusowy apartament przy rue Nitot, gdzie na ścianach wisiały płótna Gainsborougha, Hoppnera i Lawrence'a. Piętro wyżej mieszkał minister spraw zagranicznych Arthur Balfour.

Delegacja brytyjska zajęła w sumie pięć hoteli. Centrum życia towarzyskiego stanowił Hôtel Majestic i choć wszystkie biura z tajnymi dokumentami były w Hôtel Astoria, tylko w Majesticu Anglicy zastąpili cały personel, łącznie z kucharzami, swoimi ludźmi i przy wejściu detektywi Scotland Yardu sprawdzali przepustki ze zdjęciami. Zgodnie z instrukcją papiery wrzucane do koszy na śmieci musiały być darte na kawałki (na kongresie wiedeńskim agenci Talleyranda zbierali takie wyrzucane zapiski i później je wykorzystywano). Ponieważ doszukano się, że w Wiedniu za wyciek poufnych informacji dziwnie często odpowiadały panie, żony delegatów mogły w Majesticu jadać, ale nie mogły tu mieszkać.

Posiłki podawano o oznaczonych godzinach. Napoje były płatne, chyba że pijący pochodził z dominiów czy Indii, to wtedy na koszt rządu Jego Królewskiej Mości. W pokojach nie wolno było gotować ani trzymać psów. Należało uważać na podsłuchy.

Delegacja włoska rezydowała w luksusowym Hôtel Edward VII, w pobliżu opery. Był tu tylko jeden telefon, którego delegaci mogli używać wyłącznie za zgodą Orlanda. Japończycy mieszkali w modnym Hôtel Bristol. Ze względu na słabą znajomość języków raczej ograniczali się do roli obserwatorów. W którejś komisji przewodniczący zapytał Japończyka, czy głosował za czy przeciw, na co padła odpowiedź „Tak".

Maria, królowa Rumunii



FOT. EAST NEWS/WORLD HISTORY ARCHIVE; EAST NEWS/KEN WELSH / DESIGN PICS

Wizyta Jej Królewskiej Mości

W szary marcowy poranek specjalny pociąg przywiózł do Paryża królową Marię, wnuczkę królowej Wiktorii, która poślubiła następcę rumuńskiego tronu Ferdynanda. W Paryżu mówiła o „swoich" ministrach, kraju i armii, ignorując małżonka. Doradca Wilsona Edward M. House uznał ją za jedną z najprzyjemniejszych królowych, jakie poznał. Zachwycony był także ambasador brytyjski, podobnie Clemenceau. Balfoura spytała z wdziękiem, czy z Wilsonem ma rozmawiać o Lidze Narodów, czy o paryskich zakupach. Ten odparł: „Zacząć od Ligi i skończyć na różowej halce. Gdyby Wasza Królewska Mość rozmawiała z Lloydem George'em, można by zacząć od halki!". Lloyd George zaś wyraził się o Marii, że jest „bardzo zepsuta, lecz bardzo sprytna". Gdy na pierwszym spotkaniu z Wilsonem zaczęła się wypowiadać na temat miłości, prezydencki lekarz Grayson, jak sam przyznał później, nie wiedział, gdzie oczy podziać z zażenowania. Królowa następnie wprosiła się na obiad, zapowiadając, że przyjedzie „z jednym czy z dwoma z mojej szlachty". Przyszła spóźniona pół godziny w gronie dziesięciu osób. Jeden z obecnych odnotował: „Z każdą chwilą czekania prezydent zaciskał szczęki, a od Rumunii odpadała kolejna część". Maria uważała obiad za bardzo udany, a cały swój pobyt w Paryżu za wielką pomoc krajowi.

After hours

Ładne kobiety miały w Paryżu pole do popisu i skrzętnie to wykorzystywały. Brytyjski sekretarz gabinetu wojennego Maurice Hankey napisał do żony: „Jak się okazuje, różne departamenty przywiozły tu najpiękniejsze i najlepiej ubrane panie z towarzystwa. Nie wiem, jak pracują, ale wieczorem śpiewają, tańczą i grają w brydża". Nie zawsze wieczór kończył się na brydżu. W hotelach, gdzie mieszkali delegaci, panie swobodnie odwiedzały panów w pokojach.

Ach to życie paryskie! Wyścigi konne w Saint-Cloud, wykwintne restauracje, Opera, w której dawano „Opowieści Hoffmanna", „Madame Butterfly" czy „Cyganerię". W teatrach i klasyka, i farsy. Występowali Sarah Bernhardt i Ray-

eprasa.pl d16ae12b4e

mond Duncan, brat boskiej Isadory. Nic dziwnego, że dziennikarka i pisarka Elsa Maxwell namówiła ministra Balfoura na pierwszą w jego życiu wizytę w nocnym klubie. Nawet Wilson, zwykle kładący się spać przed 22.00, dał się wyciągnąć żonie na rewię. Przyznał potem jednak, że wiele żartów raziło jego smak.

Grywano w tenisa i w brydża, popularne były przechadzki po Lasku Bulońskim, koktajle w barze u Ritza i dancingi w Majesticu. Sekretarki, maszynistki i pielęgniarki znały najnowsze tańce, od bostona do fokstrota.

Również w Majesticu sekretarz Balfoura Ian Malcolm urządzał odczyty swoich poematów i organizowano amatorskie przedstawienia teatralne. Brytyjski oficer, który przybył z wieściami o sytuacji w środkowej Europie, narzekał: „Nikt odpowiedniej rangi nie trudził się wysłuchaniem relacji o okropnych warunkach życia w Polsce, wszystkich bowiem pochłaniała dyskusja, czy salę balową wykorzystywać do przedstawień z wyjątkiem tańców we wtorki i czwartki, czy tylko we wtorki". Najmłodsza córka Lloyda George'a, 16-letnia Megan bawiła się tak dobrze, że powstał dowcip, iż hotel należałoby przemianować na Megantic. Aż ojciec się zdenerwował i odesłał ją do domu.

Nie wszyscy szaleli towarzysko. Vittorio Orlando i jego minister spraw zagranicznych Giorgio Sidney Sonnino najchętniej przesiadywali w hotelu. Robert Lansing czytał wieczorami dzieła filozoficzne. Lloyd George tylko sporadycznie bywał w restauracji lub w teatrze, ale za to zdarzało mu się flirtować z pięknymi paniami, do czego Frances Stevenson podchodziła wyrozumiale.

Polityka przy jedzeniu

Paryż mniej tańczył niż 100 lat wcześniej Wiedeń. Przeważały obiady i kolacje, gdzie załatwiano najważniejsze sprawy. Narody petentów wydawały wystawne posiłki i przy okazji przedstawiały swoje roszczenia. Członek delegacji amerykańskiej Charles Seymour pisał do żony: „Jutro kolacja z Bratianu, w sobotę obiad z włoskimi liberałami, wieczorem kolacja z Serbami, w poniedziałek kolacja z Czechosłowakami, Kramařem i Benešem".

Obiad, który Polacy wydali dla Amerykanów, trwał kilka godzin. Przy stole kolejni historycy, ekonomiści i geografowie uzasadniali polskie postulaty. Chińczycy zaprosili na kolację zagranicznych dziennikarzy i ci wielce się zdziwili, że przy kolejnych daniach mówi się o wszystkim, tylko nie o konferencyjnych konkretach. Amerykanie mieli dosyć o wpół do czwartej i opuścili przyjęcie. Pozostawiony ochotnik do rana nie doczekał się podania przez gospodarzy powodu wydania bankietu.

Biczowanie Niemców

Delegacji niemieckiej przewodził Ulrich von Brockdorff-Rantzau, wyniosły, noszący monokl, smukły, nienagannie ubrany. Krążyły plotki, że jego przodek był prawdziwym ojcem Ludwika XIV. Zapytany o to, odparł dumnie: „O tak, w mojej rodzinie od 300 latach uważa się Burbonów za bastardów Rantzauów". Uwielbiał brandy i szampana, jak twierdzili niektórzy nadmiernie. Podobno nie stronił od narkotyków.

Francuzi specjalnie zwalniali pociąg wiozący Niemców, gdy przejeżdżał przez tereny zniszczone wojną. Jeden z nich odebrał to jako duchowe biczowanie.

La grande finale

Ceremonię podpisywania wyznaczono na 28 czerwca, w rocznicę zabójstwa arcyksięcia Ferdynanda. Miała się odbyć w Galerii Zwierciadlanej Pałacu Wersalskiego, gdzie w 1871 r. ogłoszono powstanie cesarstwa Niemiec. Clemenceau osobiście kierował przygotowaniami. Zamówił wspaniałe meble i mające podkreślić wielkość chwili gobeliny, nakazał zabrać nieprzyzwoity kałamarz i zakupić coś bardziej odpowiedniego. Ludzie polowali na bilety wstępu, które osiągały niebotyczne ceny.

O 3.00 nad ranem 28 czerwca, w odpowiednich miejscach spowalnianym pociągiem, przyjechali z Niemiec dwaj ministrowie uprawnieni do podpisania traktatu, Hermann Müller i Johannes Bell. Paryż huczał od gorączkowych plotek. Niemcy podpiszą traktat, ale się zastrzelą. A może zastrzelą też Lloyda George'a i Clemenceau? Nie, na pewno rzucą bombę.

Półtorakilometrową drogę od bram do samego pałacu wyznaczała linia francuskiej jazdy w niebieskich mundurach i stalowych hełmach. Na głównych schodach stał szpaler elitarnej Gwardii Republiki z wzniesionymi szablami. Po raz pierwszy tak doniosłe wydarzenie miano filmować. W Galerii zebrali się tłumnie politycy, dyplomaci, generałowie, reporterzy i weterani oraz nieliczne kobiety. Na końcu sali tłoczył się korpus prasowy. Nie stawił się marszałek Foch, konsekwentny wobec własnej wypowiedzi: „Wilhelm II przegrał wojnę [...], Clemenceau przegrał pokój". Brakowało też Chińczyków, którzy odmówili podpisania traktatu w proteście przeciwko oddaniu Japonii Szantungu.

Główni bohaterowie kolejno zajmowali miejsca za wielkim stołem. Egzemplarz traktatu w specjalnej skórzanej szkatułce leżał na stoliczku Ludwika XV, a z góry spoglądał nań z reprezentacyjnych portretów Ludwik XIV. O 15.00 woźni zarządzili ciszę i wprowadzono pod eskortą Niemców. Byli „śmiertelnie bladzi". Mieli własne pióra, nie chcieli korzystać z tych dostarczonych przez francuskie stowarzyszenia patriotyczne. Drżącymi rękami złożyli podpisy, nie okazując poza tym emocji. Później nalegali na wyjazd do Niemiec jeszcze tego samego dnia.

Alianci i stowarzyszone państwa składali kolejne podpisy pod traktatem, a potem pod dwoma innymi dokumentami: protokołem administracji nadreńskiej oraz układem z Polską. Na dany sygnał zagrzmiały triumfalnie działa. Przywódcy konferencji wyszli na taras. Zebrany na zewnątrz tłum wiwatował.

Już po wszystkim

Wieczorem w Majesticu Brytyjczycy wydali specjalny obiad z darmowym szampanem, po czym odbyły się tańce. Tańczono też na ulicach. Gdy Paryż świętował, Niemcy pogrążyły się w żałobie. Nawet socjaliści mówili tam o „hańbie pokoju".

Nazajutrz po popisaniu traktatu Lloyd George wyjechał do Anglii, Wilson odpłynął do Stanów dzień później. Sama konferencja trwała do stycznia 1920 r., teraz przypominając przedstawienie opuszczone przez głównych aktorów. Po wyjeździe delegatów i dziennikarzy hotele podjęły normalną pracę, a panie lekkich obyczajów mogły zacząć narzekać na spadek koniunktury.

Roztańczony Hôtel Majestic, opuszczony przez Brytyjczyków pod koniec lata, dwie dekady później stanie się kwaterą okupującej Paryż niemieckiej armii.

Artykuł powstał na podstawie książki Margaret Macmillan „Paryż 1919", w tłumaczeniu Miłosza Młynarza, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Napoleon V.

eprasa.pl d16ae12b4e

TRAKTAT WERSALSKI w prasie francuskiej

28–29 czerwca 1919 r.

Prasa francuska w 1919 r. (wybrane tytuły):

„Le Figaro"

„Le Temps"
dziennik konserwatywny

„L'Humanité"
dziennik socjalistów francuskich, istnieje do dziś jako dziennik komunistyczny

„L'Echo"
gazeta prawicowa

„Le Petit Parisien"
popularna gazeta paryska

„Le Petit Journal"
tania, popularna gazeta

„Le Matin"
dziennik prawicowy

PRASA FRANCUSKA POŚWIĘCIŁA BARDZO DUŻO MIEJSCA KONGRESOWI W WERSALU, A W SZCZEGÓLNOŚCI CEREMONII PODPISANIA TRAKTATU 28 CZERWCA 1919 r.


Le Matin
LA PAIX EST CONCLUE
Le traité de Versailles a été signé hier 28 juin de 15 h. 9 à 15 h


Le Petit Journal
SUPPLÉMENT ILLUSTRÉ
DIMANCHE 25 MAI 1919

JOANNA METZGER

Gazety we Francji na bieżąco informowały czytelników o postępach w pracach, umieszczając na pierwszych stronach artykuły i notatki o najważniejszych wydarzeniach. Oto trzy przykłady w porządku chronologicznym.

Powitanie prezydenta Wilsona we Francji – „L'Echo de Paris" z 14 grudnia 1918 r.

Statek „Georges Washington" przybija do portu w Breście w asyście okrętów wojennych i w pełnym słońcu. Tłumy owacyjnie witają prezydenta Wilsona i jego małżonkę. „L'Echo de Paris" z 14 grudnia 1918 r. dokładnie opisuje te chwile, a w osobnym artykule przypomina wszystko to, co Europa zawdzięcza prezydentowi Stanow Zjednoczonych.

„To był jeden wielki okrzyk miłości!" – tytułuje „Le Petit Parisien" z 15 grudnia 1918 r.

Gorące powitanie prezydenta Wilsona w Paryżu i opis przyjęcia na jego cześć: „Francja i Stany Zjednoczone prawdziwi przyjaciele, w przeszłości, dziś i na zawsze, toast wzniesiony przez prezydenta Poincaré.

Polska odrodzona. „Le Petit Journal" z 16 marca 1919 r.

Artykuł jest podzielony na dwie odrębne części. Pierwsza, zatytułowana „Kontrasty dzisiejszej Polski: bogactwo i nędza", opisuje obrazowo biedę

w kraju, gdzie „para butów kosztuje 600 marek, a spodnie 1500. W restauracji można dostać wszystko, co się chce, ale mała bułeczka kosztuje 1 markę, małe ciastko trzy itd.". Następują dramatyczne opisy nędznej ludności, głównie w miastach takich jak Warszawa. Natomiast wielkie posiadłości ziemskie nie tylko nic nie straciły na wojnie, ale wręcz się wzbogaciły. W porównaniu z zachodnią Europą nie było w zaborze rosyjskim mobilizacji, nie zabrakło więc rąk do pracy. Autor, specjalny wysłannik gazety, Marcel Ray, jako dowód na bogactwo polskich właścicieli ziemskich podaje, że obligacje państwowe w wysokosci 300 tys. marek zostały wykupione przez jednego księcia Lubomirskiego, a za 20 mln marek wykupili obligacje ziemianie z okolic Wilna. I na zakończenie stwierdza, że powoli rodzi się atmosfera zaufania do polityki finansowej rządu.

Druga część artykułu nosi tytuł „Jakie będą granice nowego Państwa?". Ozdobiony mapą Polski z 1772 r., czyli z epoki pierwszego rozbioru, jest napisany z punktu widzenia wojskowego i podpisany przez płk. de Thomassona. „Z puntku widzenia militarnego, a o tym tylko chcę tu pisać – pisze pułkownik – chodzi o to, aby państwo polskie było wystarczajaco silne, by móc powstrzymać napór Rosji (jeśli będzie nadal bolszewicka) i jednocześnie być groźbą dla Prus, gdyby znowu zachciało się im nowej wojny". Dalej wyszczególnia wszystkie regiony, które wejdą w skład nowego państwa.

Delegacja włoska opuszcza Kongres, „Le Petit Parisien" z 24 kwietnia 1919 r.

Na czele z premierem Orlando decyduje się na opuszczenie kongresu, powrót do Włoch i konsultacje w sprawie regionu Fiume, który na mocy układów międzynarodowych stanie się wkrotce maleńkim państwem niepodległym. Dziennik ma nadzieję, że to tylko chwilowy „urlop". Zamieszcza też tekst deklaracji Wilsona poświęconej temu tematowi. „...port w Fiume ma zapewnić dostęp do morza i rozwój handlu takim krajom jak Węgry, Rumunia i państwa jugosławiańskie i tym samym zapewnić pokój. Oddanie Fiume Włochom stworzyłoby przeświadczenie w tych państwach, że oddaliśmy go z całym rozmysłem, jednemu tylko mocarstwu".

Ceremonia podpisania traktatu

I wreszcie 28 czerwca 1919 r. „Le Figaro" zapowiada podpisanie traktatu w Wersalu w Galerii Zwierciadlanej. Następnego dnia ten sam dziennik poświęca już całą pierwszą stronę temu wydarzeniu. I zaczyna od znaczenia tej wspaniałej sali dla wszystkich Francuzów: „Prawie 50 lat temu była ona świadkiem największego upokorzenia w naszej historii" (przegrana w wojnie z Prusami i ogłoszenie Cesarstwa Niemieckiego w 1871 r.). Następuje dokładny, ale dość oszczędny opis przybycia wszystkich delegacji i gazeta oddaje głos premierowi Georges'owi Clemenceau: „Mam zaszczyt zaprosić panów pełnomocników niemieckich do złożenia podpisu na traktacie". Gazeta podaje trzy najważniejsze dokumenty traktatu, w tym „status uznania niepodległości Polski podpisany przez reprezentatów pięciu mocarstw i Polski".

Inaczej wygląda opis tej samej ceremonii w dzienniku „Le Matin", wydanie z niedzieli 29 czerwca 1919 r. „Pokój został zawarty" – tytuł ten rozciąga się na całą pierwszą stronę. Pod nim zamieszczono wielkie zdjęcie z Galerii Zwierciadlanej ukazujące uczestników kongresu. Na pierwszym planie widać trzy puste krzesła. „Te krzesła były zarezerwowane dla delegatów chińskich, którzy jednak odmówili podpisania traktatu" – wyjaśnia w legendzie gazeta.

Olbrzymia część artykułu jest poświęcona opisowi sali i atmosfery w niej panującej, a ton tekstu jest ironiczny. W Galerii podniesiono o kilka centymetrów parkiet, na nim umieszczono olbrzymi stół w kształcie podkowy. W środku ustawiono biurko w stylu Ludwika XIV, a nim kałamarz i gęsie pióro... Nie ma flagi, nie ma kwiatów i ani jednej nuty muzyki. Jest bardzo dużo kobiet na sali, „czy ich obecność jest wynikiem naszej tradycyjnej galanterii czy też nowoczesnego koleżeństwa?" – pyta autor. Jedyny dobry pomysł to mała grupa żołnierzy, inwalidów tej wojny, zaproszonych na ceremonię podpisania traktatu. Właśnie premier Clémenceau wita się z nimi...

Godzina 15.00, wchodzi delegacja niemiecka. O 15.09 zaczyna się składanie podpisów. Pan Müller, niemiecki minister spraw zagranicznych, składa podpis i jego kolega pan Bell, minister komunikacji. Nastepnie delegacja amerykańska z prezydentem Wilsonem powstaje i kieruje się do wspaniałego biurka, aby złożyć podpisy. O 15.55 ostatni pełnomocnik, jest nim reprezentant Urugwaju, podpisał traktat. „Wszystko zostało spełnione" – tak się kończy ta część artykułu. Na samym końcu autor umieszcza notatkę dotyczącą Chin. Delegacja chińska opublikowała memorandum, w którym wyjaśnia swoją postawę. Chodzi o prowincję chińską Chantoug, która z rąk niemieckich przechodzi do rąk japońskich.

W wielu gazetach pojawia się jeden ważny wątek. Można go określić pełnym niepokoju pytaniem:

I co dalej?

Na przykład „Le Temps" pisze na pierwszej stronie wydania z dnia 29 czerwca 1919 r.:

„...Pokolenia, które przyjdą po nas, ocenią być może, że byliśmy zbyt wymagający lub zbyt naiwni, uważając, że po kilku miesiącach pertraktacji osiągnęliśmy stałą równowagę sił między państwami. I to po tej strasznej, morderczej wojnie, najgorszej jaką znała ludzkość. Wojnę spowodowała deprawacja Niemiec, pokój będzie możliwy tylko wtedy, gdy się zmienią Niemcy".

„L'Humanité" zupełnie inaczej traktuje to wydarzenie. Podpisanie traktatu i opis samej ceremonii zajmują drugą połowę artykułu zamieszczonego na pierwszej stronie gazety pod tytułem „Pokoj podpisany. Teraz trzeba zakończyć wojnę!". Artykuł zaczyna się od stwierdzenia, że wojna jeszcze trwa. Rządy prowadzą wojnę przeciwko rewolucji w Rosji i na Węgrzech (Węgierska Republika Ludowa od listopada 1918 do marca 1919). Przeciwko robotniczym republikom, które starają się żyć, nie stanowiąc zagrożenia dla nikogo. A dalej ostra krytyka samego traktatu, który ma na celu ustalenie dominacji krajów anglosaskich nad światem. Co do Niemiec, to chodzi w tym układzie o to, by je całkowicie rozbroić i otoczyć uzbrojonymi od stóp do głów państwami, takimi jak Polska, Czechy, Serbia i sprzymierzonymi ze zwycięzcami.

„Ten traktat podpisany przez reprezentantów międzynarodowej burżuazji jest nie do przyjęcia przez proletariat" – podsumowuje gazeta.

Tłumaczenie autorki

FOT. SHUTTERSTOCK, EAST NEWS/AKG-IMAGES

EUROPA PO TRAKTACIE WERSALSKIM



ebraa.pl d16ae12b4e



Spotkanie Heinricha Himmlera z szefem NSB Antonem Mussertem, 1942 r.

1943 – rok brunatnych tulipanów



PAWEŁ SKIBIŃSKI

W 1943 r. większa część Europy wciąż znajdowała się pod okupacją niemiecką. Hitlerowcy opanowali we wrześniu tego roku nawet znaczną część Włoch, po tym jak Królestwo Włoch wycofało się z wojny. W rękach niemieckich znajdowała się także część Europy Zachodniej zdobyta w kampanii 1940 r., m.in. Holandia.

Poważne wpływy miały tam ugrupowania kolaboracyjne, opowiadające się za współpracą z Niemcami. Miejscowi kolaboranci byli zaś zwalczani przez lokalny ruch oporu, złożony ze zwolenników współdziałania z aliantami.

5 lutego 1943 r. holenderscy bojownicy zabili dowódcę Holenderskiego Legionu Ochotniczego, formacji zbrojnej zrzeszającej holenderskich ochotników walczących na froncie wschodnim – gen. por. Hendrika A. Seyffardta. Seyffardt został zastrzelony przez dwóch członków komunizującej komórki CS-6. Zamordowano go, ponieważ był bliskim współpracownikiem głównego holenderskiego kolaboranta – Antona Adriaana Musserta.

Mussert był liderem NSB, czyli Narodowosocjalistycznego Ruchu Holenderskiego. Była to jedyna legalna partia polityczna w Holandii w okresie okupacji niemieckiej. NSB powstał jednak jeszcze w 1931 r. Zjednoczył wówczas wszystkie faszystowskie ugrupowania holenderskie. W 1935 r. partia uzyskała aż 8 proc. głosów w wyborach do parlamentu, jednak w kolejnym głosowaniu w 1937 r. – już tylko 5 proc.

Istniały paramilitarne bojówki partyjne – Weerbaarheidsafdeling, a także młodzieżówka: Nationale Jeugdstorm – dosłownie Młodzieżowa Burza Narodowa. Od 1933 r. działacze NSB stosowali pozdrowienie Hou zee (dosł. Trzymaj kurs, odpowiednik nazistowskiego Heil Hitler). Sam Mussert zaś przyjął tytuł Leidera (analogiczny do Führera).

Od 1936 r. – wzorujący się dotychczas na włoskich faszystach – Mussert znalazł się pod wpływem NSDAP, przyjął kurs rasistowski i skrajnie antysemicki. W czasie niemieckiej okupacji podjął daleko idącą współpracę z okupantami.

W 1941 r. Mussert złożył przysięgę wierności Hitlerowi, a w 1942 r. został uznany przezeń jako „wódz narodu holenderskiego". Wówczas do NSB należało aż 100 tys. Holendrów. Nie było to mało, jeśli weźmie się pod uwagę, że cała populacja kraju liczyła niecałe 9 mln.

NSB sformowało w 1941 r. Ochotniczy Legion Holenderski, na którego czele stanął wspomniany Seyffardt, dawny szef sztabu armii holenderskiej. Liczebność Legionu dochodziła nawet do 2,5 tys. żołnierzy. Toczyli oni przez prawie dwa lata ciężkie walki na froncie sowieckim, głównie podczas oblężenia Leningradu. W wyniku dużych strat i zabójstwa dowódcy morale legionistów raptownie spadło, a dwa miesiące po zamachu na Seyffardta Legion został ostatecznie rozwiązany. Jego żołnierze przeszli do jednego z holenderskich pułków grenadierów Waffen-SS.

W przeciwieństwie do znacznej części holenderskich kolaborantów Mussert nie był zwolennikiem scalenia Holandii z III Rzeszą, lecz opowiadał się za stworzeniem tzw. Wielkiej Holandii, tj. za włączeniem ziem belgijskiej Flandrii do jednego państwa holenderskiego.

Zwolennikiem scalenia z Niemcami był natomiast główny propagandysta NSB – Meinout Marinus von Tonningen. Mussert był więc stopniowo przez okupantów marginalizowany, jednak wciąż był twarzą polityki kolaboracji. Nic więc dziwnego, że został aresztowany w 1945 r. przez aliantów, osądzony i skazany na śmierć przed holenderskim sądem. Rozstrzelano go w 1946 r.

Von Tonningen był prawnikiem, specjalistą od prawa międzynarodowego i przedwojennym urzędnikiem Ligi Narodów. Był deputowanym NSB do parlamentu holenderskiego, w którym zgłosił m.in. projekt przymusowego przesiedlenia holenderskich Żydów do Surinamu. W 1940 r. w obliczu agresji niemieckiej na Holandię został uznany za zdrajcę stanu i wywieziony do Francji, skąd go jednak Niemcy uwolnili.

W czasie II wojny światowej kierował werbunkiem do holenderskiego pułku SS „Westland", działającego w ramach dywizji SS „Wiking", a potem do formacji Nederlandische SS. Formacje ochotnicze SS składały przysięgę na wierność Adolfowi Hitlerowi jako germańskiemu Führerowi. Liczyły one ok. 4 tys. ludzi. Choć formalnie jednostki te stanowiły część NSB, w praktyce zależały jedynie od szefostwa SS i Himmlera, z całkowitym pominięciem Musserta. W 1944 i 1945 r. walczyły przeciwko aliantom, m.in. holenderskiej Brygadzie Księżniczki Ireny.

Sam von Tonningen od drugiej połowy 1944 r. jako oficer SS dowodził kolaborancką holenderską obroną terytorialną, a następnie walczył na froncie.

Po kapitulacji Niemiec partia NSB została zdelegalizowana 6 maja 1945 r. Jej lider Mussert został zaś aresztowany następnego dnia. Wielu członków NSB także pojmano, ale tylko kilku zostało skazanych i straconych, m.in. sam Mussert. Von Tonningen również został zatrzymany przez żołnierzy kanadyjskich, a następnie zamordowany w holenderskim więzieniu lub popełnił tam samobójstwo.

Taki smutny koniec spotkał holenderskich kolaborantów politycznych z nazizmem.

FOT. NAC

eprasa.pl d16ae12b4e

Niepodległość była celem najważniejszym

Z Romanem Zwiercanem, współzałożycielem Solidarności Walczącej Oddziału Trójmiasto, rozmawia Artur Adamski

Walkę z reżimem komunistycznym podjąłeś w młodym wieku, w sposób bardzo śmiały i w czasach, w których tak zdecydowane postawy młodzieży były rzadkością. Jakie były źródła tak nadzwyczajnej aktywności?

Roman Zwiercan: Od wczesnego dzieciństwa wielką wartością była dla mnie moja ojczyzna. Oczywiście w wieku wczesnoszkolnym taka świadomość dopiero się we mnie formowała. Jednak już wtedy, kiedy miałem kilka lat, jak magnes przyciągały mnie filmy o polskiej historii. Wcześnie zacząłem się zaczytywać w książkach o Polakach walczących o wolność, a coraz bardziej zacząłem też sobie zdawać sprawę z tego, że Polska, w której dorastam, krajem wolności nie jest.

Czy do podejmowania odważnych, nawet nieco szalonych decyzji popychała cię atmosfera rodzinnego domu?

Raczej nie. Moi rodzice nie należeli do kręgów w PRL szczególnie uprzywilejowanych ani znaczących, jednak do takich, o których się mówiło, że ustrojowi zawdzięczali jakiś społeczny awans. Mieli w pamięci te biedne wioski, z których pochodzili, i doceniali to, co w „ludowej" Polsce udało im się osiągnąć. Choć nie były to osiągnięcia duże – ojciec był podoficerem wojsk lotniczych, mama skończyła studia i pracowała w niewielkiej szkole, mieliśmy malutkie mieszkanie w centrum Gdyni. Mimo że dalecy od postaw opozycyjnych, dość często moi rodzice słuchali Wolnej Europy.

W Grudniu '70 miałeś osiem lat...

I wydarzenia oglądałem głównie przez okno. Całe miasto huczało od wystrzałów i tonęło w chmurach gazu, ale wiele działo się też bezpośrednio pod naszym domem. Ulicą na przemian szły pochody i sunęły czołgi, kawalkady pojazdów pancernych i wozów milicji. Najbardziej przerażające były tłumy ścigane kulami. Byłem dzieckiem, ale istoty tych przerażających wypadków trudno było nie rozumieć. Wszędzie wokół bandziory uzbrojone w czołgi, karabiny, helikoptery katowały i mordowały bezbronnych ludzi.

A jak do tego, co się działo, ustosunkowywali się twoi rodzice?

Byli wstrząśnięci. Kiedy mój ojciec po tej tragedii pojawiał się na ulicy w wojskowym mundurze, spotykał się z wrogością i bardzo to przeżywał. Nie było go wśród występujących przeciw Polakom, jednak był żołnierzem wojska służącego nie Polsce, lecz niewolącemu Polskę mocarstwu. Żołnierzem armii, która strzelała do Polaków walczących o wolność. To było przyczyną konfliktu narastającego między mną a moimi rodzicami.

Jako nastolatek próbowałeś podjąć rzeczywistą działalność opozycyjną.

Zawsze uważałem, że walka o niepodległość, o uwolnienie Polski i świata z komunistycznego zniewolenia jest obowiązkiem. I od lat chłopięcych w walce tej chciałem czynnie brać udział. Trochę jednak śmiać mi się dzisiaj chce z moich pierwszych prób podjęcia tej walki. W latach 70. Radio Wolna Europa bardzo dużo mówiło o Jacku Kuroniu. Dziś wiem, że było to lansowanie postaci, środowisk i opcji pasujących do czyichś zagranicznych interesów. Wtedy wnioskowałem, że jeśli Wolna Europa ciągle mówi o nim, to musi on być dla komunizmu

Podrobiona legitymacja studencka, którą posługiwał się Roman Zwiercan w drugiej połowie lat 80. jako członek Solidarności Walczącej



eprasa.pl d16ae12b4e

niebezpieczny. Chciałem się więc z nim spotkać, by zacząć mu jakoś pomagać. Nie pamiętam już, skąd wzięło się moje błędne domniemanie, że Kuroń mieszka w Krakowie. W każdym razie pojechałem pociągiem do Krakowa i w tamtejszym biurze adresowym starałem się dowiedzieć, gdzie mieszka. Oczywiście wielkim wydarzeniem był dla mnie Sierpień '80. Robiłem wszystko, co tylko było możliwe, by wspierać strajkujących. Kolportowałem otrzymywane od nich gazetki, malowałem popierające ich napisy na murach. Byłem pełen wiary w to, że celem tej walki jest coś o wiele większego od realizacji postulatów socjalnych. Tworzący Solidarność byli dla mnie bohaterami i na tym tle doszło do jednej z większych kłótni z moim ojcem, po której wyprowadziłem się z domu, rzuciłem szkołę i wyjechałem na Śląsk, gdzie zatrudniłem się w kopalni. Górnicy też byli dla mnie wielkimi bohaterami. Mówiło się, że to ich przyłączenie się do strajku przesądziło o zwycięstwie Sierpnia. Parę miesięcy pracy z nimi pogrążyło mnie jednak w głębokim rozczarowaniu. W rozmowach z nimi w ogóle nie było miejsca na sprawy takie jak niepodległość czy obalanie komunizmu. Horyzontem ich marzeń okazały się dobrze zaopatrzone sklepy, w których można by kupować bez stania godzinami w kolejkach, wyższe pensje, krótsze oczekiwanie na przydział mieszkania. A ja chciałem walczyć o niepodległość. Szukałem gotowych do otwartej walki z komunizmem. Walczono z nim w Afganistanie. Stąd prosty wniosek – trzeba się tam dostać. Postanowiłem się przedrzeć przez te kilka granic dzielących Polskę od Afganistanu. Początkowo szło nieźle. Przez góry przeszedłem do Czechosłowacji, w Pradze wsiadłem do międzynarodowego pociągu, w którego toalecie odkręciłem płytę sufitową i ukryłem się w przestrzeni oddzielającej sufit od dachu. Niestety, miejsce to strażnikom granicznym było znane, jako wykorzystywane przez przemytników. Przed kolejną granicą znalazłem się więc w rękach czechosłowackiej milicji.

I w Czechosłowacji zastał cię stan wojenny?

Tak. Potem jednak przekazano mnie służbom PRL. Wylądowałem w areszcie na terenie krakowskiej jednostki wojskowej. W lutym 1982 r. rozpoczął się mój proces w Sądzie Garnizonowym. Zaskoczyło mnie pojawienie się ojca siedzącego na sali w polowym mundurze z kaburą pistoletu przy pasie. Przypuszczam, że to jego obecności zawdzięczam wyrok w zawieszeniu. Ten wojskowy sąd chyba uznał, że surowe karanie syna wojskowego w czasach, w których reżim potrzebował tych wojskowych jak powietrza, nie jest im do niczego potrzebne. Wlepili mi więc wyrok w zawiasach, po czym ojciec zabrał mnie samochodem do Gdyni.

W SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ NIKT NICZEGO NIE ROBIŁ DLA SŁAWY. TO BYŁA ORGANIZACJA ZŁOŻONA Z TYSIĘCY BEZIMIENNYCH, GOTOWYCH NA KAŻDE POŚWIĘCENIE I NIEOCZEKUJĄCYCH ŻADNEJ NAGRODY

Kiedy ma się wyrok w zawieszeniu, każda działalność oznacza spotęgowane ryzyko.

Wiele sobie z tego nie robiłem. Musiałem podjąć pracę, gdzie od razu szukałem jakichś konspiracyjnych kontaktów. Nocami malowałem napisy na murach, po pracy ulotki – na przemian powielałem lub rozrzucałem. I nie było demonstracji, w której bym nie uczestniczył. W czasie jednej z nich o mały włos by mnie zatrzymali. To znaczy zomowcy mnie złapali, ale udało mi się im wyrwać. W ich rękach została moja kurtka. Biegać musiałem nieźle, bo udało mi się uciec.

A kontakty konspiracyjne wtedy, w 1982 r., udało ci się nawiązać?

Owszem, nawet sporo ludzi wtedy konspirowało, ukazywało się dość dużo podziemnych gazetek. Jednak ani żaden ze znanych mi wtedy opozycjonistów, ani którykolwiek z tytułów docierającej do mnie prasy drugiego obiegu nie wyrażał zainteresowania tym, co dla mnie było najważniejsze – niepodległością i obaleniem komunizmu. Powrót legalnej Solidarności nie był dla mnie żadnym celem. Jaki to miało sens w kraju rządzonym przez komunistów, którzy właśnie udowodnili, że każde społeczne umowy mogą zrywać, każde prawa łamać i że jeśli zgodzą się na namiastkę wolności, to nie zawahają się potem stłumić jej czołgami? Zupełnie nie rozumiałem tych minimalistycznych celów wskazywanych przez Solidarność. A apele do reżimu o porozumienie, deklarowanie gotowości do ustępstw było dla mnie oczywistą drogą do jakiegoś fikcyjnego układu społecznego, którego rzeczywistymi beneficjentami byliby sługusi Moskwy. Wykastrowana Solidarność może by wtedy istniała, ale siedząc w kącie z podkulonym ogonem. Pod koniec 1982 r. przygnębiająco zaczęły na mnie działać także demonstracje. Póki były liczne i zdecydowane – oceniałem je jako dotkliwe ciosy zadawane reżimowi. Potem zaczęły się ograniczać do różnych rocznicowych mszy św. Kościelne uroczystości miały podniosły nastrój, nie po raz pierwszy w polskiej historii świątynie stawały się ostatnimi bastionami wolności. Większości uczestników tych wydarzeń wystarczało jednak pooddychanie patriotycznym nastrojem, poobcowanie z pokrzepiającym wolnym słowem. Poznałem mnóstwo ludzi obecnych na każdej mszy św. za ojczyznę, także aktywnych w duszpasterstwach akademickich, lecz nie znalazłem wśród nich nikogo skłonnego do robienia czegoś konkretnego na rzecz niepodległości, do podejmowania działań naprawdę kruszących komunizm.

Bez twardej walki komunizmu obalić by się nie dało?

Łagodny opór oceniałem jako przeciwskuteczny, hartujący tyranię. Ja z komunizmem chciałem walczyć, więc znów zapragnąłem dotrzeć do Afganistanu. Miałem kolegę, który uważał tak samo. Razem zatrudniliśmy się w porcie, poznaliśmy różne zakamarki statków i zasady ich funkcjonowania. W końcu pojawił się taki, który miał wyruszyć w rejs do Indii. Ukryliśmy się na nim, zakładając, że ujawnimy swą obecność po »

eprasa.pl d16ae12b4e

» przekroczeniu Cieśnin Duńskich. Nie wiedzieliśmy, że wyjście w morze przesunięte zostało o kilka dni. Do tego rejs po Bałtyku odbywał się w żółwim tempie, bo było to korzystne dla płac załogi. Z naszych obliczeń wynikało, że po 36 godzinach w morzu powinniśmy być już na Morzu Północnym, tymczasem byliśmy dopiero na wysokości Świnoujścia. Tam odkryto naszą obecność. W moim przypadku była to recydywa, co oznaczało sąd i więzienie. Wyszedłem po roku i ośmiu miesiącach, w kwietniu 1984 r. zawieszono mi resztę – połowę wyroku.

I wtedy trafiłeś do Solidarności Walczącej?

Od Wiesi Kwiatkowskiej dostałem gazetki z programem Solidarności Walczącej i zostałem członkiem tej organizacji, dzięki której zacząłem odzyskiwać nadzieję na prawdziwą walkę o niepodległość. Do tego podziemna Solidarność właśnie przygotowywała ogólnopolski strajk. Byłem wtedy zatrudniony w Stoczni im. Komuny Paryskiej, bardzo liczyłem na to, że ten protest przeobrazi się w coś wielkiego. W dniu, w którym mieliśmy zacząć, należałem do tych, do których nie dotarła nagła decyzja Lecha Wałęsy o odwołaniu protestu. O ustalonej porze, wraz z kolegą, wyłączyliśmy maszyny. A że byliśmy w tym odosobnieni – za te w sumie 15 minut protestu natychmiast wyrzucono nas z pracy. Postanowiliśmy żądać cofnięcia tej decyzji, rozpoczynając następnego dnia strajk głodowy w takim miejscu, z którego nie będzie nas można wynieść. Przed świtem udało nam się dostać na teren stoczni, wdrapaliśmy się na szczyt najwyższego komina, na którym wielkimi literami wymalowaliśmy, o co nam chodzi i że tam właśnie prowadzimy głodówkę. Zaczął się zbierać coraz większy tłum stoczniowców, więc zaczęto z nami negocjować. Zgodziliśmy się zejść po oświadczeniu dyrektora, że zostaniemy przywróceni do pracy. Zaproszono nas do biura pod pretekstem załatwienia niezbędnych formalności. Gdy weszliśmy do gabinetu dyrektora, okazało się, że to pułapka, w której czekali na nas esbecy. Spędziliśmy w gabinecie kilka godzin, aż do końca zmiany. Kiedy stocznia opustoszała, wyprowadzili nas i prawie dwie doby spędziliśmy w areszcie. Spodziewali się, że jeśli nie zostaniemy wypuszczeni przed upływem 48 godzin – potrafimy im narobić kłopotów. Tym bardziej że upominała się o nas część załogi stoczni. Aby uspokoić nastroje, po upływie 47 godzin przewieziono więc nas do szpitala psychiatrycznego. Formalnie nie byliśmy aresztowani, ale przetrzymywali mnie ponad miesiąc. Dopiero po podjęciu głodówki po dwóch czy trzech dniach zostałem zwolniony.





Roman Zwiercan – portret z czasów działalności podziemnej (po lewej) ...i po dwóch dekadach, już w czasach III RP

W Związku Sowieckim szpitale psychiatryczne na masową skalę były wykorzystywane jako metoda trwałej izolacji opozycjonistów, ale w PRL większość lekarzy nigdy by się na to nie zgodziła.

Możliwe, że większość. Ci, którzy decydowali o moim pobycie w zakratowanym oddziale w psychuszce, byli jednak inni. W opinii po moim zwolnieniu napisali: „Badany mimo licznych perswazji odmówił poddania się badaniu fizykalnemu oraz przeprowadzeniu badań dodatkowych [...]. Odmówił również przeprowadzenia z nim badania sądowo-psychiatrycznego (udzielenie wywiadu i przedstawienie motywacji swojego czynu). Nie zgodził się również na wykonanie testowych badań psychologicznych ani inne formy badań psychologicznych. W tej sytuacji zagrożonej dodatkowo treścią pisma badanego o podjęciu głodówki, w warunkach naszego szpitala nie byliśmy w stanie prowadzić dalszej obserwacji i liczyć na zmianę negatywistycznej postawy badanego [...]. W związku z tym proponujemy poddanie podejrzanego obserwacji sądowo-psychiatrycznej w warunkach takiego szpitala psychiatrycznego, który może przeprowadzić dłuższą obserwację sądowo-psychiatryczną (jeżeli postawa podejrzanego wobec proponowanych mu badań dodatkowo nie ulegnie zmianie) i tym samych wypowiedzieć się jednoznacznie odnośnie jego poczytalności". To swoiste kuriozum. Gdzie chcieli mnie zesłać? Do sowieckiej psychuszki? Pod tym zaleceniem – propozycją podpisało się trzech „specjalistów". Po wypisaniu mnie ze szpitala zgłosiłem ks. Hilaremu Jastakowi (kapelanowi gdyńskiej Solidarności), że zostałem zwolniony i autobusem udałem się do domu. Po drodze miałem przesiadkę niemal pod oknami komisariatu milicji. Na przystanku, w okolicy którego nie było nikogo, nagle pojawiło się kilku drabów. Spuścili mi ciężki łomot, krew zalewała mi oczy, nie byłem w stanie stać na nogach. Do dziś wdzięczny jestem taksówkarzowi, który się zatrzymał, zawiózł mnie do szpitala i nie chciał zapłaty, mimo że pokrwawiłem mu fotele i tapicerkę. Wśród obrażeń, które u mnie stwierdzono, było wyłamanie stawu kolanowego stanowiące mój problem do dzisiaj. Nogę w gipsie miałem łącznie przez trzy miesiące. Kiedy, całego w opatrunkach, zobaczyła mnie Wiesia Kwiatkowska, od razu powiedziała: „Musimy nagłośnić tę sprawę, bo następnym razem zatłuką cię na śmierć". Zawiozła mnie do Lecha Wałęsy, który decydował, jakie informacje z Wybrzeża pojawiały się na antenie Wolnej Europy. Wałęsa rozpoznał we mnie jednak tego, który strajkował po tym, jak on strajk odwołał. Troska o los kogoś, kto mu się sprzeciwiał, nie leżała w jego zwyczaju. To była chyba nasza ostatnia rozmowa z Wałęsą.

eprasa.pl d16ae12b4e

Bycie unieruchomionym dla kogoś tak rwącego się do działalności musiało być trudnym przeżyciem.

Ręce miałem sprawne, więc przez parę miesięcy dzień w dzień, od rana do nocy, drukowałem podziemne gazetki. Nie tylko Solidarności Walczącej, ale też „Poza Układem" Joanny i Andrzeja Gwiazdów, pisma zakładowych struktur Solidarności, różne ulotki itd. Kiedy wreszcie zdjęli mi gips, rozpocząłem conocne akcje malowania na murach. Znaleźli się też inni chętni do tej roboty, więc działaliśmy w ośmioosobowym zespole. Zachęceni sukcesem pojawialiśmy się nocami na kolejnych osiedlach i malowaliśmy napisy blok po bloku. Kolejne dzielnice: Chylonia, Leszczynki, Grabówek, Obłuże, Oksywie, Witomino. W końcu SB i ZOMO wzmogły nocną obserwację wielkopłytowych osiedli i w czasie którejś akcji musieliśmy uciekać. Przerzuciliśmy się więc na malowanie kolejek SKM na trasie Gdynia – Gdańsk. Po kilku dniach działania dwóch kolegów złapano i ktoś chyba zaczął sypać, bo zaczęły się rewizje u ludzi, u których bywałem, a potem wypuszczono za mną listy gończe.

Zaczął się czas ukrywania...

Tak. Zmieniona tożsamość, fałszywe dokumenty, charakteryzacja, nowe sposoby kontaktowania się. Był to również czas kolejnych, niewyjaśnionych śmierci ludzi związanych z podziemiem. Z Wrocławia przyszły też wiadomości o porwaniu wówczas 17-letniego Mateusza Morawieckiego, którego wywieźli do lasu i kazali mu kopać grób. W tym przypadku skończyło się na pobiciu, ale zaczęliśmy się liczyć z tym, że bezpieka zacznie nas zabijać. Nie zamierzaliśmy dać się zarzynać jak barany. Przeciwnie – postanowiliśmy pokazać, że potrafimy się bronić. W oparciu o rysunki techniczne pistoletu maszynowego nasi ludzie ze Stoczni Komuny Paryskiej zaczęli wykonywać kolejne jego części. Po złożeniu i załadowaniu amunicją próbne strzelania w lesie wypadły rewelacyjnie. Z produkcją kolejnych egzemplarzy się wstrzymaliśmy, ale wiedzieliśmy, że w razie potrzeby będziemy w stanie co tydzień wytwarzać dziesiątki sztuk tej broni. Przeprowadziłem też wiele prób z różnymi materiałami wybuchowymi. Rada i Komitet Wykonawczy Solidarności Walczącej długo analizowały celowość małego ostrzegawczego ataku bombowego. Akcja miała być wymierzona w jakiś obiekt, ściśle związany z reżimem i nie przynieść żadnych ofiar. To miało być ostrzeżenie: jeśli zaczniecie rozlewać krew, to liczcie się z tym, że popłynie nie tylko nasza. Wybór padł na siedzibę komitetu PZPR w Gdyni. Po obserwacji budynku ustaliliśmy miejsce, w którym wybuch nie poraniłby także przebywającego w środku strażnika. Wrażenie, jakie zrobiła eksplozja, śledziliśmy, podsłuchując rozmowy radiowe SB, wojska i milicji. Byli skrajnie przerażeni i całkowicie bezradni.

Jednak miesiąc później, w marcu 1987 r., zostałeś aresztowany.

Wpadłem w pułapkę, skutkiem której mogli mi przypisać posiadanie 100 kg podrzuconego mi trotylu. Nie miało to związku z rzeczywistymi, wytwarzanymi przez nas materiałami wybuchowymi. Niemniej jednak spodziewałem się najpoważniejszych nawet konsekwencji. I zdziwiony byłem, że śledztwo, jak na kaliber stawianych mi zarzutów, toczyło się stosunkowo łagodnie. Nie odpowiadałem na żadne pytania, ale starający się skłonić mnie do mówienia oficerowie SB mówili sporo. I wtedy nieraz miałem wrażenie, że unikają stosowania wobec mnie przemocy z obawy, że Solidarność Walcząca naprawdę może na nich dokonać odwetu.

Uwolnili cię w październiku 1988.

Prawie rok wcześniej zauważyłem jakąś zmianę w toczącym się śledztwie. Nagle jakby przestali się interesować jego wynikami, a wcześniej ciągle mówili o gromadzeniu dowodów do głośnego procesu, jaki mieli mi szykować. Dziś jestem niemal pewien, że w 1987 r. reżim wszedł już na ostatni etap, mający na celu porozumienie z częścią opozycji. Gospodarka zmierzała ku ostatecznemu załamaniu, a to musiało oznaczać społeczny wybuch o skali, jakiej komunizm jeszcze nie widział. Jedynego ratunku komuniści upatrywali w uzyskaniu gwarancji bezkarności, udzielonej im przez tych opozycjonistów, z którymi podzielą się władzą. Operacji tej nie dałoby się przeprowadzić, gdyby polityczni siedzieli w więzieniach.

W III Rzeczypospolitej Solidarność Walcząca, gigant drugiego obiegu wydawniczego i wielka potęga konspiracji lat 80., została całkowicie zmarginalizowana, a działacze byli inwigilowani jeszcze przez lata. Listy gończe wystawione za tobą uchylono dopiero w kwietniu 1991 r.

Tak. List gończy uchylono dopiero w połowie rządów drugiego „solidarnościowego" premiera, Jana Krzysztofa Bieleckiego. Myślę, że ludzie, którzy dogadali się w Magdalence ponad głowami społeczeństwa, obawiali się nas jeszcze długo. Byliśmy zepchnięci w otchłań zapomnienia przez całe dziesięciolecia. W Solidarności Walczącej nikt niczego nie robił jednak dla sławy. To była organizacja złożona z tysięcy bezimiennych, gotowych na każde poświęcenie i nieoczekujących żadnej nagrody. Ład, formujący się po okrągłym stole, był daleki od naszych marzeń. Była to jednak Polska z szansami na przyszłość, więc o niebo lepsza od beznadziei PRL.

24 - 25 czerwca Gdynia

Obchody 35-lecia powstania Solidarności Walczącej
Oddział Trójmiasto

35 lat Solidarność Walcząca Oddział Trójmiasto

Komitet Honorowy Obchodów

- Mateusz Morawiecki Prezes Rady Ministrów
- Kornel Morawiecki Marszałek Senior, Przewodniczący Solidarności Walczącej
- Jarosław Szarek Prezes IPN
- Jan Kasprzyk Minister, Szef UDSKiOR
- Zbigniew Jagiełło Prezes PKO BP
- Wojciech Myślecki Przewodniczący Zespołu Nowoczesnych Technologii przy NCBiR
- Wojciech Kaczmarczyk Dyrektor Narodowego Instytutu Wolności

Stulecie Odzyskania Niepodległości 1918·2018

Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości

FIO NIW

Projekt dofinansowany ze środków programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich na lata 2014-2020

Zadanie publiczne jest współfinansowane ze środków otrzymanych od Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

Zapisy uczestników na www.wizjarozwoju.pl, informacje o obchodach: www.trojmiasto.solidarnoscwalczaca.pl oraz www.fundacja-pih.pl
Rejestracja uczestników 24 czerwca od godz. 9:00 Aula Akademii Marynarki Wojennej im Bohaterów Westerplatte, ul.Śmidowicza 69

eprasa.pl d16ae12b4e

Lipiec



MICHAŁ KOMUDA



2 VII 1939

Na początku ostatniego lata pokoju płk Stefan Rowecki „Grot", przyszły Dowódca ZWZ-AK, zanotował: „W polityce Gdańsk ciągle prowokuje. [...] Nasza postawa jest jasna. Cierpliwie czekamy, gotowi uderzyć na Gdańsk, gdyby tam zdarzył się jakikolwiek akt aneksji (wewnętrznej czy zewnętrznej) do Niemiec. Anglia i Francja ciągle oświadczają, że takie nasze wystąpienie – to sygnał dla nich do ruszenia na Niemców".

8 VII 1659

Na terenie dzisiejszej Ukrainy doszło do bitwy pod Konotopem. W jej trakcie wierny postanowieniom unii hadziackiej hetman kozacki Iwan Wyhowski, dowodząc wojskami kozacko-polsko-tatarskimi, pokonał armię rosyjską wspieraną przez prorosyjskich kozaków.

9 VII 1929

90 lat temu, w położonej w Beskidzie Śląskim Bystrej, zmarł malarz, akwarelista i rektor Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Julian Fałat.



10 VII 1949

W Warszawie przyszła na świat jedna z najwybitniejszych polskich himalaistek i pierwsza Polka, która zdobyła koronę ziemi, Anna Czerwińska. Wśród licznych zdobytych przez nią szczytów należy przypomnieć pierwsze polskie kobiece wejście na ośmiotysięczniki Lhotse i Makalu.

11 VII 1919

100 lat temu na mocy postanowień traktatu wersalskiego zostały zniesione granice pomiędzy Wielkopolską a resztą odrodzonego kraju. Do osiągnięcia tego sukcesu przyczyniły się zarówno wysiłek powstania wielkopolskiego, jak i spójne działania polskiej dyplomacji na forum międzynarodowym.



14 VII 1988

I sekretarz KC PZPR Wojciech Jaruzelski w trakcie wizyty sekretarza generalnego KC KPZR Michaiła Gorbaczowa w Polsce oświadczył: „Zrobiliśmy już wiele i pójdziemy dalej, ale dwóch granic nie przekroczymy: nie pójdziemy na pluralizm związkowy w takim rozumieniu, jak chce się nam narzucić, i nie pójdziemy na tworzenie partii opozycyjnych".

28 VII 1914

Austro-Węgry, wypowiadając wojnę Serbii, uruchomiły system sojuszy, który w ciągu zaledwie kilku dni doprowadził do pierwszej w dziejach wojny światowej. Przerażający konflikt trwał ponad cztery lata i pochłonął życie blisko 9 mln żołnierzy, w tym ok. 0,5 mln Polaków.

eprasa.pl d16ae12b4e



6 VII 1809

Nieopodal stolicy Cesarstwa Austriackiego, pod Wagram, dobiegła końca najkrwawsza z dotychczasowych bitew epoki napoleońskiej. Na wyniku wielkiej batalii zaważyło użycie niespotykanie intensywnego ognia artylerii, olbrzymich mas kawalerii oraz śmierć dziesiątków tysięcy żołnierzy zarówno francuskich, jak i austriackich.

Po klęskach doznanych pod Aspern i Essling wzmocniona amia Napoleona Bonapartego podjęła kolejną próbę przeprawy z zajmowanej przez siebie wyspy Lobau na lewy brzeg Dunaju. Operację rozpoczęto w nocy 4 lipca po błyskawicznie położonych mostach. Przeprawianiu się wojsk towarzyszyły intensywne opady i burza. Już następnego dnia pod wsią Wagram doszło do starcia z wojskami dowodzonymi przez austriackiego następcę tronu, arcyksięcia Karola Habsburga. Pierwsza faza bitwy ponownie nie przyniosła sukcesu francuskiej armii, a co więcej – doszło do omyłkowej walki pomiędzy jej własnymi oddziałami. Następnego dnia, 6 lipca, rozegrała się decydująca batalia, w której obie strony zaangażowały olbrzymie siły. Kumulacja kilkuset tysięcy żołnierzy na jednym polu bitwy wynikała z tego, iż Napoleon potrzebował zwycięstwa, aby zmazać cień niedawnych porażek i potwierdzić swoją supremację na kontynencie. Natomiast arcyksiążę Karol bił się o Wiedeń oraz o to, by nie zostać zmuszonym do kapitulacji. Obie strony rozpoczęły bitwę z wielką determinacją. Prawe skrzydło napoleońskich wojsk, pod rozkazami marszałka Louisa Davouta, zaczęło osiągać przewagę nad słabszym lewym skrzydłem austriackim. Jednak na dowodzone przez kontuzjowanego marszałka André Massénę lewe skrzydło Francuzów arcyksiążę Karol wyprowadził tak potężne uderzenie, że ci ponosząc wysokie straty, zaczęli się cofać. W tej sytuacji Napoleon pchnął do ataku sformowane w centrum olbrzymie siły prowadzone przez generała Étienne Macdonalda. Natarciu towarzyszył huraganowy ostrzał skupionych na niewielkiej przestrzeni aż 100 francuskich dział. W kulminacyjnym momencie najważniejszą rolę odegrało uderzenie kawalerii. Wśród jej wielkich mas brawurową szarżę przeprowadzili polscy szwoleżerowie, którzy starli się m.in. z również polskimi ułanami wcielonymi do zaborczego wojska. Bijąc swoich rodaków, odebrali im ich lance, siejąc dalej spustoszenie przy użyciu tej zdobycznej broni. Cesarz Francuzów odniósł zwycięstwo okupione śmiercią ponad 50 tys. istnień ludzkich. Austriacy jednak nie zostali rozbici, zdołali się wycofać i dopiero sześć dni później zaproponowali zawieszenie broni. W uznaniu roli, jaką odegrało kluczowe natarcie gen. Macdonalda, Napoleon mianował go marszałkiem. Natomiast w przypadku polskich szwoleżerów podjął decyzję o wyposażeniu ich na stałe w lance i przemianowaniu na szwoleżerów-lansjerów. Warto również pamiętać, że dzięki m.in. zwycięstwu pod Wagram na innym froncie wojny francusko-austriackiej 15 lipca do wyzwolonego Krakowa wkroczyły wojska księcia Józefa Poniatowskiego.

17 VII 1399

W Krakowie zmarła zaledwie 25-letnia Jadwiga Andegaweńska. Mimo swojego młodego wieku przeszła do historii jako pierwsza kobieta król Polski i święta.

Pierwotnie dla wychowywanej na węgierskim dworze młodej Jadwigi nie przewidywano godności królewskiej. Na pozostawionych przez jej ojca Ludwika Andegaweńskiego tronach Węgier i Polski miały zasiąść jej starsze siostry. Dopiero śmierć jednej z nich oraz długotrwałe mediacje pomiędzy polskimi panami a matką małoletniej Jadwigi, Elżbietą Bośniaczką, zaowocowały przyjazdem przyszłej świętej na Wawel. Królewna została koronowana na króla Polski w 1384 r., mając zaledwie dziesięć lat, a niespełna dwa lata później poślubiła władcę Litwy Jagiełłę. Mimo iż można byłoby się spodziewać, że znacznie starszy mąż przejmie rządy nad państwem, tak się nie stało. Dzięki swojej aktywności politycznej Jadwiga przyczyniła się do przyłączenia Rusi Halickiej do Polski, porozumienia pomiędzy swoim małżonkiem a księciem Witoldem oraz ponownego zbliżenia z Węgrami. Z religijnego punktu widzenia niezmiernie doniosłą rolę Jadwiga odegrała jako apostoł Litwy. Poprzez swój ślub z Wielkim Księciem Litewskim dokonała chrystianizacji całego, dużego, europejskiego państwa. Wśród jej doniosłych osiągnięć należy wymienić również odnowienie uniwersytetu w Krakowie. Pobożna i otaczająca troską poddanych była też fundatorką kościołów, szpitali i przytułków. Królowa zmarła przedwcześnie, w wyniku powikłań po pierwszym porodzie. W nawiązaniu do pamięci, którą po sobie zostawiła, Jan Paweł II w trakcie mszy kanonizacyjnej powiedział: „Jadwigo, ucz nas dzisiaj [...] tej mądrości i tej miłości, którą uczyniłaś drogą swojej świętości".



FOT. WBH; EAST NEWS/OLSZANKA WOJCIECH; BIBLIOTEKA NARODOWA 3X

eprasa.pl d16ae12b4e

Sierpień



5 VIII 1944 Dowodzący siłami pacyfikującymi powstanie warszawskie, SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth wysłał przerażający raport do dowódcy 9. Armii, gen. Nikolausa von Vormanna. W jego treści, w nawiązaniu do zbrodniczego rozkazu zakazującego Niemcom brania w Warszawie jeńców, pisał: „Co mam robić z zatrzymanymi? Mam więcej zatrzymanych niż amunicji".

6 VIII 1409 Wielki mistrz zakonu krzyżackiego Ulrich von Jungingen wypowiedział wojnę królowi Władysławowi Jagielle. Niespełna rok później potęga państwa zakonnego została złamana na polach pod Grunwaldem.

7 VIII 1849 Przywódca powstania Lajos Kossuth mianował naczelnym wodzem węgierskich sił zbrojnych gen. Józefa Bema.



12 VIII 1920 W przededniu przełomowej Bitwy Warszawskiej na stację w Skierniewicach wjechał wysłany przez węgierskie władze pociąg z 22 mln pocisków dla Wojska Polskiego. Ta nieoceniona pomoc bratanków, która pomogła zatrzymać nawałę bolszewicką i odmienić losy całej wojny, kontrastowała z postawą Czechosłowacji, Niemiec, Austrii i Wolnego Miasta Gdańska, które nie chciały przepuścić przez swoje granice transportów ze wsparciem dla Polski.

15 VIII 1929 90 lat temu, we wsi Sienne na terenie dzisiejszej Ukrainy, urodziła się legendarna działaczka opozycji w PRL i dama Orderu Orła Białego Anna Walentynowicz.



18 VIII 1611 We Francji urodziła się przyszła księżniczka mantuańska i królowa Polski, Ludwika Maria Gonzaga de Nevers. Jako jedyna w historii była żoną dwóch kolejnych polskich monarchów: Władysława IV i jego brata Jana II Kazimierza.

26 VIII 1939 Niepoinformowana na czas o przesunięciu daty ataku na Polskę na dzień 1 września, grupa niemieckich dywersantów zaatakowała strategiczny rejon tunelu jabłonkowskiego. Nieudane uderzenie nastąpiło siedem dni za wcześnie. W jego konsekwencji niemieckie dowództwo jeszcze przed wybuchem wojny zostało zmuszone do wystosowania przeprosin pod adresem strony polskiej.

30 VIII 1959 W Tatrach Zachodnich odkryto drugą co do głębokości i trzecią pod względem długości w Polsce jaskinię nazwaną Śnieżną Studnią.

eprasa.pl d16ae12b4e

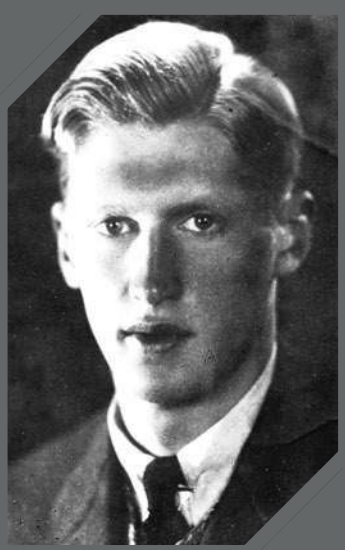


29 VIII 1939

Marszałek Edward Rydz-Śmigły podjął decyzję o ogłoszeniu mobilizacji powszechnej w Polsce. Do wybuchu II wojny światowej, jak miało się okazać, pozostały już tylko trzy dni. Mimo to brytyjscy i francuscy politycy, nie chcąc prowokować Niemiec, wymogli na Warszawie opóźnienie realizacji rozkazu mobilizacyjnego.

Po odwołaniu pierwotnego terminu niemieckiej agresji na Polskę, przewidzianej na 26 sierpnia, nowa data została nieodwołalnie wyznaczona przez Adolfa Hitlera na 1 lub 2 września. Polski wywiad donosił o intensywnym koncentrowaniu sił Wehrmachtu wzdłuż granic, a 28 sierpnia niemiecka armia wkroczyła na terytorium satelickiej Słowacji, jawnie szykując się do ataku na II RP. Tym samym wszelkie działania dyplomatyczne Berlina w tych dniach były już jedynie obliczone na maksymalne izolowanie Warszawy i zniechęcenie Paryża oraz Londynu do realizacji zobowiązań sojuszniczych. Niemcy podejmowali działania symulujące chęć znalezienia pokojowych dróg rozwiązania konfliktu, a także kreujące sytuację, w której za wybuch wojny odpowiedzialna miałaby być strona polska. Mimo to zachodni politycy, nie dostrzegając tej taktyki lub nie chcąc jej dostrzec, chwytali się wszelkich sposobności, które mogłyby dać choć cień szansy na oddalenie widma wojny. Nastroje te dobrze oddaje zapis ministra spraw zagranicznych Galeazza Ciano dokonany we wtorek 29 sierpnia. Polityk ten, będąc orędownikiem zorganizowania wzorem Monachium, pokojowej konferencji międzynarodowej, oceniał: „Zarówno z Berlina, jak i z Londynu wiadomości są lepsze. Zatelefonował [brytyjski minister spraw zagranicznych Edward] Halifax, żeby mi powiedzieć, że Führer nie odrzucił angielskich propozycji i że istnieją jeszcze szanse na rozwiązanie pokojowe. [Ambasador Włoch w Niemczech, Bernardo] Attolico, po rozmowie z Ribbentropem, mówił mniej więcej to samo". Właśnie ta nierealistyczna postawa była przyczyną błyskawicznej reakcji Brytyjczyków i Francuzów na podjętą tego samego dnia przez marszałka Polski decyzję o mobilizacji powszechnej. Alianci, obawiając się, że rozkaz polskich władz wojskowych zaprzepaści prowadzone przez nich pertraktacje, wymogli jego odłożenie w czasie. Szef polskiej dyplomacji Józef Beck, relacjonując te wydarzenia, napisał: „Po przestudiowaniu sprawy z gen. [Wacławem] Stachiewiczem marszałek zawiadomił mnie około godziny 18, że postanowił odłożyć mobilizację o jeden dzień. Zawiadomiłem o tym natychmiast sojuszników, mówiąc, że [...] spodziewam się, że sojusznicy ocenią naszą zimną krew, odpowiadając nam przyspieszeniem swych własnych przygotowań wojskowych". Następnego dnia, w środę, zgodnie z aliancką strategią doszło do spotkania w Berlinie, po którym brytyjski ambasador Nevile Henderson sam przyznał, że postawa ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa dowiodła „nie tylko złych manier, lecz również złej wiary". Mimo to alianci zdołali jeszcze wymóc na polskiej dyplomacji podjęcie ostatnich negocjacji z Niemcami. Wieczorem, w czwartek berlińskie radio, ku zdziwieniu zachodnich polityków, podało informację, że Polska odrzuciła niemiecką propozycję pokojową, której w rzeczywistości nigdy nie przedłożono. Kłamstwo to jednak nie miało już znaczenia, ponieważ w piątek 1 września o godzinie 4:45 wojska III Rzeszy runęły na II RP.

31 VIII 1944



W nocy powstańcy warszawscy podjęli nieudaną próbę przebicia się ze zrujnowanej Starówki do Śródmieścia. Choć natarcie miało otworzyć drogę ewakuacji dla obrońców całej dzielnicy, to do celu dotarło ok. 60 osób.

Na potrzeby akcji ściągnięto z linii obronnych olbrzymie, jak na powstańcze możliwości, siły. Dodatkowo przebicie zostało wsparte natarciem od strony Śródmieścia oraz desantem kanałowym na pl. Bankowym, których jednak nie udało się zsynchronizować. Nie zdołano również zaskoczyć Niemców, którzy od razu położyli ogień zaporowy. Dlatego już pierwsza z forsowanych ulic, Bielańska, stała się dla większości powstańców śmiertelną barierą nie do pokonania. Nieliczni, którzy przedarli się na drugą stronę, w przeważającej mierze żołnierze z kompanii „Rudy", skupili się przy swoim dowódcy ppor. Andrzeju Romockim „Morro", który kierował dalszym natarciem mimo rany twarzy. Po pokonaniu ul. Senatorskiej i chwilowym zajęciu kościoła św. Antoniego na czas dnia schronili się w wypalonej piwnicy Pałacu Zamoyskich. Moment ten opisał drugi z dowodzących, dowódca Baonu „Zośka", kpt. Ryszard Białous „Jerzy": „Rozpoczął się jeden z najbardziej makabrycznych dni, jakie przeżyłem". Poranieni, wycieńczeni i spragnieni powstańcy przetrwali karnie w ukryciu mimo granatów wrzucanych do piwnicy przez poszukujących ich Niemców. Dopiero o zmroku, wykorzystując swoje zdobyczne bluzy maskujące „panterki", wyszli na zewnątrz, udając niemiecki oddział. Pokonawszy w ten sposób kontrolowany przez wroga park Saski, sforsowali pod ogniem Niemców i omyłkowym powstańców ze Śródmieścia ostatnią przeszkodę, jaką była ul. Królewska. Grupa ppor. „Morro" była jedyną, której udało się dokonać tego wyczynu.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA 2X; FRATRIA; NAC

eprasa.pl d16ae12b4e

ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH

POCZĄTKI RZECZYPOSPOLITEJ

„Iż już Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie jest jedno nierozdzielne i nieróżne ciało, a także nieróżna, ale jedna a wspólna Rzeczpospolita, która się z dwu państw i narodów w jeden lud zniosła i spoiła" (Unia lubelska)



JACEK KROCHMAL

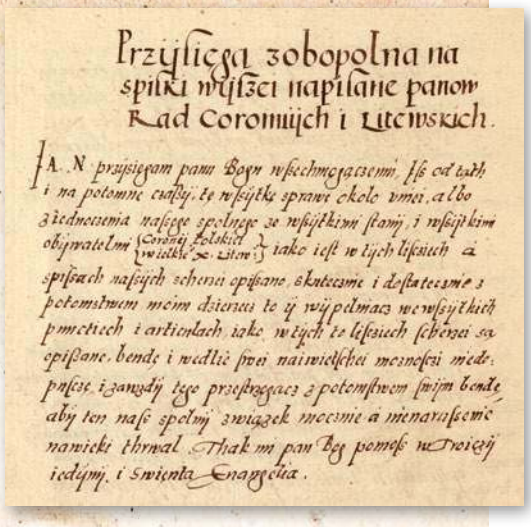


Unia lubelska. Dokument wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO

Zapoczątkowany w 1385 r. związek Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego, pogłębiany kolejnymi traktatami unijnymi, stopniowo scalał obydwa organizmy i zamieszkujące je społeczności. Polskie stronnictwo reform od 1548 r. dążyło do zacieśnienia unii, w Wielkim Księstwie była ona przygotowywana przez przemiany prawno-ustrojowe, których efektem były II Statut litewski i utworzenie sejmików ziemskich. Pozbawiony następcy tronu Zygmunt August zdawał sobie sprawę z zagrożenia, jakie dla obu państw niosło wygaśnięcie męskiej linii dynastii. Próbując trwale złączyć Litwę z Polską, w 1564 r. przekazał Koronie dziedziczne prawa Jagiellonów do Wielkiego Księstwa. W tym roku miała też miejsce próba wprowadzenia unii. Rokowania zakończyły się fiaskiem, bo obawy Litwinów o polską chęć dominacji potwierdziły głosy mówiące o inkorporacji Wielkiego Księstwa do Korony. Pragnący zachowania odrębności Litwini wiedzieli jednocześnie, że bez polskiej pomocy nie zdołają obronić się przed Rosją. Ceną utrzymania wolności było więc ograniczenie odrębności państwowej Litwy na rzecz federacji z Polską. Wsparcie Korony było faktycznie ogromne. Tylko w latach 1561–1570 przeznaczyła ona na wojnę z Rosją 2 mln zł, a wydatki na pomoc wojskową dla Wielkiego Księstwa poniesione przez Polskę w 1564 r. stanowiły aż 72 proc. jej rocznych wpływów podatkowych.

Rozpoczęte zimą negocjacje unijne w Lublinie trwały przez sześć miesięcy 1569 r. Szlachta z Korony i Wielkiego Księstwa obradowała w dwóch oddzielnych sejmach. Przywódcą delegacji litewskiej był Mikołaj Radziwiłł Rudy, który odrzucił projekt unii przygotowany przez stronę polską. Radykalizacja stanowiska litewskiego była tak daleka, że Litwini nie zawahali się obrazić Zygmunta Augusta, ignorując jego polecenie stawienia się na obrady połączonego sejmu i opuszczając Lublin bez zezwolenia. Już wcześniej król był zdecydowany wynegocjować unię, teraz jednak postanowił użyć swych monarszych prerogatyw. Zdymisjonował kilku urzędników litewskich, a jednocześnie do unii zaczęto kaptować wahających się przywódców stronnictw. Przeciwnicy unii nie docenili przemian, jakie w tym czasie zaszły w Wielkim Księstwie. Znaczna część szlachty była już wówczas przekonana do konieczności zawarcia realnego związku z Polską. Sejmiki podlaski, wołyński i żmudzki wręcz zabroniły swym posłom wracać z Lublina bez uchwalenia unii. Najdalej przemiany te zaszły na pogranicznym Podlasiu, które było już spolonizowane, a tamtejsza szlachta z oczekiwaniem spoglądała w stronę Korony. Decydująca o sukcesie negocjacji unijnych była jednak rola Wołynia i wschodniego Podola. Po zerwaniu negocjacji przez Litwinów dyplomacja polska sięgnęła po mocne

eprasa.pl d16ae12b4e


Przysięga zobopolna na spiski wyższej napisane panow Rad Koronnych i Litewskich.

JA N. przysięgam panu Bogu wszechmogącemu, że od tąd i na potomne czasy, te wszystkie sprawy około unii, a ku zjednoczenia naszego społnego ze wszystkimi stanami i wszystkimi obywatelmi Korony Polskiej i Wielkiego Xięstwa Litewskiego, jako iest w tych listach i spisach naszych szczerze opisane, skutecznie i dostatecznie z potomstwem moim dzierżeć to y wypełniać we wszystkich punctach i artykułach, jako w tych że listach szczerze są opisane, będę i wedle swej naywiętszej mocy nie dopuszczę i zabronię tego przestępcom z potomstwem swym będę, aby ten nasz społny związek mocnie a nienaruszenie nawieki trwał. Tak mi panie Boże pomoż w Troycy jedyny, i Swięta Ewangelia.

Rota przysięgi na wierność unii lubelskiej

argumenty, jakimi były zawieszone od połowy XV w. roszczenia terytorialne Korony do tych ziem. Wahającą się szlachtę ruską na stronę unii przeciągnęła postawa ich politycznego przywódcy. Był nim potężny magnat Konstanty Ostrogski, właściciel wielkich dóbr ziemskich na Wołyniu. Ten prawosławny książę poślubił katoliczkę Zofię Tarnowską, dziedziczkę posiadłości w Małopolsce, dzięki czemu w rękach Ostrogskiego znalazły się majątki położone w obydwu częściach państwa Jagiellonów. Wkrótce do Rusinów z Wołynia i wschodniego Podola, zachęcanych do unii przez ich pobratymców z Rusi Czerwonej, dołączyła Kijowszczyzna. Terytoria te od trzech wieków były zagrożone ciągłymi najazdami tatarskimi. Coraz mniej mogła bronić ich osłabiona Litwa, która sama stanęła przed groźbą rosyjskiej agresji. Nie bez znaczenia było więc zapewnienie tym ziemiom ochrony wojskowej skupionej w rękach jednego wodza – hetmana koronnego. Był to ważny argument przemawiający na rzecz unii.

Po takim przygotowaniu politycznym od marca do czerwca 1569 r. Zygmunt August dokonał czterech aktów inkorporacyjnych, odłączając od Wielkiego Księstwa i przyłączając do Korony województwa podlaskie, wołyńskie, bracławskie i kijowskie. Przestraszeni tym Litwini szybko powrócili do Lublina i już 7 czerwca sejm wznowił obrady. Nie odważył się zjawić na nim Mikołaj Radziwiłł Rudy, dlatego delegacji litewskiej przewodniczył biskup wileński Walerian Protasewicz. Odtąd negocjacje potoczyły się błyskawicznie, bo posłowie litewscy działali na podstawie upoważnienia sejmików do zawarcia unii realnej z Polską. Zaprzysiężono ją już 27 czerwca. Kilka dni zajęły sprawy techniczne związane z przygotowaniem pergaminów, spisaniem tekstu i opieczętowaniem dokumentów. 1 lipca 1569 r. strona polska przekazała Litwinom sygnowany przez siebie dokument ze 140 pieczęciami, w tym przedstawicieli województw nowo przyłączonych do Korony, otrzymując w zamian dokument strony litewskiej uwierzytelniony 78 pieczęciami. Ten bezcenny zabytek przechowywany jest w Archiwum Głównym Akt Dawnych. Ważność unii posłowie koronni i litewscy potwierdzili przysięgą składaną według ujednoliconej roty. Unię zawarli między sobą przedstawiciele obydwu państw. Król nie był stroną tego aktu, dlatego w dokumencie nie ma jego podpisu ani pieczęci. Jego rola była inna. Jako władca obydwu jednoczących się państw 4 lipca 1569 r. zatwierdził unię wynegocjowaną przez swych poddanych.


IMIE PANSKIE AMEN

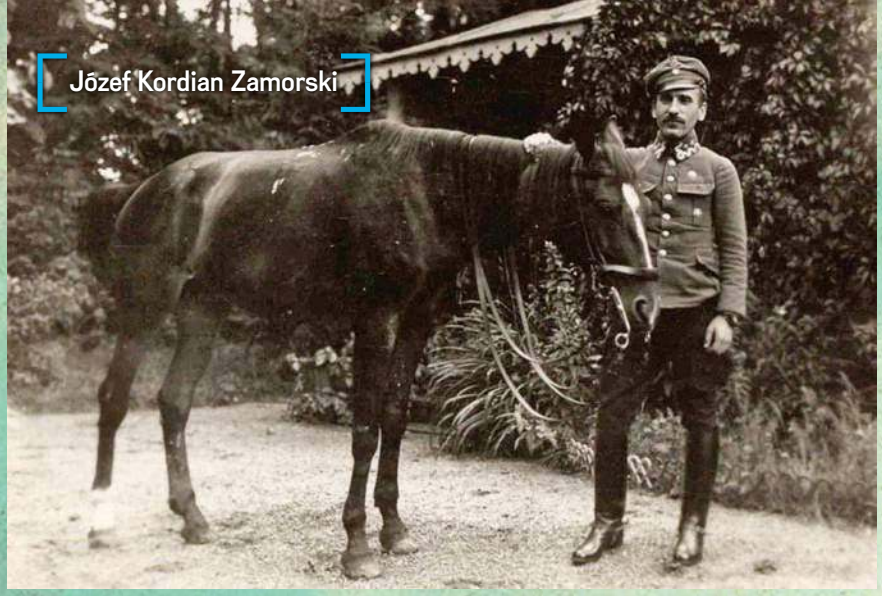
Król Zygmunt August zatwierdza unię lubelską (4 lipca 1569 r.) Obok: pieczęć mniejsza koronna z herbem Rzeczypospolitej

Zawarta wówczas unia polsko-litewska opierała się na tekście unii mielnickiej z 1501 r., która jednak nie weszła w życie. Dopiero w Lublinie dokonała się unia realna Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego połączonych w jedno państwo federacyjne nazywane odtąd Rzecząpospolitą. Jej herb wyrażał równorzędność związanych ze sobą państw poprzez naprzemienne umieszczenie na tarczy polskiego Orła i litewskiej Pogoni. Rzeczpospolita nie była terminem powstałym w Lublinie. Pojawił się on już w tekście unii mielnickiej, a Radziwiłł dążący do zachowania samodzielnego statusu Litwy mówił o dwóch Rzeczachpospolitych: polskiej i litewskiej. Dopiero jednak unia lubelska powołała do życia wspólną Rzeczpospolitą, taka też była nazwa federacyjnego państwa polsko-litewskiego, funkcjonująca aż do Konstytucji 3 maja 1791 r. Później, za sprawą Pawła Jasienicy, upowszechniła się celna, choć niepoprawna nazwa Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Dopełnieniem unii lubelskiej miała być unia kościelna zawarta w latach 1595–1596 w Rzymie i Brześciu. Ważną rolę w tym wydarzeniu religijnym odegrali dwaj sygnatariusze unii lubelskiej. Pierwszym był protektor Kościoła prawosławnego Konstanty Ostrogski, którego decyzja tak bardzo ułatwiła zawarcie unii lubelskiej. Nie poparł on jednak unii kościelnej z Rzymem. Odmienna rola przypadła natomiast Adamowi Pociejowi, posłowi województwa brzeskiego na sejm lubelski, który po śmierci żony został prawosławnym biskupem włodzimierskim i w tej roli walnie przyczynił się do zawarcia unii brzeskiej. Brak jedności w Brześciu sprawił, że w Rzeczpospolitej zamiast zjednoczenia religijnego powstał nowy podział wyznaniowy między prawosławnymi a unitami.

Unia lubelska była wielkim osiągnięciem kultury politycznej szlachty polskiej, litewskiej i ruskiej. Dowiodła, że możliwe jest zawieranie umów i łączenie państw na zasadach równouprawnienia i samostanowienia, bez uciekania się do przemocy zbrojnej. Była też triumfem demokracji. Polacy pokazali, że dominująca większość potrafi dla wspólnego dobra samoograniczyć swe żądania i respektować prawa słabszego partnera. Trwałym dziedzictwem unii lubelskiej jest granica państwowa Białorusi i Ukrainy, będąca odbiciem rozgraniczenia Korony i Litwy ustalonego w 1569 r. Jednak najważniejszym jej pokłosiem jest wspólne dziedzictwo Rzeczypospolitej utrwalone w pamięci narodów odwołujących się do jej tradycji.

FOT. KAROL ZGLIŃSKI (x3)

eprasa.pl d16ae12b4e



Józef Kordian Zamorski

Archiwum Akt Nowych



GEN. JÓZEF KORDIAN ZAMORSKI

OSTATNI PRZEDWOJENNY KOMENDANT GŁÓWNY POLICJI PAŃSTWOWEJ

W TYM ROKU PRZYPADA SETNA ROCZNICA UTWORZENIA POLICJI PAŃSTWOWEJ. W OKRESIE II RP CIESZYŁA SIĘ ONA OPINIĄ ORGANIZACJI WYSPECJALIZOWANEJ, DYSPONUJĄCEJ NIEZBĘDNĄ WIEDZĄ FACHOWĄ ORAZ ŚWIETNIE ZARZĄDZANEJ. A TO NIEWĄTPLIWIE ZA SPRAWĄ WYBITNYCH KOMENDANTÓW GŁÓWNYCH TEJ FORMACJI



KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

Zasady naboru w szeregi policji były bardzo wymagające. Preferowano uczestników walk o niepodległość. Wszyscy kandydaci musieli mieć zdrową i silną budowę ciała, wiek 21–35 lat i oczywiście nieskazitelną przeszłość. Od komendanta głównego, jego zastępców oraz komendantów wojewódzkich wymagano dyplomu wyższej uczelni. Dodatkowym wymogiem był obowiązek wcześniejszego odbycia służby wojskowej, a wielu wyższych oficerów policji posiadało również wysoki stopień wojskowy, tak jak gen. Józef Kordian Zamorski.

Zbiory Archiwum Akt Nowych są skarbnicą do odtwarzania historii Policji Państwowej. Znajdują się tu materiały poszczególnych jednostek terytorialnych, ale przede wszystkim archiwum Komendy Głównej w Warszawie. Oprócz dokumentacji organizacyjnej kilka lat temu do zasobu Archiwum Akt Nowych zostały przekazane pamiątki po ostatnim komendancie głównym Policji Państwowej, którego życiorys jest świadectwem nieustannej pracy dla Polski.

Wojna i zawód

Józef Kordian Zamorski (1890–1983) początkowo miał inne pomysły na życie. Ukończył seminarium nauczycielskie we Lwowie, a następnie studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Jego mistrzem był Józef Mehoffer. Sytuacja polityczna i zbliżająca się wojna zmieniły jednak jego plany. Około 1908 r. wstąpił bowiem do Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego, w ramach którego w 1912 r. ukończył Szkołę Oficerską. Niedługo potem został skierowany przez Józefa Piłsudskiego na stanowisko komendanta głównego Szkoły Oficerskiej Związku Strzeleckiego w Krakowie. W 1913 r. został zmobilizowany do armii austro-węgierskiej, a później przeniesiony do I Brygady Legionów Polskich, gdzie pełnił funkcję komendanta kompanii. W listopadzie 1914 r. uzyskał awans na stopień porucznika i został instruktorem balistyki i strzelań w Szkole Podchorążych w Jabłonnie.

Po kryzysie przysięgowym zdezerterował z armii austriackiej i objął kierownictwo krakowskiej Polskiej Organizacji Wojskowej, a następnie szefa sztabu Komendy Głównej POW. W listopadzie 1918 r., kiedy Polska odzyskiwała niepod-

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d16ae12b4e



Od lewej: 1. Dyplom nadania odznaki ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ z dnia 6 VIII 1916 r., Dyplom nadania KRZYŻA KOMANDORSKIEGO ORDERU ODRODZENIA POLSKI, Dyplom Medalu za DŁUGOLETNIĄ SŁUŻBĘ z podpisem premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego, Dyplom prawa noszenia odznaki KRZYŻ P.O.W. z dnia 6 VIII 1919 r.



Gwizdek policyjny, połowa lat 30.

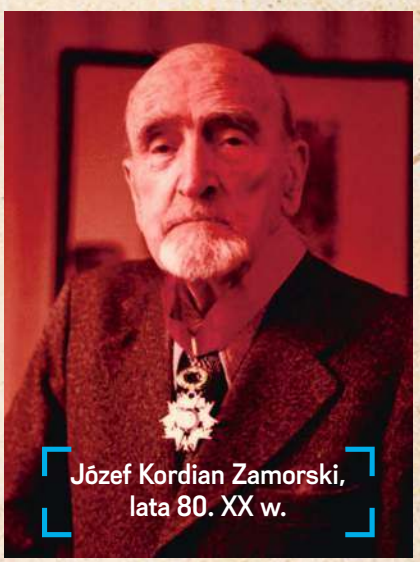
ległość, brał udział w obronie Przemyśla i Lwowa. Na froncie ukraińskim został awansowany na stopień kapitana i następnie majora. W czasie wojny polsko-bolszewickiej był kwatermistrzem 2. Armii gen. Antoniego Listowskiego i szefem I Oddziału Polskiej Ekspozytury Wojskowej przy Rządzie Ukraińskim. 11 czerwca 1920 r. został awansowany na stopień podpułkownika. Podczas decydujących starć o stolicę w sierpniu 1920 r. dowodził Ochotniczym Oddziałem Obrony Warszawy.

W czasie pokoju kontynuował kurs w Wyższej Szkole Wojennej, otrzymując stopień oficera Sztabu Generalnego i przydział do Grupy Operacyjnej Bieniakonie. W lipcu 1925 r. otrzymał stanowisko szefa Sztabu Dowództwa Okręgu Korpusu II w Grodnie, a w listopadzie I oficera Sztabu Inspektora Armii w Wilnie. Po przewrocie majowym rozpoczął służbę w Ministerstwie Spraw Wojskowych, pełniąc tam kolejno funkcje: szefa Departamentu Piechoty, szefa Oddziału I Sztabu Generalnego i zastępcy szefa Sztabu Głównego.

Ostatni Komendant

Na stopień generała brygady został mianowany 11 listopada 1930 r., a pięć lat później, po 12-miesięcznym okresie nieczynnym, został powołany na stanowisko komendanta głównego Policji Państwowej. Jako komendant Policji Państwowej II RP zapisał się w pamięci Polaków dzięki wielkiemu wysiłkowi włożonemu we wzrost efektywności pracy podległego mu korpusu policji. W krótkim czasie zdołał przeprowadzić wiele prac organizacyjnych, które przyczyniły się do usprawnienia struktur Policji Państwowej, a co za tym idzie – bezpieczeństwa na terenie państwa. Opierał się na wzorcach europejskich. Podróżował na Zachód, by poznać funkcjonowanie struktur tamtejszej policji. Wprowadził służbę przygotowawczą dla kandydatów na szeregowych PP, utworzył kompanię rezerwy policyjnej, a także zreorganizował policję kobiecą, która dekadę po jej formalnym powołaniu rozpoczęła swój intensywny rozwój.

Po agresji Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 r. gen. Józef Kordian Zamorski



Józef Kordian Zamorski, lata 80. XX w.

organizował ewakuację kierownictwa Policji Państwowej do Rumunii i na Węgry. Został internowany w obozie Baile Herculane, skąd ostatecznie udało mu się uciec do Palestyny. Przez kolejne dwa lata był komendantem Ośrodka Zapasowego Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich i pełniącym obowiązki dowódcy oddziałów Wojska Polskiego na Bliskim Wschodzie.

Po wojnie osiadł w Wielkiej Brytanii, pracował jako konserwator zabytków. Angażował się w życie tamtejszej Polonii – był członkiem Ligi Niepodległości Polski oraz Kanclerzem Kapituły Orderu Odrodzenia Polski. W 1966 r. został mianowany przez prezydenta RP Augusta Zalewskiego generałem dywizji.

Józef Kordian Zamorski zmarł w wieku 93 lat w 1983 r. w Londynie. Odznaczony został m.in. Orderem Virtuti Militari V klasy, czterokrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Niepodległości, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Komandorskim i Wielkim Krzyżem Orderu Odrodzenia Polski, a także wieloma orderami zagranicznymi. Wśród pamiątek ostatniego komendanta głównego Policji Państwowej zgromadzonych w Archiwum Akt Nowych znajdują się przede wszystkim jego dokumenty osobiste, zapiski, dzienniki, odznaczenia, korespondencja, a także fotografie.

FOT. AAN

eprasa.pl d16ae12b4e

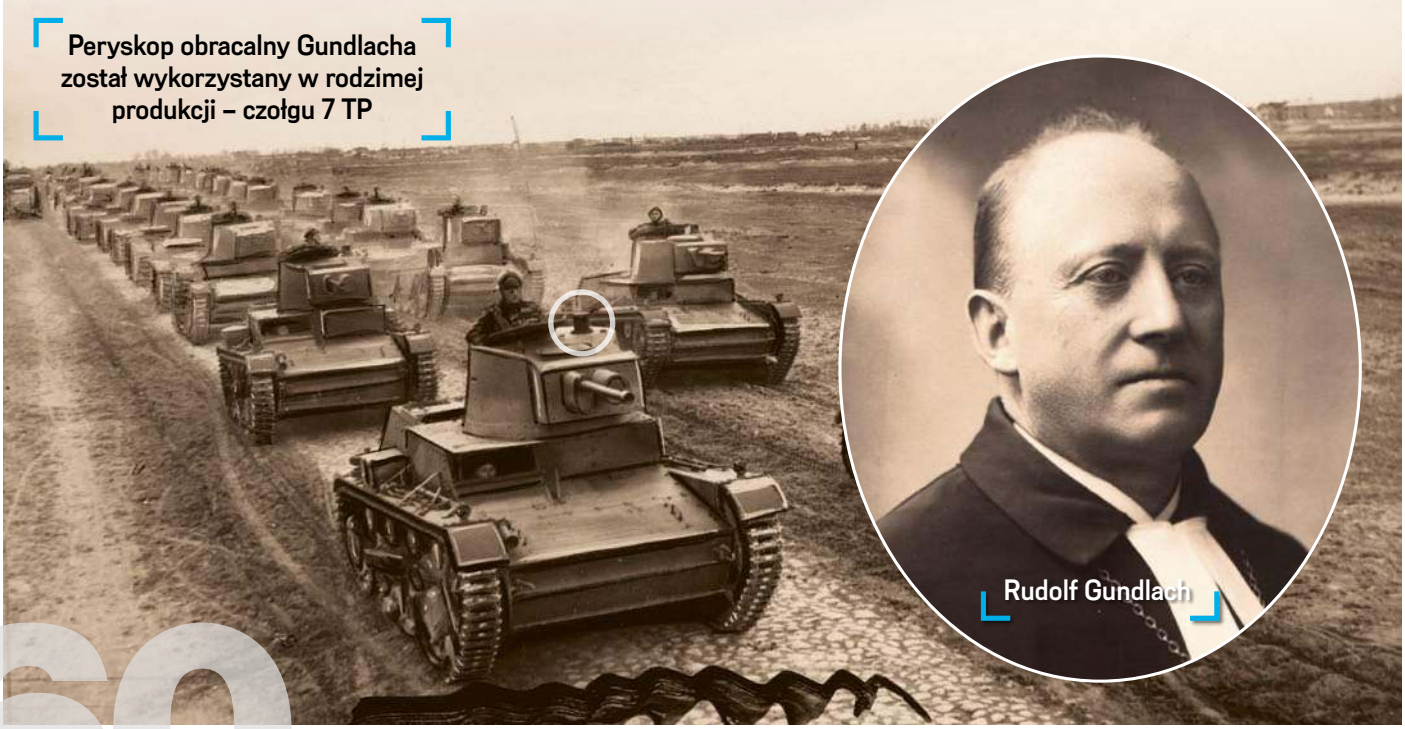
CO O POLSKIM WKŁADZIE W ROZWÓJ TECHNIKI ŚWIADOMY OBYWATEL RP WIEDZIEĆ POWINIEN (6)



BOLESŁAW ORŁOWSKI

WIELE Z TEGO, CO UCZYNILI PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ NASI WYNALAZCY, NAUKOWCY I INŻYNIEROWIE DLA WZMOCNIENIA POTĘGI SPRZYMIERZONYCH, NARODZIŁO SIĘ JUŻ WCZEŚNIEJ W WOLNEJ POLSCE

Sprawami nowości naukowych mogących mieć znaczenie dla bezpieczeństwa państwa interesował się żywo prezydent Ignacy Mościcki. Organizował w tym celu spotkania, na które zapraszał wybranych specjalistów rozmaitych dziedzin techniki i nauk ścisłych. Jednym z nich był Wacław Szukiewicz (1896–1992). W powstałej w Dębicy fabryce uruchomił on w 1938 r. produkcję polskiego sztucznego kauczuku erytrenowego, KER-u, wynalezionego przy jego głównym współudziale w Chemicznym Instytucie Badawczym w Warszawie w 1935 r. Było to jedno z pierwszych tego rodzaju tworzyw



Peryskop obracalny Gundlacha został wykorzystany w rodzimej produkcji – czołgu 7 TP

Rudolf Gundlach

FOT. NAC; MUZEUM PAŃSTWOWE ŁÓDŹ

eprasa.pl d16ae12b4e


Jan Czochralski


Grafika przedstawiająca przemysłowy proces Czochralskiego służący do uprawy kryształów krzemu

w dziejach (surowiec wyjściowy stanowiły ziemniaki), toteż pochwaliliśmy się nim na nowojorskiej wystawie powszechnej w 1939 r. Polski KER był o włos od zrobienia światowej kariery, kiedy ofensywa japońska na Pacyfiku odcięła przemysł amerykański od dostaw kauczuku naturalnego. Na początku 1942 r. komisja senacka zarekomendowała oparcie programu produkcji własnego kauczuku syntetycznego na wykorzystaniu metod syntezy butadienu z alkoholu, a na tym właśnie polegał tzw. proces polski. Wniosek ten został jednak w sierpniu tego roku zawetowany przez prezydenta Roosevelta pod naciskiem potężnego lobby naftowego, które przeforsowało znajdującą się jeszcze wówczas w opracowaniu metodę syntezy opartą na pochodnych ropy naftowej. Ostatecznie skończyło się na powstaniu w USA pod koniec wojny jednej fabryki wykorzystującej polską technologię (wcześniej zastosowano ją też we Włoszech).

Wiadomo, że prace dla wojska w zakresie metalurgii i metaloznawstwa prowadził Jan Czochralski. Że pracujący w latach 1937–1939 w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym wybitny fizyk Marian Danysz (1909–1983) skonstruował prototyp noktowizora. Że ważne oryginalne prace nad materiałami wybuchowymi prowadzili prof. Tadeusz Urbański (1901–1985) na Politechnice Warszawskiej oraz doc. Tadeusz Tucholski (1898–1940, zamordowany w Katyniu) na Uniwersytecie Poznańskim.

Kierujący od 1934 r. wojskowym Biurem Badań Technicznych Broni Pancernej Rudolf Gundlach (1892–1957) wynalazł czołgowy peryskop odwracalny, pierwszy zapewniający pełne (360°) pole widzenia, dzięki lusterkom pryzmatowym umieszczonym w ruchomej nakładce. Został on opatentowany, także w Wielkiej Brytanii i we Francji, i od 1936 r. był produkowany we Lwowie. Udostępniono ten peryskop współpracującej z polskim przemysłem zbrojeniowym firmie brytyjskiej Vickers-Armstrong, która zaczęła go instalować w wytwarzanych przez siebie czołgach. Za jej pośrednictwem zastosowali go również amerykańscy producenci czołgów, a niebawem wszyscy ich wytwórcy w czasie II wojny światowej.

W 1939 r. W WOJSKOWYM ODDZIALE SPECJALNYM ŁĄCZNOŚCI POWSTAŁA KONCEPCJA ELEKTROMAGNETYCZNEGO WYKRYWACZA MIN, NA BAZIE KTÓREJ STWORZONO BRYTYJSKI MINE DETECTOR POLISH MARK 1, UŻYWANY PRZEZ BRYTYJSKIE WOJSKO DO 1995 r.

Wiadomo, że jego wynalazca, który przez Rumunię dotarł do Francji, gdzie przebywał do końca wojny, gdyż nie udało mu się wyewakuować do Wielkiej Brytanii, uzyskał w 1947 r., po procesie sądowym, 84 mln franków odszkodowania za wykorzystywanie jego praw patentowych. Z tej sumy, po zapłaceniu kosztów procesowych i podatków, pozostało mu na czysto 17 mln. Kupił sobie za te pieniądze willę w miejscowości Le Vesinet pod Paryżem, gdzie w latach 1955–1956 prowadził hodowlę pieczarek.

Również przed wojną, wiosną 1939 r., w warszawskim wojskowym Oddziale Specjalnym Łączności powstała koncepcja wykrywacza min funkcjonującego na zasadzie elektromagnetycznej. Ostatecznie dopracował go i skonstruował w Wielkiej Brytanii w końcu 1941 r. por. inż. Józef Kosacki (1909–1990). Zadbał on, by polska proweniencja tego wynalazku została odnotowana w jego nazwie patentowej: Mine Detector Polish Mark 1. Wykrywacz ten okazał się kilkakrotnie wydajniejszy od wcześniej stosowanych, ważną jego zaletą była możliwość posługiwania się nim również w nocy. Po raz pierwszy użyto go do oczyszczania pól minowych podczas bitwy pod El-Alamein w listopadzie 1942 r. Produkowany masowo, wszedł w 1944 r. do standardowego wyposażenia brytyjskich sił zbrojnych i pozostawał w użyciu, po nieznacznych modyfikacjach, do 1995 r.

Mimo ogromnej powszechnej mobilizacji w wielu dziedzinach (społeczeństwo dobrowolnie uczestniczyło w finansowaniu zbrojeń) II Rzeczpospolita nie była w stanie obronić swego niepodległego bytu. Z uwagi na dysproporcje potencjałów gospodarczych efekty naszych intensywnych zbrojeń w ostatnich latach przed II wojną światową szacuje się na 20-krotnie ustępujące niemieckim.

FOT. NAC; EAST NEWS/CHRISTIAN KOCH, MICROCHEMICALS

eprasa.pl d16ae12b4e

FILIP PADNIEWSKI I FRANCISZEK KRASIŃSKI

DUCHOWNI, MINISTROWIE, BISKUPI I WSPÓŁTWÓRCY UNII LUBELSKIEJ

POLSCY BISKUPI EPOKI PÓŹNEGO RENESANSU OD DAWNA BYLI OBIEKTAMI ZAINTERESOWANIA HISTORYKÓW NIE TYLE ZE WZGLĘDU NA ZASŁUGI DLA KOŚCIOŁA, ILE Z UWAGI NA KARIERY W SŁUŻBIE PAŃSTWOWEJ I MECENAT NAD ARTYSTAMI ORAZ LUDŹMI NAUKI, A CZĘSTO I WŁASNE DOKONANIA LITERACKIE



HENRYK LITWIN



Filip Padniewski jako biskup cieszył się renomą człowieka znakomicie wykształconego, poligloty i erudyty

W ostatnim pokoleniu owych renesansowych hierarchów wyróżniali się zwłaszcza Filip Padniewski i Franciszek Krasiński, dwaj kolejni biskupi krakowscy w latach 1562–1572 i 1572--1577. Wybitny polski historyk XX w. Władysław Konopczyński pisał o nich niegdyś: „To byli zdolni politycy, ale nie mężowie stanu". Nawet jeśli miał rację, to przy Zygmuncie Auguście dominującym nad otoczeniem miejsca dla „mężów stanu" raczej nie było, a „zdolni politycy" byli niezwykle potrzebni.

Różne drogi

Początki kariery obu przyszłych biskupów były nieco inne. Filip Padniewski, niezbyt

zamożny szlachcic z Wielkopolski, odebrał pierwsze nauki aktywności publicznej na dworze biskupa krakowskiego Piotra Tomickiego (od 1527 r.), który wzorował się na władcach włoskich państewek i skupiał w swoim otoczeniu licznych uczonych oraz artystów, a jego prywatna kancelaria była dla młodych adeptów polityki szkołą prawa. Padniewski stał się po pewnym czasie zaufanym pomocnikiem Tomickiego i towarzyszył biskupowi krakowskiemu w jego działaniach na forach świeckich i kościelnych. Po śmierci protektora otrzymał jeszcze odeń cenne zapisy testamentowe i z podwyższonym już statusem majątkowym rozpoczął poszukiwania nowego patrona. Stał się nim podkanclerzy Jan Chojeński, który wprowadził Padniewskiego do kancelarii królewskiej jako pisarza (1537). Jednocześnie otrzymał swe pierwsze beneficja – kantorię wielicką i kanonię krakowską. Zapewne jeszcze w służbie Tomickiego przyjął święcenia duchowne. W latach 1538–1542 przebywał we Włoszech, gdzie studiował prawo. Nie znamy dokładnie jego italskiego itinerarium, ale przynajmniej część studiów odbył w Padwie. Późniejsze świadectwa mówią o uzyskaniu przez Padniewskiego doktoratu „obojga praw", ale byli też nieufni, kwestionujący istnienie takiego dyplomu. W każdym razie po powrocie z Włoch przyszły biskup cieszył się renomą człowieka znakomicie wykształconego, poligloty i erudyty.

Franciszek Krasiński inną drogą doszedł do podobnych rezultatów. Start miał łatwiejszy niż Padniewski, wywodził się bowiem z zamożnej mazowieckiej rodziny szczycącej się co prawda jedynie powiatowymi urzędami. Zaczynał edukację w protestanckim gimnazjum w Görlitz. Uniwersyteckie nauki pobierał w Wittenberdze, a jego nauczycielem był Filip Melanchton, najwybitniejszy po Lutrze twórca protestanckiej doktryny religijnej. Rodzina uznała jednak ten kierunek edukacji za ryzykowny i przeniosła Franciszka na studia do Włoch. Tam uczył się w Bolonii i Rzymie, gdzie w 1551 r. uzyskał doktorat obojga praw. Po powrocie do kraju, już jako wyświęcony duchowny z opinią erudyty i poligloty, rozpoczął szybką karierę. Został sekretarzem prymasa Mikołaja Dzierzgowskiego i zaczął otrzymywać lukratywne prebendy – archidiakonat kaliski, kanonie łucką i łowicką, a w 1555 r. krakowską.

Przez kancelarię królewską do senatu

Studia we Włoszech i znakomita znajomość języków obcych otworzyły przed Padniewskim, a potem Krasińskim drogę do kariery dyplomatycznej. Ten pierwszy zaczynał ją od misji w służbie Kościoła jako poseł kapituły krakowskiej do Rzymu (1543), ale rychło został przejęty przez kancelarię królewską i w kolejnych latach brał udział w realizowaniu zadań dyplomatycznych na Węgrzech (dwukrotnie) i w Niemczech (trzykrotnie). Po objęciu rządów w Polsce przez Zygmunta Augusta (1548) znalazł się w bliskim otoczeniu monarchy i był wykorzystywany również w prowadzeniu polityki wewnętrznej. Zwieńczeniem tego etapu kariery był awans na senatorski i ministerialny urząd podkanclerzego koronnego uzyskany w 1559 r. Po trzech latach Padniewski wspiął się na niemal najwyższe „krzesło senackie", zyskując nominację na biskupa krakowskiego. Pozycja ordynariusza stołecznej diecezji, który zarazem był księciem siewierskim, protektorem Akademii Krakowskiej i użytkownikiem wielkich dóbr ziemskich zapewniających magnacki dochód, była wówczas wymarzonym zwieńczeniem kariery dla osoby duchownej. Gwarantowała przy tym eksponowane miejsce w elicie politycznej kraju.

Kariera Krasińskiego potoczyła się podobnie. W latach 1555 i 1558 odbył dwie misje do Rzymu jako reprezentant polskiego Kościoła. W 1560 r. przeszedł do kancelarii koronnej i dyplomacji państwowej. W latach 1565–1568 przebywał w Wiedniu jako poseł Zygmunta Augusta przy cesarzu Maksymilianie II. Na krakowskim dworze nie brakło krytyków tej misji, ale król był usatysfakcjonowany jej wynikami i po powrocie Krasińskiego mianował go podkanclerzym koronnym (1569). W tej roli ksiądz Franciszek wykazał wielkie zaangażowanie i przy małej wówczas aktywności kanclerza Walentego Dembińskiego był faktycznym szefem kancelarii koronnej. Zygmunt August wynagrodził go za te prace nominacją na biskupstwo krakowskie po śmierci Filipa Padniewskiego (1572).

Współtwórcy dzieła unii – różnice koncepcji

Obaj duchowni byli silnie zaangażowani w wielkie dzieło swoich czasów, którym była unia polsko-litewska. Była ona jednym z głównych celów ruchu egzekucyjnego i już od lat 40. XVI w. powtarzano apele o jej realizację. Dopiero jednak sejm lat 1563–1564 zajął się poważnie tą kwestią. Do Warszawy przybyło wtedy liczne przedstawicielstwo Wielkiego Księstwa. Padniewski przedstawił w czasie sejmu zarys własnego projektu unii opartego na zasadzie przyłączenia Wielkiego Księstwa do Korony i likwidacji jego państwowej odrębności. Po wielodniowych negocjacjach biskup krakowski przygotował także formalny projekt unii, który po poprawkach izby poselskiej wszedł do recesu, czyli przygotowanych konstytucji odłożonych do następnego sejmu. Zgodnie z projektem zawartym w recesie unia miała się opierać na wspólnym sejmie i wspólnym wybieraniu króla. Na tymże sejmie biskup krakowski wystąpił z koncepcją inkorporacji do Korony Wołynia i Podlasia. Stwierdził wówczas, że ziemie te są ex corpore Regni i powinny wrócić do Korony, chyba że nastąpi unia i wcielenie Litwy do Polski, „tedyż to wszystko będzie nasze". Jak widać, Padniewski traktował inkorporację jako instrument nakłaniający Litwę do unii. Kontynuował tę politykę na unijnym sejmie lubelskim w 1569 r. Przypomniał wówczas w czasie obrad senatu koronnego swoją dawną argumentację, a na wspólnych obradach z Litwinami dawał do zrozumienia, że ich opór wobec unii doprowadzi do inkorporacji. Przedstawiciele Wielkiego Księstwa nie mogli lub nie chcieli zrozumieć tego ostrzeżenia. Stanowczo opierając się unii, zdecydowali, że opuszczą nocą Lublin, uchylając się od dalszych rozmów z królem i „bracią Polakami". Zgodnie z zapowiedzią Padniewskiego doszło wówczas do wydania dekretu królewskiego o „restytucji" Wołynia i Podlasia do Korony. Biskup krakowski poparł oczywiście tę decyzję i domagał się jej egzekucji. Kiedy jednak pojawiła się idea włączenia do Korony również Kijowszczyzny, przeciwstawił się temu jako zbyt kosztownemu obciążeniu dla Polski, która musiałaby wziąć wyłącznie na siebie obowiązek obrony przed Tatarami i związane z tym wydatki. Jak widać, Padniewski nie kierował się aneksjonistycznym popędem. Jego celem było zawarcie unii realnej i stworzenie wspólnego polsko-litewskiego państwa. Ostatecznie jego dążenia zostały – jak wiadomo – zrealizowane, a unia zawarta, ale w sprawie Kijowszczyzny przyszło Padniewskiemu zmienić »

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl d16ae12b4e

» zdanie i – przynajmniej formalnie – zaakceptować inkorporację.

Drugi z naszych bohaterów – Franciszek Krasiński – także odegrał ważną rolę w dziejach unii lubelskiej. Już w czasie sejmu unijnego otrzymał nominację na urząd podkanclerzego koronnego i był twórcą najważniejszych aktów tego zgromadzenia. Przygotowane przez niego projekty zachowały się w jego księgach podkanclerskich i dzięki temu możemy stwierdzić, że Krasiński był głównym wykonawcą koncepcji unii skonstruowanej przez Zygmunta Augusta i to właśnie podkanclerzy nadawał ideom monarchy kształt tekstów prawnych, bez wątpienia opatrując je własnymi uzupełnieniami. Był zatem współtwórcą kompromisowego pomysłu na unię tworzącą państwo federacyjne. Był też zapewne autorem koncepcji inkorporacji Wołynia i Kijowszczyzny traktowanej nie jak argument skłaniający Litwinów do unii (jak chciał Padniewski), lecz jako cel sam w sobie. Zgodnie z unijnymi i inkorporacyjnymi pomysłami Krasińskiego dokonywały się w 1569 r. nie tylko stworzenie nowego państwa, ale istotna korekta geopolitycznego porządku w Europie Środkowo-Wschodniej w związku z tym, że Korona brała pełną odpowiedzialność za front konfrontacji z Tatarami (dzieloną wcześniej z Litwą) i współodpowiedzialność za zmagania z Moskwą (obciążającą dotąd wyłącznie Litwę).

Potrzeba modi convivendi

Padniewski i Krasiński przeszli podobne ścieżki zdobywania wykształcenia i drogi kariery państwowej oraz kościelnej, obaj byli też współtwórcami dzieła unii lubelskiej. Dzieliła ich znaczna różnica wieku (kilkanaście lat) i zapewne nie utrzymywali bezpośrednich kontaktów towarzyskich (w każdym razie brak świadectw, by one istniały), ale podobieństw między nimi można wskazać sporo. Warte uwagi jest to, że obaj biskupi mieli podobny stosunek do innowierców. Padniewski już jako ordynariusz krakowski zetknął się z silnym stronnictwem protestanckim na sejmiku tegoż województwa i podjął z nim rozmowy dotyczące rozwiązania spornych kwestii. Można powiedzieć, że usiłował wypracować lokalny „modus convivendi" Kościoła katolickiego i protestanckiej części społeczności szlacheckiej na zasadzie obopólnych ustępstw. Zaangażował się w ten pomysł mimo krytyki i interwencji nuncjusza Bongiovanniego. Ostatecznie jednak nie doszło do żadnych formalnych uzgodnień.

Krasiński zainteresował się podobną inicjatywą, tyle że na skalę całego państwa. Uczestniczył bowiem w tworzeniu aktu konfederacji warszawskiej, zwanej „wielką kartą polskiej tolerancji". Był nawet autorem ostatecznej redakcji tego dokumentu tworzonego zresztą przy czynnym udziale kilku biskupów oraz jedynym hierarchą, który zdecydował się złożyć podpis pod konfederacją, a nawet uczynić to dwukrotnie, akt ów bowiem został powtórnie przedłożony do akceptacji sejmowi elekcyjnemu. Episkopat ówczesny i kolejnych pokoleń miał mu to za złe, ale szlacheccy zwolennicy „praw i wolności" uważali jego zachowanie za chwalebne. Wynikało ono zapewne raczej z wolnościowych przekonań biskupa niż ukrytej sympatii dla protestantów. Znamy bowiem Krasińskiego ze wspierania pierwszych kroków jezuitów na ziemiach polskich i jako zwolennika założenia kolegiów tego zakonu w Poznaniu, Pułtusku, we Lwowie i w Krakowie.

Padniewski i Krasiński byli jednymi z ostatnich przedstawicieli grupy biskupów renesansowych utrzymujących liczne dwory, na których więcej było artystów i naukowców niż duchownych. Chętnie otaczali się intelektualistami, z którymi wiedli skomplikowane dysputy. Zapewne byli w większym stopniu senatorami niż duszpasterzami, ale w pamięci potomnych zachowali się z zasługami w obu tych rolach.



Franciszek Krasiński studiował w Bolonii i Rzymie, gdzie w 1551 r. uzyskał doktorat obojga praw

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl d16ae12b4e



Żołnierze polscy na stanowisku bojowym podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r.

BOHATEROWIE SPOD RADZYMINA

BÓJ O RADZYMIN JEST JEDNYM Z NAJBARDZIEJ ZNANYCH WYDARZEŃ BITWY WARSZAWSKIEJ 1920 r. TUTAJ PRZEZ CZTERY DNI WAŻYŁ SIĘ LOS OBRONY STOLICY, A NAZWĘ MIASTECZKA WYMIENIAŁY POLSKIE I ROSYJSKIE KOMUNIKATY Z FRONTU. RADZYMIN SKUPIŁ NA SOBIE UWAGĘ DOWÓDCÓW SOWIECKICH III I XVI ARMII, UŁATWIAJĄC POLAKOM PRZYGOTOWANIE ZWYCIĘSKIEJ KONTROFENSYWY ZNAD WIEPRZA

JANUSZ ODZIEMKOWSKI

Spoglądając na bitwę o Radzymin nie okiem fachowca analizującego na mapie przesunięcia wojsk i decyzje dowódców, ale poprzez karty pamiętników, relacji, frontowych dzienników zapisywanych ołówkiem w okopach, łatwo dostrzeżemy jej najbardziej charakterystyczne cechy: ogromny dynamizm, ładunek napięcia, czyny wielkiego heroizmu i momenty załamań krańcowo wyczerpanego żołnierza. Jak również to, co wówczas umknęło rosyjskim sztabom, a i dzisiaj nie jest zauważane przez niektórych historyków i dyskutantów formułujących uczone tezy. Żołnierz polski dążący latem 1920 r. na pole bitwy nad Wisłą był wykrwawiony, wyczerpany marszami, obszarpany, przygnębiony odwrotem – ale nie czuł się pokonany. Potrzebowano iskry, która na nowo rozpali niewygasłe pragnienie walki i obrony ojczystego kraju. Tą iskrą dla jednostek koncentrujących się nad Wieprzem była wiadomość o kontrofensywie; powitano ją wiwatami, wyrzuceniem czapek w górę. Pod Warszawą serca żołnierzy rozpalała świadomość, że stają do obrony stolicy. Widać to w postawie 1. Dywizji Litewsko-Białoruskiej (1 DLB), w której obok ochotników Polaków z kresów północno-wschodnich służyła liczna grupa ochotników Białorusinów. Kiedy 12 sierpnia warszawiacy »

FOT. NAC

eprasa.pl d16ae12b4e

» spoglądali wstrząśnięci na obszarpanych, sczerniałych od trudów żołnierzy dywizji wkraczających do miasta w podartych mundurach, dziurawych butach lub ze stopami owiniętymi w szmaty, z szeregów zerwała się pieśń strzelecka: „Naprzód drużyno strzelecka, / Sztandar do góry swój wznieś, / Żadna nas siła zdradziecka / Załamać nie zdoła ni zgnieść...".

Jan Ziółek z 8. Dywizji Piechoty zanotował w pamiętniku, że gdy 13 sierpnia odczytano rozkaz o obronie Warszawy: „...z naszych piersi rozległ się potężny okrzyk: »Zwycięstwo do ostatniej kropli krwi!«. Od razu wrócił w nas duch bojowy...".

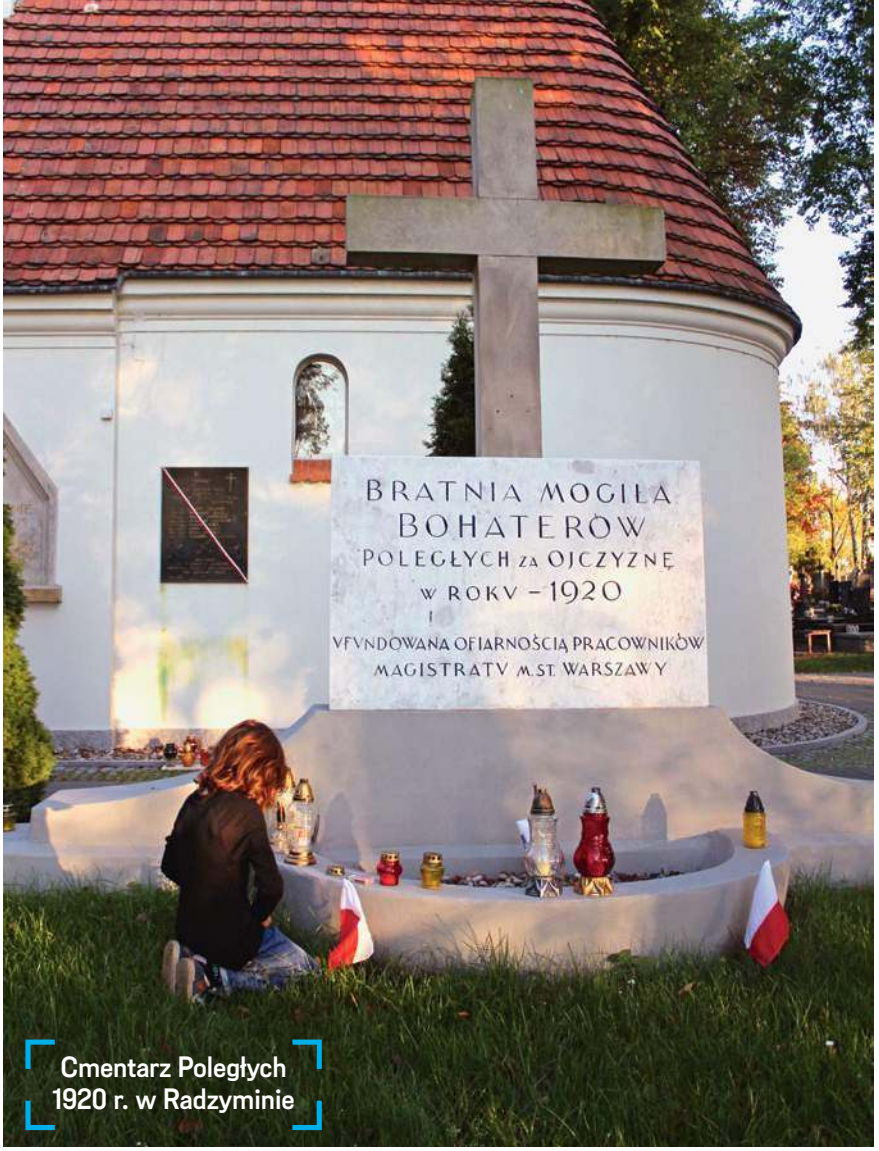
Ochotnicy z Kresów

Bitwę rozpoczęło po południu 13 sierpnia uderzenie 21. i 27. dywizji strzeleckich Armii Czerwonej, które przerwały front 46. pułku piechoty i opanowały Radzymin. Z Wyszkowa dowódca III armii sowieckiej słał triumfalne radiodepesze, zapowiadając rychły upadek Warszawy.

14 sierpnia o godz. 2 nad ranem gen. Józef Haller dowodzący polskim Frontem Północnym wydał stojącej w odwodzie 1 DLB gen. Jana Rządkowskiego rozkaz odbicia Radzymina. Dywizję utworzyli ochotnicy, którzy szli zimą 1918/1919 r. o głodzie i chłodzie z Suwałk, Mińska, Lidy, Wilna, kresowych wiosek i zaścianków przez front bolszewicki i niemieckie kordony do rejonu Łap i Zambrowa, aby tu przywdziać polski mundur. Dywizja wielokrotnie wyróżniła się w walkach i zyskała opinię jednej z najlepszych w armii polskiej. O jej żołnierzach tak pisał dziennikarz „Gazety Warszawskiej": „Mowa u nich śpiewna, wiara gorąca, w obejściu łagodność i miękkość, odróżniająca ich od żołnierzy z Królestwa i Galicji, a jednak w walce taki animusz, taka zaciekłość i pogarda śmierci...".

Alarm w pułkach 1 DLB ogłoszono 14 sierpnia o godz. 2.30. Grodzieński pułk strzelców zebrał się w rejonie Słupna przy szosie do Radzymina. Jego organizator i dowódca ppłk Bronisław Bohaterewicz przedstawił żołnierzom położenie i wydał rozkaz: „Wy musicie odebrać Radzymin. To bitwa o Warszawę, stolicę i serce Ojczyzny. Dalej nie ma odwrotu. Pójdziemy naprzód!".

Wileński pułk strzelców wyruszył z kwater w ciemnościach, mijając sta-



Cmentarz Poległych 1920 r. w Radzyminie

FOT. FRATRIA

nowiska artylerii. Kolumnę prowadził konno mjr Stanisław Bobiatyński, organizator i dowódca pułku, lekarz z zawodu. Bobiatyński był człowiekiem ogromnej odwagi i jednym z najpopularniejszych oficerów dywizji; bolszewicy wyznaczyli za jego głowę nagrodę pieniężną. Przy stacji kolejowej Struga napotkano dowódcę dywizji. Padł rozkaz „Baczność! W prawo patrz!". Major Bobiatyński złożył gen. Rządkowskiemu meldunek. Generał, były oficer armii carskiej, dowborczyk, podjechał do szeregów, wyprostował się w strzemionach i powiedział donośnym głosem: „Chłopcy drodzy! Witam was imieniem bohaterów. Kości dziadów i pradziadów waszych spod Grochowa i Olszynki pomsty wołają. Brońcie Warszawy. W męstwie waszym jej ocalenie. Musicie zdobyć Radzymin!".

Dowódca 8. kompanii pułku por. Zdzisław Kowalewski zanotował w pamiętniku: „Uścisnął mi rękę i spojrzał tak, że zrozumiałem jego niepokój. Zwycięstwo! Zwycięstwo za każdą cenę chociażby życia własnego. Nie możemy, nie wolno nam zawieść ostatnich pokładanych w nas nadziei".

Pierwsze szturmy miasta

Pułk zajął pozycje wyjściowe koło wzgórza św. Antoniego, niespełna kilometr od kościoła parafialnego św. Andrzeja Boboli. Natarcie ruszyło o godz. 10.30, wpadając od razu pod silny ogień artylerii i broni maszynowej. Był moment zawahania. Na czoło tyralier wyszli oficerowie z karabinami w rękach i mjr Bobiatyński z laską w dłoni. Żołnierze zaczęli śpiewać Mazurka Dąbrowskiego. Por. Kowalewski wspominał: „Byliśmy jak urzeczeni. Szaleńcze zapamiętanie ogarnęło szeregi i wzniosło je na wyżyny bojowej doskonałości".

Natarcie przerodziło się w pościg za nieprzyjacielem. Do Radzymina wpadły przemieszane grupy żołnierzy II i III batalionu i opanowały miasto po krótkich

eprasa.pl d16ae12b4e

walkach ulicznych. Oficerowie misji wojskowych państw Ententy oglądający atak z punktu obserwacyjnego przy szosie radzymińskiej bili brawo i gratulowali gen. Rządkowskiemu postawy wojska.

O godz. 10.45 natarcie rozpoczął pułk grodzieński liczący w stanie bojowym zaledwie 500 żołnierzy (równowartość batalionu). Mimo silnego ognia broni maszynowej zajęto Aleksandrów i Cegielnię. Wtedy na lewe skrzydło pułku wyszło uderzenie 242. i 241. pułku strzelców Armii Czerwonej. Ppłk Bohaterewicz musiał wydać rozkaz odwrotu. Nieprzyjaciel wyszedł na tyły Radzymina, równocześnie od północy uderzyły na miasto oddziały 21. dywizji strzelców. Por. Kowalewski pisał: „Sił nam ubywało z każdą minutą. Raz po raz wpadały celne pociski, wyszczerbiając żywy mur obrońców, zdających się wołać za każdym swoim wystrzałem »Nie damy!«".

Wyczerpani walką żołnierze z resztkami amunicji w ładownicach musieli opuścić Radzymin. Ich odwrót próbował osłonić przeciwuderzeniem dowódca odwodowego I batalionu wileńskiego pułku kpt. Ryszard Downar-Zapolski, dowborczyk, w 1918 r. organizator samoobrony polskiej na Wileńszczyźnie. Uniemożliwili to żołnierze 46. pułku piechoty, którzy nie ochłonęli jeszcze po klęsce poniesionej 13 sierpnia i na widok licznych tyralier bolszewickich zaczęli uciekać. Kapitan, aby opanować panikę, z ostentacyjnym spokojem szedł wzdłuż stanowisk, nie kryjąc się i paląc papierosa. Na skrzyżowaniu szosy radzymińskiej z drogą Janków Nowy-Słupno został śmiertelnie ranny. Ostatkiem sił przekazał podwładnemu torbę oficerską z rozkazami i mapami.

...abyś mi ludzi nie wygubił

Około godz. 15 gen. Haller podjął decyzję wprowadzenia do walki 10. dywizji piechoty gen. Lucjana Żeligowskiego, przeciwnik zaś skierował pod Radzymin 2. dywizję strzelecką z XVI armii. Nad ranem 15 sierpnia pierwsze pojawiły się na polu bitwy II i III bataliony 28. pułku piechoty 10. dywizji. Na postoju zostały zaskoczone przez 241. pułk Uwarowa. Wśród ochotników, którzy ostatnio zasilili 28. pułk, wybuchło zamieszanie. Popłoch opanował ppor. Benedykt Pęczkowski. Wśród gradu kul biegł wzdłuż tyraliery, podtrzymywał na duchu, wyznaczał cele. Ranny, poprowadził żołnierzy do natarcia ze śpiewem Mazurka Dąbrowskiego. Wtedy poległ i załamało się polskie natarcie.

W tym czasie I batalion 28 pp. por. Stefana Pogonowskiego uderzył w kierunku Wólki Radzymińskiej, zagrażając tyłom 81. brygady strzelców. Por. Pogonowski, śmiertelnie ranny pod Mostkami Wólczyńskimi, wydał zastępcy ostatni rozkaz, piękny przykład troski dowódcy o podwładnych: „Pamiętaj, abyś mi ludzi nie wygubił".

Zdobycie przez batalion Wólki Radzymińskiej uznano potem za jeden z przełomowych momentów bitwy o Warszawę. Gen. Żeligowski napisał we wspomnieniach, że śmierć por. Pogonowskiego była śmiercią żołnierską jak wiele innych. „Warunki jednak i okoliczność, w jakich śmierć ta nastąpiła, wynoszą ją do wyżyn symbolu ofiary za Ojczyznę".

Nocą z 14 na 15 sierpnia pułki 1 DLB otrzymały uzupełnienia. Dywizję wizytował gen. Haller, przyjechały wozy rozmaitych kół opieki nad żołnierzem; panie rozdawały papierosy, czekoladę i rozmaite smakołyki. W pamiętniku Kowalewskiego czytamy: „Przyjmowali chłopcy wszystko z godnością i uśmiechem zadowolenia, przekonani o swoich zasługach. Mamrotały relutony z pełnymi ustami, że o Warszawę to przynajmniej warto się bić, że ci cywile znad Wisły to »morowi ludzie«. I rzeczywiście, po raz pierwszy widziałem to serdeczne zbratanie się całego narodu z wojskiem".

Ochota do walki była wielka i oficerowie siłą musieli powstrzymywać żołnierzy, by poczekali z natarciem na wsparcie artylerii. Pułki wileński i grodzieński wzmocniło pięć czołgów. Do walki weszły też pułki miński i nowogródzki – każdy prezentował siłę batalionu piechoty. Ponownie zdobyto i utracono Radzymin, poszczególne miejscowości przechodziły z rąk do rąk. Witowt Putna, dowódca „żelaznej" 27 DS, jednej z najlepszych jednostek Armii Czerwonej, podkreślał w pamiętniku zaciekłość walk i „fanatyzm" Polaków spowodowany „sztucznie rozbudzoną nienawiścią do czerwonych i rosyjskich moskali". Był to wielki dzień polskiego lotnictwa: samoloty ustawicznie ostrzeliwały i bombardowały oddziały Armii Czerwonej. Doszło do tego, że na sam dźwięk motoru czerwonoarmiści rozbiegali się, szukając ukrycia. Ostatecznie wieczorem nieprzyjaciel wycofał się i Radzymin zajął I batalion 30. pułku piechoty. Nazajutrz przeciwnik próbował jeszcze natarcia, ale został rozproszony silnym ogniem artylerii obrony Warszawy.

Powstańczy sztandar

Rankiem 16 sierpnia informacja o odbiciu Radzymina dotarła do szpitala, w którym leżał raniony 15 sierpnia por. Kowalewski. Tak wspominał ten moment: „Wśród rannych nastąpiło poruszenie. Kaleki chcą wstawać. Konający uśmiechają się. Doktorzy i cały personel szpitalny, cywilni co przyszli z wizytami, wszyscy tacy uradowani, tacy weseli, rozgorączkowani w upojeniu udzielają sobie »wielkiej nowiny«. Znikła chmura niepewności i wzeszło nad umęczonym krajem nowe słońce".

16 sierpnia ruszyła znad Wieprza polska kontrofensywa, która miała diametralnie zmienić położenie na froncie.

W boju o Radzymin obie strony poniosły bardzo wysokie straty, np. z szeregów wileńskiego pułku ubyło 75 proc. oficerów i 35 proc. szeregowców. O polskim zwycięstwie zadecydowały w dużej mierze postawa żołnierzy i entuzjazm ochotników wypełniających zdziesiątkowane szeregi. Pod Radzyminem złamano siłę ofensywną i ducha najlepszych dywizji III i XVI armii sowieckiej. W dowód uznania za męstwo weterani powstania styczniowego ofiarowali żołnierzom Dywizji Litewsko-Białoruskiej stary sztandar powstańczy, a gen. Rządkowski podziękował podkomendnym rozkazem, w którym pisał: „Jesteście godni pamięci Ojców Waszych z 31 i 63 roku, których sztandar podarowany dywizji z błogosławieństwem przez biskupa polowego WP powiewa dziś nad Waszymi szeregami. Pójdziemy za Nim ze starym hasłem przodków »Za Waszą i Naszą Wolność«. My, synowie Kresów".

W 1925 r. na stoku wzgórza św. Antoniego, skąd strzelcy wileńscy wyruszali do pierwszego uderzenia na Radzymin, okoliczni mieszkańcy wznieśli kapliczkę jako wyraz wdzięczności za ocalenie przed inwazją Armii Czerwonej.

Wielu poległych żołnierzy polskich pochowano na radzymińskim cmentarzu. Napis na marmurowej tablicy oddawał hołd obrońcom Warszawy słowami Jana z Czarnolasu: „Tuśmy się mężnie prze Ojczyzny bili / I na ostatek gardła położyli. / Nie śmiej przechodniu łzy nad nami tracić / Taką śmierć mógłbym sam drogo zapłacić".

eprasa.pl d16ae12b4e



Paryżanie szturmują Bastylię 14 lipca 1789 roku. Rycina Jeana-Louisa Prieura (1759–1795)

DLACZEGO REWOLUCJA?

O nieuchronności i obliczach przewrotu we Francji przed 230 laty z dr hab. MARTYNĄ DESZCZYŃSKĄ rozmawia Michał Chudoliński

Jak doszło do buntu Francuzów przeciwko królowi w 1789 r.?

Dr hab. Martyna Deszczyńska: Przyczyn tak wielowątkowego zjawiska było bardzo wiele. W dawniejszej literaturze istniały różne „szkoły" tłumaczenia tego fenomenu, takie jak emancypacja zamożnego mieszczaństwa jako części „stanu trzeciego", jego chęć zdobycia przywilejów i wolności, także praw politycznych. Brano też pod uwagę kryzys monarchii, dług państwowy, kryzys finansów publicznych, zmiany mentalności i sekularyzację czy wpływ lóż wolnomularskich oraz rewolucji i wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Oczywiście rewolucja amerykańska i w pewnym sensie reformy Sejmu Wielkiego w Polsce, zwane niesłusznie „polską rewolucją", z lat 1788–1791 stanowiły pewnego rodzaju kontekst. W Europie wiele wtedy zmieniano.

Które przyczyny uznałaby zatem pani za najważniejsze?

Za przyczyny o największej mocy sprawczej uznałabym zmiany ideologiczne i mentalnościowe związane z francuskim wariantem oświecenia. Na pewno można mówić o zakwestionowaniu absolutnego wymiaru władzy królewskiej, jej „pomazaństwa Bożego". Osoba króla Ludwika XVI, dwór, zachowanie królowej Marii Antoniny przestały być tabu w publicznym dyskursie. W pewnym sensie drążono już podkop pod monarchię w postaci ideologii tzw. libertynizmu, jeszcze z XVII w. Zakwestionowano dominującą rolę dworu i jego władcy jako „słońca" tego wersalskiego świata. Było to tym łatwiej zrobić, że Ludwik XVI nie miał silnej osobowości ani przymiotów swego dziada Ludwika XV, ani tym bardziej Ludwika XIV, choć miał kilku zdolnych ministrów, jak Jacques Necker czy Anne-Robert-Jacques Turgot. Poniekąd wybuch w 1789 r. przygotowała tzw. rewolucja notabli z 1787 r., czyli próba reformy

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

eprasa.pl d16ae12b4e

skarbowej i budżetowej, którą poparłyby wyższe warstwy. Te jednak, nie dostrzegając być może w pełni zagrożeń, szansy nie wykorzystały, choć chciały ograniczenia samowoli dworu. Ferment także drążył zgromadzenia prowincjonalne, czyli tzw. parlamenty, których zadaniem był rozdział podatków.

To może wyjaśnijmy, czym były owe parlamenty? Jak politycznie wyglądała ówczesna Francja?

Francja była krajem scentralizowanym, ale poprzez parlamenty przejawiały się pewne separatyzmy oraz interesy lokalne. Poza tym przypomniano sobie o tzw. stanach generalnych, czyli delegacji przedstawicieli wszystkich parlamentów prowincjonalnych, zwoływanej niegdyś do Paryża. Hasło zwołania stanów generalnych, obradujących wspólnie, by głosami stanu trzeciego „przeważyć" szalę w państwie, wzięło się z tego, że pod pojęciem stanu trzeciego zaczęto rozumieć wolny naród. Nie można jednak powiedzieć, że opór wzbudzała tylko mało wyrazista i niespójna polityka króla. Tuż przed rewolucją właśnie dwór i ministrowie Ludwika chcieli wprowadzać zmiany. Wiemy, że jeszcze przed rewolucją w wielu resortach opracowywano listy niezbędnych zmian i reform, a administracja królewska była ich głównym rzecznikiem.

W takim razie co pchnęło Francuzów do zakwestionowania całego systemu?

Za wybuchem rewolucji musiała stać głęboka przemiana natury świadomościowej i dotycząca szerokiej rzeszy ludzi. Szukałabym jej w ideach równościowych oraz koncepcji Jeana-Jacquesa Rousseau – narodu jako suwerena, czy też podmiotowości ludu i umowy społecznej. Nie bez wpływu była również nasilona po wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych działalność lóż wolnomularskich, w których idee szumnie głoszonej wolności, równości i racjonalizmu, odniesienia do natury i tzw. religii naturalnej kiełkowały, ogarniając szlachtę, arystokrację, dwór, duchowieństwo, wojsko, urzędników królewskich, przedsiębiorców, nauczycieli prywatnych i warstwę preinteligencji. Jak chciał wybitny badacz kultury tej epoki Robert Darnton, te przemiany trzeba widzieć w ścisłej łączności z rozwojem form komunikacji zbiorowej, jak książka i prasa o dużych nakładach, drukarstwo ulotne i prasa rękopiśmienna, bezdebitowa.

Historia nie jest nauką przyrodniczą, ale nie może zapominać o czynnikach środowiska. Był więc nieurodzaj przez kilka poprzednich lat, a wyjątkowe susze na terenach basenu paryskiego w 1788 r. spowodowały drożyznę w Paryżu, wówczas liczącym ponad milion mieszkańców, w mieście, które było sercem Francji.

Czy można było zapobiec przewrotowi?

Sądzę, że zmiany były nieuniknione. Dotyczyły rozumienia istoty władzy, kondycji człowieka.

Ale czy musiały koniecznie przebiegać w sposób rewolucyjny?

Teoretycy rewolucji jako zjawiska politycznego mówią o zaistnieniu tzw. sytuacji rewolucyjnej. Ten zręczny termin ukuty przez Lwa Trockiego niestety zagościł w historiografii. Od sytuacji rewolucyjnej do rewolucji, czyli trwałego przeobrażenia, nie musi dochodzić, chyba że za nią nastąpi tzw. przełom rewolucyjny, wyłonią się przywódcy i zostaną zwerbalizowane postulaty dotyczące trwałej zmiany ustroju, nowe siły przejmą ster w państwie, zmieni się porządek prawny.

W przypadku lat końca XVIII w. we Francji mamy kilka takich sytuacji i kilka przełomów, od powołania stanów generalnych, zburzenia Bastylii, ogłoszenia Zgromadzenia Narodowego Konstytucyjnego, poprzez ogłoszenie republiki, wydanie wyroku śmierci na króla i jego egzekucji, po przewrót najpierw jakobiński, a potem ustanawiający nowy reżim – dyrektoriat.

I nie dałoby się temu zapobiec?

Nie sądzę. Do dziejów z rzadka stosować można parametry gry. Rzeczywistych „rozdań" jest tylko tyle, na ile pozwolą okoliczności, których skutki często są nieodwracalne. W tym wypadku idee zbyt nośne przeniknęły do zbyt wielu środowisk, by można było je kontrolować, ścierały się różne interesy i aspiracje.

Pozostaje natomiast pytaniem otwartym, które historycy z rzadka zadają: czy gdyby u steru był ten lub inny polityk, wypadki przebiegałyby tak samo? Oczywiście, gdyby nie pojawił Maksymilian Robespierre, to kto? Zdolnych, chwilowo bezrobotnych i chciwych władzy adwokatów z prowincji w Paryżu mogły być wówczas dziesiątki. Gdyby nie Napoleon, to... może generał Jean-Baptiste Kléber, zdolny, choć nie urodzony pod szczęśliwą gwiazdą, bo zasztyletowany w Egipcie podczas wyprawy wojsk francuskich?

Kto poparł rewolucję?

Ideologicznie i świadomościowo stan trzeci był odrębny pod względem prawnym od reszty społeczeństwa. W pierwszej fazie rewolucyjne nastroje ogarnęły głównie Paryż, potem inne miasta. W Lyonie i Marsylii tzw. lud połączył się z Gwardią Narodową, opanowując forty i arsenały w roku 1790.

W pierwszych miesiącach rewolucji nie ma wsi, rolników. Oni stali się »



Egzekucja Ludwika XVI poprzez zgilotynowanie odbyła się w Paryżu 21 stycznia 1793 r.

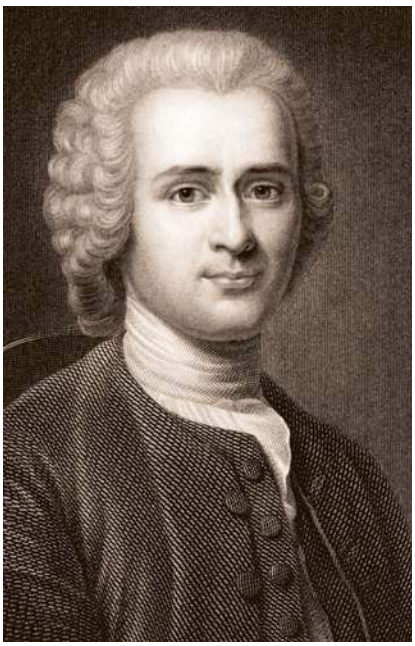
eprasa.pl d16ae12b4e

» siłą nieco później. Zwłaszcza po zniesieniu przywilejów feudalnych w 1789 r. oraz możliwości zakupu ziemi z parcelowanych dóbr kościelnych i własności wygnanych arystokratów. W okresie rewolucji wybuchały oczywiście też bunty na prowincji. W samej Bretanii spalono 26 zamków, kilkaset osób zginęło.

W popkulturze istnieje pozytywna recepcja rewolucji francuskiej jako czegoś potrzebnego i oczyszczającego.
Ta pozytywna recepcja jest spowodowana pierwiastkiem progresywizmu, tzw. postępowości, obecnym przy zmianie porządku polityczno-prawnego. Oto tak wyobrażano sobie rzeczywistość: niszczymy to, co stare, zmurszałe, dekadenckie i w dodatku opresyjne, a tworzymy „nowy świat". Ten sposób myślenia był właściwy dla dużej części lewicy i żywiołów demokratycznych w Europie i Ameryce Łacińskiej w XIX w. Do niego nawiązywali demokraci, socjaliści i marksiści, ale też ruchy niepodległościowe walczące z despotyzmami. Czy chciałby pan, aby 90 proc. społeczeństwa nie miało praw wyborczych i żadnych uprawnień politycznych, żyło w przypisaniu do ziemi, w obowiązkach gospodarczych i „służbach" wobec panów włości feudalnej, ukształtowanej jeszcze w XII w.? Wielu uważało, że był to niesprawiedliwy system i po prostu nie chciało się nań godzić, a że przy okazji chciało zmian i władzy dla siebie. To dlatego tylu duchownych, zwłaszcza z ubogich parafii, przyłączyło się do pierwszej fazy rewolucji, a ks. Emmanuel Sieyès napisał, że „stan trzeci jest właściwym narodem".

Z drugiej strony mit nowości, nowatorstwa, „nowego początku" był właściwy różnym rodzącym się ideologiom i utopiom, także rewolucyjnym czy religijnym, również na kontynencie amerykańskim.

Co jest najbardziej pociągające w takim spojrzeniu na rewolucję?
Ten quasi-pozytywny obraz rewolucji podyktowany był rozpowszechnieniem się pewnych dążeń i rozwiązań ustrojowych, uzyskujących w okresie rewolucji (także amerykańskiej) pełnię praw w dyskursie politycznym. Obok rozumowego pojmowania rzeczywistości, pozbawionego pierwiastków metafizycznych, co było nie tylko rewolucyjne, ale wówczas stało się sprawcze, najważniejsza chyba była równość wobec prawa. Dziś wiemy, że jej korzenie są chrześcijańskie, wówczas



FOT. SHUTTERSTOCK

Jean-Jacques Rousseau

wydawały się wielu duchownym zupełnie achrześcijańskie i nie do zaakceptowania. Miało to związek z rozwijaną we Francji doktryną ekonomiczną fizjokratyzmu.

Kolejnym z takich rozwiązań było podejmowanie decyzji poprzez głosowanie, głosowanie większością, tajne i równe prawo wyborcze – wtedy tylko dla mężczyzn.

A czy dostrzega pani coś niebezpiecznego w rewolucyjnym micie?
Jednym z niebezpiecznych mitów był mit determinizmu postępu rewolucji, ukuty przez jej marksistowską historiografię. To, że Francja weszła na tę drogę, nie oznaczało, że inne kraje musiały nią podążać. Przypomnijmy, że Dania czy Anglia poszły drogą reform bezkrwawych. Niektóre państewka włoskie, Niderlandy (jako tzw. Republika Batawska), a i nasze Księstwo Warszawskie przejęły reformy francuskie, np. zniesienie poddaństwa chłopów, narzucone przez armię republiki, a potem wojsko napoleońskie (jak Kodeks cywilny), ale krwawego zwrotu w nich nie było. Nie było też terroru masowego, „kąpieli ludowych", w których zamykano ludzi w barkach zabitych deskami i puszczano na rzekę, by utonęli, czyli po prostu ludobójstwa, pacyfikacji jak w Wandei, wywłaszczeń arystokratów itp. Był to więc mit krwawego przewrotu.

Skąd się wziął radykalizm francuskiej rewolucji?
Niechęć stanu trzeciego obróciła się przeciw górze społeczeństwa, czyli szlachcie i klerowi. Relatywnie, np. w stosunku do Polski, chłopi mieli się dużo lepiej, a ataki na dwory i zamki były częste. We Francji przedrewolucyjnej byli ubodzy księża, a mimo to rewolucja zaatakowała duchowieństwo. Byli żyjący ponad stan arystokraci, ale ich krewni z prowincji mogli nawet – oczywiście relatywnie – nie dojadać. Sporo szlachty weszło do armii rewolucyjnej, by jako zawodowcy nadal służyć Francji, choć nie podzielali idei, w imię których rozwijano sztandary. Byli skorumpowani urzędnicy, chciwi poborcy, głodni publicznego grosza.

Jakimi jeszcze bzdurnymi mitami obrosła rewolucja?
Jednym z nich była kwestia rewolucji jako swoistego święta wolności i masowej aprobaty dla jej owoców. Choć oczywiście świętowano upadek arystokracji i zwycięstwa wojsk republiki, były całkiem spore grupy i regiony niezadowolone z tych przemian, przywiązane do swojej lokalnej tradycji, wrogie sekularyzacji życia, np. duchowieństwo, chłopstwo, część zakonów, spore grupy szlachty. Dla nich „święto rewolucyjne" oraz tzw. święta federacji – masowe i przymusowe manifestacje zgody i bratania się warstw społecznych w imię aprobaty rewolucji, urządzane w małych i większych miastach przez nowe władze – nie były okazją do radosnego świętowania, ale raczej groteską. Zwłaszcza że wiele takich imprez przekształcało się w hulanki i pijatyki, gdzie nie każdy był pewien swojego mienia i życia, jak pisała Mona Ozouf.

Kolejnym mitem był mit tolerancji. Pod jej hasłami odsądzano od czci i wiary wielu niewinnych ludzi, wydawano wyroki śmierci za poglądy, skazywano na zagładę całe rodziny i środowiska. Trzeba powiedzieć, że tolerancja (czyli cierpliwe znoszenie innych osób, choćby różnych poglądów politycznych i religijnych) została wówczas zmieniona na tę, którą określilibyśmy nie tylko terminem „akceptacja", ale nawet „afirmacja". Jak bardzo to pojęcie wyewoluowało i przesunęła się jego granica, także w wyniku rewolucji, niech świadczy to, że tolerancja, termin o korzeniach rzymsko-chrześcijańskich bywał wielokrotnie używany przez środowiska skrajne, otwarcie negatywne wobec dialogu z innymi i akcep-

eprasa.pl d16ae12b4e



Pod hasłami tolerancji i wolności wodzowie rewolucji francuskiej skazywali na zagładę całe rodziny i środowiska, oceniane jako wrogie. Tak stało się np. w prowincji Wandea, którą po wybuchu powstania brutalnie spacyfikowano w latach 1793–1796, mordując na wielką skalę ludność cywilną. Jean-François Hue, „Pożar Granville", 1793 r.

FOT. ALAMY/BEW

tacji właśnie jakiejkolwiek odmienności światopoglądowej.

Najbardziej znanym hasłem rewolucji jest: wolność, równość, braterstwo. Rzeczywiście wprowadzono te wartości czy to kolejny mit?

W okresie oświecenia szermowano hasłem wolności, równości i braterstwa, choć duże grupy z tego braterstwa całkiem świadomie wykluczano: duchownych, służbę, niewolników, kobiety.

Rewolucja francuska odbiła się szerokim echem we wszystkich krajach europejskich. Jaki miała wpływ na to, co się działo później w Polsce, zwłaszcza w kontekście Konstytucji 3 maja i rozbiorów?

Konstytucję 3 maja 1791 r. uchwalono, gdy we Francji (1789–1790) przeprowadzono wiele drastycznych posunięć ustrojowych, takich jak zmiana struktury terytorialnej z bardzo silnym samorządem lokalnym, ustanowienie 12 lipca 1790 r. Konstytucji cywilnej duchowieństwa i zmiany struktury własności – przejęcie przez państwo majątków Kościoła katolickiego. To zaostrzyło konflikt rewolucyjny i oś sporu zaczęła przebiegać między biegunami – z jednej strony zwolenników kościoła rewolucyjnego, przysięgającego na wierność nowej monarchii konstytucyjnej oraz z drugiej Kościoła prawowiernego, podległego Rzymowi.

Pius VI na Konstytucję cywilną duchowieństwa zgody nie mógł wyrazić.

IDEE ZBYT NOŚNE PRZENIKNĘŁY DO ZBYT WIELU ŚRODOWISK, BY MOŻNA BYŁO JE KONTROLOWAĆ, ŚCIERAŁY SIĘ RÓŻNE INTERESY I ASPIRACJE

Majątki kościelne miały posłużyć do pokrycia długu państwowego, jak zaproponował były biskup Charles de Talleyrand. Podsumowując przyczyny rewolucji, ówczesny krytyczny jej analityk Edmund Burke stwierdzał, że u źródeł leżała chciwość i że nie miała wiele wspólnego z szacunkiem dla prawa własności.

Trzeba też zauważyć, że nie wszędzie przyjmowano taki model, choć ręce państwa wyciągały się po własność kościelną także w katolickiej Austrii. Rozwiązania nieco podobne do francuskich miały bardzo nieśmiały odzew w Kuźnicy Kołłątajowskiej, najbardziej radykalnym ugrupowaniu Sejmu Wielkiego. W Polsce radykalizm ten był jednak na dużo niższym poziomie. Reformatorzy, często sami księża – jak Hugo Kołłątaj czy Franciszek Salezy Jezierski – znali dobrze środowisko lokalne i wiedzieli, że takie rozwiązania nie dadzą się zastosować w Polsce.

Eskalacja wydarzeń we Francji: powstanie Konwentu i Komitetu Ocalenia Publicznego, zdobycie władzy przez jakobinów, zaburzyła jasną i jednolitą wizję świata polskich oświeconych, zwłaszcza Kołłątaja i Jezierskiego. Kołłątaj dokonał pewnego zwrotu i rehabilitacji religii, pisząc o chrześcijaństwie jako o „najdzielniejszym środku zachowania człowieka w obrębach sprawiedliwości i ludzkości".

W czerwcu 1790 r. zniesiono we Francji stan szlachecki, a ludzie zwać się zaczęli nawzajem „obywatelami". W Polsce przeciwnie – to szlachta i duchowni w Sejmie skłaniali się do rozszerzenia instrumentu nobilitacji dla mieszczan. Reformy polskie umiarkowane i wypływające z innych potrzeb były przeprowadzane w złowrogim cieniu Rosji i Prus. Francja zaś faktycznie miała zagrożoną tylko jedną granicę, na Renie.

Polska nie zamierzała wprowadzać republiki. Od maja 1791 r. była wręcz monarchią konstytucyjną, a o równości wobec prawa jeszcze nikt nie myślał. Nie dążyła z nikim do wojny, a przecież zagrażały jej apetyty pruskie na aneksję Gdańska i Torunia. Poza tym Francję od Polski różniło też to, że tam współpraca arystokratów z wrogami państwa rewolucyjnego się nie powiodła.

eprasa.pl d16ae12b4e



Towarzystwo Przemysłowe Zakładów Mechanicznych S.A. „Lilpop, Rau i Loewenstein" w Warszawie

FOT. NAC

LILPOPOWIE

JACEK LILPOP

HISTORIA TEJ RODZINY JEST TYPOWA DLA WIELU OSIADŁYCH NA ZIEMIACH RZECZYPOSPOLITEJ RODÓW, KTÓRE BUDOWAŁY PODSTAWY KULTURY I GOSPODARKI POLSKIEJ. ICH CZŁONKOWIE BYLI CZĘSTO WYBITNYMI PATRIOTAMI. WYSTARCZY WYMIENIĆ ROMUALDA TRAUGUTTA, OSKARA KOLBERGA, SAMUELA BOGUSŁAWA LINDEGO...

Lilpopowie są przykładem takiej właśnie mieszczańskiej rodziny, która rozkwitła w XIX w., już w drugim pokoleniu spolonizowała się, stają się jedną z najaktywniejszych rodzin obcego pochodzenia na terenach dawnej Rzeczypospolitej, z sukcesem działając na wielu polach: w rzemiośle, handlu, budownictwie, w przemyśle.

Protoplastą polskiej gałęzi rodu był Antoni Augustyn Lilpop (1742–1815) – Austriak (nazwisko Lilpop spotykane jest także w Niemczech), który w 1789 r. przybył do Polski z Grazu i założył na ul. Długiej w Warszawie pierwszy zakład zegarmistrzowski. Firma zegarmistrzowska Lilpopów istniała do 1939 r. Najbardziej znane były jej zegarki z sygnaturą L.M. Lilpop – Ludwik Maurycy Lilpop, a jej ostatni zakład na ul. Wierzbowej został zbombardowany przez Niemców we wrześniu 1939 r.

Z przemysłem za pan brat

Wnuk Antoniego Augustyna, a syn zegarmistrza Augustyna, Stanisław Lilpop, przemysłowiec i konstruktor, uważany jest za jednego z pionierów uprzemysłowienia w Królestwie Polskim. Przystąpił

eprasa.pl d16ae12b4e



FOT. Z ARCHIWUM RODZINNEGO AUTORA

Stanisław Lilpop, przemysłowiec i konstruktor, uważany za jednego z pionierów uprzemysłowienia w Królestwie Polskim

do spółki z właścicielami odlewni żelaza i metali kolorowych braćmi Evans. Po przejęciu jej z Wilhelmem Rauem, administratorem Fabryki Machin na warszawskim Solcu, przekształcił manufakturę w fabrykę specjalizującą się początkowo w produkcji maszyn rolniczych. Zakłady Lilpop i Rau mieściły się w Warszawie u zbiegu dzisiejszych ulic: Książęcej, Czerniakowskiej, Rozbrat i Kruczkowskiego. Odpowiadając na zapotrzebowanie rynku, przemysłowcy wykorzystywali do rozwinięcia swojej działalności nowoczesne formy kredytowania, ściśle współpracując z przedstawicielami miejscowego kapitału bankowego i ziemiańskiego – Andrzejem Zamoyskim i Leopoldem Kronenbergiem. Stanisław Lilpop, uzdolniony konstruktor pługów, bron, młockarni parowych, siewników, zaprojektował pierwszą na ziemiach polskich żniwiarkę, wzorowaną na amerykańskiej maszynie McCormicka, ale udoskonaloną i przystosowaną do warunków krajowych.

Już po śmierci Stanisława Lilpopa koniunktura na rozwój kolei w Rosji i wsparcie przedsiębiorcy belgijskiego żydowskiego pochodzenia, barona Seweryna Loewensteina pozwoliły na powołanie Towarzystwa Przemysłowego Zakładów Mechanicznych Lilpop, Rau i Loewenstein Spółka Akcyjna. W ten sposób powstał pierwszy w Polsce koncern hutniczo-metalowy, z polskim kapitałem i dominującą rolą zakładów Lilpop, Rau i Loewenstein. Twórcą tego sukcesu był m.in. zięć Stanisława Lilpopa, mąż jego córki, Heleny – Henryk Marconi, wieloletni członek rady nadzorczej i dyrektor naczelny fabryki. Nazwisko Lilpop pozostało w nazwie firmy ze względu na najstarszego syna Stanisława – należącego do zarządu zakładów, inżyniera Karola Lilpopa. Jego matka, Joanna Lilpop z domu Petzoldt, była pierwszą kobietą w historii zasiadającą w radzie nadzorczej spółki w Królestwie Polskim.

Od 1904 r., ze względu na rozszerzające się zamówienia i asortyment, fabrykę stopniowo przenoszono z Solca na Wolę, na ul. Bema 65, wykorzystując budynki likwidowanego przedsiębiorstwa Augusta Repphana. W nowym miejscu Zakłady Lilpop, Rau i Loewenstein mogły zwiększyć swoją produkcję, wytwarzając tabor kolejowy: wagony, szyny kolejowe, konstrukcje metalowe, mosty (most Kierbedzia), maszyny parowe różnych typów. Na zamówienie rosyjskiego Ministerstwa Wojny wytwarzano i montowano głównie tabor samochodowy. W fabryce na Woli także produkowano amunicję i pociski artyleryjskie. Zakłady stworzyły koncern łącznie obejmujący 14 przedsiębiorstw na terenie Królestwa Polskiego i Imperium Rosyjskiego.

Po wybuchu I wojny światowej produkcję fabryki przestawiono na potrzeby wojenne. Maszyny i urządzenia wraz z pracownikami (ok. 300 wagonów) ewakuowano do miasta Krzemieńczuk na Ukrainie. Po wojnie polsko-bolszewickiej i ustaleniu granicy z Rosją sowiecką część majątku udało się odzyskać, fabrykę odbudowano ze zniszczeń wojennych i wznowiono produkcję.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości ta największa w Warszawie fabryka, nazywana przez warszawiaków Fabryką Lilpopa, przeżywała czas prosperity. Wciąż rozszerzano asortyment produkcji: od budowy wagonów pulmanowskich, parowozów (w tym słynnej luxtorpedy), tramwajów, po montaż na licencji amerykańskiej koncernu General Motors samochodów takich marek jak Opel, Buick, Chevrolet. Stała się przodującym zakładem w polskim przemyśle budowy maszyn aż do 1939 r. Rok wcześniej rozpoczęto budowę nowej fabryki w Lublinie, lecz wybuch wojny przerwał tę inwestycję. Gdyby nie II wojna światowa, chevrolet mógł być w Polsce powszechnym samochodem, tak jak polski fiat!

Przed II wojną nazwisko Lilpop kojarzyło się warszawiakom nie tylko z Zakładami Lilpop, Rau i Loewenstein, ale i z architektem Franciszkiem Lilpopem, twórcą wielu budynków w Królestwie Polskim i w Warszawie, m.in. Domu Braci Jabłkowskich, który zaprojektował i wybudował wraz z Karolem Jankowskim. W Warszawie znana była też firma handlowa o wieloletniej tradycji – Braci Lilpop na ul. Mazowieckiej.

Obraz rodzinny we wnętrzu

Franciszek Lilpop ożenił się z Heleną, córką Juliana Wieniawskiego, powstańca styczniowego, także literata o ps. Jordan, brata kompozytorów – skrzypka Henryka Wieniawskiego i pianisty Juliana Wieniawskiego. Była ona żarliwą katoliczką działającą w organizacjach Latarnia i Towarzystwie Pomocy Niewidomym Muzykom. Mieli sześcioro dzieci, w tym cztery znane z urody córki Lilpopówny, podczas II wojny na emigracji zwane „lilpopkami".

Lilpopówny wyszły za mąż za znaczących ludzi kultury: najstarsza Halina za dyrygenta Artura Rodzińskiego, Felicja za pianistę Kazimierza Krancego, Maria za pisarza Zbigniewa Uniłowskiego, tylko Aniela związała się z dyplomatą Witoldem Mieczysławskim, by w późnych latach zostać żoną prezydenta RP na uchodźstwie – Edwarda Raczyńskiego. Córki Heleny Lilpop kontynuowały działalność mamy w opiece nad ociemniałymi. W Nowym Jorku założyły Komitet Pomocy Niewidomym w Polsce przez wiele lat wspierający Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi w Laskach »

eprasa.pl d16ae12b4e



Stanisław Wilhelm Lilpop

» k. Warszawy. Wokół pięknych sióstr – mieszkanek domu przy al. Róż, w którym ojciec miał pracownię, zbierało się środowisko artystycznej bohemy stolicy.

Drugim kulturalnym ośrodkiem rodziny było Stawisko w Podkowie Leśnej, gdzie mieszkali Anna (z domu Lilpop) i Jarosław Iwaszkiewiczowie. Anna Iwaszkiewicz była jedyną córką Stanisława Wilhelma Lilpopa, najmłodszego syna Stanisława Lilpopa, fabrykanta. Ten ostatni przed powstaniem styczniowym 1863 r. zakupił pod Warszawą włości, folwarki: Brwinów, Marynin, Kępina, Zatrudy, Pszczelin, Grudów, Żółwin, Otrębusy i tereny leśne Wilhelmowa. Tam zamieszkała wdowa po nim – Joanna z najmłodszym synem Stanisławem Wilhelmem. Stanisław Wilhelm dorastał, stając się pasjonatem myślistwa. Na początku XX w., gdy pojawiła się i stała modna idea miasta ogrodu, poparł obywatelską inicjatywę przekształcającą lasy wilhelmińskie w miasto ogród, nazwane przez pisarza Zygmunta Bartkiewicza Podkową Leśną.

Gdy Anna Lilpop wyszła za mąż za poetę Jarosława Iwaszkiewicza, młode małżeństwo zamieszkało w drewnianej, podkowiańskiej willi Aida. Jednocześnie teść Stanisław Wilhelm budował dla małżonków posiadłość, która od pobliskiego stawu została nazwana Stawiskiem. Dom Iwaszkiewiczów stał się miejscem ogniskującym życie kulturalne elity artystycznej przedwojennej Polski. Można tam było zobaczyć kolekcję trofeów myśliwskich i broni, ale także zbiory fotografii z licznych wypraw, portrety rodzinne, zdjęcia przyjaciółek Stanisława Wilhelma, który po rozwodzie z żoną Jadwigą żył samotnie. Kolekcja wydaje się tym cenniejsza, że Stanisław Wilhelm był prawdopodobnie pierwszym polskim fotografem wykonującym kolorowe zdjęcia w technice autochromu, a z całą pewnością jako pierwszy w Polsce (w 1908 r.) wprowadził kolor do fotografii stereoskopowej. Jego pierwsza barwna fotografia pochodzi z maja 1909 r., czyli zaledwie kilkanaście miesięcy po wprowadzeniu przez braci Lumière na rynek techniki autochromowej.

Dobra podkowiańskie przez ich stopniową parcelację podczas okupacji i po II wojnie światowej umożliwiły egzystencję mieszkańcom Stawiska. Skorzystała z tego nie tylko najbliższa rodzina, ale i przedwojenni bywalcy podkowiańskiej willi – literaci i muzycy: Jerzy Mieczysław Rytard, Antoni Słonimski, Julian Tuwim, Stanisław Baliński, Irena Krzywicka, Czesław Miłosz, Jerzy Andrzejewski, Krzysztof Kamil Baczyński, Jan Parandowski, Pola Gojawiczyńska, Karol Szymanowski, Artur Rubinstein, Roman Jasiński, Witold Lutosławski.



Zegar kominkowy produkcji L.M.Lilpop

Jak wspominał Jarosław Iwaszkiewicz, bywało, że „do skromniutkiego śniadania czy obiadu zasiadało ponad dwadzieścia osób. Nie tylko każdy pokoik, lecz każdy dosłownie kąt był na noc traktowany jako legowisko do spania stałych i chwilowych mieszkańców". Szczególną rolę odegrało Stawisko jako schronienie dla ukrywających się Żydów, a podczas powstania warszawskiego i po jego upadku – dla uciekinierów ze zburzonej stolicy. W 1988 r. Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie otrzymali tytuł Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

W okresie II wojny światowej zaangażowana w konspirację, walcząca w powstaniu warszawskim rodzina Lilpopów poniosła ogromne straty. Zginęło 19 jej członków, m.in. Stanisław Lilpop, syn doktora Wacława phm. Jan Lilpop, działacz Narodowych Sił Zbrojnych, piszący pod ps. Andrzej Rawicz, autor słynnego hasła „PPR Płatne Pachołki Rosji", 17-letni Jan Lilpop, żołnierz batalionu „Miotła", syn porucznika Stefana Lilpopa zamordowanego w Katyniu.

Po wojnie Lilpopowie praktycznie zostali wyeliminowani z życia ekonomicznego i artystycznego kraju, do czego przyczyniły się zmiany ustrojowe. Czynny udział w odbudowie i budowie kraj wzięli: Ludwik, dyrektor ekonomiczny Teatru Polskiego, inżynier budownictwa Kazimierz, inżynier w Fabryce Samochodów Osobowych FSO na Żeraniu, Andrzej, i nasz ojciec – Zbigniew Lilpop, wieloletni dyrektor naczelny Miejskich Zakładów Komunikacyjnych w Warszawie.

W PRL na akademiach deklamowano „Elegię o śmierci Ludwika Waryńskiego", Władysława Broniewskiego, ze zwrotką: „Fabryka Lilpopa... róg Złotej... Żurawia... adresy się mylą... robota... tak, wiele roboty... i jeszcze – dziesiąty pawilon...". Jeszcze w czasach Jaruzelskiego bodajże Władysław Machejek pisał, że „nie wrócą czasy Rodszyldów, Fordów i Lilpopów...".

Obecnie głośne przed wojną warszawskie nazwisko Lilpop jest prawie nieznane.

FOT. Z ARCHIWUM RODZINNEGO AUTORA (x2)

35/0818/F

eprasa.pl d16ae12b4e



Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Jesteśmy liderem na rynku gazu ziemnego w Polsce. Poszukujemy i wydobywamy gaz ziemny i ropę naftową w kraju i za granicą. Importujemy i sprzedajemy gaz, w tym LNG. Dywersyfikujemy źródła dostaw.

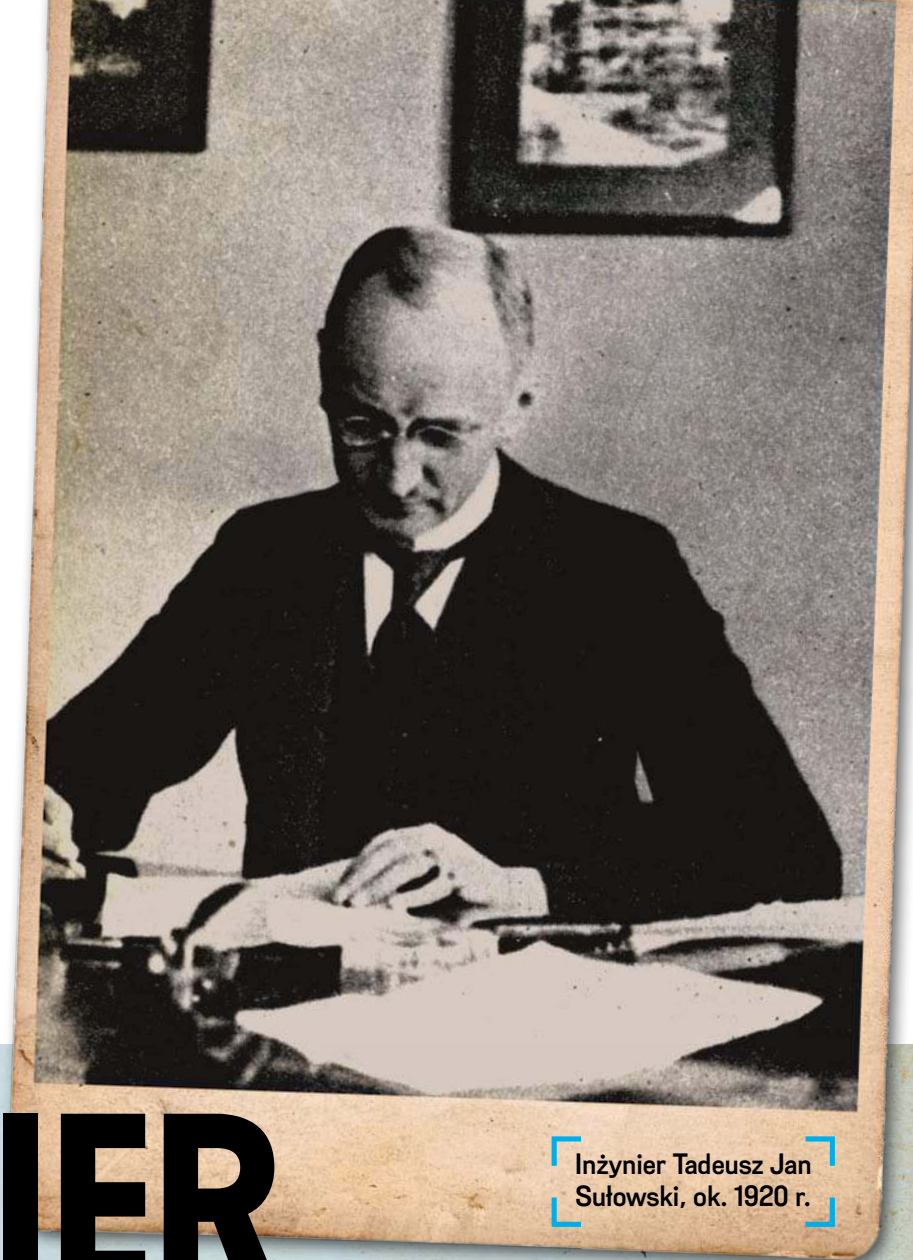
PGNiG

eprasa.pl d16ae12b4e



JAN OŚKO

SIŁA I ŚWIATŁO BYŁA POLSKĄ PRYWATNĄ SPÓŁKĄ AKCYJNĄ, KTÓRA ODNIOSŁA OLBRZYMI SUKCES. FIRMA ZAKŁADAŁA POLSKIE RADIO, ZBUDOWAŁA WARSZAWSKĄ KOLEJKĘ EKD, BYŁA WŁAŚCICIELEM KOPALNI, ELEKTROWNI, ZAKŁADÓW PRZEMYSŁOWYCH, TRAKCJI TRAMWAJOWYCH I KOLEJOWYCH. DZISIAJ SIŁA I ŚWIATŁO JEST PRAWIE ZUPEŁNIE ZAPOMNIANA. NIESŁUSZNIE



Inżynier Tadeusz Jan Sułowski, ok. 1920 r.

INŻYNIER TADEUSZ SUŁOWSKI

PIONIER POLSKIEGO PRZEMYSŁU

Wyobraźmy sobie przez chwilę gabinet, w którym toczy się bardzo ożywiona rozmowa. W fotelach usiadło kilka osób o sporym zawodowym i życiowych doświadczeniu. Inżynierowie i przemysłowcy, jest też dyrektor banku. Dyskutują nowy projekt, przekraczający rozmiarami wszystko, co do tej pory robili. Wiedzą doskonale, że znaleźli się w przełomowym momencie swojego życia. Jeżeli nie zaczną szybko i śmiało działać, okazja może się nigdy nie powtórzyć. Do tego ich osobisty sukces może się okazać sukcesem Polski, która kilka tygodni wcześniej odzyskała niepodległość.

Spotkanie takie późną jesienią 1918 r. zorganizował inż. Tadeusz Sułowski, który uzyskał informacje, że niemieckie przedsiębiorstwa są gotowe odsprzedać elektrownie w Sosnowcu i Pruszkowie. Zakup tych zakładów to była nie lada gratka. Francuzi czy Belgowie ani myśleli wystawiać na sprzedaż swoje elektrownie w Polsce. Ale Niemcy przegrali wojnę, stracili pewność siebie, mogli spodziewać się najgorszego, łącznie z nacjonalizacją. Chcieli uciekać z Polski.

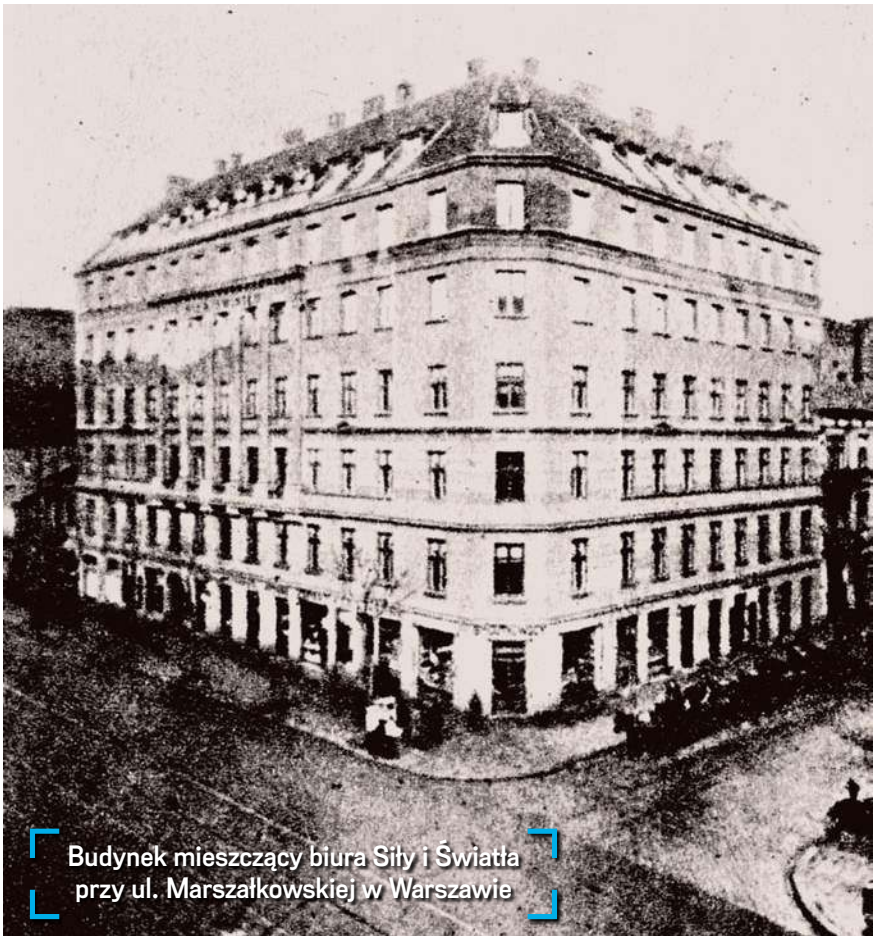
eprasa.pl d16ae12b4e

Obok gospodarza w gabinecie zasiedli: Andrzej Wierzbicki, późniejszy przewodniczący Lewiatana, organizacji polskich przedsiębiorców, inż. Antoni Stamirowski, specjalista od energetyki, Józef Englich, prawnik i bankier z Poznańskiego Banku Spółek Zarobkowych, Stanisław Karłowski, zarządca majątków ziemskich, oraz inż. Wiesław Gerlicz, budowniczy toru wyścigowego w Pabianicach.

Zebrani doskonale zdawali sobie sprawę, że oto pojawiła się niepowtarzalna szansa na budowę polskiej energetyki. W ekspresowym zatem tempie już 5 grudnia 1918 r. zarejestrowano spółkę akcyjną Siła i Światło.

Środki własne włożone w spółkę przez założycieli, ok. 1 mln marek polskich, były dalece niewystarczające. Niemcy chcieli dziesięć razy więcej. Najbardziej oczywistym rozwiązaniem było wzięcie pożyczki bankowej. Jednak banki w niepewnych czasach nie są skore do dawania kredytów na ryzykowne interesy, szczególnie ludziom, którzy właśnie zarejestrowali nową działalność. Tym niemniej Poznański Bank Spółek Zarobkowych i Warszawski Bank Handlowy udzieliły kredytu, ale nadal nie wystarczyło to do zakupu elektrowni.

Zdecydowano się na publiczną sprzedaż akcji. To zadanie wziął na siebie Tadeusz Sułowski, który zorganizował na szeroką skalę subskrypcję udziałów w spółce. Zadanie o tyle trudne, że nie działała jeszcze Giełda Papierów Wartościowych. Sułowski z subskrypcją odwiedzał zarówno arystokratyczne posiadłości, jak i małe miasta, gdzie zyskiwał drobnych akcjonariuszy. Tak też współwłaścicielami spółki stali się książę Czetwertyński i piekarz Kowalski z Siedlec.

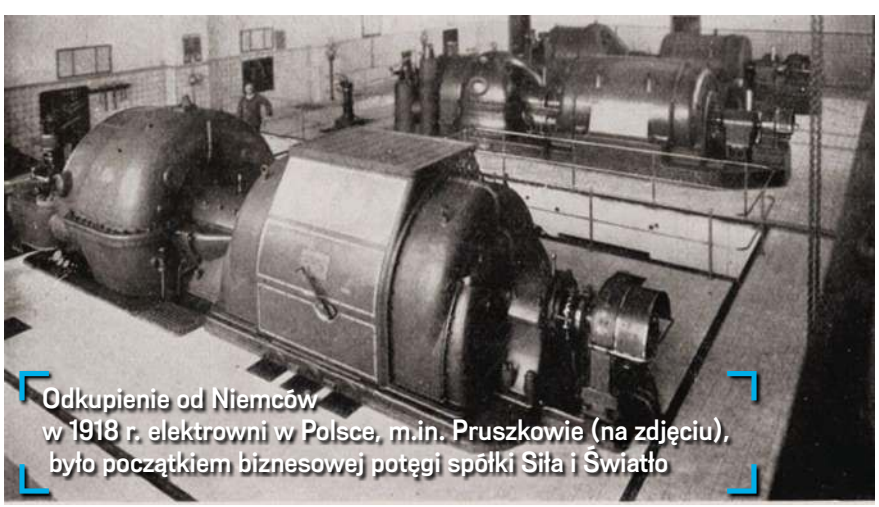


Budynek mieszczący biura Siły i Światła przy ul. Marszałkowskiej w Warszawie

„Z perspektywy lat wprost trudno zrozumieć, w jaki sposób zdołano zebrać początkowy kapitał akcyjny w sumie 10 mln marek. Złożyło się na to wiele czynników natury bardziej emocjonalnej niż materialnej. Przede wszystkim chęć włączenia się do budowy własnego polskiego przemysłu. Udział w kapitale akcyjnym ogromnie ułatwiał spełnienie tego obowiązku" – wspomina Janusz Regulski, jeden z dyrektorów koncernu Siła i Światło.

Zakupiono obie elektrownie, obie zarejestrowano jako spółki akcyjne. Teraz na rynek energetyki wszedł nowy gracz dysponujący polskim kapitałem.

Dla wielu akcjonariuszy wypłata dywidendy była olbrzymim i przyjemnym zaskoczeniem. W ciągu czterech pierwszych lat sprzedaż energii wzrosła 124 razy, a ceny akcji poszybowały o kilkaset procent. Zarząd firmy mógł zacząć z dużą pewnością siebie rozglądać się za kolejnymi intratnymi inwestycjami.



Odkupienie od Niemców w 1918 r. elektrowni w Polsce, m.in. Pruszkowie (na zdjęciu), było początkiem biznesowej potęgi spółki Siła i Światło

FOT. FOTOGRAFIE ZE ZBIORÓW JANUSZA REGULSKIEGO 2X

Pociąg do nowoczesności

Zgodnie z zasadą – kto nie idzie do przodu, ten się cofa, Siła i Światło zainwestowała w szybki środek transportu. W ten sposób powstała niezwykle popularna warszawska kolejka, przed wojną zwana EKD, czyli Elektryczne Koleje Dojazdowe, obecnie WKD (Warszawskie Koleje Dojazdowe).

Inż. Tadeusz Sułowski, który nakreślił szczegółowy, jak byśmy dzisiaj »

eprasa.pl d16ae12b4e



W latach 20. Siła i Światło zainwestowała w rozwój szybkich środków transportu miejskiego. Tak powstała m.in. warszawska Elektryczna Kolej Dojazdowa



Akcja Siły i Światła z roku 1919, denominowana jeszcze w polskich markach

» powiedzieli, biznesplan, trafnie przewidział, że Warszawa nie może się rozwijać, nie inwestując w komunikację miejską. A ta była bardzo zaniedbana. W 1925 r. sieć linii tramwajowych w Warszawie wynosiła zaledwie 151 km. Mieszkańców stolicy Polski przybywało i trzeba było dać miastu nowy impuls rozwojowy. EKD od samego początku miała być napędzana prądem elektrycznym, w czym bardziej przypominała tramwaj niż pociąg.

Budowa EKD napotkała przeszkody, które miały charakter pozafinansowy.

Pierwsze plany linii kolejowej kierowały ją do Piaseczna, czyli na południe. Gdyby udało się je zrealizować, byłaby to trasa pięknie położona obok Lasów Kabackich. Trzeba jednak było przekonać właściciela tego terenu hrabiego Ksawerego Branickiego. Inż. Wiesław Gerlicz ze specjalną misją udał do francuskiego zamku Montrésor, gdzie Braniccy mieli swoją siedzibę. Misja nie przyniosła spodziewanych efektów. Branicki odmówił sprzedaży gruntów.

Następny plan biznesowy zakładał budowę linii do Nadarzyna. W tym wypadku należało negocjować z księżną Radziwiłłową, z domu Zawisza, właścicielką Lasów Młochowskich. Księżna była Litwinką, nie mówiła po polsku. Do tego znana była z niechęci do wszystkiego, co polskie. W ten sposób kolejka nie ruszyła na południowy zachód od Warszawy.

Zrealizowano dopiero trzeci wariant projektu.

Właścicielem gruntów na zachód od Warszawy był Stanisław Wilhelm Lilpop, postać barwnie opisana w powieści „Soból i panna" Józefa Weyssenhofa. W Stawisku, które stało się później częścią Podkowy Leśnej, wybudował na terenie kilkunastu hektarów posiadłość dla swojej córki i jej męża Jarosława Iwaszkiewicza.

Sułowski od razu się zorientował, że z Lilpopem można rozwijać duże przedsięwzięcia. Stanisław Lilpop wniósł do spółki aportem działki, co dało mu 40 proc. udziałów, Siła i Światło zapewniała budowę kolei, co dało firmie 36 proc. udziałów, a pozostałe 24 proc. nabył Bank Związku Spółek Zarobkowych z Poznania.

Budowę torów kolei rozpoczęto w Komorowie i prowadzono jednocześnie w dwóch kierunkach: do Warszawy i do Grodziska Mazowieckiego. Planowano nawet w przyszłości pociągnąć trasę aż do Żyrardowa. Pierwszy skład ruszył w grudniu 1927 r.

Podkowa Leśna, miasto od zera zaprojektowane przez prof. Andrzeja Tołwińskiego na terenach od Lilpopa, stała się szybko atrakcyjnym i modnym miejscem. To ładnie położone i nowoczesne osiedle było jednym z symboli modernizacji przedwojennej Polski.

Tak powstało Polskie Radio

Po odzyskaniu niepodległości można było w Polsce posłuchać nadającego z zagranicy niemieckiego radia Schlesische Funkstunde, dostępnego na odbiornikach sprzedawanych przez Telefunkena. Na początku lat 20. XX w. odbiorników było mało i kosztowały słono, a w konsekwencji liczba słuchaczy radia była znikoma.

W 1924 r. Ministerstwo Handlu ogłosiło konkurs na budowę stacji nadawczych Polskiego Radia. Do konkursu stanęły także firmy zagraniczne, które miały doświadczenie w rozwoju radiofonii i środki finansowe na inwestycje, jak Towarzystwo Marconi Ltd. o kapitale francusko-angielskim czy paryskie Société Française Radioélectrique. Zdecydowano jednak o wyborze polskiego kapitału, nie tylko ze względów prestiżowych. Uznano, że Siła i Światło podoła zadaniu bez większego trudu. Tak też się stało. Udziały w powołanej spółce akcyjnej Polskie Radio obok Skarbu Państwa objęła Siła i Światło, a niewielki pakiet akcji pod własnym nazwiskiem nabył także inż. Sułowski, przez następne lata członek rady nadzorczej Polskiego Radia.

Budowa pierwszego nadajnika trwała kilka miesięcy. Został zainstalowany w warszawskim Forcie Mokotowskim. 18 kwietnia 1926 r. narodziło się Polskie Radio. Dokładnie o godz. 17.00 poszedł w świat pierwszy radiowy sygnał z Warszawy. Spikerka Janina Sztompkówna przeszła do historii, wypowiadając w eter: „Halo, halo, Polskie Radio Warszawa, fala 480".

Postawiono maszt w Raszynie. Tamtejszą stację nadawczą można było zobaczyć z bardzo daleka, a był to widok niecodzienny. Między dwoma stalowymi masztami, każdy o wysokości 200 m, rozciągnięta była antena długości 280 m. Była to najwyższej umieszczona antena radiowa na świecie. Od tej pory nawet z odległości 4 tys. km można było w odbiornikach usłyszeć polski język i polską muzykę.

Radio chwyciło, coraz więcej ludzi kupowało odbiorniki. W latach 30. Siła i Światło zainwestowało w produkcję polskich aparatów radiowych. Jednak sukces zaszkodził interesom firmy. Politycy

FOT. FOTOGRAFIE ZE ZBIORÓW JANUSZA REGULSKIEGO

eprasa.pl d16ae12b4e

uznali, że radio jest zbyt ważne. Zaczęły mnożyć się biurokratyczne przeszkody, które stopniowo powodowały wycofywanie się prywatnego kapitału ze spółki zdominowanej przez polityków. I jak początkowo Polskie Radio było wzorowym wręcz przykładem współpracy rządu z prywatnym kapitałem, tak później polityka wygrała z biznesem.

Siła i Światło

Nie bez powodu Siłę i Światło opisano jako koncern przemysłowy. Przy rogu ul. Marszałkowskiej i Al. Jerozolimskich w prestiżowym miejscu Warszawy znajdowała się główna siedziba tej firmy. Na tym miejscu stoi dzisiaj hotel Forum/Novotel.

Siła i Światło to nie tylko Polskie Radio czy kolej EKD, to wiele innych projektów, prowadzonych albo od samego początku, albo rozbudowanych po zakupie większościowego pakietu akcji. Koncern działał w systemie określanym współcześnie jako holding, kupując lub zakładając wiele firm, w których prawie zawsze zachowywał ponad 50 proc. akcji z decydującym prawem głosu. Zapewniało to kontrolę nad działalnością tych firm.

Warto wymienić niektóre przedsięwzięcia. W 1922 r. rozpoczęto budowę sieci tramwajowej w Zagłębiu Dąbrowskim i budowę trakcji kolei parowej z Warszawy do Łomianek. W tym samym roku nabyto większościowy pakiet akcji elektrowni okręgowej w Krakowie. W 1923 r. przejęto podupadłą fabrykę Kabel Polski w Bydgoszczy, którą postawiono na nogi i następnie rozbudowano. 1927 jest rokiem nawiązania współpracy z Belgami i wejścia na giełdę w Brukseli. Powstała spółka akcyjna Société Belgo-Polonaise de Force et de Traction Électriques.

W kolejnych latach pod zarząd koncernu Siła i Światło przeszły trzy przedsiębiorstwa: elektrownia w Sierszy Wodnej, elektrownia i kopalnia Silesia pod Dziedzicami oraz elektrownia w Bielsku-Białej. Wszystkie trzy przedsiębiorstwa założone jeszcze w czasach zaborów przez austriackie firmy zostały odkupione i rozbudowane przez Siłę i Światło.

Inżynier Sułowski

O rozmachu gospodarczym Siły i Światła decydował przez lata Tadeusz Jan Sułowski. Łączył dwie różne umiejętności: był wysokiej klasy inżynierem i jednocześnie przedsiębiorcą, menedżerem sprawnie poruszającym się na rynku finansowym i potrafiącym zarządzać dużymi zespołami ludzi.

Urodził się w Warszawie 28 października 1874 r. Ambitny młody człowiek udał się na studia na Wydział Mechaniczny Instytutu Technologicznego w Petersburgu, który był w tym czasie najlepszą politechniczną uczelnią w Rosji. Tam uzyskał tytuł inżyniera. Dalej przeniósł się na Wydział Elektryczny Technische Hochschule, słynnej politechniki w Charlottenburgu pod Berlinem. Tam też został członkiem berlińskiego oddziału Związku Młodzieży Polskiej „Zet", organizacji narodowej powołanej do życia przez Ligę Polską.

Po otrzymaniu kolejnego dyplomu w 1900 r. wrócił do kraju i osiadł w Łodzi. Pracował w zakładach Siemensa, początkowo jako inżynier, a później jako jeden z dyrektorów. Działał też politycznie; w 1904 został komisarzem Ligi Narodowej na miasto Łódź i gubernie piotrkowską i kaliską. Był też jednym z założycieli Łódzkiego Stowarzyszenia Techników.

Wraz z wybuchem wojny Łódź przeszła we władanie Niemców. Gdy ci w 1916 r. przestali odnosić sukcesy na frontach, złagodzili kurs wobec Polaków, godząc się np. na wybory lokalne. Polacy w Łodzi, a wśród nich Tadeusz Sułowski, zakładają Główny Komitet Obywatelski, związany z Narodową Demokracją.

Zorganizowany przez nich Komitet Zjednoczenia Narodowego wygrał wybory samorządowe, a pierwszym przewodniczącym Rady Miejskiej w 1917 r. został Tadeusz Sułowski. Mimo obecności Niemców to Rada Miejska w praktyce zarządzała Łodzią. Po tym epizodzie, gdy wojna zakończyła się klęską Niemiec, a Polska odzyskała niepodległość, Sułowski wycofał się z polityki i całkowicie poświęcił zarządzaniu Siłą i Światłem.

„Należał do kategorii ludzi, o których się mówiło, że są bez wad. Wybitnie inteligentny, opanowany, cieszący się ogólną sympatią, budził wielkie zaufanie. Nigdy nie szafował słowami, ale te wypowiedziane zawsze były przemyślane i rozsądne. Unikał jakiejkolwiek autoreklamy, przeciwnie – wiele własnych osiągnięć utrzymywał w tajemnicy. Trzeba dodać, że miał wielki dar zjednywania sobie sympatii, do czego pomocne mu były również cechy zewnętrzne i wielka kultura osobista" – wspominał Janusz Regulski.

Śmiało można Tadeusza Sułowskiego zaliczyć do najważniejszych postaci życia gospodarczego międzywojennej Polski. Przeżył wojnę i zmarł 16 lipca 1952 r.



FOT. FOTOGRAFIE ZE ZBIORÓW ANDRZEJA SUŁOWSKIEGO

Grobowiec Piotra Sułowskiego, w farze pod wezwaniem Bożego Ciała w Bieczu z 1519 r., jest zaliczany do najlepszych płaskorzeźb w kamieniu z tego okresu. W farze znajduje się również osobna kaplica Sułowskich

eprasa.pl d16ae12b4e

JAK POLACY NIEMCOM ŻYDÓW MORDOWAĆ NIE POMAGALI

KILKA LAT TEMU STEFAN ZGLICZYŃSKI NAPISAŁ KSIĄŻKĘ „JAK POLACY NIEMCOM ŻYDÓW MORDOWAĆ POMAGALI", KTÓRA DO NIEDAWNA BYŁA JESZCZE DOSTĘPNA NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH



ADAM CYRA

Jej recenzent Artur Domosławski napisał: „Mit Polski Niewinnej jest powielany od dziesięcioleci, wyrastają na nim kolejne pokolenia Polaków. Jan Tomasz Gross dotknął swoimi książkami zaledwie czubka góry – za co mu chwała. Z kolei prace zawodowych badaczy Zagłady, które obnażają polskie w niej współnictwo, nie są niestety znane szerszej publiczności. Szkoda, bo wywracają do góry nogami społeczną historię Polski – II RP, okupacji, PRL aż do dziś. W tym kontekście pojawia się książka Stefana Zgliczyńskiego, nieobciążona balastem prac naukowych, zaadresowana szczęśliwie – podobnie jak dzieła Grossa – do szerokiej publiki. Oby ta publika zdołała kiedyś przyjąć do wiadomości, że Polacy masowo donosili na żydowskich sąsiadów (tak, tak, to nie były pojedyncze zatrute jabłka), szantażowali, wymuszali haracze, mordowali. Cierpimy na niedostatek wiedzy i refleksji nad tym, co Polska i Polacy wyrządzili Żydom czy Polakom żydowskiego pochodzenia (odwieczny kłopot z definicją). Nie dlatego, że wiedza ta jest niedostępna, lecz dlatego że większość się przed nią broni. Może książki takie, jak mocna i poruszająca praca Zgliczyńskiego przyczynią się kiedyś w końcu do głębokiej zmiany? A może nie? Możliwe, że mit Polski Niewinnej jest nie do wykorzenienia. Ale próbować trzeba – i ta książka jest taką właśnie ważną, odważną i ambitną próbą".



Tadeusz Cera, ok. 1913 r.

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Mordercy czy pomocnicy?

Odniosłem wrażenie, że dalszym ciągiem wmawiania Polakom, że byli mordercami, jest również praca pod redakcją Barbary Engelking, Jana Grabowskiego i Dariusza Libionki, zatytułowana „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski" (dziewięć powiatów: bielski, biłgorajski, węgrowski, łukowski, złoczowski, miechowski, nowotarski, dębicki i bocheński), która ukazała się w ub.r. nakładem Centrum Badań nad Zagładą Żydów w Warszawie. Obszerna, dwutomowa, licząca 1,7 tys. stron publikacja powstawała przez wiele lat. Badaniem każdego powiatu zajęła się inna osoba, autorami poszczególnych rozdziałów są według kolejności: Barbara Engelking, Jan Grabowski, Dariusz Libionka, Alina Skibińska, Jean-Charles Szurek, Anna Zapalec, Karolina Panz, Tomasz Frydel, Dagmara Swałtek-Niewińska.

Autorzy książki „Dalej jest noc" twierdzą, że likwidacje gett przetrwało 200–300 tys. Żydów. Ukrywali się na ziemiach polskich okupowanych przez Niemców; rzekomo tych Żydów masowo mordowali Polacy.

Jeden z autorów tej książki, Jan Grabowski, podał liczbę 200 tys. Żydów rzekomo zabitych przez Polaków, nie potrafił jednak przekonująco uzasadnić, na czym oparł swoje szacunki.

Po zapoznaniu się z omawianymi książkami postanowiłem na przykładzie

eprasa.pl d16ae12b4e

rodziny mojego ojca napisać tekst „Jak Polacy Niemcom Żydów mordować nie pomagali”.

Rodzina Cyrów – niezwykła?

Mój ojciec Józef Cyra podczas wojny był żołnierzem Armii Krajowej w okręgu krakowskim, posługiwał się pseudonimem Dalkiewicz, za działalność konspiracyjną odznaczony został Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Jego brat i dwóch bratanków, którzy mieszkali także w Przybysławicach k. Minogi (w pobliżu Krakowa), zginęło w KL Auschwitz, o czym tak wspominał: „Chciałem zaznaczyć, że Antoni Mularczyk był moim przyrodnim bratem, natomiast Stefan Mularczyk i Józef Mularczyk byli jego synami, a moimi bratankami. Na wiadomość o ich śmierci w intencji każdego z nich, w kościele parafialnym w Minodze ksiądz Piotr Pytlawski odprawił nabożeństwo żałobne”.

W czasie wojny Józef Cyra na polecenie swoich przełożonych z AK sporządził raport na temat zagłady Żydów ze Skały. Po latach tak wspominał tamte tragiczne wydarzenia: „W czasie okupacji hitlerowskiej mieszkałem w Przybysławicach koło Minogi. Moja rodzinna wioska położona była w odległości około czterech kilometrów od Skały, licznie zamieszkałej przed wojną przez rodziny żydowskie.

Pamiętam, że 26 sierpnia 1942 r. Niemcy wysiedlili większość Żydów ze Skały, a chorych i niedołężnych rozstrzeliwali w ich domach. Stojąc obok rodzinnego domu w Przybysławicach, widziałem, jak na pięćdziesięciu dwóch furmankach, które osobiście policzyłem, wieziono wysiedlonych Żydów w kierunku Słomnik. Część Żydów zdołała się jednak schronić u rodzin polskich zamieszkałych w Skale, a kilka rodzin żydowskich w okolicznych wsiach u znajomych rolników.

Po tym wysiedleniu aż do listopada 1942 r. panował względny spokój. W dalszym ciągu w Skale pozostawała milicja żydowska i zarząd gminy żydowskiej. Ukrywający się Żydzi zaczęli wracać do swoich domostw. Tak było do 10 listopada 1942 r., kiedy to Skała ponownie została otoczona przez Niemców, policję granatową i junaków z hufców przymusowej pracy tzw. Baudienst, aby nikt z Żydów przebywających nadal w tej miejscowości nie uciekł. Spędzeni oni zostali na rynek, gdzie wielu z nich na miejscu rozstrzelano. Pozostałych wywieziono do Wolbromia. Tam dwa tygodnie byli przetrzymywani w bagnistej podmiejskiej dzielnicy, a następnie wywieziono ich na zagładę w nieznanym mi kierunku.


Legitymacja
nr 027244
Józef Cyra
Imię i Nazwisko
Franciszek, Marianna
Imiona rodziców
3 lipca 1909 r.
data urodzenia
Przybysławice
miejsce urodzenia
Katowice
miejsce wystawienia
Prezes Zarządu Okręgu Śląskiego
10.08.91
data
podpis


KOMISJA WERYFIKACYJNA DLA SPRAW A. K.
OKRĘG KRAKÓW
ZAŚWIADCZENIE WERYFIKACYJNE Nr 7647/J.II.653/0.133
Komisja stwierdza, że ob. Dalkiewicz Cyra Józef
3.VII.1909 Przybysławice Kraków
po wykazaniu niezbitych dowodów prawdy – ~~na podstawie osobistych zeznań~~ – został zweryfikowany
do stopnia Ul. Kraków ze starszeństwem 1.I.1945
oraz odznaczony Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami
Sekretarz Komisji Weryfik.
Przewodniczący Komisji Likwidacyjnej
Przewodniczący Komisji Weryfik.

Legitymacja AK oraz zaświadczenie weryfikacyjne Józefa Cyry

W następnym dniu od powyższego wydarzenia, tj. 11 listopada 1942 r. – zgodnie z otrzymanym wcześniej zawiadomieniem – udałem się do urzędu gminnego w Skale, aby załatwić formalności związane z dostawą obowiązkowych kontyngentów. Stałem się wówczas mimowolnym świadkiem tragicznego zajścia. Widziałem, jak wójta gminy żydowskiej wraz z paroma schwytanymi Żydami, których dotychczas nie zdołano ująć, zawieziono na miejscowy żydowski cmentarz, gdzie zostali przez Niemców rozstrzelani”.

Łańcuch dobrych rąk

Brat mojego ojca Tadeusz, który był moim ojcem chrzestnym, ukrywał w swoim gospodarstwie dwóch Żydów – braci, którzy dzięki tej pomocy ocaleli. Jeden z nich po wojnie wyjechał do Monachium w Niemczech, natomiast drugi do Nowego Jorku w USA. Obydwaj dzisiaj już nie żyją.

Na temat pomocy udzielanej Żydom mój ojciec tak napisał po wojnie: „Jednym z niosących pomoc był mój brat, Tadeusz Cera (nazwisko zniekształcone), zamieszkały wraz z rodziną (żona Marianna oraz dzieci: Stanisław, Janina, Danuta i Antonina) w Zamłyniu koło Minogi. Brat od dawna przyjaźnił się z rodziną Meitelsów ze Skały, która prowadziła sklep spożywczy i im to najczęściej sprzedawał zboże oraz nabiał ze swojego gospodarstwa rolnego. Czworo Meitelsów: ojciec, matka, córka i synowa za pośrednictwem mego brata zostało ukrytych w gospodarstwie Feliksa Hanarza w Minodze, a dwaj synowie: Henoch i Josef w gospodarstwie mojego brata, który przygotował dla nich specjalną kryjówkę w stodole. [...] Wiem też, że w Lubawce, w gospodarstwie Sobczyków, ukrywał się Żyd, któremu było na imię Borek. Żydzi byli również przechowywani we wsi Wielmoża w gospodarstwie Antoniego Kajcy; u niejakiego Korzonka ze Skały ukrywała się rodzina Kołataczów. Żadna z wymienionych polskich rodzin nie została wyróżniona za swoje szlachetne czyny. Minęło ponad pół wieku, czyny rolników spod Ojcowa, ratujących kilkudziesięciu Żydów ze Skały, prawie że dotychczas nie zostały opisane. Pozostała jedynie w ich rodzinach pamięć o ludzkiej solidarności”.

Tadeusz Cera w latach 1919–1920 służył w Policji Państwowej, następnie był właścicielem sklepu w Przybysławicach, a potem w Kobylanach. W 1925 r. nabył w Zamłyniu 13 morgów ziemi ornej i na zakupionym gruncie pobudował zabudowania gospodarskie.

W obliczu hitlerowskiego zagrożenia aktywnie udzielił pomocy członkom sześcioosobowej rodziny Meitelesów, »

eprasa.pl d16ae12b4e

» z której ojciec, matka, córka i synowa, jak już było wspomniane, za jego pośrednictwem zostali ukryci w gospodarstwie Feliksa Hanarza w Minodze, a dwaj synowie z tej rodziny – Henoch i Josek – znaleźli schronienie w jego gospodarstwie w Zamłyniu. Wszyscy wymienieni członkowie rodziny Meitelesów w ukryciu przetrwali okupację niemiecką i szczęśliwie doczekali wyzwolenia w dniu 17 stycznia 1945 r.

Kilkanaście dni później mój ojciec odwiedził swojego brata Tadeusza Cerę. Obydwaj ocaleni bracia, Henoch i Josek, mieszkali nadal w Zamłyniu i wówczas dopiero dowiedział się o ich ukrywaniu przez brata: „Zaznaczam, że Henocha, który był niewiele młodszy ode mnie, bardzo dobrze znałem jeszcze sprzed wojny, podobnie jak i pozostałych członków tej rodziny. [...] Wiem, że rodzina Meitelesów, mieszkając potem w Niemczech i USA, prowadziła korespondencję z moim bratem, jak również czasami przesyłała mu paczki z różnymi podarunkami, przeważnie odzieżą".

Kilkanaście lat temu wspomnienia mojego ojca Józefa Cyry na temat ratowania Żydów przez Polaków mieszkających w Skale i okolicznych wioskach zostały udostępnione ówczesnemu przewodniczącemu Rady Miejskiej w Skale Piotrowi Trzcionce, który na ich temat napisał: „Z wielką uwagą przeczytałem przekazane wspomnienia. [...] Ja jestem z wykształcenia historykiem [...]. Sam kiedyś napisałem monografię miasta Skały (1995), gdzie mając mało danych i faktów, przybliżyłem lata okupacji i okrucieństwa wojny w moim mieście. W rozmowie ze starszym pokoleniem Skalan przewinęła się data 17 września 1942 r. jako data pierwszej wywózki ze Skały, a nie – jak zapamiętał Pański ojciec – 26 sierpnia 1942 r.

Potwierdzam, iż faktycznie miało miejsce ukrywanie rodziny Kołataczów w zabudowaniach Władysława Korzonka w Skale przy ul. Wolbromskiej. Byli oni potem przetransportowani do rodziny Janczarskich na Bocieńcu, gdzie udało się im przeżyć wojnę. Przed wyjazdem, najprawdopodobniej do Kanady, sprzedali jeszcze swój dom w Rynku właśnie Korzonkowi, zapewne wdzięczni za uratowanie im życia.

Nikt z tej rodziny nie otrzymał medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Otrzymała go natomiast mieszkanka Sobieseęk, Anna Natkaniec, która zmarła w 1995 r., ale ja jestem dopiero w trakcie zaznajamiania się z tą sprawą.


FOT. ARCHIWUM AUTORA

Henoch Meiteles z rodziną, Monachium, 1957 r.

JAN GRABOWSKI PODAŁ LICZBĘ 200 TYS. ŻYDÓW RZEKOMO ZABITYCH PRZEZ POLAKÓW, NIE POTRAFIŁ JEDNAK PRZEKONUJĄCO UZASADNIĆ, NA CZYM OPARŁ SWOJE SZACUNKI

Ostatnio także ks. Daniel Wojciechowski, proboszcz parafii Kurzelów koło Włoszczowy (był w latach 60. wikariuszem w Skale), w wydanej broszurce »Duchowni kieleccy i wierni wobec eksterminacji Żydów 1939–1945« wspomina o pobycie na plebanii w Skale Żyda Efraima Zylbeslega, który przeżył wojnę, a w latach 50. przebywał w Skale i dziękował ówczesnemu proboszczowi ks. Julianowi Mazurkowi, ofiarowując mu figurkę Matki Bożej z brązu. [...] Niech choć te nasze krótkie wspomnienia zaznaczą, iż mieszkańcy Skały i okolic w czasie okupacji pomagali Żydom i solidaryzowali się z nimi".

Wdzięczność zbliża

Tym samym Piotr Trzcionka uzupełnił relację mojego ojca na temat ratowania Żydów w okolicach Skały i jednocześnie potwierdził wiarygodność jego wspomnień.

Po wojnie do mojego stryja pisała listy Mania, siostra Henocha i Josefa Meitelesów, ukrywana w czasie wojny na prośbę Tadeusza Cery przez rodzinę Hanarzów w Minodze. Listy takie przepełnione wdzięcznością za uratowane życie pisali także Henoch Meiteles z Monachium i jego brat Josef Meiteles z Nowego Jorku.

Fragment jednego z tych listów, napisanego w 1961 r. przez Henocha Meitelesa do mojego stryja Tadeusza Cery rok przed jego śmiercią, warto zacytować: „[...] Panie Cera! – jak pan widzi, człowiek się po latach starzeje i każdy musi wszystko wcześniej czy później zostawić i odejść z tego świata, bądź pan szczęśliwy, że nie należy pan do tych, co pomagali mordować, tylko odwrotnie do tych, co ratowali, i to jest największy majątek, co go za żadne skarby świata nie można kupić [...]".

W innym z kolei liście, pisanym w niewielkim odstępie czasowym, zawarł również słowa wdzięczności: „Panie Cera, pan jesteś dla mnie jak drugi ojciec. Ja mam tylko jedną prośbę do Boga, abym się z wami mógł jeszcze zobaczyć. Dla mnie to by była największa radość w życiu".

Wymowny jest także fragment listu Henocha Meitelesa napisany do Antoniny Podsiadło, córki Tadeusza Cery, już po jego śmierci w 1962 r.: „Antosiu, ten list masz posłać do Mamusi do Zamłynia, aby również oni czytali, bo jest mi ciężko każdemu z osobna odpisywać. Również proszę mi napisać dokładnie dzień rocznicy tatusia, bo ja chcę tę rocznicę trzymać jak mojego własnego Ojca. Ale proszę bezwarunkowo dzień zgonu, to znaczy ten dzień, co tatuś umarł. [...] Wasz Heniek".

Tadeusz Cera zmarł w 1962 r., natomiast jego żona Marianna w 1988 r. Nigdy nie zostali uhonorowani medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

eprasa.pl d16ae12b4e



Pod hasłami w rodzaju: „Syjoniści do Izraela" odbywały się w fabrykach i urzędach „spontaniczne" manifestacje z udziałem tzw. ludzi pracy. Na zdj. robotnicy z Zakładów Mechanicznych Ursus w Warszawie, 16 marca 1968 r.

JESZCZE O MARCU '68

JUŻ OD POŁOWY 1967 r. ROZCHODZIŁY SIĘ PO KRAJU JAKIEŚ DZIWNE WIEŚCI

NORBERT PATALAS

Władysław Gomułka na kongresie związków zawodowych, tydzień po zwycięskiej dla Izraela wojnie sześciodniowej na Bliskim Wschodzie (5–10 czerwca 1967 r.), zarzucił polskim Żydom nielojalność wobec PRL i oświadczył m.in.: „W związku z tym, że agresja Izraela na kraje arabskie spotkała się z aplauzem w syjonistycznych środowiskach Żydów obywateli polskich, którzy nawet z tej okazji urządzali libacje, pragnę oświadczyć, co następuje: nie czyniliśmy przeszkód obywatelom polskim narodowości żydowskiej w przeniesieniu się do Izraela, jeżeli tego pragnęli...".

A więc dlatego, że polscy Żydzi cieszyli się ze zwycięstwa swoich ziomków w wojnie sześciodniowej, należało im ułatwić legalny wyjazd z kraju? Wielu różnymi sposobami przemycało się przez granicę, aby wydostać się z komunistycznego raju. A polskich Żydów chciał tow. Gomułka chyba nagrodzić możliwością wypuszczenia z najweselszego baraku socjalistycznego obozu – udając, że im wymyśla?

Czyj antysemityzm?

Natychmiast uruchomiono w mediach intensywną propagandę antysyjonistyczną. Na murach Warszawy ukazały się starannie wymalowane hasła w rodzaju: „Syjoniści do Izraela" i takież plakaty równie porządnie wykonane, niesiono na tłumnych manifestacjach z udziałem tzw. ludzi pracy. Z lubością pokazywały je telewizyjne reportaże i kroniki filmowe, opisywały gazety. W licznych przedsiębiorstwach i instytucjach zaczęło się wyszukiwanie osób pochodzenia żydowskiego i zwalnianie ich z pracy. Trochę to wszystko wyglądało dziwnie i działo się gwałtownie.

Tymczasem we wspomnieniach Żydów, którzy wyjechali z Polski w 1968 r., opublikowanych np. w książce „Żydzi czy Polacy" Ruty Pragier, jest m.in. interesujące zdanie Krystyny Weintraub, która wtedy studiowała na UW: „Moim zdaniem w Polsce nie ma antysemityzmu.... Nie miałam nigdy, poza jawnie sterowanym 68 rokiem – złych przeżyć". Zatem wśród samych Żydów była świadomość, że ta gwałtowna nagonka była odgórnie sterowana, inspirowana przez władze.

W bogato udokumentowanej książce prof. Marka Andrzejewskiego „Marzec 1968" autor pisze: „Znany mi materiał archiwalny nie daje podstaw do twierdzenia, że w marcu 1968 r. udało się wzbudzić w Trójmieście antysemickie nastroje". Jonathan Ornstein zaś z Centrum Społeczności Żydowskiej w Krakowie 5 marca 2018 r. w TVP stwierdził: »

FOT. PAP/HENRYK ROSIAK

eprasa.pl d16ae12b4e

» „Mamy ok. 125 tys. odwiedzin Żydów z zagranicy i oni są zszokowani dobrą atmosferą wobec Żydów w Polsce".

Przypomnijmy, że według raportu Agencji Praw Podstawowych Unii Europejskiej nt. antysemityzmu, w dziesięcioleciu 2006–2016 incydentów na tle antysemickim było: 1468 w Niemczech, 1308 w Wielkiej Brytanii, 477 w Austrii, 428 w Holandii, 355 we Francji, 277 w Szwecji. Tymczasem w Polsce takich przypadków odnotowano 101... Natomiast w USA, gdzie mieszka ok. 7 mln Żydów, w jednym tylko roku 2017, jak podał raport żydowskiej Ligi Antydefamacyjnej (AdF), było aż 1986 incydentów antysemickich.

Wszystko to nie przeszkadza jednak w ustawicznym publikowaniu na Zachodzie oskarżeń właśnie pod adresem Polaków o antysemityzm czy niedostateczną pomoc Żydom w czasie II wojny światowej, itd., itp.

Już w styczniu 1968 r. w Warszawie rozpoczęła się seria incydentów. W Teatrze Narodowym zdjęto inscenizację „Dziadów" Adama Mickiewicza, bo z widowni padały antyradzieckie okrzyki. Studenci urządzali jakieś wiece. Profesorów broniących młodzieży wyrzucano z pracy. Milicja i tajniacy uganiali się za „rozrabiającymi" studentami po mieście i pałowali ich nawet na terenie uniwersytetu. Studenckie wiece odbywały się także w wielu polskich miastach. Coś się w kraju gotowało, tylko nie wiadomo było, kto ogień podsycał ani jaką pieczeń chciał na nim upiec.

Niedawno zaskakujące informacje na ten temat podano w książce „Resortowe dzieci – media" wyd. Fronda 2014, gdzie czytamy: „Kazimierz Morawski... został w roku 1968... sekretarzem generalnym Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, czyli grupy katolików rządowych. Na spotkaniach z członkami ChSS w 1968 r. Morawski tłumaczył, że syjoniści »chcieli koniecznie doprowadzić do rozruchów w Polsce« i w tym celu »napuścili niepoczytalną grupę młodzieży«".

Z dokumentów w książce M. Andrzejewskiego „Marzec 1968 w Trójmieście" wynika, że antysyjonistyczną histerię w Trójmieście usiłowały wywołać MO i SB, a także działacze KW PZPR; społeczeństwo zupełnie się Żydami i syjonistami nie interesowało. Podobnie było w innych regionach Polski. Potwierdza to Antoni Zambrowski, wspominając: „Żeby pokazać rzekome poparcie społeczne dla gomułkowskiej nagonki, partia musiała zwozić robotników autobusami i wcześniej przygotowywać dla nich transparenty z prymitywnymi hasłami antysemickimi i »antysyjonistycznymi«. Nie było w tym krzty spontaniczności. Ulica była proizraelska!". To dlatego owe plakaty były tak porządnie wykonane, a miny robotniczych manifestantów raczej znudzone.

Nieoczekiwane światło na te dość już odległe wydarzenia rzucił krótki list czytelnika, prof. Lecha Kowalskiego – historyka zamieszczony w tygodniku „Wprost". Pisał on: „Prawie siedem lat przed generalną rozprawą z oficerami pochodzenia żydowskiego gen. Jaruzelski rozpoczął... proces kompletowania ich nazwisk i stanowisk....Główne uderzenie w oficerów pochodzenia żydowskiego w 1967 r. rozpoczęło się właśnie w wojskach lotniczych. Pierwsi oficerowie pochodzenia żydowskiego zostali wyeliminowani z szeregów wojska już w lipcu 1967 r... Akcja była przeprowadzana w pośpiechu, regulowana zarządzeniami doraźnymi".

Dlaczego nastąpiło to właśnie po wygranej wojnie czerwcowej? Inne przyczyny nagłej fali żydowskiej emigracji zarysowały się w książce ks. Waldemara Chrostowskiego „Kościół, Żydzi, Polacy". Opisuje on ciekawe spotkanie. Będąc w Izraelu, podszedł do straganu, aby kupić jakiś chłodny napój. Sprzedawca spytał: „Pan chyba z Polski?". Okazał się on polskim Żydem, który w 1968 r. wyjechał. Był w Polsce kierownikiem sklepu meblowego i wiodło mu się świetnie. Oto ich dialog:

„Dlaczego więc pan wyjechał? – zapytał sprzedawcę ksiądz Chrostowski.

– Bo musiałem! – padła odpowiedź.

– Co to znaczy?

– Gmina kazała – odpowiada sprzedawca.

– Jaka gmina?

Byłem zdumiony, relacjonuje ksiądz i dalej pyta:

– Gmina? – jaka gmina?

– Gmina żydowska! Machnięcie ręki oznaczało, że rozmowę na ten temat uważa za zakończoną.

Tak dotarła do mnie świadomość o drugim dnie marca '68" – puentuje autor.

Żydów z wojska usuwał więc nie tylko rząd PRL-owski, ręką gen. Wojciecha Jaruzelskiego, który chyba działał z rozkazu – zapewne z polecenia KC partii. Dlaczego jednak robiły to gminy żydowskie? Musiały działać z jakiejś inspiracji, podobnie zresztą jak rząd. Ciekawe informacje w tej materii przynoszą książki o Izraelu pisane przez izraelskich autorów opisujące dzieje młodego państwa i jego walkę o przetrwanie we wrogim otoczeniu.

Sześciodniowa wojna Izraela

Powszechnie znane jest starszemu pokoleniu błyskawiczne zwycięstwo Izraela w czerwcu 1967 r., zwane wojną sześciodniową. Wyprzedzając spodziewane uderzenia Egiptu i Syrii zmasowanym atakiem lotniczym, zniszczył on w ciągu kilkunastu minut stojące na lotniskach siły lotnicze Egiptu: spośród 419 maszyn, jakimi dysponował Egipt, zniszczono w dwóch atakach (o 7.45 i o 9.00 tego samego dnia) 304 samoloty bojowe. Zbiegiem okoliczności nie zabito pilotów i obsługi naziemnej. Stało się tak, bo wysoko ulokowany w głównej egipskiej bazie lotniczej Inchas k. Aleksandrii agent izraelski Efraim Anwar urządził w noc poprzedzającą atak wielką libację dla lotników egipskich. Jeszcze pijani lub skacowani piloci nie zdołali na czas uruchomić swoich maszyn, gdy nadleciała chmara wrogich samolotów szturmowych. Samoloty ich zniszczono, ale oni, mimo że pijani, a raczej dzięki temu, uratowali życie.

Natychmiast po tym udanym ataku Izraelczycy skierowali swoje lotnictwo w kierunku wojsk Syrii i je na wzgórzach Golan błyskawicznie pokonali. Po uzyskaniu tak szybko i łatwo bezwzględnego panowania w powietrzu zniszczenie z samolotów rakietami czołgów przeciwników było dla Izraela tylko kwestią kilku dni. Wieści o tym sukcesie izraelskiego agenta w bazie egipskiego lotnictwa i przebiegu kampanii podaje książka Samuela Katza „AMAN – wywiad wojskowy Izraela". Ten błyskawiczny sukces młodego państwa żydowskiego należałoby jednak nazwać raczej wygraną kampanią niż wojną. Egipt miał ok. 40 mln ludności, a lilipuci wtedy Izrael ok. 2,5 mln. Nabycie nowych samolotów, czołgów, transporterów wojska, rakiet, dział itp. było dla Egiptu tylko kwestią czasu. Sztabowcy izraelscy musieli brać pod uwagę chęć odwetu ze strony pokonanych, ale przecież niezniszczonych przeciwników. Zdawali sobie sprawę z pilnej konieczności dalszego i to znacznego powiększenia swoich sił mimo błyskotliwego sukcesu w wojnie sześciodniowej.

Izrael starał się zatem wszelkimi sposobami pozyskiwać pilotów, skąd tylko

eprasa.pl d16ae12b4e



W czerwcu 1967 r. Egipt używał nowoczesnej broni i taktyki wziętej od Rosjan, miał przewagę liczebną, ale został rozgromiony przez uzbrojone przez Zachód siły Izraela. Na zdjęciu jeńcy egipscy na tzw. Zachodnim Brzegu, 12 czerwca 1967 r.

FOT. EAST NEWS/AFP PHOTO

się dało. Może dlatego także w Polsce już od 1960 r. prowadzona była przez WSW z polecenia Głównego Zarządu Politycznego WP, którego szefem był wtedy gen. Jaruzelski, wspomniana ewidencja oficerów lotnictwa pochodzenia żydowskiego?

Czy nie dlatego właśnie po wojnie sześciodniowej nastąpiły w Polsce owe doraźne rozkazy, aby niezwłocznie wyłuskać oficerów pilotów pochodzenia żydowskiego z polskich sił lotniczych? Udało się wyłowić i usunąć z wojska znaczącą liczbę oficerów żydowskiego pochodzenia, którym zaproponowano natychmiastowy wyjazd do Izraela. Maleńki i otoczony dyszącymi zemstą, doraźnie tylko pokonanymi wrogami, Izrael rozpaczliwie potrzebował w tym czasie oficerów, a zwłaszcza pilotów, ale również ludzi w każdej dziedzinie gospodarki. Bo nie tylko oficer, lecz i stolarz, i magazynier, handlowiec i krawiec, tokarz i kierowca, lekarz i naukowiec – wszyscy pracują choćby pośrednio na rzecz obronności i armii, a w razie potrzeby chwycą za broń. Stąd chyba cała ta marcowa zadyma w Polsce: wszak tutaj było najwięcej wykształconych Żydów! A polscy oficerowie i lotnicy szkolili się na takim samym rosyjskim sprzęcie wojskowym, jakim posługiwał się wtedy Izrael.

Czy Izrael, chcąc pozyskać nowych obywateli z Polski, mógł liczyć na jakieś specjalne względy naszych władz? Przypomnijmy więc może, że pierwszy premier Izraela Ben Gurion pochodził z Polski, podobnie jak Menachem Begin czy Szymon Peres. Ten ostatni to po prostu dawny Szymek Perski z Nowogródczyzny, Icchak Szamir zaś to dawny Icek Jeziernicki. Menachem Begin natomiast to Mieczysław Biegun – aktywista młodzieżówki syjonistycznej partii Bejtar (Betar) założonej przez Włodzimierza Żabotyńskiego, z okresu jeszcze przed II wojną światową. Szefem Mosadu w 1968 r. był gen. mjr. Zamir, który urodził się w Polsce i nosił pierwotnie nazwisko Zakrzewski. W Knesecie przez lata używany był głównie język polski.

Zastanówmy się, w jaki sposób naród w potrzebie może szybko przyciągnąć swoich ziomków z kraju, gdzie mają oni dobre stanowiska, mieszkania i domy, kolegów i rodziny, słowem wygodne i dostatnie życie, a którzy jednak są pilnie potrzebni ojczyźnie? Trzeba było się uciec do jakiegoś zręcznego fortelu, aby wyciągnąć tych ludzi z ciepłych gniazdek i posadek. I taki fortel zadymę zastosowano, nakłaniając polskie władze i służby w marcu 1968 r. do sprowokowania, a chyba nawet zorganizowania, antyżydowskich wystąpień.

Filo- czy antysemityzm?

Wróćmy na krajowe podwórko. W 40-lecie wydarzeń marcowych opublikowano w tygodniku „Myśl Polska" wywiad z Bolesławem Szenicerem, prezesem fundacji cmentarza żydowskiego Gęsia. Tytuł wywiadu mówi wszystko: „Żydzi wyjechali z Polski, bo chcieli wyjechać". Oto jego fragment: „Paszport ze stemplem w jedną stronę był zbawiennym dokumentem podróży pozwalającym na emigrację i realizację nauk Teodora Herzla. Dla nich była to kolejna alija [powrót do ojczyzny przodków – przyp. aut.] umożliwiająca im wyjazd i budowę Wielkiego Państwa Izraela. Masowy wyjazd z Polski ok. 20 tys. osób był tym bardziej możliwy, kiedy oficjalnie było już wiadomo, że nie trzeba jechać koniecznie do Izraela... Zaraz po tej wiadomości, iż we Wiedniu czekają na przybyszy z Polski organizacje żydowskie z całego świata, po paszport ustawiły się długie kolejki chętnych do wyjazdu. Byli też tacy polscy Żydzi, których wyjazd do lepszego świata nie interesował. Dla nich Polska była Domem Ojczystym. Oni nie ulękli się tej nagonce gomułkowsko-moczarowskiej".

Występujący w TVN24 4 marca 2018 r. „marcowy" emigrant Krzysztof Topolski wspominał, jak w 1968 r., kiedy był studentem UW, ukrywał się przed wojskiem w psychiatryku w Tworkach, a „równocześnie trwały starania o wyjazd". Starania się powiodły i wyjechał do Izraela. Ostatnio wrócił do Polski. Zostali wygnani czy sami starali się o wyjazd? Podobno odrzucono ok. 2,7 tys. podań Żydów o wyjazd, a ok. 20 tys. przyjęto.

Nie zmienia to tego, że niektórzy sprowokowani do wyjazdu obywatele polscy pochodzenia żydowskiego, którzy często nawet czuli się tylko Polakami, subiektywnie mogli się czuć istotnie wygnani. Celem przyciągnięcia tych „wygnańców" właśnie do Izraela obiecywano im ponoć – natychmiast po przekroczeniu izraelskiej granicy – 5 tys. dol. (co było wtedy bardzo dużą sumą) na wstępne koszty osiedlenia. Nie chwalono się tym zazwyczaj, ale zachował się ciekawy list opublikowany przez „Dziennik Bałtycki" w 1968 r. Mianowicie towarzyszka prof. Zofia Majewska, członek POP PZPR przy Akademii Medycznej w Gdańsku, otrzymała z Wiednia list namawiający ją do niezwłocznego wyjazdu do Izraela i obiecujący wspomniane 5 tys. dol. od Syjonistycznej Organizacji Światowej. Całość listu i prawomyślna odpowiedź tow. profesor znajduje się w artykule „Kto jest Polakiem, a kto syjonistą". Czy tylko jedną poważną panią profesor wabiono z Wiednia? Nie wiadomo.

eprasa.pl d16ae12b4e

PIELGRZYMKA, KTÓRA WYWOŁAŁA EKSPLOZJĘ

Dlaczego pontyfikat Jana Pawła II jest jak film Hitchcocka? Jak zmierzyć wpływ pielgrzymki 1979 r. na obalenie komunizmu i do czego papież wykorzystywał kulturę masową – z KS. PROF. KAZIMIERZEM GINTEREM, historykiem i liturgistą z Papieskiego Uniwersytetu św. Krzyża w Rzymie, rozmawia Barbara Stefańska

Mówi się, że przyjazd Jana Pawła II w 1979 r. uruchomił proces zmian społecznych i politycznych, który zakończył się upadkiem komunizmu. Czy możemy udowodnić tę tezę?

Ks. prof. Kazimierz Ginter: Istnieje, moim zdaniem słuszne, społeczne przekonanie o wpływie pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny i odbywających się wówczas wielkich zgromadzeń liturgicznych na późniejsze zmiany ustrojowe w Polsce. Ale jeszcze bardzo wiele spraw należy przemyśleć i zweryfikować na podstawie danych historycznych – począwszy od archiwów służb specjalnych, a skończywszy na świadectwach i pamiętnikach.

Msza św. ma znaczenie duchowe. Czy przypisywanie jej znaczenia społecznego nie jest zbyt daleko idącą interpretacją?

Liturgia jest wielowarstwowa. Z punktu widzenia duchowego każda msza św. ma przede wszystkim znaczenie nadprzyrodzone jako sakrament. Ale to wyjaśnia tylko część tej rzeczywistości, ponieważ człowiek jest duchowo-cielesny; w przypadku zgromadzeń liturgicznych z 1979 r. ogromne znaczenie miały aspekty socjologiczny i psychologiczny – poczucie odbu-



Tłum wiernych oczekujących 4 czerwca 1979 r. na spotkanie z Janem Pawłem II na błoniach jasnogórskich

FOT. NAC

dowy jedności społeczeństwa, odzyskanie podmiotowości. Te wszystkie sprawy były niejako skutkiem ubocznym papieskich liturgii, które stały się powiewem wolności w państwie totalitarnym, gdzie Kościół pełnił funkcję obrońcy wolności.

Czy to nie jest mieszanie porządków państwa i Kościoła?
Człowiek jest jednością. Jeżeli zmienia się ciśnienie i wpływa to na nastrój duszy, to także na odwrót – rzeczy duchowe wpływają na całego człowieka. A wpływ na ludzi przekłada się na wpływ na państwo. Nawet jeśli mamy w głowie schemat rozdziału Kościoła od państwa, to ten rozdział może istnieć na poziomie instytucjonalnym, a nie na poziomie poszczególnego człowieka. Przecież żadna osoba nie jest podzielona na części państwową i kościelną.

Nawet liturgia, w której Jan Paweł II nie mówiłby na tematy odnoszące się do bieżących wydarzeń, wpływałaby na ludzi, kształtując ich sposób widzenia rzeczywistości i przez to wpływałaby w pewien sposób na państwo. A w tym przypadku mamy do czynienia z sytuacją, gdy do kraju, w którym Polacy i katolicy są uciśnieni przez ateistyczny system, przyjeżdża papież niosący ducha wolności. Łatwo zgadnąć, że musiało mieć to wpływ na całe państwo; co było jasne dla samego KGB. A KGB mogło być złe, ale nie głupie.

Czy da się w jakiś sposób „zmierzyć" ten wpływ na zmiany w Polsce?
Są pewne rzeczy, które można określić za pomocą statystyk, np. ilu ludzi przyszło na liturgię z udziałem papieża. Ale nie da się w ten sposób zbadać przemiany poszczególnych ludzi; w tym przypadku można się opierać na świadectwach. Widać było, że po papieskiej pielgrzymce zmienił się ogólny nastrój. Nie wszystko w życiu określamy w procentach lub mierzymy za pomocą centymetra.

Czy pielgrzymka do Polski była wyjątkowym wydarzeniem w okresie pontyfikatu Jana Pawła II, czy pielgrzymki do innych krajów również miały tak wielkie znaczenie dla tamtejszego społeczeństwa?
Można wymienić dwie pielgrzymki, które wywołały eksplozję i pociągnęły za sobą daleko idące konsekwencje. I są to dwie pierwsze podróże – do Meksyku i do Polski. Przy czym akurat pontyfikat Jana Pawła II był trochę jak film Hitchcocka – zaczynał się od trzęsienia ziemia, a potem napięcie rosło.

Wiele osób z Kurii Rzymskiej zniechęcało papieża do wyjazdu do Meksyku w 1979 r., bo mówili, że nie można zaczynać pontyfikatu od porażki. A on tam pojechał i to był pochód triumfalny. Ludzie wylegli na ulice już 100 km przed miastem Puebla, które odwiedzał papież. Mam wielu znajomych z Meksyku, którzy mi to opowiadali. I działo się to w kraju rządzonym wówczas przez PRI, partię radykalnie laicystyczną, w którym ksiądz nie mógł się pojawić na ulicy w sutannie. Warto dodać, że w Meksyku do dzisiaj ludzie nieprawdopodobnie kochają Jana Pawła II. Ktoś pół żartem, pół serio mówił mi, że 95 proc. osób ma wizerunek Matki Boskiej z Guadalupe, 80 proc. Jana Pawła II, a 70 proc. Jezusa Miłosiernego. Zatem drugie i trzecie miejsce zajmują „produkty polskie"...

Więc te dwie pierwsze pielgrzymki były eksplozywne. Pierwsza – do Meksyku – zapoczątkowała zmiany w Ameryce Łacińskiej, a druga – zmiany, które doprowadziły do upadku komunizmu w Europie Środkowo-Wschodniej.

Uzasadnione jest zatem określenie „Jan Paweł II Wielki". Jednak pojawia się coraz więcej głosów krytycznych dotyczących jego pontyfikatu.
Z pewnością Jan Paweł II popełniał błędy, co nie przeczy temu, że jest wielki. Jest wielki, bo dokonał wielkich rzeczy. A zwykle po wielkich ludziach przychodzi okres kryzysu i uaktywniają się ich przeciwnicy, np. po Bolesławie Chrobrym była reakcja pogańska, po śmierci Aleksandra Macedońskiego jego wychowawca Arystoteles musiał się ukrywać. Są osoby tak wielkie, że przekraczają swoje otoczenie, które do nich nie dorasta, i siłą rzeczy po ich śmierci odnosi się wrażenie pewnego odrzucenia lub co najmniej niedosytu.

Patrząc na całą historię Kościoła, czy można powiedzieć, że pontyfikat papieża Polaka był wyjątkowy?
Z całą pewnością był wyjątkowy, i to pod wieloma względami. Nie ma drugiego papieża, który odegrałby tak niezwykłą rolę w polityce światowej – może poza Grzegorzem VII czy Innocentym III. Jednak w historii Kościoła każde wydarzenie jest przygotowywane przez wydarzenia poprzednie. I to kardynał Stefan Wyszyński pod wieloma względami przygotował Jana Pawła II. Niewątpliwie obchody Tysiąclecia Chrztu Polski przygotowały papieża do wprowadzenia Kościoła w trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa. A dzięki rzeszom wiernych na Jasnej Górze nauczył się kontaktu z wielkimi zgromadzeniami ludzkimi.

Fenomen Jana Pawła II był także możliwy dzięki temu, że w XX w. zrodziła się kultura masowa. Dzięki nowym środkom technicznym pojawiło się zjawisko masowych zgromadzeń. Mussolini mógł gromadzić tłumy, bo miał mikrofony. Na spotkaniach z Beatlesami mogły szaleć tysiące dziewczyn, gdyż pojawiło się odpowiednie nagłośnienie. W przeszłości nie byłoby to możliwe. Ale nikt się nie spodziewał, że potworny wiek XX, w którym Hitler i Mussolini używali środków masowych do niecnych celów, skończy się Janem Pawłem II, który całą tę kulturę masową poprowadził do Chrystusa. To akurat pasuje do wiersza Słowackiego: „Pośród niesnasek Pan Bóg uderza w ogromny dzwon" i „On rozda miłość, jak dziś mocarze rozdają broń".

Czy w Rzymie i środowiskach watykańskich Jan Paweł II jest nadal pamiętany?
Oczywiście tak. Ale z pewnością mógłby być bardziej. Jednakże tu podstawowa zasada brzmi – jeśli my się nie zatroszczymy o naszego Świętego, to inni się nie zatroszczą. Musi istnieć ekipa, która się troszczy o popularyzację dzieła Jana Pawła II.

W Kurii Rzymskiej jest mnóstwo bardzo dobrych i świętych osób, choć oczywiście są też karierowicze, jak wszędzie. Ale trzeba upominać się o swoje i wykazać spryt. Jeśli będziemy stali w kącie i jęczeli, jacy jesteśmy niedowartościowani, niczego nie osiągniemy.

Wydaje się, że o Janie Pawle II wiemy już bardzo wiele. Co pozostaje do odkrycia?
Jako student pracowałem z bezdomnymi. Miałem na biurku Biblię. Pewnego razu wszedł bezdomny, spojrzał na nią i powiedział: „O, znam, czytałem to". A przecież samo przeczytanie raz Pisma Świętego czy jego fragmentów nie oznacza, że je naprawdę znamy, gdyż stale do niego wracamy i odkrywamy coś nowego. Trochę podobnie jest z Janem Pawłem II. To, że wiemy, że powiedział: „Niech zstąpi Duch Twój", nie znaczy, że znamy jego nauczanie.

Ostatnio wróciłem do „Miłości i odpowiedzialności", do encykliki „Fides et ratio" – jest tam wiele rzeczy genialnych. Nie możemy powiedzieć: „O, znam, czytałem". Książki wielkich ludzi trzeba czytać wiele razy, gdyż mają oni mnóstwo do powiedzenia.

eprasa.pl d16ae12b4e



Józef Glemp (1929–2013), prymas Polski, arcybiskup metropolita gnieźnieński i warszawski, marzec 1982 r.

RAFAŁ ŁATKA

EPISKOPAT POLSKI WOBEC DELEGALIZACJI „SOLIDARNOŚCI”

8 PAŹDZIERNIKA 1982 r. WŁADZE PRL PRZEPROWADZIŁY OFICJALNIE DELEGALIZACJĘ „SOLIDARNOŚCI”, CZEGO SPODZIEWAŁA SIĘ ZNACZNA CZĘŚĆ JEJ DZIAŁACZY. KOŚCIÓŁ NIE ODNIÓSŁ SIĘ DO TEGO RUCHU TAK ZDECYDOWANIE JAK WOBEC WYDARZEŃ Z 31 SIERPNIA

eprasa.pl d16ae12b4e

Reakcja Episkopatu była dość wstrzemięźliwa i spóźniona. W raporcie Departamentu IV MSW z 9 października podkreślono, że kierownictwo Episkopatu (ani poszczególni biskupi) dotychczas nie zajęło stanowiska w tej sprawie, a komentarze „środowisk wyznaniowych" są bardzo powściągliwe i ostrożne. W homilii wygłoszonej 16 października w Warszawie prymas Józef Glemp właściwie ograniczył się do pocieszania zgromadzonych. Tydzień później w informacji przygotowanej przez Departament IV MSW dla partyjnych zwierzchników wskazano, że duchowni z kilku województw prywatnie podkreślają, iż władze popełniły błąd taktyczny, delegalizując „Solidarność", gdyż później będą miały problemy z odtworzeniem ruchu związkowego. Dodano: „Wielu księży przyznaje w rozmowach, że rozwiązanie »Solidarności« należy odczytywać jako generalną porażkę Kościoła, który do ostatniej chwili liczył na reaktywowanie tego związku".

Dla osłabienia manifestacji

Władze, zgodnie ze swoją polityką wyznaniową, zamierzały wykorzystać Kościół do ograniczenia zaplanowanych na 10 listopada manifestacji opozycji. Wprost stwierdzono to w dokumencie Wydziału Administracyjnego KC PZPR: „W przeciwdziałaniu zamierzeniom politycznej opozycji w dniu 10 listopada br. wykorzystywać kontakty z kierownictwem Kościoła, z duchowieństwem i świeckimi stowarzyszeniami wyznaniowymi". Prymas niedługo później zainicjował spotkanie z Wojciechem Jaruzelskim, co dygnitarzom partyjnym tylko ułatwiło zadanie. Rozmowa z 8 listopada przyniosła kilka konkretnych efektów – władze zapewniły, że zwolnią z internowania Lecha Wałęsę oraz zakończą stan wojenny. W komunikacie po niej zapowiedziano także przyjazd Jana Pawła II do ojczyzny w 1983 r. Tak abp Glemp przedstawił swoje intencje Jaruzelskiemu: „Uważam, że spotkanie może być korzystne w sytuacji napięcia i może się przyczynić do uspokojenia emocji w kraju". W telewizji dzień później wyemitowano wystąpienie prymasa, w którym poinformował, że Jan Paweł II odwiedzi Polskę, i wezwał do pokoju społecznego.

„Zdrada Episkopatu" czy mądrość etapu?

Działacze opozycji oskarżali abp. Glempa o to, że jego spotkanie z I sekretarzem KC PZPR i wspomniany apel doprowadziły do znacznego osłabienia manifestacji (których skala niewątpliwie była porażką podziemia). Podkreślono to np. w artykule zamieszczonym w „Biuletynie Dolnośląskim" w grudniu 1982 r.: „Ogłoszenie wspólnego komunikatu z rozmów szefa junty Jaruzelskiego i prymasa Glempa [...] wywołało znaczną konsternację w kraju... [Komunikat] spowodował sporo zamieszania i niejasności, przez część działaczy podziemia odebrany został jako wyraz »zdrady Episkopatu«, przyczynił się wreszcie, acz w stopniu – jak sądzę – niedecydującym do klęski planowanego strajku". W referacie skierowanym do kadry kierowniczej MSW gen. Władysław Ciastoń trafnie ocenił: „Spotkanie gen. Jaruzelskiego z abp. Glempem stworzyło klimat odcięcia się Kościoła od poczynań podziemia i »Solidarności«. Kościół nie akceptuje w zasadzie obecnie metod i form walki podejmowanych przez podziemie, uświadamiając sobie mocną pozycję władz, a z drugiej strony brak szerokiego poparcia – jak to było w 1981 r. – zaplecza społecznego dla działań ekstremy. [...] Kościół przyjął więc taktykę zmierzającą do utrzymania swego stanu posiadania i uzyskania warunków dalszego działania. Wynika ona z przekonania, iż nierealne są wszelkie dążenia do gwałtownych zmian mających na celu przeobrażenie oblicza ustrojowego kraju. [...] Nie oznacza to, że Kościół akceptuje system socjalistyczny, który określa jako system totalitarny. Nie oznacza to również, że w swej długofalowej koncepcji Kościół nie będzie dążyć do przekształcania postaw i świadomości społeczeństwa dla osiągnięcia zakładanych celów, w tym przede wszystkim osłabienia procesu budowy socjalizmu w Polsce".

Glemp na cenzurowanym

Działania prymasa budziły wątpliwości u bp. Tokarczuka, który na listopadowym posiedzeniu Rady Głównej Episkopatu zauważył: „Pewne grupy społeczne się obawiają, czy Kościół nie wycisza, czy nie gasi oporu społecznego. Czy obawy są słuszne, to inna rzecz [...], ale niebezpieczeństwo jest. Ten reżim nie jest partnerem dobrej woli". Z postawy abp. Glempa niezadowoleni byli również młodsi duchowni, czemu dali wyraz w rozmowie z nim 7 grudnia 1982 r. Spotkanie, które odbyło się w pałacu arcybiskupim przy ul. Miodowej, miało burzliwy przebieg – prymas usłyszał wiele oskarżeń pod swoim adresem. Księża archidiecezji warszawskiej nie przebierali w słowach, o czym świadczą pytania: „Czy ks. prymas jest świadom, że jego postawa w sytuacji stanu wojennego jest coraz częściej dezaprobowana nie tylko przez ludzi, którzy traktują Kościół jako bastion niezależności i oporu w warunkach postępującej sowietyzacji Polski, lecz także przez zwykłych wiernych ze środowisk inteligenckich, robotniczych, a nawet chłopskich? Czy ks. prymas wie, że dezaprobata bywa tak silna, że wyrażana jest niekiedy za pomocą określeń: »towarzysz Glemp«, »agent Moskwy«, »zdrajca«, »wilk, który wszedł między owce«? Czy wobec tego, że są księża, którzy muszą ustosunkować się jakoś do spadku autorytetu prymasa w niektórych środowiskach i do rosnącego krytycyzmu wobec jego wypowiedzi, nie należałoby tego problemu duszpasterskiego rozważyć w kategoriach teoretycznych i praktycznych? Czy prymas mógłby powstrzymać się od wypowiedzi, które wyraźnie sprzeczne są z Ewangelią i polską tradycją: »chcemy pokoju za wszelką cenę«, »życie jest wartością najwyższą«? Czy swój dystans i chłód wobec »Solidarności« mógłby prymas manifestować mniej skwapliwie i bardziej powściągliwie? Na przykład stwierdzenie, że »Solidarność« nie istnieje w wymiarze organizacyjnym, powiedziane przez prymasa dwa dni po zdelegalizowaniu »Solidarności« przez władze, jest pochopne i nieprzemyślane bądź jest wyrazem celowej polityki i zatwierdzania faktów dokonanych lub nawet »sprzedawania« »Solidarności« wraz z niektórymi imponderabiliami w zamian za korzyści wymierne ze strony władz".

„Myślę, że wypełniłem wolę Bożą"

Prymas bronił się mało przekonująco, co z pewnością nie wzmocniło jego autorytetu wśród duchowieństwa, nie tylko zresztą archidiecezji warszawskiej. Mimo wszystko uważał, że postąpił słusznie. Swoją decyzję motywował następująco: „Krytykowano wybór daty mojego spotkania z generałem, że przed zapowiedzianymi demonstracjami, że osłabiło »

eprasa.pl d16ae12b4e

» ostrze... Jeśli dzięki niemu udało się uniknąć zdarzeń gwałtownych i dalszych krzywd, jeśli udało się uniknąć gorszego, to dziękuję Bogu". Myśl tę rozwinął w liście do Jana Pawła II, w którym tłumaczył, dlaczego rozmawiał z Jaruzelskim. Stwierdził, że chciał uspokoić sytuację polityczną, oraz zdecydowanie odciął się od opozycji i „Solidarności". Dodał też: „Spotkanie z generałem odbiło się głośnym echem. Podjąłem decyzję o tym spotkaniu, kontemplując wnikliwie moje sumienie. Myślę, że wypełniłem wolę Bożą. Takie jest moje wewnętrzne przekonanie. Spotkanie nie oznacza współpracy z władzami, ale oznacza daleko idącą rezerwę do podziemia. Kraj musi wzrastać przez spokój. Błędów władzy nie możemy naprawić walką. Nadal uważam za wielki błąd władzy, że nie oddzieliła szlachetnej części »Solidarności« od radykalnego podziemia. Zlikwidowanie »Solidarności« powiększyło szeregi podziemia, a więc przejścia na idee walki. Ideologia podziemia, inspirowana przez świeckie, o ile nie antykościelne środowiska Zachodu, pragnie Kościół instrumentalizować. Mamy więc zjawisko wielkiej ewolucji »Solidarności«. Staje się grupą polityczną i podejmuje walkę z władzą i o władzę, stąd też sprawy związkowe schodzą na dalszy plan. Mamy także b. przykre świadectwa o Lechu Wałęsie. Są na pewno autentyczne, choć zdobycie tych wiadomości nie może być etyczne. Obawiam się nagłego rozczarowania społeczeństwa: partia zdradziła klasę robotniczą i »Solidarność« zdradziła ją także. Oby to nie okazało się do końca prawdziwe. Wierzymy, że istnieje dużo ludzi z »Solidarności«, którzy zachowają ideały narodowe i kościelne. Oczywiście, że partia pracowała precyzyjnie, żeby doprowadzić do takiego stanu". List ten jasno pokazuje, dlaczego reakcja Episkopatu na delegalizację »Solidarności« była tak wstrzemięźliwa i spóźniona. Prymas ograniczył się właściwie tylko do gestu – przyjął Wałęsę po jego zwolnieniu z internowania. Decyzję, aby się z nim spotkać, uzasadnił tym, że Kościół nie może ulegać insynuacjom władz, które lidera związku usiłują skompromitować. Mimo swojego sceptycyzmu co do zdolności przywódczych Wałęsy i jego walorów moralnych abp Glemp zauważył: „Trudność Wałęsy leży w tym, że dokonał wielkich czynów, a teraz jest spychany w bezczynność. Podobnie było z Chłopickim, Kościuszką".

Kościół musi pozostać sobą

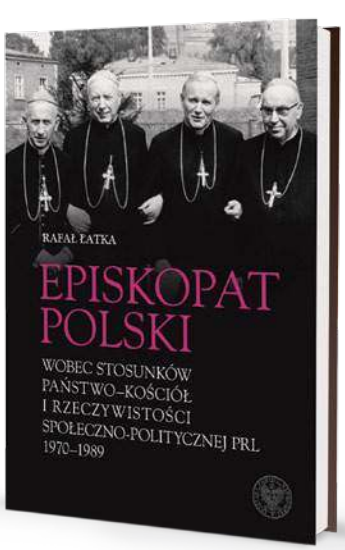
Episkopat oficjalne stanowisko w kwestii delegalizacji „Solidarności" zajął dopiero w komunikacie Konferencji Plenarnej z 2 grudnia: „W ostatnich miesiącach doszło w naszym kraju do wydarzeń, które boleśnie uderzyły w grupy społeczne i liczne poszczególne osoby. Między innymi rozwiązane zostały wszystkie związki zawodowe, w tym także – ciesząca się uznaniem szerokich kręgów społecznych – NSZZ »Solidarność« oraz NSZZ »Solidarność« Rolników Indywidualnych. Jest rzeczą godną ubolewania, że nie wybrano innych dróg, gdy naród dąży do pokoju i ładu społecznego. Kościół uważa, że budowa trwałego spokoju społecznego wymaga poszanowania słusznych dążeń społeczeństwa, zorganizowanego w grupy społeczne, na gruncie zawartych porozumień i umów osiągniętych w wyniku dialogu".

Podejście to wynikało z faktu, że prymas coraz gorzej oceniał działalność podziemia, a jego opinię podzielała większość Rady Głównej. Sceptycyzm wobec opozycji wyrażał on jeszcze wielokrotnie, uważając, że Kościół nie może wchodzić w rolę „Solidarności". Na spotkaniu z księżmi archidiecezji warszawskiej 7 grudnia stwierdził: „Zbyt jednostronne są potępienia i zbyt jednostronna jest apologia »Solidarności«. To, co jest wartościowym nurtem w tym fenomenie ruchu związkowego i narodowego, jest nadal aktualne. Po likwidacji »Solidarności« i innych instytucji niezależnych powstało – po nadziejach i emocjach – poczucie klęski. [...] Kościół nie może być włączony w program jakiegokolwiek stronnictwa. Musi pozostać sobą, ale musi pomagać ludziom. Pomoc była wykonywana na miarę naszych sił. Nie mamy jako Kościół utworzyć jakiejś »neo-Solidarności«. Ale nie jesteśmy zupełnie bezradni, mamy duszpasterstwo grup i środowisk".

* * *

Choć Episkopat zaprezentował jasne stanowisko, wyrażając zrozumienie dla odczuć większości narodu, to jednak ogłosił je zbyt późno. Można to tłumaczyć faktem, że abp Glemp słabiej odczytywał nastroje społeczne i rządził polskim Kościołem inaczej niż kard. Wyszyński. Większa kolegialność skutkowała koniecznością dłuższego uzgadniania decyzji. Na początku grudnia prymas stwierdził: „Pustka po autentycznym ożywieniu się świata pracy w »Solidarności« musi być zapełniona naszym działaniem". Podobną opinię wyraziła Rada Główna. W rezultacie w 1983 r. zaczęły się dynamicznie rozwijać duszpasterstwa dla ludzi pracy i rolników.

Celnie stosunek Episkopatu do „Solidarności" po jej delegalizacji podsumował Jan Żaryn: „Dla Kościoła główna batalia o utrzymanie w społeczeństwie idei solidarności toczyła się na innych frontach, w pierwszym rzędzie za bezpiecznymi murami świątyń oraz na terenie Komisji Wspólnej, a nie na ulicy". Można dodać, że w pierwszej połowie 1983 r. biskupi koncentrowali się na pielgrzymce Jana Pawła II, znacznie rzadziej omawiając sprawy polityczne. W dalszym ciągu zachowywali dystans wobec opozycji oraz nie zgadzali się na wykorzystywanie nabożeństw do manifestacji. Na posiedzeniu Rady Głównej w kwietniu 1983 r. abp Glemp podkreślił, że podziemie nie ma programu, Wałęsa zaś sprawdził się jako lider strajku, ale nie jako przywódca narodowy. W protokole z tej sesji odnotowano: „Zgadzam się – powiedział ks. prymas – że trzon solidarnościowy jest zdrowy. Ale ruchem tym obecnie kierują albo obojętni religijnie, albo wrogowie Kościoła. Trudno ocenić siłę podziemia oraz czy dążą do zmiany ustroju". Hierarcha duży nacisk położył na zachowanie jedności w Episkopacie i „wielką ostrożność w ferowaniu swoich opinii", gdyż – jak podkreślił – sytuacja „jest nienormalna. Władza nie ma akceptacji społecznej – ten kryzys władzy, podtrzymywany przez SB, może trwać długo. Musi dojść do reedukacji ludzi partii. Demoralizacja w partii oddziałuje na innych i prowadzi kraj do ruiny". ■



Autor jest pracownikiem IPN. Tekst jest fragmentem książki Rafała Łatki, „Episkopat Polski wobec stosunków państwo–Kościół i rzeczywistości społeczno-politycznej PRL 1970–1989", IPN, Warszawa 2019. Śródtytuły pochodzą od redakcji

eprasa.pl d16ae12b4e

CHRISTIANITAS AETERNA

Wybory kontraktowe – bez przesady

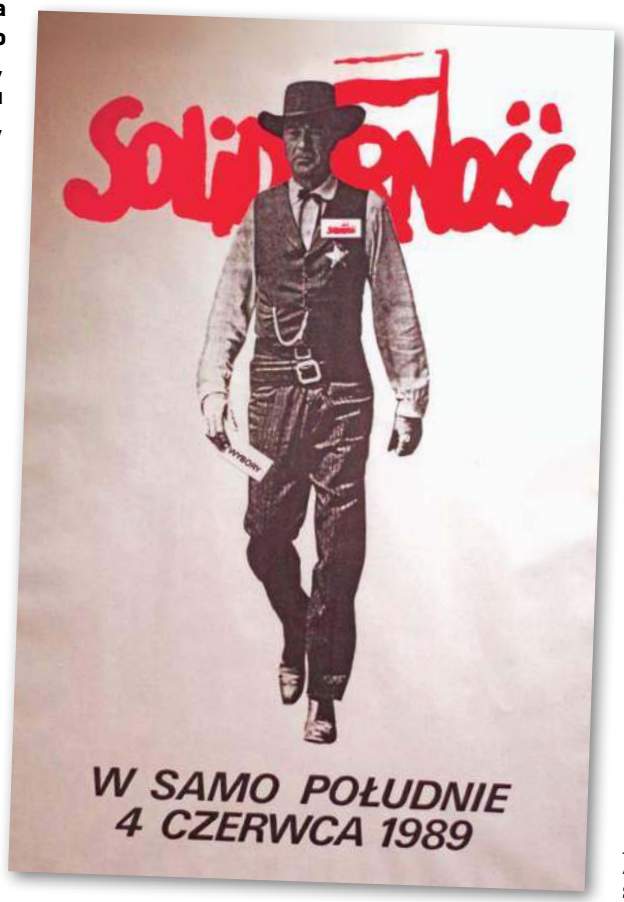


MAREK JUREK

Naszą wyobraźnią historyczną rządzą mity. Mity, czyli opowieści o realnych wydarzeniach, które w magiczny, eksplozywny sposób zmieniły dzieje. Mitologia to antyprocesualna koncepcja historii. Z jednej więc strony łatwo buduje świadomość narodową, z drugiej – odrywa historię od losu narodu, od jego życia, wysiłków, dylematów. Mitologia daje narodom satysfakcję, ale osłabia ich podmiotowość, bo sprawczość polityczną przenosi w całości w sferę „wielkości", która nie jest tu wartością dodaną do życia, prac i wysiłków tysięcy ludzi, ale staje się przyczyną rzeczywiście jedyną. Choć czasami, w wypadku niepowodzeń narodowych, jest to złowieszcza sprawczość złych mocy.

Rocznica wyborów 4 czerwca znowu nas podzieliła. Jedni wyolbrzymiali jej znaczenie, inni je dezawuowali. Dla jednych wynoszenie tego wydarzenia ma służyć idealizacji III Rzeczypospolitej, dla drugich – jej dezawuowaniu jako okresu w historii Polski. W obu wypadkach wola panowania nad historią zwycięża nad samą historią, nad prawdą. Stało się bowiem wówczas coś, czego naprawdę nie wyobrażała sobie większość społeczeństwa jeszcze dwa, trzy lata wcześniej. Wystarczy popytać w rodzinach.

Rewolucja „Solidarności", która poprzedziła te wybory, miała charakter „samoograniczający" ze względu na okoliczności geopolityczne i stan świadomości społecznej. Te okoliczności geopolityczne najlepiej streszczała doktryna Breżniewa, traktowanie przez Związek Sowiecki „prawa" do tłumienia wolnościowych ruchów w krajach zdominowanych po II wojnie światowej jako należności wynikającej z „wkładu w zwycięstwo nad faszyzmem", z układów jałtańskich, i jednocześnie jako gwarancji równowagi sił i pokoju w powojennym świecie. Stąd ograniczony charakter postulatów gdańskiego (a właściwie powszechnego) strajku w 1980 r., które wówczas i tak wydawały się radykalne (prawo tworzenia związków zawodowych, jawność cenzury, prawo obecności Kościoła w państwowych mediach).



Plakat „Solidarności" z kampanii przed wyborami 4 czerwca 1989 r.

Wiemy już dziś, że komuniści po dojściu Gorbaczowa do władzy, po jego rozmowach z prezydentem Reaganem w Reykjavíku, byli coraz bardziej świadomi końca sowieckiego protektoratu nad ich władzą. Większość społeczeństwa tego nie wiedziała, pytanie jedynie, czy wiedział krąg lewicowych doradców „Solidarności".

W każdym razie wybory czerwcowe były milowym krokiem na drodze do niepodległości. Politykę „Solidarności" ratyfikowało społeczeństwo, co boleśnie potwierdziła porażka wyborcza niezależnych kandydatów prawicowych, jak Władysław Siła-Nowicki czy Marian Piłka. Samą koncepcję wyborów, listy zaprezentowane przez „Solidarność", krytykowali wówczas niektórzy politycy solidarnościowi, jak Tadeusz Mazowiecki czy Aleksander Hall. Jednak główny nurt je akceptował. Do Senatu zostali wybrani Lech i Jarosław Kaczyńscy. Wybory do Senatu były całkowicie wolne. Solidarnościowa opozycja zdobyła 99 ze 100 mandatów. Na czele pierwszej reprezentacji solidarnościowej w Sejmie i Senacie stanął Bronisław Geremek, jednak po półtora roku został odwołany z tego stanowiska (miałem w tym swój udział) i zastąpiony przez Mieczysława Gila, związkowca i chrześcijańskiego demokratę, niedawnego senatora wybranego z poparciem Prawa i Sprawiedliwości.

Do czego więc można te wybory porównać, gdy myślimy np. o pierwszym odzyskaniu niepodległości? W jakiej kategorii wydarzeń je umieścić? Najbardziej chyba do utworzenia Rady Regencyjnej w 1917 r., która rok później, jeszcze w czasie wojny, proklamowała niepodległość Polski, a potem przekazała władzę Józefowi Piłsudskiemu. Historycy się zgadzają, że pod jej nieefektownym panowaniem wykonano niezwykle ważną pracę dla powojennej odbudowy Polski. Jej osiągnięcia bledną jednak wobec późniejszej historii: wojny o granice, Sejmu Ustawodawczego, Konstytucji. Tak samo z wyborami 1989 r. Były ogniwem, od nich zaczęło się przywracanie wolności. I choć państwo, po zniszczeniach komunizmu, musimy budować ciągle – nie ma sensu deprecjonować tamtego momentu. Historia to łańcuch pokoleń i wydarzeń, my jesteśmy tylko ogniwem.

FOT. EAST NEWS/ZOFIA BAZAK

eprasa.pl d16ae12b4e

POWRÓT DO KRAJU DOWÓDCY BATALIONU „ZOŚKA”



Ryszard Białous jako żołnierz 1. Brygady Spadochronowej

W OSTATNICH DNIACH LIPCA W KWATERZE BATALIONU „ZOŚKA” NA POWĄZKACH WOJSKOWYCH ZOSTANIE POCHOWANA URNA Z PROCHAMI DOWÓDCY TEGO LEGENDARNEGO ODDZIAŁU RYSZARDA BIAŁOUSA PS. JERZY. ZMARŁY W DALEKIEJ PATAGONII W 1992 r. POWRACA DO SWYCH ŻOŁNIERZY



MARIUSZ OLCZAK

Tego wyklętego emigranta nie było na odpowiednio godnym miejscu ani w PRL, ani potem w wolnej Polsce. Kiedy prawie 20 lat temu z pomocą żołnierzy „Zośki” zacząłem szukać jego archiwum, okazało się, że nadal spoczywa daleko w Argentynie. Dobrze pamiętam pierwszy kontakt z jego mieszkającym w Buenos Aires wnukiem Juanem Pablem Białousem, a potem z jego synami Janem i Jerzym. Dzięki nim 15 maja 2007 r. w siedzibie Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie w obecności żołnierzy Batalionu „Zośka” odbyło się oficjalne przekazanie sprowadzonej z Argentyny spuścizny archiwalnej Ryszarda Białousa. Tak symbolicznie zakończyła się wymuszona emigracja dowódcy legendarnego oddziału, któremu nie było dane powrócić po wojnie do ojczyzny. W gmachu MSZ patrzyli na to żyjący jeszcze „zośkowcy”, w tym jedyny żyjący wówczas oficer, Kawaler Virtuti Militari, Bolesław Górecki ps. Śnica. W roli gospodarza uroczystości wystąpiła ówczesna minister spraw zagranicznych Anna Fotyga, która przekazała archiwum Białousa do Archiwum Akt Nowych.

Nie miejsce tutaj na powtarzanie ogólnie znanych, a związanych z Białousem fragmentów historii Szarych Szeregów i Batalionu „Zośka”. Warto wspomnieć, że to jeden z najlepszych dowódców Kedywu Armii Krajowej. Wywodzący się z harcerstwa, we wrześniu 1939 r. saper w 8. Dywizji Piechoty, potem w akcji „N”, dowodzący OS „Jerzy”, Batalionem „Zośka, w powstaniu warszawskim, pełnił funkcję zastępcy i dowódcy Broda 53, z którą przeszedł cały szlak bojowy. Awansowany w czasie wojny do stopnia kapitana oraz odznaczony Krzyżem Walecznych i Orderem Virtuti Militari.

Powojenna Anglia

Tuż po wojnie, latem 1945 r., mianowano go dowódcą plutonu opieki w polskiej 1. Brygadzie Spadochronowej dowodzonej przez gen. Stanisława Sosabowskiego. Zajmował się w niej m.in. organizowaniem kontaktów z krajem. Do Polski wrócił jednak tylko na krótko, wywożąc na Zachód swoją rodzinę pod płaszczem fikcyjnej misji UNRRA.

FOT. AAN (3X)

eprasa.pl d16ae12b4e



Ryszard Białous (w środku) wraz z pracownikami w Quillén, lata 50. XX w.

Kpt. „Jerzy" stał się znany dzięki wydanej krótko po wojnie we Francji i w Niemczech jego „Walki w pożodze", której edycję w latach 90. przeprowadziła oficyna RYTM (warto przypominać i powtarzać, że dzięki odkryciu Włodzimierza Domagalskiego wiemy, iż kierował nią przez lata oficer SB Marian Kotarski vel Pękalski). To właśnie Białousa dotyczyło pierwsze pytanie, jakie zadano Janowi Rodowiczowi ps. Anoda po jego aresztowaniu w Wigilię 1948 r. Przesłuchiwał go wówczas por. UB Bolesław Cykała pytający o termin wizyty Białousa w Polsce i jego spotkania z Rodowiczem. Białous zaangażowany był wówczas w pracę w Kole AK, został w Londynie członkiem Komisji Historycznej Sztabu Głównego, wreszcie Naczelnikiem Harcerzy poza Granicami Kraju. Był bardzo aktywnym działaczem wielu organizacji emigracyjnych i żołnierskich. Nawiązywał nowe kontakty, pomagał swoim żołnierzom z „Zośki".

Nie wszystko jednak przebiegało po jego myśli. Zupełnie nieznany w historiografii jest spór z Eugeniuszem Konopackim ps. Gustaw, jaki wybuchł w Londynie na tle dowodzenia słynną akcją przebicia oddziałów Brody 53 ze Starego Miasta do Śródmieścia 30–31 sierpnia 1944 r. Przypisujący sobie dowodzenie kpt. Konopacki na podstawie decyzji Sądu Koleżeńskiego Koła AK pod przewodnictwem b. szefa Sztabu KG AK Tadeusza Pełczyńskiego musiał przyznać rację Białousowi. Niemniej w kraju pod nieobecność Białousa dowodzenie zaczęto powszechnie przypisywać Andrzejowi „Morro" Romockiemu, co zresztą do dzisiaj powtarza się często w różnych publikacjach.

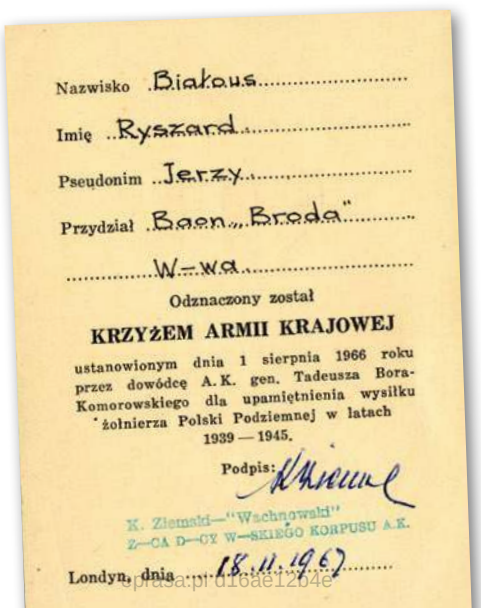
Wyjazd do Argentyny

Sytuacja samego Białousa i byłych żołnierzy PSZ oraz AK stawała się w Wielkiej Brytanii coraz bardziej nieznośna. Białous pozostał w Anglii jedynie kilka miesięcy. Jak mówił później: „Dla Anglików stawaliśmy się kłopotliwymi, uciążliwymi cudzoziemcami. Nie mogłem znieść takiej atmosfery i takiej sytuacji. Postanowiłem wyruszyć w świat, osiąść jak najdalej od Wielkiej Brytanii i wszystkich krajów anglosaskich". Po tych ostatnich słowach widać, że „Jerzy" czuł się oszukany, i to chyba nie tylko jako żołnierz powstania warszawskiego, ale również żołnierz września 1939 r.

Na argentyński brzeg Białous wraz ze swoją rodziną oraz towarzyszącymi mu Polakami, w tym znanym później podróżnikiem Tonym Halikiem, dotarł 9 lipca 1948 r. W Buenos Aires nie zatrzymał się długo. Do jednego z przyjaciół pisał: „Wyobraź sobie, że wylądowałeś w środku wielkiej restauracji". Nie czuł się tutaj zbyt dobrze. Szybko pojawiła się nostalgia, dały o sobie znać trudności finansowe. Białousowie początkowo zatrudnili się przy opracowywaniu projektów dla jednej ze spółek należącej do Polaków ze „starej emigracji". Nie dawało to im jednak odpowiedniej satysfakcji. Zgiełk, nerwowość życia codziennego, ale chyba przede wszystkim oceaniczny klimat nie odpowiadały „Jerzemu", a szczególnie jego żonie Krystynie. Kiedy zaczęły się upały, żona i dzieci zaczęły chorować.

Okazja wyrwania się z Buenos Aires pojawiła się dość szybko. Poznany w środowisku polskiej emigracji Mikołaj Jakobini zwrócił się z propozycją, aby zbudował fabrykę domów z drewna w Quillén w prowincji Neuquén. Jakobini przekazał

Legitymacja Krzyża AK



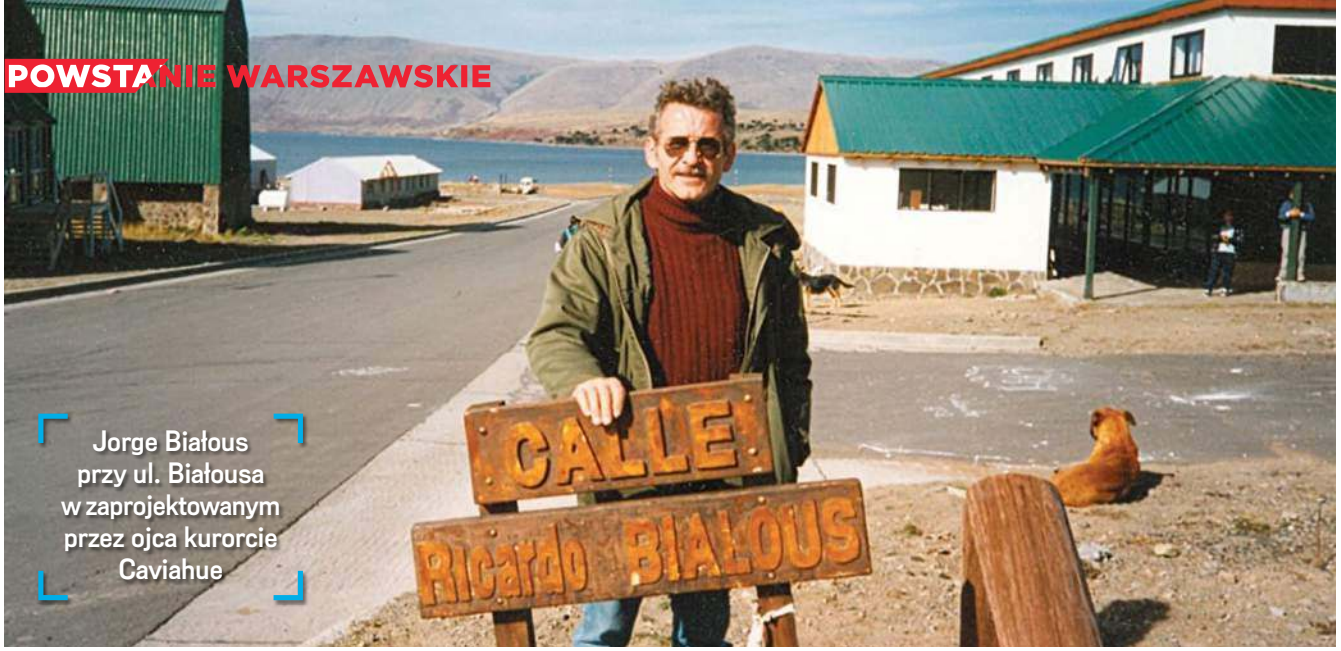
Nazwisko Białous
Imię Ryszard
Pseudonim Jerzy
Przydział „Baon „Broda"
W-wa
Odznaczony został
KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ
ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku żołnierza Polski Podziemnej w latach 1939 — 1945.
Podpis:
K. Ziemski — "Wachnowski"
Z-CA D-CY W-SKIEGO KORPUSU A.K.
Londyn, dnia 18.11.1967

propozycję swego argentyńskiego znajomego, który pełnił wcześniej urząd ambasadora Argentyny w Szwecji. Miał on w Quillén majątek ziemski o powierzchni 24 tys. ha, w zdecydowanej większości pokryty dziewiczymi lasami. Po dwóch miesiącach pobytu nad La Plata, w środku argentyńskiego lata, Białous udał się w dziewiczą podróż do oddalonej o ponad 1,5 tys. km egzotycznej Patagonii.

Patagoński raj

Z Buenos Aires jechał koleją na zachód do miejscowości Zapala aż 36 godzin. Tu kończyły się szyny. Kolejne 100 km przemierzył przez dwa dni po krętych górskich drogach samochodem terenowym. Dalej jednak nie było już dróg, musiał więc podróż kontynuować konno. Tak jadąc ponad 80 km po dziewiczym terenie, poprzez pokryte jeszcze śniegiem góry, dotarł ostatecznie pod samą granicę argentyńsko-chilijską, do leżącego u stóp andyjskiego wulkanu Lanin (3747 m n.p.m.) jeziora Quillén.

Białous napisał stamtąd do żony: „Wszystko, co mi opowiadali o warunkach do mieszkania, było przesadzone, na miejscu prąd elektryczny działa od 18 do 21, wodę do picia i łazienki trzeba pompować ze strumienia, najbliższy lekarz mieszka w miejscowości Alumine odległej 53 km. Jedyne mięso to baranie, kupuje się u tubylców (zamawia się i ubijają barana). Warzywa, owoce, lekarstwa sprowadza się z odległej o 159 km Zapala. Na miejscu jest mały sklepik, »



Jorge Białous przy ul. Białousa w zaprojektowanym przez ojca kurorcie Caviahue

» w którym można kupić mąkę, cukier i trochę konserw. Maszyny tartaku są bardzo zapuszczone, ale można je naprawić. Ale to, co nie powiedzieli, jest wystarczające, żeby tu zamieszkać. Miejscowość bardzo przypomina nasze Tatry. Dolina otoczona górami o zboczach pokrytych lasami i śniegiem na szczytach i rzeka płynąca meandrami pośrodku potokami i jeziorem mającym 32 km długości i 3 km szerokości. Przyjeżdżajcie jak najprędzej".

Po otrzymaniu listu Krystyna Białous spakowała rzeczy i wraz z trojgiem dzieci ruszyła za mężem, docierając po paru tygodniach samochodem do wiosennego Quillén. Samo dotarcie wówczas do tego dzikiego miejsca było nawet dla doświadczonych podróżników zadaniem niezwykle trudnym.

Co skłoniło Białousa do wybrania tego miejsca? Na pewno krajobraz i klimat niezwykle podobne do tatrzańskiego. Jezioro porasta ze wszystkich stron las iglasty, a na horyzoncie górują strzelające na 2–3 tys. m ośnieżone szczyty Andów. Prawie jak nad Morskim Okiem. W Tatrach można było spotkać turystów, tutaj nad Quillén Białous wybrał zupełne odludzie, kraj niezamieszkany, który pod tym względem trudno porównać z jakimkolwiek górzystym terenem w Polsce. Żona Białousa tak określiła to miejsce: „Był to najszczęśliwszy dzień naszego życia. [...] Po przeżyciach wojny było Quillén dla nas prawdziwym sanatorium...". A „Jerzy" opisywał Quillén „Radosławowi" w jednym z pierwszych listów napisanych po wojnie: „Żyjemy na wysokości 1000 m w otoczeniu przypominającym nieco nasze Zakopane w połączeniu z Pojezierzem Augustowskim. Klimat tu jest ostry, lecz zdrowy. Lata pogodne i gorące, ale nocami zawsze miły chłodek".

Oswajanie nowego miejsca

Znajdowała się tam indiańska osada o tej samej nazwie, Quillén, co oznacza „truskawkowe pole". Do tego tartak oraz budynki dla robotników i administracji, a także posadowiony na szczycie jednego ze wzniesień dwór. Zabudowań tych obecnie już nie ma. Pracownicy miejscowego majątku to byli głównie Chilijczycy, słabo wykształceni i nieprzygotowani do prac, jakie czekały ich w nowej fabryce. Chcąc podnieść poziom robót, Białous sprowadził z Buenos Aires ok. 20 Polaków, w większości weteranów spod Monte Cassino. Wspólnie z żoną zaprojektował i zbudował własny drewniany duży dom. Podobnie na położonym w pobliżu skalistym wzniesieniu zbudowali według własnego projektu kapliczkę w stylu zakopiańskim.

Jak podkreślał, „w życiu tutaj, najważniejsze jest niezwykłe piękno dzikiej natury i błogosławieństwo pozostawania z nią na co dzień". W poznawaniu tej przyrody coraz częściej towarzyszył Białousowi jego najstarszy syn Jan, z którym wyprawiał się na niemal stukilometrowe konne wyprawy, podczas których przemierzali niezamieszkane pustkowia Patagonii. Zdarzało się, że nie spotykali podczas wielodniowych wypraw żadnego człowieka.

Dom Białousów stał się z czasem miejscem spotkań okolicznej Polonii, ale również innych Polaków przybywających często z odległego Buenos Aires. Przyjeżdżali tutaj również polonijni artyści, którzy uwieczniali piękno okolicy na płótnach. Przyjeżdżało „moc Polaków, a do stołu zasiadało normalnie 15–20 Polaków". Zbierała się u „Jerzego" „cała cyganeria polonijna". Przyjacielem domu Białousów był duszpasterz polonijny ks. dr Tadeusz Łagowski, który w tej zakopiańskiej kapliczce odprawiał msze święte.

Białous zaprzyjaźnił się również z szeregiem Argentyńczyków, w tym z biskupem diecezjalnym Neuquén księdzem don Francisco Jaime de Nevaresem. Poznał również polskiego podróżnika i pisarza, inżyniera Wiktora Ostrowskiego, z którym wspólnie interesował się Indianami Araukanami. W pobliżu Quillén znajdowały się dwa wielkie indiańskie rezerwaty. Białous został członkiem Kongresu Araukanów oraz jednym z najlepszych znawców ich kultury. W 1962 r. wraz z Wiktorem Ostrowskim wziął nawet udział w Pierwszym Kongresie Araukanologów. Zaprzyjaźnił się również „Jerzy" z rodziną Bernaciaków, która posiadała hotel w Neuquén. Co ciekawe, okazało się, że Danuta Bernaciak z domu Kugler została uwolniona w czasie akcji oddziałów Kedywu na Szpital Jana Bożego w Warszawie.

Inżynier i działacz

W drugiej połowie lat 50. Białous coraz więcej czasu spędzał poza Quillén i stopniowo planował przeniesienie się do miejscowości Zapala leżącej 184 km na zachód ze względu na konieczność dalszego kształcenia dzieci. W Quillén zamieszkiwanym przez prawie tysiąc osób nie było szkoły średniej. Po przeprowadzce Białous zbudował w Zapala nowy dom. Zaangażował się tam też w życie polityczne i w 1962 r. został wybrany na posła do rady miejskiej. W 1963 r. został doceniony przez rząd prowincji, który zaproponował mu wraz z Polką, architekt Haliną Bukowińską, zaprojektowanie osiedla turystycznego i uzdrowiska dla 20 tys. ludzi, z ciepłymi wodami leczniczymi w dolinie

FOT. AAN (2X)

eprasa.pl d16ae12b4e

Caviahue pod czynnym wulkanem Copahue (2 900 m n.p.m.).

Od grudnia 1965 do grudnia 1967 r. pracował jako doradca techniczny w Dyrekcji Turystyki i Uzdrowisk Prowincji. W grudniu 1968 r. został minowany dyrektorem programu rozwoju kompleksu turystyczno-termalnego w Caviahue. Przez cały czas był w zarządzie tego uzdrowiska, którego projekt opracował i w którym do dzisiaj znajduje się ulica nazwana jego imieniem. Wraz z nowymi obowiązkami coraz częściej konieczne były wyjazdy do stolicy prowincji – miejscowości Neuquén.

Kariera w Argentynie

Miał jednak małą przerwę w pracy dla uzdrowiska Caviahue. Przez prawie rok od grudnia 1969 r. do grudnia 1970 r. wziął urlop bezpłatny i pracował dla będącej własnością polskich inżynierów Kicińskiego i Parczewskiego firmy Adelphia, która wybudowała w prowincji Neuquén linię elektryczną o długości 84 km „El Chokon a el Sauce", gazodukt o długości 53 km z „antiklinal campamento" do Zapala oraz drogę z Litran do rzeki Pulmari o łącznej długości 34 km. Krótko potem, 11 września 1972 r., Ryszard Białous został mianowany interwentorem w Dyrekcji Prowincjalnej ds. Hydrologii i Energii Elektrycznej, a w grudniu 1972 r. został szefem tej dyrekcji. W Argentynie była to wówczas jedna z istotniejszych gałęzi gospodarki. Białous mógł wykorzystać swoje wieloletnie doświadczenie. Wiązało się to często z intensywną pracą i badaniami przeprowadzanym na bardzo, jak na warunki europejskie, rozległym obszarze. W styczniu 1974 r. otrzymał nominację na koordynatora robót kompleksu turystyczno-termalnego Copahue-Caviahue. Podlegała mu wówczas cała sieć wodna oraz produkcja i dystrybucja energii elektrycznej. W lipcu 1976 r. utworzono prowincjonalną dyrekcję wód termalnych, której dyrektorem mianowano właśnie Ryszarda Białousa. Odpowiadał tym samym za wodę i energię dla całej prowincji, a podlegał jedynie gubernatorowi prowincji. W 1977 r. otrzymał propozycję objęcia odpowiedzialnego stanowiska w Ministerstwie Robót Publicznych, z czego jednak zrezygnował.

Mimo przeciwności Białous działał aktywnie na wielu polach. Założył pierwszy w Argentynie klub biathlonowy, organizację olimpijską „Solidaridad olimpica" (Solidarność olimpijska) grupującą pasjonujących się sportem, a przede wszystkim narciarstwem. W wolnym czasie wspinał się w Andach, zdobywając kilka szczytów. Do emerytury uprawiał narciarstwo. Brał jednocześnie udział w działalności Związku Polaków w Argentynie. 13 grudnia 1983 r. Białous przeszedł na emeryturę. Dwa lata później, w 1985 r., prezydent Argentyny Raul Alfonsin inaugurował elektrownię geotermalną, a w 1986 r. dekretem 956 zatwierdzono powstanie osiedla Caviahue. Jedna z ulic osady otrzymała imię Białousa. On sam był już wówczas ciężko chory.

Kontakty z krajem

Kontakt z „Radosławem" nawiązany został, podobnie jak z szeregiem jego podkomendnych, dopiero w 1957 r. Białous napisał wówczas do swojego dowódcy: „Szanowny Panie Pułkowniku, już dawno wybierałem się napisać, ale powstrzymywała mnie troska o to, by nie spowodować jakichś nieprzewidzianych konsekwencji, które przez wiele lat były udziałem tych, którzy ośmielali się utrzymywać kontakt ze »zgniłym zachodem«". Z „Radosławem" zobaczył się podczas swojego pobytu w Polsce, w 1974 r. Nic jednak więcej nie wiemy – ani o czym rozmawiali, ani o tym, co ich wówczas nurtowało. Właśnie w sierpniu i we wrześniu 1974 r. Białous był po raz pierwszy i ostatni w Polsce. Spędził czas bardzo aktywnie, spotykając się z towarzyszami broni z AK, podkomendnymi z „Zośki" i dowódcami. Doszło do spotkania z gen. Berlingiem w jego domu pod Piasecznem. Nagrał nawet jedną audycję radiową i wystąpił w telewizyjnym programie „Kontynenty", w którym nie opowiadał o swojej walce, ale o mieszkających w Argentynie Indianach.

Białous miał też udział w powstawaniu pierwszej monografii batalionu „Zośka" autorstwa Anny Borkiewicz-Celińskiej, łączniczki batalionu i córki autora monumentalnej monografii powstania warszawskiego płk. Adama Borkiewicza. Stale utrzymywali kontakt telefoniczny, a autorka monografii przesyłała „Jerzemu" fragmenty swojej książki.

Stan jego zdrowia stale się pogarszał. Od 1987 r. dały o sobie znać symptomy ciężkiej choroby, która wyniszczała go coraz bardziej. W przeciwieństwie do wielu swoich kolegów z AK był świadkiem zmian w kraju, upadku PRL i uwolnienia się z systemu komunistycznego. Nie był już jednak w stanie przyjechać nad Wisłę. Choroba była silniejsza. Ryszard Białous zmarł 24 marca 1992 r., nie doczekawszy swoich 78. urodzin.

Warto wspomnieć, że wszystkie dzieci Białousów zostały wychowane w duchu narodowym, doskonale mówiły po polsku. Syn Jan urodzony jeszcze w Polsce, w 1942 r. został również architektem i pełnił obowiązki Dyrektora Departamentu Studiów i Projektów Ministerstwa Robót Publicznych w Prowincji Neuquén. Młodszy Jerzy, też architekt, jest znaną postacią w Neuquén. Z córek Teresa jest pielęgniarką dyplomowaną, Zofia zaś nauczycielką w Zapala. W ich domach widać polskość.

Wkrótce dowódca „Zośki" wróci do wolnej Polski, do swoich żołnierzy. Rodzinie warto podziękować, że dostrzegła, iż miejsce ich ojca jest tutaj, w Warszawie, w kwaterze dowodzonego przez niego legendarnego batalionu.

A ja dziękuję synom „Jerzego" – Janowi i Jorge'owi Białousom – za wieloletnią współpracę.



Ryszard Białous (trzeci od prawej) w otoczeniu żołnierzy Batalionu „Zośka", 1974 r.

eprasa.pl d16ae12b4e



W pierwszą rocznicę wybuchu powstania obok oficjalnych obchodów odbyły się uroczystości organizowane przez powstańców; pochód z wieńcem zmierza ku zbiorowej mogile w parku Dreszera

FOT. R. WITKOWSKI

WALKA O PAMIĘĆ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W MOMENCIE, GDY FUNKCJONUJĄCE OD PIĘCIU LAT W KONSPIRACJI POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE PODJĘŁO WALKĘ W WARSZAWIE, W LUBLINIE DZIAŁAŁ JUŻ STEROWANY Z MOSKWY POLSKI KOMITET WYZWOLENIA NARODOWEGO. NIELEGALNA WŁADZA WKRÓTCE PRZEJĘŁA RZĄDY W CAŁYM KRAJU



KATARZYNA UTRACKA

Przez następnych 45 lat komuniści, dysponujący pełnią władzy w Polsce, fałszowali pamięć o powstaniu, narzucając własną, nieprawdziwą narrację. Ujawnienie bowiem prawdy o jego istocie obnażyłoby całkowity brak ich legitymacji do rządzenia.

Zawłaszczanie pamięci

Od samego początku władza komunistyczna próbowała narzucić obchodom rocznicy wybuchu powstania ramy organizacyjne, przeciwdziałając inicjatywie społecznej; poddawała wnikliwej kontroli treści wystąpień. Kilka dni przed pierwszą rocznicą sekretarz generalny Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej Władysław Gomułka w swoim wystąpieniu przed parlamentem na długie lata wyznaczył ramy ideologiczne, w jaki sposób należy mówić i pisać o powstaniu, dzieląc powstańców na bohaterskich żołnierzy i cyniczne, wręcz zbrodnicze dowództwo. Wykładnia ta obowiązywała z pewnymi modyfikacjami do 1989 r. Powstańcy, jak zresztą wszyscy żołnierze podziemnej armii, byli traktowani wrogo. Nazywano ich „zaplutymi karłami reakcji" i wrogami „ludowej ojczyzny". Mnożyły się szykany, aresztowania i mordy w majestacie komunistycznego prawa. Jednocześnie władza ludowa systematycznie budowała mit Armii Ludowej jako głównej siły powstańczej walczącej z Niemcami. Ciekawym i wiele mówiącym epizodem była tzw. wojna o groby, kiedy zmuszano rodziny do chowania swoich bliskich, żołnierzy AK, poległych w powstaniu, w kwaterach AL.

Pierwsza i druga rocznica wybuchu powstania obchodzone były jeszcze powszechnie. Odbyły się akademie państwowe, odprawiono liczne nabożeństwa, zorganizowano uroczystości na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Kilka dni przed pierwszą rocznicą na murach i chodnikach Warszawy pojawiły się napisy „Chwała Bohaterom Powstania Warszawskiego 1 VIII 1944–1 VIII 1945" wykonane przez warszawskich harcerzy. Ważnym wydarzeniem w drugą rocznicę obchodów było odsłonięcie na Wojskowych Powązkach pomnika „Gloria Victis" (Chwała zwyciężonym) upamiętniającego żołnierzy AK poległych w czasie powstania warszaw-

eprasa.pl d16ae12b4e

skiego i okupacji niemieckiej. Został on wzniesiony wysiłkiem środowisk żołnierzy AK w wyjątkowym miejscu dla pamięci insurekcji, tuż obok mogił powstańczych.

Obchody trzeciej i czwartej rocznicy władza ograniczyła do uroczystości odbywających się wyłącznie na cmentarzach i w kościołach. W latach 1949–1953, w okresie wzmożonej walki z „wrogiem klasowym", uniemożliwili oddanie hołdu poległym powstańcom nawet na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

W 1949 r. powołano Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, zrzeszający 11 organizacji społecznych, z pominięciem byłych akowców. Dopiero po 1954 r. nastąpiła częściowa rehabilitacja AK. Członkami ZBoWiD zostało wielu akowców i uczestników powstania. Po latach przemilczania, w 10. rocznicę wybuchu powstania, obchody zostały przywrócone. Na cmentarzu Powązkowskim odbyły się uroczystości z udziałem kompanii honorowej Wojska Polskiego. Wszystko jednak przebiegało pod kontrolą władzy.

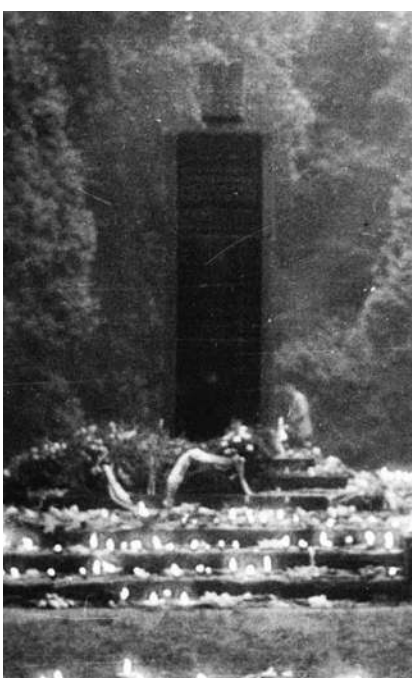
Po chwilowej „odwilży" w 1957 r. władza ponownie zmierzała do marginalizacji uroczystości rocznicowych. Niepokoiła ją każda forma obchodów, wyłamująca się z ram przyjętych przez ZBoWiD. W latach 60. i 70. kontynuowane były działania zmierzające do utrzymania ich lokalnego charakteru. W latach 80. spotkania rocznicowe nad grobami powstańców były okazją do demonstracji poparcia dla zdelegalizowanej „Solidarności". Pamięć o cenie, którą Warszawa zapłaciła za powstanie, skłoniła bowiem Polaków do pokojowych form oporu wobec dyktatury.

Walka z cenzurą

Sytuacja polityczna w kraju po 1945 r. nie sprzyjała prowadzeniu rzetelnych badań nad powstaniem warszawskim. W kraju, poza wydawnictwami konspiracyjnymi, wychodziły niewielkie opracowania legalne, ukazujące je z pozycji komunistów. Propagandziści tendencyjnie i fałszywie przedstawiali jego dzieje, wypaczając i pomijając fakty. Wiarygodne opracowania ukazywały się na emigracji, gdzie publikowali swoje wspomnienia i opracowania wysocy rangą wojskowi i działacze Polskiego Państwa Podziemnego, w tym główni aktorzy powstania, m.in. dowódca walk powstańczych gen. bryg. Antoni Chruściel „Monter" oraz dowódca Armii Krajowej gen. dyw. Tadeusz Komorowski „Bór".

W kraju, mimo niesprzyjającej sytuacji politycznej, Stanisław Płoski, szef Instytutu Pamięci Narodowej (przekształconego w 1948 r. w Instytut Historii Najnowszej), zorganizował archiwum powstania warszawskiego i badania, prowadzone do czasu zamknięcia Instytutu w 1950 r. Jeden z najbliższych jego współpracowników Adam Borkiewicz, pułkownik AK i uczestnik powstania, zebrał imponujący materiał dokumentacyjny, który stał się podstawą do napisania przez niego pierwszej wojskowej monografii powstania warszawskiego, wydanej dopiero po „odwilży" 1956 r. („Powstanie Warszawskie 1944. Zarys działań natury wojskowej", Warszawa 1957; w 2018 r. Muzeum Powstania Warszawskiego wydało czwartą edycję książki, uzupełnioną o współczesną wiedzę historyczną).

Chwilowe polepszenie sytuacji politycznej nie zmieniło podejścia władzy do powstania. Główny ciężar walki z jego pamięcią spoczął na cenzurze eliminującej wszelkie treści niewygodne, m.in. postawę Armii Czerwonej czy stosunek Stalina do insurekcji.



FOT. AUTOR NIEZNANY

„Pomnik Armii Krajowej", znany jako „Gloria Victis", został odsłonięty 1 sierpnia 1946 r. na Wojskowych Powązkach; od tej pory w każdą rocznicę wybuchu powstania mieszkańcy stolicy oddają tam hołd jego żołnierzom

Prawdziwym przełomem było zorganizowanie się w Polsce w drugiej połowie lat 70. podziemnego ruchu wydawniczego, łamiącego partyjno-państwowy monopol na wiedzę i prawdę. Temat powstania warszawskiego stał się wówczas jednym z najczęściej prezentowanych zagadnień historycznych na łamach prasy i wydawnictw drugoobiegowych.

W latach 80. sytuacja polityczna w kraju wymogła na władzy pewne ustępstwa. Cenzura dopuściła do druku wiele dotąd wstrzymywanych tekstów, wspomnień i opracowań o tematyce powstańczej. Pomimo pewnych ustępstw władzy w obszarze upamiętniania powstania wykładnia ideologiczna pozostała niezmieniona. Niewygodne dla komunistów zagadnienia mogły być poruszane w krajowych drukach oficjalnych dopiero po 1989 r.

Zmagania o pomnik

Istotnym elementem walki o pamięć powstania były zmagania o budowę pomnika, które w sumie trwały blisko pół wieku. Idea jego budowy pojawiła się już bowiem w 1945 r. Ogłoszono wówczas zbiórkę pieniężną i przeprowadzono konkurs na projekt. Równolegle toczyła się debata nad jego formą, nazwą i lokalizacją. Pod koniec 1946 r., pod wpływem nacisków z góry, sprawę wyciszono. Nie na długo jednak. Rok później zawiązał się Komitet Budowy Pomnika, którego honorowymi członkami zostali najwyżsi przedstawiciele władzy komunistycznej – prezydent RP Bolesław Bierut i premier Józef Cyrankiewicz. Komuniści nie zamierzali jednak budować pomnika. Po sfałszowanych wyborach parlamentarnych w 1947 r. i likwidacji legalnej opozycji temat powstania został na kilka lat wyciszony. Dopiero w 1956 r. idea budowy pomnika odżyła i przez kolejne lata toczyła się batalia o jego budowę. Na początku 1981 r. został zarejestrowany Społeczny Komitet Budowy Pomnika Powstania Warszawskiego 1944. W wyniku przeprowadzonego plebiscytu na lokalizację wybrano pl. Krasińskich – miejsce symboliczne dla powstania warszawskiego. Znajdował się tam bowiem główny właz do kanału, którym przeprowadzono ewakuację oddziałów powstańczych z oblężonej Starówki.

Po zniesieniu stanu wojennego komuniści usilnie walczyli o poprawę swojego wizerunku. W przededniu 40. rocznicy wybuchu powstania na pl. Krasińskich, »

eprasa.pl d16ae12b4e



W latach 80. zapadła decyzja o utworzeniu Muzeum Powstania Warszawskiego w zrujnowanym gmachu Banku Polskiego przy ul. Bielańskiej, gdzie w 1994 r. wmurowano akt erekcyjny; projekt ten nie został zrealizowany

FOT. AUTOR NIEZNANY

» w obecności pierwszego sekretarza KC PZPR, gen. Wojciecha Jaruzelskiego, odbyła się uroczystość wmurowania aktu erekcyjnego pomnika Bohaterów Powstania Warszawskiego. Odsłonięcie pomnika nastąpiło jednak dopiero po pierwszych częściowo wolnych wyborach do Sejmu i Senatu w 1989 r. W ostatniej chwili władze umieściły na krytykowanym pomniku nazwę „Powstanie Warszawskie 1944".

Przywracanie pamięci

Olbrzymie przemiany, zwłaszcza w społecznej świadomości, nastąpiły na przełomie lat 70. i 80. Duże znaczenie dla tego procesu miał wybór Polaka, Karola Wojtyły, na papieża w 1978 r. Pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny w czerwcu 1979 r. stała się katalizatorem do powstania rok później „Solidarności". Podczas pamiętnej homilii wygłoszonej na pl. Zwycięstwa Ojciec Święty nawiązał do powstania warszawskiego: „Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, stolicy Polski, która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu".

Rozpoczął się proces, którego komuniści nie byli w stanie już zatrzymać. Społeczeństwo zaczęło otwarcie domagać się prawdy o powstaniu i należytego jego upamiętnienia. W 1982 r. w fabryce Norblina na warszawskiej Woli została otwarta wystawa „Warszawa walczy. 63 dni Powstania Warszawskiego", którą w ciągu trzech miesięcy obejrzało ponad dwa miliony osób. Była ona następnie prezentowana w większych miastach Polski. Powrócono również do idei budowy pomnika. Odżyła też kolejna ważna inicjatywa – powołano Społeczny Komitet Budowy Muzeum Powstania Warszawskiego. Plany te mogły jednak zostać zrealizowane dopiero po 1989 r.

Pamięć o powstaniu żywa była również za granicą, gdzie środowiska polonijne organizowały uroczystości rocznicowe. Warto przypomnieć, że prezydent USA Ronald Reagan proklamował dzień 1 sierpnia 1984 r. Dniem Powstania Warszawskiego. Kilkanaście dni później w Białym Domu najwyżsi rangą przedstawiciele administracji waszyngtońskiej spotkali się z Polonią. Wśród zaproszonych gości był ostatni przedstawiciel struktur cywilnych Polskiego Państwa Podziemnego Stefan Korboński, który wręczył prezydentowi USA Krzyż Armii Krajowej.

Zwycięstwo pamięci

Przełomowym wydarzeniem dla pamięci insurekcji było otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego. Idea jego powstania pojawiła się po wojnie. Powracano do niej jeszcze kilkakrotnie. Toczyły się też dyskusje nad jego lokalizacją. Jeden z pomysłów przewidywał zorganizowanie muzeum w gmachu dawnego Banku Polskiego przy ul. Bielańskiej (tzw. Reduta Bielańska). Spory własnościowe przesądziły jednak o klęsce projektu. Ostatecznie w 59. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego ówczesny prezydent Warszawy Lech Kaczyński podjął decyzję o lokalizacji muzeum w gmachu dawnej Elektrowni Tramwajowej przy ul. Grzybowskiej.

Uroczyste otwarcie Muzeum odbyło się 31 lipca 2004 r. Z kraju i zagranicy przybyło wówczas do Warszawy tysiące powstańców. W tym samym roku uporządkowano usypany po wojnie z gruzów Warszawy kopiec Powstania Warszawskiego przy ul. Bartyckiej, a na jego szczycie, obok ogromnej „kotwicy" – znaku Polski Walczącej, zainaugurowano tradycję rozpalania ogniska płomieniem przyniesionym z Grobu Nieznanego Żołnierza, który płonie przez 63 dni – tyle, ile trwało powstanie.

Choć powstanie warszawskie poniosło militarną klęskę, jego znaczenie jednak znacznie przerosło jedynie wojskowy sens. To dzięki odwoływaniu się do tradycji powstania i etosu Armii Krajowej możliwe było pielęgnowanie myśli o wolności w zniewolonym kraju. Mimo że pamięć o nim była zaciekle zwalczana przez komunistyczną propagandę i cenzurę, pamięć społeczna okazała się silniejsza. Trwającą blisko pół wieku batalię wygrało społeczeństwo.



Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

cprasa.pl d16ae12b4e

„NIEUSTRASZONY ŻOŁNIERZ CZERWONY”

PRZYPADEK SZYMONA HARNAMA

BOHATER NINIEJSZEGO TEKSTU NAPRAWDĘ NAZYWAŁ SIĘ SZAJA CHARNAM, A SPOLSZCZONĄ WERSJĘ SWOJEGO IMIENIA I NAZWISKA – SZYMON HARNAM – ZAWDZIĘCZA ŁÓDZKIM KOMUNISTOM, KTÓRZY PO WOJNIE UZNALI, ŻE JEGO POCHODZENIE NALEŻY Z JAKIEGOŚ POWODU SPOLONIZOWAĆ



JERZY BEDNAREK

Urodził się 22 listopada 1908 r. w Łodzi, w ubogiej żydowskiej rodzinie. Był synem Izraela Dawida i Szajndli (z d. Kaufman). Jego ojciec przez pewien czas był urzędnikiem w przedsiębiorstwie naftowym Standard-Nobel, ale gdy stracił tę pracę, jedynym źródłem utrzymania dla rodziny była nielegalna, chałupnicza produkcja papierosów. Po ukończeniu szkoły powszechnej Charnam pracował w małej fabryce pończoch w Łodzi.

W końcu 1926 r. wstąpił do Związku Młodzieży Komunistycznej (ZMK) – przybudówki Komunistycznej Partii Polski. Znany pod pseudonimem Szajek działał także w łódzkiej komórce Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom (MOPR). W ZMK był szeregowym działaczem, zajmował się m.in. kolportażem prasy komunistycznej, rozrzucaniem ulotek i malowaniem haseł propagandowych.

„Robotniczy uniwersytet”

Wiosną 1927 r. został po raz pierwszy zatrzymany przez Policję Państwową za udział w nielegalnej demonstracji. Kolejne aresztowanie miało miejsce w połowie roku z powodu odśpiewania „Międzynarodówki” w łódzkiej filharmonii. Poważniejsze konsekwencje spowodowały wydarzenia z jesieni 1927 r., gdy Charnam zaangażował się w organizację kampanii protestacyjnej przeciwko unieważnieniu listy komunistycznego Bloku Jedności Robotniczej w wyborach do Rady Miejskiej w Łodzi z 9 października 1927 r. 24 listopada 1927 r. został aresztowany za zakłócenie inauguracyjnego posiedzenia nowo wybranej Rady, gdy wspólnie z innymi demonstrantami próbował wtargnąć do wnętrza gmachu z komunistycznym sztandarem. Prawomocnym wyrokiem Sądu Okręgowego w Łodzi z 19 kwietnia 1928 r. skazano go na dwa lata więzienia z zaliczeniem do wyroku dotychczasowego pobytu w areszcie. Karę odbywał w więzieniach w Łodzi i Piotrkowie Trybunalskim. Według relacji jednego ze współwięźniów: „Był zawsze w pogodnym nastroju. Odznaczał się delikatną, omal dziewczęcą urodą. Dla zabawy owijał niekiedy głowę białym ręcznikiem. Wtedy wyglądał jak dziewczyna, co wywoływało huraganowy śmiech w celi. Z tej racji ktoś obdarzył go przezwiskiem »Zośka«”. Wiadomo, że protestował przeciwko ciężkim warunkom więziennym, brał udział w głodówkach. Towarzyszom z KPP, na pytanie co będzie robił po opuszczeniu więzienia, miał odpowiadać: „Będę głosił robotnikom prawdę”.



Szaja Charnam, lata 20. XX w.

FOT. AAN W WARSZAWIE

„Towarzysz Harnam od kuli padł nam”

Na podstawie amnestii z 22 czerwca 1928 r. wyrok obniżono mu o połowę. »

eprasa.pl d16ae12b4e

» Dzięki temu mógł opuścić więzienie już w końcu listopada 1928 r. Po zaliczeniu „robotniczego uniwersytetu", jak komuniści nazywali odsiadkę w więzieniu, zaangażował się jeszcze intensywniej w działalność antypaństwową. Został m.in. wiceprzewodniczącym sekcji młodzieżowej utworzonego z inspiracji KPP z początkiem października 1929 r. Związku Zawodowego Robotników i Robotnic Przemysłu Włókienniczego i Pokrewnych Zawodów w Łodzi. Dodatkowo


SPORT Dziś 12 stron. HANDEL
Nr. 261. Łódź, Piątek 25 października 1929 r. Rok I
GŁOS PORANNY
DZIENNIK SPOŁECZNY, POLITYCZNY I LITERACKI
Cena 25 groszy
Strzał wywiadowcy policji
ranił śmiertelnie działacza komunistycznego, Charnama
Rewizja w mieszkaniu rannego nie dała żadnych wyników
Zaaresztowanie tajemniczego gościa, który podczas dokonywania rewizji przyszedł do Charnama z wizytą
Sytuacja w Palestynie pogorszyła się
Tajny raport wysokiego komisarza brytyjskiego
Widmo ataku arabów transjordańskich
Żądania ugodowiwy arabskie
Dolores del Rio
„Dzika miłość"
„CASINO"

Pierwsza strona łódzkiego „Głosu Porannego" z 25 października 1929 r.

z ramienia młodzieżówki związku wchodził w skład sekcji pończoszników. Jego specjalnością stały się antypaństwowe przemówienia podczas odbywających się najczęściej przed zakładami pracy tzw. masówek.

Jedna z nich, zorganizowana 24 października 1929 r. pod zakładami bawełnianymi Biedermanna przy ul. Smugowej, skończyła się dla Charnama tragicznie. Jego wystąpienie z okazji 12. rocznicy rewolucji bolszewickiej, w którym chwalił komunizm i Związek Sowiecki, przerwał wysłany na miejsce funkcjonariusz Policji Państwowej. Podczas próby zatrzymania, gdy Charnam starał mu się wyrwać, policjant w trakcie szamotaniny postrzelił go ze swojej broni. Rannego „Szajka" przewieziono natychmiast do szpitala. Jednak następnego dnia – 25 października, Charnam zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Z polecenia władz, które obawiały się rozruchów w mieście, jeszcze w tym samym dniu, późno w nocy odbył się pogrzeb na cmentarzu żydowskim w Łodzi i z udziałem tylko najbliższej rodziny. Łódzcy komuniści próbowali urządzić symboliczny pogrzeb Charnama z pustą trumną, ale policja szybko rozproszyła zgromadzonych, aresztując 18 osób.

Obszerną relację z wypadku przed zakładami Biedermanna zamieścił na swojej pierwszej stronie sympatyzujący z Polską Partią Socjalistyczną łódzki „Głos Poranny". W numerze z 25 października, w artykule zatytułowanym „Strzał wywiadowcy policji ranił śmiertelnie działacza komunistycznego", można było przeczytać m.in.: „Około godz. 4 m. 30 po poł., gdy robotnicy [...] fabryki Biedermanna zaczęli opuszczać mury fabryczne, jakiś młody człowiek przyzwoicie ubrany zaczął do wychodzących robotników wygłaszać przemówienie polityczne. Obecny na miejscu wywiadowca policji politycznej, widząc, iż koło przemawiającego zebrała się grupa robotników, zbliżył się szybko i chciał nieznajomego aresztować. Ten początkowo nie próbował się opierać, lecz potem uderzył kilkakrotnie agenta i usiłował uciec. Agent, widząc, że agitator stawia silny opór, wyjął rewolwer. Po chwili padł strzał, rozległ się jęk i nieznajomy runął na ziemię, zalewając się krwią. [...] Kula rewolwerowa kalibru 7,65 weszła w lewy bok, między 8. a 9. żebrem i wyszła brzuchem. Niebawem policji udało się stwierdzić, że rannym jest 21-letni Szaja Charnam, bezrobotny zamieszkały na ulicy Lipowej nr 12". Podobny opis przebiegu wydarzeń zamieścił na swoich łamach prorządowy „Głos Polski", dodając jeszcze jeden istotny szczegół związany z użyciem broni przez policjanta: „Agent, widząc, iż agitator stawia mu opór – pisano w dzienniku – wyjął rewolwer i zagroził użyciem broni. Agitator usiłował wytrącić rewolwer z rąk agentowi. Podczas szamotania padł strzał, a chwilę potem rozległ się jęk i nieznajomy runął na ziemię [...]".

Krótko po śmierci Charnama swoje stanowisko w ocenie wypadków przed fabryką Biedermanna w oryginalny sposób wyraziło dwóch działaczy łódzkiego Związku Młodzieży Komunistycznej – Liza Namiot i Izaak Traube. Ułożyli poświęconą mu pieśń rewolucyjną. Fragment tego agitacyjnego i pełnego patosu utworu brzmi następująco:

„Pięść się zaciska, gromadzi się gniew – / Znów robotnicza polała się krew: / Towarzysz Harnam od kuli padł nam, / Od faszystowskiej kuli psa, / Nieustraszony żołnierz czerwony, / Nam jego walka przykład da. [...] Dech nam zapiera, a z ócz bije żar, / Każdy swą myślą z Harnamem się zwarł, / Wtem z defensywy szpik obrzydliwy / Podchodzi, mierzy. Słychać huk. / On już się wije, woła: »Niech żyje / Powstanie zbrojne...« padł na bruk [...]".

Sprawa Edmunda Wasiaka

Wywiadowcą, który owego feralnego dnia został wysłany na ul. Smugową, był Edmund Wasiak – przodownik łódzkiej Policji Państwowej, służący w V Brygadzie (politycznej) Wydziału Śledczego Komendy Policji Państwowej m. Łodzi. Konsekwencje swojej interwencji, zakończonej śmiercią Charnama, poniósł dopiero po wojnie, choć już w 1929 r. komuniści mieli wydać na niego wyrok śmierci. 14 grudnia 1953 r. Sąd Wojewódzki dla m. Łodzi skazał go na 15 lat więzienia z pozbawieniem praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze. W uzasadnieniu wyroku w propagandowy sposób tłumaczono, że skazany z premedytacją zastrzelił Charnama, bo szczerze nienawidził komunistów: „Wszyscy świadkowie jednomyślnie zeznają, że oskarżony Wasiak nie tylko nie miał potrzeby użycia broni wobec Harnama lecz, że zabił go powodowany nienawiścią do wszystkiego, co postępowe, nienawiścią do klasy robotniczej i jej najlepszych przedstawicieli – działaczy komunistycznych". Należy dodać, że był to drugi proces Wasiaka przed komunistycznym sądem. Po raz pierwszy został skazany już w 1947 r. na podstawie tzw.

FOT. ZBIORY WBP IM. MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W ŁODZI; IPN W ŁODZI

eprasa.pl d16ae12b4e

sierpniówki (dekret PKWN z 31 sierpnia 1944 r.), za współpracę z państwem niemieckim poprzez służbę w Kripo w latach 1939–1945. Otrzymał wówczas wyrok trzech lat więzienia, został pozbawiony praw publicznych i obywatelskich na dwa lata i przepadek całego mienia.

Wasiak więzienie opuścił w grudniu 1958 r. na podstawie ustawy z dnia 29 maja 1957 r. o warunkowym zwolnieniu osób odbywających karę pozbawienia wolności. Miał wówczas 63 lata. W uzasadnieniu postanowienia wydanego 24 września 1958 r. przez Sąd Wojewódzki w Bydgoszczy zaznaczono: „Skazany odbył ponad połowę kary pozbawienia wolności, jest chory i jak wynika z opinii władz więziennych w okresie odbywania kary zachowywał się on nienagannie, a wobec tego można przewidywać, że po zwolnieniu będzie prowadził uczciwe życie człowieka pracy". Po wyjściu z więzienia mieszkał z rodziną w Łodzi. Zatrudnił się w Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego, w dziale administracyjno-gospodarczym. Nie pogodził się też z poniesioną karą za śmiertelne postrzelenie Charnama. Jeszcze w 1965 r., mając już ponad 70 lat, starał się o rewizję nadzwyczajną wyroku. Prokuratura Generalna po analizie zachowanych akt sądowych załatwiła jego sprawę odmownie.

Życie po śmierci

Po wojnie łódzcy komuniści podejmowali różne działania upamiętniające postać Charnama, mimo że nie był on działaczem robotniczym nawet z drugiego szeregu. Jego śmierć, przypadkowa, ale z rąk funkcjonariusza „sanacyjnej" Policji Państwowej, była wystarczającym pretekstem dla prowadzonej latami nachalnej propagandy o bohaterze i męczenniku – „Towarzyszu Harnamie". Jego szczątki przeniesiono na łódzki cmentarz komunalny na Dołach, gdzie został pochowany w alei zasłużonych. Na jego pomniku, ze spolszczonym imieniem i nazwiskiem (Szymon Harnam), widnieje napis, że został zastrzelony przez „siepaczy sanacji". Jego imię do niedawna nosiła jedna z ulic na łódzkich Bałutach, wytyczona w końcu lat 40. Był też patronem zakładów, przed którymi zginął. Znacjonalizowana po wojnie fabryka Biedermanna aż do 1991 r. nosiła nazwę: „Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Szymona Harnama". Tam, w 1947 r., przy zakładowej świetlicy powstał zespół tańca ludowego o nazwie Harnam. To najstarszy zespół folklorystyczny w Polsce, znany na całym świecie, który w 2000 r. otrzymał tytuł Reprezentacyjnego Zespołu Województwa Łódzkiego. Charnamowi poświęcona została także propagandowa książka wydana w 35. rocznicę jego śmierci i zatytułowana „Strzał przed fabryką Biedermanna". Jej autorem był Wiktor Lemiesz – historyk okupacji niemieckiej i redaktor łódzkiego „Głosu Robotniczego". Podczas pracy nad publikacją skontaktował się z Wasiakiem, ale ten odmówił mu złożenia relacji o wydarzeniach z 24 października 1929 r.



Edmund Wasiak w areszcie MUBP w Łodzi, 1952 r.

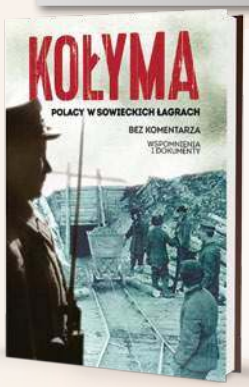
Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

AUTOPROMOCJA

polecamy
WSKLEPIKU.PL

Zajrzyj koniecznie na naszą stronę
WSKLEPIKU.PL

Kołyma. Polacy w sowieckich łagrach
Praca zbiorowa



Książka zawiera w większości nigdy niepublikowane relacje tych, którzy przeżyli piekło sowieckich łagrów. Ze wzruszeniem spisywaliśmy tekst z maszynopisów i odręcznie pisanych świadectw. Publikujemy reprodukcje listów, pamiątek i dokumentów, które pozostały w archiwach. Ci, którzy ocaleli, opowiadają o obozowym życiu na Kołymie, o dramatycznych zajściach, których byli świadkami i ofiarami.

Narodziny Międzymorza
Leszek Moczulski



Praca Leszka Moczulskiego „Powstanie Międzymorza" jest pierwszą tak obszerną analizą historyczną procesów geopolitycznych i geohistorycznych powstawania ojczyzn oraz kształtowania państw tworzących istniejący do dzisiaj system polityczny Międzymorza.

Najtajniejsza broń wywiadu
Sebastian Rybarczyk

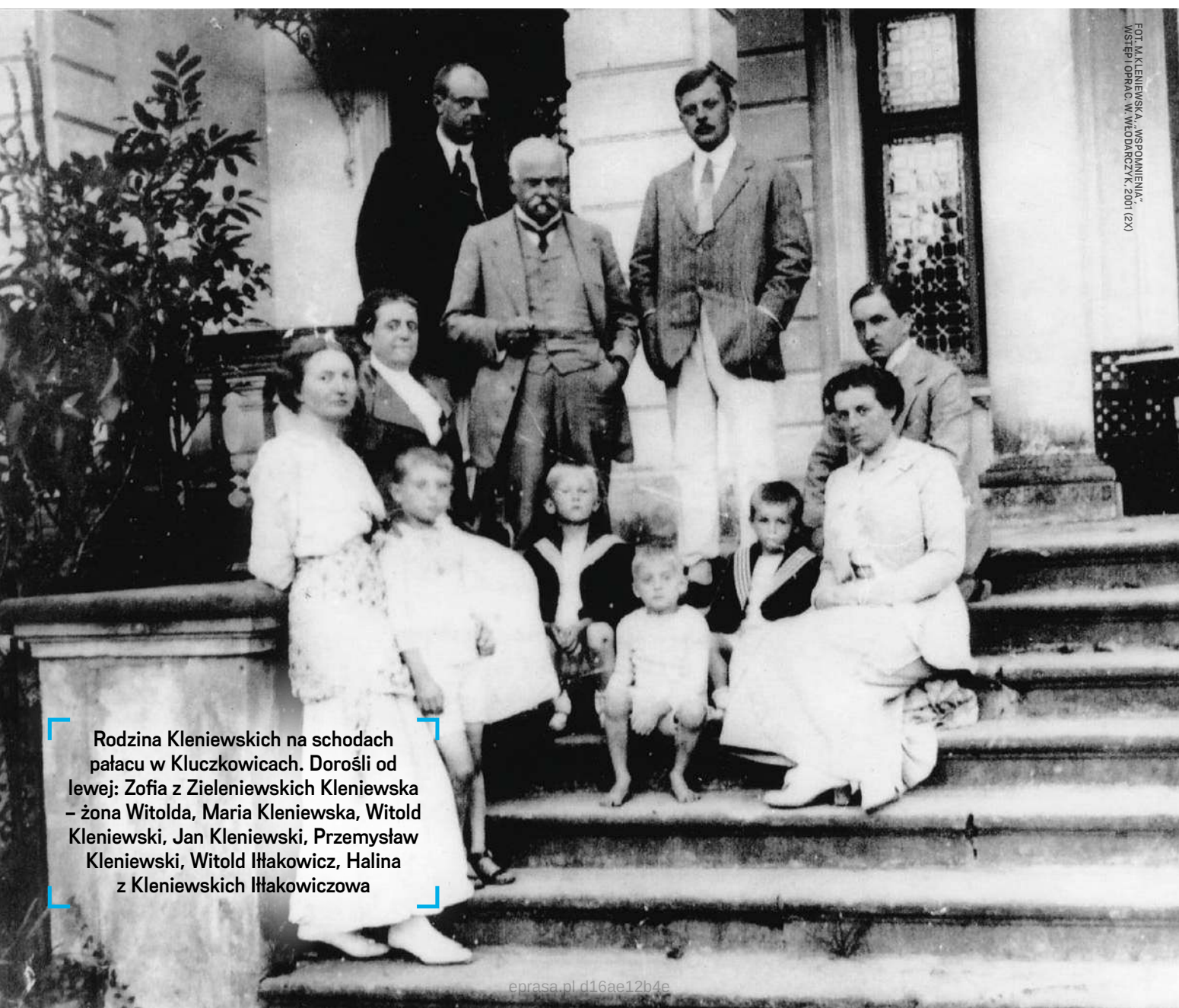


15 opowieści ujawniających sensacyjne wątki historii, o których czytaliście na pierwszych stronach gazet; zdemaskowanie największego kreta w historii CIA – Aldricha Amesa, romantyczne początki kariery Kima Philbiego – najskuteczniejszego szpiega sowieckiego, historia „piątki z Cambridge". Materiał na serial wszech czasów.

Zamówienia można również składać telefonicznie pod numerem: 22 836 54 45

eprasa.pl d16ae12b4e

ZAPOMNIANA Z POKOLENIA NIEPOKORNYCH



FOT. M.KLENIEWSKA „WSPOMNIENIA”, WSTĘP I OPRAC. W. WŁODARCZYK, 2001 (2X)

Rodzina Kleniewskich na schodach pałacu w Kluczkowicach. Dorośli od lewej: Zofia z Zieleniewskich Kleniewska – żona Witolda, Maria Kleniewska, Witold Kleniewski, Jan Kleniewski, Przemysław Kleniewski, Witold Iłłakowicz, Halina z Kleniewskich Iłłakowiczowa

eprasa.pl d16ae12b4e

TA POSTAĆ WIELOWYMIAROWA, WYMYKAJĄCA SIĘ STEREOTYPOM, TRUDNA DO OPATRZENIA JEDNOZNACZNĄ ETYKIETKĄ, BYŁA PRZEZ WIELE LAT SKAZANA NA ZAPOMNIENIE MIMO OGROMNYCH ZASŁUG DLA RUCHU NARODOWEGO, ZAANGAŻOWANIA W DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNĄ I NA RZECZ EMANCYPACJI KOBIET



AGNIESZKA ŁUCZAK

Maria z Jarocińskich Kleniewska (1863–1947) należała do „pokolenia niepokornych" opisanych przez Bohdana Cywińskiego w słynnej książce „Rodowody niepokornych". Jest to opowieść o najważniejszych przedstawicielach tej generacji, którzy doprowadzili ostatecznie do odzyskania przez Polskę niepodległości, ich ideowych wyborach i politycznych tego konsekwencjach. Autor niestety nie wspomina o Kleniewskiej, chociaż wielu prezentowanych tam bohaterów zetknęło się z nią podczas swojej działalności.

Jej sylwetka została pominięta także w „Słowniku biograficznym katolicyzmu społecznego w Polsce", a „Polski Słownik Biograficzny" przedstawia biogramy jedynie męskich przedstawicieli rodu Kleniewskich, w tym zresztą całkiem słusznie jej męża Jana, energicznego ziemianina z Lubelszczyzny. Z otchłani niepamięci wydobył Marię Kleniewską prof. Wojciech Włodarczyk, publikując jej wspomnienia. Dzięki temu rozwijający się obecnie, modny nurt historiografii „herstorycznej" otrzymał barwną postać kobiety aktywnej, której biografię może badać, eksponując przede wszystkim jej działalność na rzecz rozbudowy wielotysięcznej organizacji kobiecej na ziemiach polskich. Dodajmy, że temat zabarwionej konserwatyzmem organizacji ziemianek także nie cieszył się przez wiele lat specjalnym zainteresowaniem badaczy.

Kleniewska nie stanowiła raczej konwencjonalnego typu potulnej żony, choć rodzina była dla niej ogromną wartością. We „Wspomnieniach" relacje z mężem opisała następująco: „[...] prócz miłowania, przyjaźń była podłożem naszego pożycia. Dzieliliśmy się myślami, projektami i daleko idącymi zamiarami. Nieraz godziny całe w wolnych deszczowych chwilach, chodząc pod rękę po dużej sali jadalnej, snuliśmy czasem niezliczalne marzenia. Jeżeli była różnica zdań, poglądów, to załatwiane było w cztery oczy, bez świadków. [...] Niejednokrotnie rzucony przeze mnie projekt znajdował u męża aprobatę [...]."

Również była niekonwencjonalna w życiu publicznym. We „Wspomnieniach" opisuje uroczystość z udziałem Henryka Sienkiewicza w Lublinie w 1910 r., gdy pisarz odczytał swoje opowiadanie: „Podczas bankietu w krótkim przemówieniu omówiłam wpływ jego na polskie kobiety. Mówił on podobno potem, że tyle kraju objechał, a pierwszy raz kobieta do niego przemówiła".



Pałac w Kluczkowicach

Ziemiańskie wartości

Maria pochodziła ze średniozamożnej rodziny szlacheckiej, w której wpojono jej zasadę służby i pomocy innym jako przywileju i obowiązku szlachectwa. W rodzinie panowała patriotyczna atmosfera. Małżeństwo z Janem Kleniewskim (1845–1919) tylko umożliwiło Marii wprowadzenie w czyn wyznawanych zasad. Rodzina Kleniewskich posiadała dobrze prosperujące majątki na Lubelszczyźnie (Kluczkowice, Opole, Kijany, Grudzieniec) oraz udziały w przemyśle Zagłębia Dąbrowskiego, co było chlubnym wyjątkiem w okresie podupadania wielu majątków ziemskich po powstaniu styczniowym i uwłaszczeniu chłopów. Jan Kleniewski na szczęście potrafił się odnaleźć w nowych warunkach, był wzorowym wręcz realizatorem idei pracy organicznej – pracowitym, znającym zasady reguł rynku, posiadającym zmysł organizacyjny. Były to czasy pozytywizmu, kiedy coraz powszechniejsze były praca u podstaw, solidaryzm narodowy, nacisk na oświatę, wychowanie i naukę zawodu szerokich grup społecznych.

Maria Kleniewska zainspirowała się pracami oświatowymi Jadwigi Zamoyskiej w Kuźnicach i Cecylii Plater-Zyberkówny w Chyliczkach, które stworzyły podwaliny nowoczesnej edukacji kobiet. Kleniewska prowadziła działalność w majątku dwutorowo: organizowała zajęcia dla młodzieży wiejskiej, która uczyła się rzemiosła, jednocześnie mając wpajany system patriotycznych i chrześcijańskich wartości, oraz prowadziła specjalne kursy dla córek ziemiańskich połączone ze specjalistyczną nauką o zarządzaniu wielkim gospodarstwem i majątkiem. Słynne kursy dla młodych ziemianek w Kluczkowcach oraz kilkudniowe spotkania były popularne przed I wojną światową, później w okresie »

eprasa.pl d16ae12b4e

» międzywojennym zjazdy młodych ziemianek i arystokratek organizowała Kleniewska w Dratowie.

Kluczkowice – początkiem organizacji ziemianek

Były to także czasy, kiedy kobiety rozpoczęły samoorganizowanie się. To właśnie w Kluczkowicach w 1895 r. z inicjatywy Marii Kleniewskiej powstało pierwsze Koło Pracy Kobiet, które zapoczątkowało istnienie wielotysięcznego zrzeszenia ziemianek – jednej z największych kobiecych organizacji na początku XX w. na ziemiach polskich. Wówczas ruch ten miał jeszcze charakter konspiracyjny, a polegał na tworzeniu kolejnych kół prowadzących w środowisku wiejskim prace oświatowe i gospodarcze z patriotycznym przekazem. Koordynacja działań i wymiana doświadczeń między coraz liczniejszymi kołami odbywały się na corocznych imieninowych spotkaniach w mieszkaniu Kleniewskiej w Warszawie.

12 lat później władze zaboru rosyjskiego zalegalizowały organizację pod nazwą Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemianek. Poza pracą z włościankami aktywne w organizacji ziemianki włączały się w sferę życia społecznego, wyłamując się tym samym z roli „kobiety domowej". Nowością na skalę światową tego stowarzyszenia – według Eweliny Kostrzewskiej – było utworzenie jednej z pierwszych na świecie legalnej kobiecej organizacji o charakterze rolniczym. Dotychczas bowiem kobiety zrzeszały się w celach filantropijnych lub oświatowych. Ważnym celem stowarzyszenia była obrona tradycji, tożsamości narodowej i religii, stąd popularne hasło „Bóg, naród, rodzina". Stąd też spory dystans wobec postulatów radykalnej emancypacji. W organizacji udało się skupić także kobiety ze środowiska chłopskiego, gdyż jednym z celów organizacji było zacieranie różnic między dworem a wsią w imię wspólnych wartości – chrześcijańskich i patriotycznych. W 1914 r. do stowarzyszenia należało 1,6 tys. pań z warstwy ziemiańskiej i ponad 3,5 tys. włościanek.

Kleniewska przekazywała spore kwoty na sfinansowanie wydawnictw stowarzyszenia, nazywała siebie „portmonetką". Inwestowała jednak przede wszystkim w te przedsięwzięcia, które po pewnym czasie mogły same przynosić dochód potrzebującym wsparcia. Natomiast



Sztandar Zjednoczonych Ziemianek z 1907 r.

była niezwykle oszczędna w wydatkach na swoje prywatne potrzeby.

Stowarzyszenie współpracowało też z międzynarodowym ruchem kobiecym, wymieniając doświadczenia z organizacjami kobiet rolniczek w Danii, Niemczech, Czechach, reprezentując jednocześnie Polaków pozbawionych państwa. Co ciekawe, kontakt z czeskimi organizacjami kobiecymi wywołał, wśród konserwatywnych przecież ziemianek, krytyczny stosunek do zbytniej podległości kobiet w relacjach z mężczyznami i Polki nie chciały zaakceptować ograniczenia pola zainteresowania czeskich kobiet wyłącznie do spraw gospodarstwa domowego.

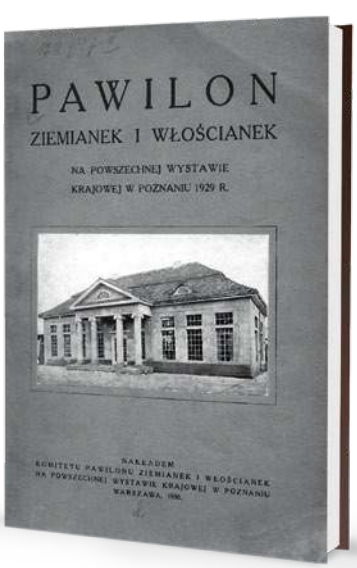
Działalność Kleniewskiej w perspektywie kobiecego ruchu emancypacyjnego była ściśle związana z nurtem myśli Kościoła i Narodowej Demokracji. Jeszcze przed odzyskaniem niepodległości podczas zebrania Kluczkowickiego Kółka Ziemianek w październiku 1918 r. przygotowała wniosek na zjazd ogólnopolski o zrównanie praw wyborczych kobiet i mężczyzn w przyszłej suwerennej Polsce.

Przede wszystkim – chrześcijaństwo

Działalność Kleniewskiej jako organizatorki ruchu kobiet wymyka się stereotypom, gdyż ruch ten kojarzony jest raczej z radykalnymi, antykościelnymi, socjalizującymi prądami przełomu XIX i XX w. Tymczasem hasło stowarzyszenia brzmiało „Z Bogiem i Narodem", a chrześcijaństwo i zaangażowanie w ruch kościelnej odnowy było charakterystyczne dla działań Kleniewskiej. Według prof. Wojciecha Włodarczyka bowiem to nie pozytywizm ukierunkowywał działania Marii Kleniewskiej, lecz głęboka wiara i katolicka myśl społeczna. Koniec XIX w. to czas licznych inicjatyw na rzecz społeczeństwa podejmowanych przez środowiska katolickie, które miały stać się przeciwwagą dla podobnych działań płynących z kręgu ideologii liberalnych czy socjalistycznych. Wykładnię tych działań stanowiła słynna encyklika Ojca Świętego Leona XII „Rerum Novarum" z 1891 r.

Postawa Marii Kleniewskiej wymyka się ukształtowanemu wówczas stereotypowemu podziałowi na Polaka radykała i postępowca oraz Polaka katolika, narodowca i zachowawcy. Związana przez działalność męża i przyjaźń z Wincentym Lutosławskim z Romanem Dmowskim i obozem Narodowej Demokracji, przede wszystkim zaangażowała się jednak w nurt religijnej i kościelnej odnowy, nadając mu specjalny wymiar. Przyjaźniła się z wybitnym kapłanami i hierarchami (m.in. z bł. o. Honoratem i ks. Stefanem Wyszyńskim). Kleniewscy sprowadzili do majątku siostry zakonne, rozpoczynając budowę w 1898 r. kaplicy w Dratowie, a następnie kościoła w Zagłobie z przeznaczeniem dla pracowników cukrowni, którą wybudowali. W późniejszym okresie zwieńczeniem jej społeczno-duchowej działalności było zawiązanie Bractwa Przemienienia Pańskiego w Dratowie.

Jej wizjonerskie, kreślone z rozmachem plany opierały się przede wszystkim na małych społecznościach działających w wymiarze lokalnym. Większość z nich zakończyła się nagle wraz z wybuchem II wojny światowej, a pamięć o nich została na długo zakwalifikowana do tej, której nie należy kultywować.



eprasa.pl d16ae12b4e

MECZE POD SPECJALNĄ OCHRONĄ

FUTBOL ZAWSZE WYZWALAŁ OGROMNE EMOCJE – OD PRZECIĘTNYCH LUDZI AŻ PO RZĄDZĄCYCH KRAJAMI. NIE INACZEJ TEŻ BYŁO W PRL



GRZEGORZ MAJCHRZAK

Na stadionach (czy to podczas spotkań ligowych, pucharowych – krajowych i zagranicznych, czy meczów międzypaństwowych) zdarzały się przypadki nagannego zachowania, włącznie z burdami. Były też spotkania tzw. podwyższonego ryzyka. I nie chodzi tu tylko, co oczywiste, o mecze derbowe, ale również o tzw. spotkania przyjaźni, zwłaszcza ze Związkiem Sowieckim. Pamiętny mecz z 21 maja 1961 r., który Polska niespodziewanie wygrała po bramce Ernsta Pohla, miał też swoje drugie, mniej chwalebne oblicze. Jak później pisano – z oburzeniem – w partyjnych dokumentach: „Pierwsze butelki na boisko rzucone zostały z sektorów, które zajmowali śląscy kibice". Gości ze Wschodu przywitano nader wylewnie, choć nie można powiedzieć, że serdecznie...

Nic zatem dziwnego, że spotkania piłkarskie były zabezpieczane. Głównie – co oczywiste – przez Milicję Obywatelską, ale również – w mniejszym już stopniu – przez Służbę Bezpieczeństwa. Funkcjonariuszy SB interesowały jednak inne zagrożenia niż ich kolegów z MO. Mecze – głównie »

Rewanżowy mecz Widzew Łódź–Juventus Turyn 2:2, Stadion ŁKS, Łódź, 20 kwietnia 1983 r.

FOT. PAP/ANDRZEJ ZBRANIECKI

» międzynarodowe – bywały bowiem wykorzystywane również do celów pozasportowych. Spotkanie Polski i Republiki Federalnej Niemiec z 9 października 1971 r. w Warszawie w ramach eliminacji do mistrzostw Europy stało się pretekstem dla obywateli Niemieckiej Republiki Demokratycznej do spotkania z ich rodzinami zamieszkałymi w RFN. W podobny zresztą sposób mecz ten wykorzystali mieszkańcy Mazur czy Górnego Śląska. Z kolei w przerwie meczu Lechia Gdańsk – Juventus Turyn 28 września 1983 r. została zorganizowana manifestacja na cześć przewodniczącego zdelegalizowanego NSZZ „Solidarność", Lecha Wałęsy.

Zachowało się zaskakująco dużo materiałów dotyczących zabezpieczenia poszczególnych spotkań klubowych, pucharowych i międzynarodowych. W przypadku rozgrywanego w Warszawie 20 czerwca 1968 r. na Stadionie X-lecia spotkania Polska – Brazylia w celu jego zabezpieczenia utworzono specjalny sztab, na czele którego stanął zastępca komendanta stołecznego MO Stanisław Mosur. Sztab ten miał kierować funkcjonariuszami Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, żołnierzami Wojska Polskiego (m.in. Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego), funkcjonariuszami MO (umundurowanymi i operacyjnymi) oraz porządkowymi Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Sportowych (organizatora meczu), którzy mieli brać udział w operacji. Do zabezpieczenia spotkania wykorzystano ponad 6 tys. funkcjonariuszy i żołnierzy.

Spokojnie i grzecznie

Co ciekawe, osobom uczestniczącym w działaniach zalecano spokojne, wręcz zaskakująco delikatne postępowanie: „Wszelkie wystąpienia w stosunku do obywateli powinny być przemyślane oraz przeprowadzane z zachowaniem pełnego spokoju, z odpowiednim taktem, bez denerwowania się, mając ciągle na uwadze, aby samemu nie wywołać jakiegoś niepotrzebnego incydentu". A w przypadku, gdyby interwencja okazała się jednak konieczna, upominano: „Zabrania się używania jakichkolwiek brutalnych metod postępowania, nie mówiąc o biciu pałką"... Oczywiście dopuszczano – w razie konieczności – „rozpraszanie zbiegowiska" przez oddziały zwarte MO. Jednak funkcjonariusze mieli stawiać na perswazję. Ormowcom kontrolującym przed wejściem na stadion bilety i osoby na niego zmierzające w przypadku zaatakowania przez osobę nietrzeźwą nakazywano wręcz: „Osobnika takiego nie należy odpędzać, a prosić, aby wszedł, po czym przekazać go funkcjonariuszowi MO"...

Umundurowanym milicjantom i wywiadowcom w cywilu znajdującym się na stadionie zalecano zwracanie szczególnej uwagi na „ludzi młodych, wchodzących grupowo, o ubiorze, uczesaniu i wyzywającym sposobie bycia", instruując jednocześnie, że „tacy najczęściej są motorem wszelkich wybryków chuligańskich". Funkcjonariusze mieli „przypatrywać się tym ludziom, aby móc ich później ewentualnie rozpoznać, gdyby wybuchła jakaś awantura". Nie było więc mowy o ich zatrzymywaniu czy nawet legitymowaniu. Generalnie interwencja wobec osób zachowujących się niewłaściwie mogła być przeprowadzona „tylko wtedy", kiedy owo zachowanie „groziło zakłóceniem porządku w szerszym zasięgu", i to dopiero „po uzyskaniu zgody dowódcy odcinka".

Te zaskakujące, dla niektórych wręcz szokujące, zalecenia wynikały zapewne z doświadczeń z zabezpieczenia finału Wyścigu Pokoju 24 maja 1968 r., kiedy doszło do regularnej bitwy między widzami a „siłami porządkowymi". Bitwy, która zresztą przez lata obrosła mitami, jako największe i najdłuższe starcie w tym gorącym roku...

Dla Milicji Obywatelskiej największymi zagrożeniami związanymi z meczami międzynarodowymi były „aktywizacja działalności elementu przestępczego" (złodzieje, fałszerze, handlarze obcą walutą) oraz ewentualne zamieszki na stadionach. Przed meczem Polski z Grecją we Wrocławiu 15 maja 1974 r. stwierdzano: „Nie można również wykluczyć ekscesów rozwydrzonych kibiców, tym bardziej że wśród publiczności znajdzie się na pewno liczna grupa greckich uchodźców zamieszkujących w PRL". Nie wiadomo, dlaczego tak obawiano się obecności Greków na stadionie – owszem tworzyli oni na Górnym Śląsku duże skupisko, ale byli na ogół traktowani życzliwie... Bardzo obawiano się również spotkania niemal dekadę późniejszego, gdy 7 września 1983 r. w Krakowie na stadionie Wisły Polska grała towarzysko z Rumunią. Jak stwierdzano dwa dni wcześniej: „Jest prawdopodobieństwo, że po meczu może dojść do awantur i bójek pomiędzy kibicami obu drużyn lub innych prób zakłócenia ładu i porządku w mieście". W tym akurat przypadku obawy wydawały się zdecydowanie bardziej uzasadnione – Rumuni nie byli specjalnie lubianym rywalem, a poza tym po 13 grudnia 1981 r. w Krakowie wielokrotnie dochodziło do manifestacji opozycji. Jednak jak później raportowano: „W trakcie trwania meczu nie zanotowano incydentów, które wymagałyby podejmowania interwencji ze strony milicji. Również po zakończonych zawodach na ulicach miasta Krakowa panował ład i porządek. Z tych też względów nie podejmowano żadnych interwencji".

Legia – Feyenoord

Zabezpieczane były też występy polskich klubów w europejskich pucharach. Tak było np. w przypadku półfinałowego meczu rozgrywek o Puchar Mistrzów Klubowych Europy (dzisiejsza Ligi Mistrzów) Legii Warszawa z Feyenoordem Rotterdam w Warszawie 1 kwietnia 1970 r. Podobnie jak w przypadku meczów reprezentacji, tak i tym razem utworzono specjalny zespół pod kierownictwem Stanisława Mosura. Nadanie tak wysokiej rangi spotkaniu uzasadniono obecnością na nim „osób chronionych" oraz wyjątkową atrakcyjnością spotkania i wysoką („pełną") frekwencją, która wymaga „szczególnego zabezpieczenia".

W działaniach brali udział funkcjonariusze MO, ORMO i ZOMO, słuchacze szkół milicyjnych oraz żołnierze Wojska Polskiego i Wojskowej Służby Wewnętrznej. Na samym stadionie miało się znaleźć ich ponad 2,3 tys. Jeśli do tego dodać jeszcze 200 porządkowych, to wypadał jeden zabezpieczający na 12 widzów, których stadion mieścił 30 tys. Podobnie jak w przypadku meczu Polska – Brazylia funkcjonariuszy pouczano, że obowiązują ich „grzeczność i takt, a szczególnie w czasie przeprowadzania interwencji". Szczególną uwagę miano zwracać zwłaszcza na osoby rzucające w czasie meczu petardy i świece dymne. Interwencje miały być przemyślane i przeprowadzane „w sposób wykluczający możliwość wywołania zbiegowiska", a także natychmiast przerywane „w przypadku nieprzychylnej reakcji ze strony widowni". W pierwszej kolejności nakazywano „łagodną perswazję", a wszystkie wystąpienia funkcjonariuszy miały być „praworządne z zachowaniem pełnego spokoju". W przypadku „wyjątkowo

eprasa.pl d16ae12b4e

agresywnej postawy ze strony zatrzymanego" dla uniknięcia „niepotrzebnego zajścia" milicjanci mieli odstępować od interwencji i wysłać za taką osobą cywilnych wywiadowców, którzy „w najkorzystniejszych [...] warunkach dokonają zatrzymania".

Pewnym novum było nakazanie pracownikom operacyjnym obserwowania obywateli holenderskich „pod kątem ustalenia ich kontaktów z obywatelami PRL", a także – w miarę możliwości – charakteru tych kontaktów. Nie zapominano też o zaleceniu do niedopuszczania do „wrogich okrzyków" oraz „wywołania burd i zamętu", a także „ujawniania i niedopuszczania do kolportażu wrogich lub pacyfistycznych haseł" oraz „wrogich aktów".

OSOBOM UCZESTNICZĄCYM W DZIAŁANIACH ZABEZPIECZAJĄCYCH STADIONY ZALECANO SPOKOJNE, WRĘCZ ZASKAKUJĄCO DELIKATNE POSTĘPOWANIE. FUNKCJONARIUSZE MIELI STAWIAĆ NA PERSWAZJĘ

Wisła – Celtic

Przez milicję były zabezpieczane również inne mecze pucharowe polskich klubów rozgrywane w kraju, np. spotkanie Pucharu UEFA Wisła Kraków – Celtic Glasgow 29 września 1976 r. Jak przewidywano: „Widowisko to wywoła różnego rodzaju emocje wśród widzów, co w konsekwencji może doprowadzić do przypadków zakłóceń porządku publicznego". Obawiano się szczególnie reakcji kibiców (polskich i szkockich) na decyzje arbitra, co mogło skutkować awanturami na stadionie lub w jego okolicach. W związku z tym „szczególnemu zabezpieczeniu" poddano nie tylko stadion Wisły, ale również całą dzielnicę Krowodrza (ze szczególnym uwzględnieniem okolic stadionu), ruch drogowy w Krakowie, dworce PKP i PKS oraz lotnisko w Balicach. Oprócz tego zabezpieczono Nową Hutę, co uzasadniano tym, że krakowski klub miał tam „wielu zwolenników". W tym przypadku novum było „przeprowadzenie rozmowy z przywódcami zorganizowanej grupy kibiców »Wisły« w sprawie kulturalnego zachowania się na meczu i po jego zakończeniu", a także ograniczenie sprzedaży alkoholu w Krakowie-Krowodrzy w dniu spotkania. Krakowska milicja podeszła do tego meczu zresztą nader poważnie, m.in. organizując trzy narady w jego sprawie, w tym jedną z udziałem organizatorów meczu. Ustalono nawet takie szczegóły jak niewpuszczanie na stadion samochodów piłkarzy i ich rodzin. Co ciekawe, w przypadku tego spotkania zamierzano użyć zdecydowanie mniejszych sił niż np. w przypadku zabezpieczenia meczu Legia – Feyenoord, czyli 556 osób (w tym służba porządkowa 200). Mieli oni pilnować porządku i bezpieczeństwa na trybunach (m.in. podejmować „radykalne przeciwdziałanie rzucaniu jakichkolwiek przedmiotów na płytę boiska"). Nadmierny zapał kibiców mieli też studzić umundurowani funkcjonariusze otwarcie filmujący ich zachowanie i robiący zdjęcia, zwłaszcza „grup szczególnie agresywnych". Z kolei w przypadku kibiców szkockich obserwacja – ze strony pracowników operacyjnych – miała być „szczególnie aktywna, lecz zarazem dyskretna". W razie potrzeby „najbardziej agresywni i rażąco zachowujący się" Szkoci mieli być izolowani, podobnie zresztą jak kibice polscy.

Równie pilnie w mniejszych sprawach

Zdecydowanie mniejsze siły i środki przeznaczono do zabezpieczenia spotkań ligowych. Mecz I ligi Wisły Kraków z Motorem Lublin 3 kwietnia 1982 r. „ochraniało" zaledwie 36 funkcjonariuszy (w tym niemal połowa – 16 z Wydziału Ruchu Drogowego), a 13 września 1983 r. spotkanie „Białej Gwiazdy" z Ruchem Chorzów – 49, w tym 8 z WRD. W tym drugim przypadku użycie zwiększonych sił uzasadniano „prawdopodobieństwem, że po meczu może dojść do awantur i bójek pomiędzy kibicami obu drużyn lub prób zakłócenia ładu i porządku w mieście". Zazwyczaj funkcjonariusze nie mieli zbyt wiele pracy, a najwięcej problemu sprawiały im osoby podpite. 22 października 1983 r. podczas meczu Wisła Kraków – Bałtyk Gdynia zatrzymano „dwóch nieletnich, którzy byli w stanie upojenia alkoholowego". Z kolei kilka tygodni później, 12 listopada, kiedy „Biała Gwiazda" podejmowała Motor Lublin, zatrzymano siedem osób – członków „nielicznej grupy", która na jednym z sektorów stadionu „spożywała napoje alkoholowe i wznosiła wrogie okrzyki". Oczywiście nie zawsze tak było, szczególnie w przypadku klubów, których kibice byli bardziej zaangażowani w politykę – oprócz wymienionej wcześniej Lechii Gdańsk, tak było np. w przypadku fanów Śląska Wrocław.

Oczywiście czujni byli również funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, którzy wkraczali w razie potrzeby. Tak było np. po incydencie podczas towarzyskiego spotkania między Rakowem Częstochowa a Iskrą Smoleńsk 6 kwietnia 1987 r. Doszło tam do spalenia sowieckiej flagi. Sprawca – niespełna 18-letni uczeń I klasy zasadniczej szkoły zawodowej w Częstochowie – został zatrzymany na „gorącym uczyn-ku". Zajęły się nim najpierw Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Częstochowie, a następnie Prokuratura Rejonowa w tym samym mieście. Jak potem stwierdzano, początkowo „nie potrafił [on] w sposób logiczny wytłumaczyć swojego postępowania", a później twierdził, że zdenerwował się prowadzeniem gości ze Wschodu i spalił flagę z zemsty. Miał zresztą sporo szczęścia. Został co prawda aresztowany, ale po niespełna pięciu tygodniach (8 maja 1987 r.) prokuratura zdecydowała się na warunkowe umorzenie postępowania, nakazując mu przepracowanie w czynie społecznym 20 godzin. Na taki werdykt wpływ miały: jego postawa w śledztwie, ograniczona poczytalność – był uczniem szkoły specjalnej – oraz dotychczasowa niekaralność i pozytywna opinia środowiskowa, a także – co może dziwić – nieznaczny stopień „społecznego niebezpieczeństwa czynu".

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

eprasa.pl d16ae12b4e

LIBERALIZACJA SYSTEMU KOMUNISTYCZNEGO W POLSCE I ZMIANA TAKTYKI WŁADZ PRL WOBEC WYCHODŹSTWA W POŁOWIE LAT 50. PRZYCZYNIŁY SIĘ DO OŻYWIENIA BEZPOŚREDNICH KONTAKTÓW MIĘDZY EMIGRACJĄ A KRAJEM



KRZYSZTOF TARKA

EMIGRACYJNY BIZNESMEN I GRY WYWIADU PRL

Wyraźnie wzrosła liczba Polaków wypuszczanych na Zachód. Jeśli w całym 1955 r. z Polski do Wielkiej Brytanii prywatnie na pobyt czasowy wyjechało zaledwie 121 osób, to rok później było ich już 1651, a w 1957 r. – 9676 (w następnych latach liczba wyjazdów spadła do 4–5 tys. osób rocznie). Coraz więcej emigrantów odwiedzało też dawno niewidzianą ojczyznę, a niektórzy wracali do Polski na stałe. Wizyty w kraju rządzonym przez komunistów władze emigracyjne nadal uważały jednak za sprzeczne z etosem emigranta politycznego.

Załatwianiem różnych spraw związanych z wyjazdami do kraju czy sprowadzaniem rodzin – od zakupu biletów kolejowych, morskich czy lotniczych począwszy, poprzez rezerwację hoteli, transfer pieniędzy i zakup obcych walut, na ubezpieczeniach bagażu i od wypadków kończąc, zajmowały się powstające na emigracji biura podróży. Według „Polskiego informatora przemysłowo-handlowego" z 1958 r. w Londynie działały zaledwie cztery polskie biura podróży. Dwa lata później było ich już siedem, a w 1963 r. takich firm było aż 13, co świadczy o wzroście zapotrzebowania na tego rodzaju usługi. Do największych należała Fregata Travel Ltd. Tadeusza Kutka. Siedziba firmy mieściła się w centrum Londynu przy 122 Wardour Street.

Tadeusz Kutek (na zdjęciu z żoną) zaangażował się biznesowo w organizację ruchu pasażerskiego z Wielkiej Brytanii i USA do PRL



Podkoloryzowane koleje losu

Tadeusz Kutek urodził się 10 października 1917 r. w Tarnowie. W 1936 r. ukończył renomowane gimnazjum jezuickie w Chyrowie k. Przemyśla (obecnie na Ukrainie). Następnie studiował w Szkole Marynarki Wojennej w Toruniu. Po wybuchu II wojny światowej w niejasnych okolicznościach został aresztowany przez Niemców i wiosną 1940 r. trafił do obozu koncentracyjnego w Dachau. Po oswobodzeniu obozu przez żołnierzy amerykańskich w kwietniu 1945 r. przedostał się do Francji, a następnie do Wielkiej Brytanii. W następnych latach pływał na statkach brytyjskiej marynarki handlowej po Oceanie Indyjskim, Pacyfiku i Morzu Chińskim.

FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

eprasa.pl d16ae12b4e

Kutek był typem gawędziarza, ale niestety z wielkimi skłonnościami do koloryzowania czy wręcz konfabulowania faktów. Po latach przechwalał się, że podczas II wojny światowej służył na niszczycielu ORP „Grom", który na początku maja 1940 r. został zatopiony przez niemieckie lotnictwo w jednym z norweskich fiordów. Kutka mieli wówczas uratować Anglicy. Kilka miesięcy później brytyjski Zarząd Operacji Specjalnych (SOE) wysłał go rzekomo na teren okupowanej Europy, gdzie został aresztowany przez Niemców i trafił do obozu w Dachau (dlaczego nie do oflagu?), skąd rzekomo uciekł w lutym 1945 r. Po wojnie miał brać udział w pracach brytyjskiej komisji przesłuchującej oficerów Kriegsmarine, a w 1948 r. jako tłumacz uczestniczył w przekazaniu Hajfy Izraelowi (znał biegle sześć języków).

Spektakularna kariera

Po zakończeniu służby na morzu w 1955 r. Kutek wraz ze wspólnikami odkupił od dotychczasowych właścicieli zbankrutowane biuro podróży Fregata Travel. W następnych latach, wykorzystując swoje znajomości, doprowadził do rozmów przedstawicieli władz brytyjskich i polskich (krajowych) w sprawie otwarcia połączeń lotniczych między obu państwami. W kwietniu 1958 r. uczestniczył w inauguracyjnym locie z Londynu do Warszawy. Został też pierwszym oficjalnym przedstawicielem Polskich Linii Lotniczych LOT w Wielkiej Brytanii. W latach 70. Fregata Travel wykonywała w sezonie letnim około 100 lotów czarterowych z Wielkiej Brytanii do Polski oraz 30–40 lotów w sezonie zimowym. Jeszcze w latach 60. Kutek zorganizował stałe połączenie kolejowe Londyn–Poznań, a w połowie następnej dekady linię autobusową. Swoje doświadczenie przeniósł na grunt amerykański, gdzie w 1959 r. był współzałożycielem Stowarzyszenia Polsko-Amerykańskich Biur Podróży. Na przełomie lat 70. i 80. zaaranżował pierwsze kontakty między LOT a zakładami koncernu lotniczego Boeing w Seattle. W 1981 r. wygrał konkurs na dyrektora generalnego PLL LOT, stanowiska jednak nie objął. W połowie lat 90. osiadł na stałe w Chicago. Na antenie polonijnego radia wygłaszał cykliczne pogadanki o tematyce historycznej. W 2002 r. został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Zmarł 7 czerwca 2003 r. w Chicago.

Właściciel czy figurant?

Zakupiona przez Kutka spółka Fregata Limited była firmą z przedwojenną tradycją. Założyli ją w 1936 r. we Lwowie młodzi absolwenci Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego. W marcu 1947 r. kilku „fregatowców" reaktywowało firmę w Londynie. W pierwszych latach na emigracji spółka koncentrowała się na działalności usługowej, zajmując się pośrednictwem pracy, wysyłką paczek czy sprzedażą domów. Kilka lat później powstały dwie spółki córki: Fregata Marchants (firma importowa oraz sieć sklepów spożywczych w Londynie) i Fregata Travel (biuro podróży).

Wywiad cywilny PRL podejrzewał, że Kutek, wykupując akcje Fregaty Travel, był tylko figurantem firmującym transakcję. Rzeczywistym właścicielem znacznej części akcji Fregaty miał być gen. Władysław Anders. Tajne służby zainteresowały się spółką w 1956 r., gdy Kutek zjawił się w Konsulacie Generalnym w Londynie. Dyrektor Fregaty zabiegał wówczas o uzyskanie przedstawicielstwa krajowego biura podróży Orbis. W następnym roku Kutek po raz pierwszy wyjechał do Polski w celu sfinalizowania umowy. Od tej pory często przyjeżdżał do kraju. Jego żona i dzieci spędzały z reguły wakacje w Polsce, gdzie mieszkały matka i siostra Kutka (ojciec zmarł w 1960 r.). Uzyskanie przedstawicielstwa Orbisu przyczyniło się do szybkiego rozwoju Fregaty, która z niewielkiej firmy zatrudniającej początkowo trzy osoby, kilka lat później przekształciła się w duże biuro podróży zatrudniające w końcu lat 50. ponad 30 osób. Sam Kutek niemal zmonopolizował miejscowy rynek, zwłaszcza gdy Konsulat Generalny PRL otrzymał polecenie kierowania interesantów do Fregaty jako przedstawiciela Orbisu. Z tego tytułu przez kilka lat dyrektor Fregaty czerpał znaczne korzyści finansowe. Sprzyjały mu wzrost wyjazdów emigrantów do kraju oraz uzyskanie przedstawicielstwa m.in. Orbisu, państwowej firmy turystycznej w PRL.

Tajemnicze relacje z Orbisem i inne kontakty

Do peerelowskiej placówki nad Tamizą (oraz rezydentury wywiadu) docierały jednak coraz częściej informacje o nadużyciach dewizowych i zawyżaniu przez Kutka cen niektórych wycieczek do kraju. W 1961 r. ujawnione zostało wysokie zadłużenie Fregaty wobec Orbisu, sięgające aż 20 tys. funtów. Podczas pobytu w kraju Kutek był nawet dwukrotnie przesłuchiwany w tej sprawie w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej i przez prokuratora. Dyrektor Fregaty odpowiedzialność zrzucał na Orbis, skarżąc się, że nie otrzymał na czas rozliczeń. W rzeczywistości do powstania tak dużego zadłużenia miała się przyczynić namiętność Kutka do hazardu (poker), utrzymywanie deficytowej filii Fregaty w USA, zatrudnienie zbyt dużej liczby osób w londyńskiej centrali spółki oraz pomoc finansowa dla emigracyjnego „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza". Przed groźbą bankructwa Fregatę uratował Orbis, rozkładając zadłużenie na bardzo dogodne raty oraz przedłużając przedstawicielstwo. Postępowanie Orbisu zaskakiwało pracowników konsulatu i Biuro Radcy Handlowego w Londynie. Poparcie Kutek zdobyć miał drogimi prezentami dla pracowników Orbisu (mówiono o złotych zegarkach). W ocenie wywiadu PRL „Kutek nie jest poważnym i uczciwym partnerem handlowym, a kontynuowanie z nim umowy – wbrew zdrowemu rozsądkowi – wskazuje, że istotnie musi on posiadać w kraju b[ardzo] wpływowych protektorów".

Ruchliwy i rzutki biznesmen szukał różnych źródeł zarobku. Do wywiadu PRL dotarły pogłoski, że Kutek był pośrednikiem pomiędzy LOT a brytyjskim producentem samolotów Vickers. Na początku 1961 r. przyjechał też do Polski jako przedstawiciel na Europę Wschodnią brytyjskich firm samochodowych Jaguar i Rover. Dwa lata później Kutek miał być źródłem przecieku do emigracyjnej prasy na temat zakupu najnowszego modelu Jaguara przez premiera PRL Józefa Cyrankiewicza. Od krajowej agentury pochodziła wiadomość, że Cyrankiewicz zaprosił Kutka na przyjęcie w pałacyku Rady Ministrów w Natolinie. Dyrektor Fregaty chwalił się przejażdżką nowym jaguarem z premierem PRL.

Handlowiec czy działacz?

Właściciel Fregaty nie prowadził działalności politycznej. Nie należał też do żadnego ugrupowania na emigracji. Podkreślał, że był jedynie członkiem Polskiego Klubu Motorowego w Londynie. Jednak w ocenie wywiadu Kutek tylko kreował się na „lojalnego handlowca" i pioniera poprawnych stosunków emigracja–kraj. »

eprasa.pl d16ae12b4e

» W rzeczywistości miał być zwolennikiem „niezłomnych” i popierał Andersa. Miał się nawet przechwalać, że generał prosił go o pomoc finansową dla londyńskiego „Dziennika Polskiego”. Powodzenie w interesach rzekomo było źródłem ambicji politycznych Kutka, który chciał być poważany w tej dziedzinie. W towarzyskich rozmowach twierdził, że jest nie tylko handlowcem, ale także osobą, która będzie miała dużo do powiedzenia w sferze politycznej. W 1959 r., w szczytowym okresie powodzenia Fregaty, Kutek miał twierdzić w rozmowie ze znajomym, a ten doniósł o tym wywiadowi, że „trzeba robić wszystko, aby na komunistach zarabiać jak najwięcej, z drugiej zaś strony trzeba ich zwalczać, gdzie się tylko da. Mogą to robić ludzie tak inteligentni jak ja, który w oczach Orbisu i ambasady uchodzi za przyjaciela Polski”.

W tym czasie Kutek nosił się z zamiarem wydawania własnego pisma. W tej sprawie prowadził nawet zaawansowane rozmowy z działaczami Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja”. Jesienią 1958 r., podczas pobytu w kraju, zabiegał w MSZ o uzyskanie serwisu krajowego PAP i serwisu fotograficznego CAF. Wcześniej na ten temat rozmawiał z dyrektorem Polskiej Agencji Prasowej. Nowy emigracyjny tygodnik ilustrowany miał być finansowany przez prywatnych sponsorów. Na redaktora naczelnego przewidywano Bolesława Świderskiego, znanego emigracyjnego wydawcę i właściciela księgarni w Domu Kombatanta w Londynie, równocześnie współpracownika peerelowskiego wywiadu. Pismo miało mieć objętość 12 stron i nakład 15 tys. egzemplarzy, a redakcja miała się opowiadać za zacieśnieniem stosunków między emigracją a krajem. Gdy przygotowania do wydania pierwszego numeru były już zaawansowane, Kutek nieoczekiwanie wycofał się z tego pomysłu. W rezultacie projekt nie został zrealizowany. Pojawiły się nawet pogłoski, że Kutek w tym wypadku działał z polecenia Andersa jako prowokator, który miał skłócić opozycję w Tymczasowej Radzie Jedności Narodowej i rozpoznać jej zamiary.

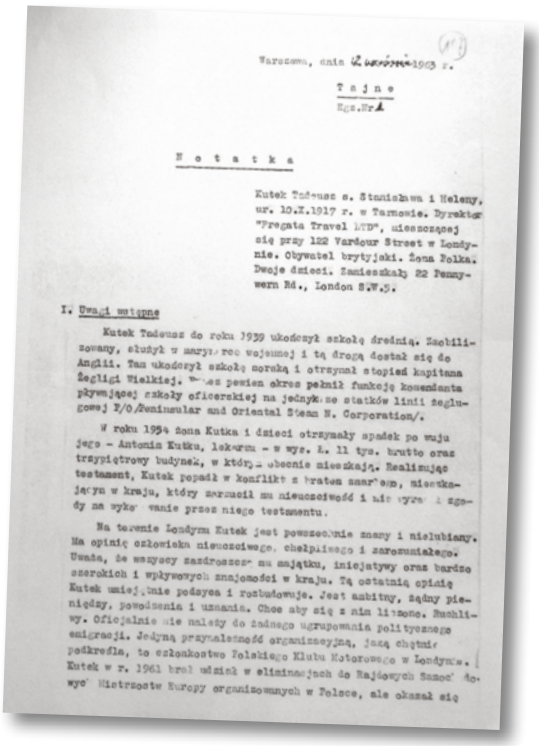
Dyrektor Fregaty często miał się też przechwalać, że w Polsce jest w stanie wszystko załatwić, gdyż ma w kieszeni wielu działaczy komunistycznych oraz wyższych rangą urzędników ministerialnych. Wywiad przyznał, iż nie były to tylko czcze przechwałki, a Kutek rzeczywiście miał w kraju poparcie osób wpływowych, choć nigdy nie ujawniał ich nazwisk. Miało o tym świadczyć to, że gdy w sierpniu 1960 r. Kutek wystąpił o wizę wielokrotną, a konsulat odmówił mu jej udzielenia, to wówczas korespondencyjnie lub telefonicznie załatwił tę sprawę w Warszawie. W rezultacie MSZ przysłało polecenie wydania Kutkowi takiej wizy. Taka sytuacja utrudniała tajnym służbom działalność operacyjną wobec dyrektora Fregaty, który bez ograniczeń mógł przyjeżdżać do kraju. Londyńska rezydentura wywiadu żaliła się również na lekceważący stosunek Fregaty do Konsulatu Generalnego nad Tamizą. Podejrzewano nawet, że Kutek pracował dla kontrwywiadu brytyjskiego.

Kutek w rozpracowaniu

W styczniu 1959 r., podczas pobytu Kutka w Warszawie, funkcjonariusz wywiadu przeprowadził z nim rozmowę informacyjną na temat sytuacji na emigracji. Dyrektor Fregaty uprzejmie przyjął pracownika MSW i wyraził gotowość przekazania swej opinii. W następnych miesiącach odbyły się jeszcze dwie rozmowy (ostatnia w sierpniu 1960 r.). W ocenie wywiadu nie wniosły one jednak niczego konkretnego. Informacje przekazane przez Kutka nie wychodziły poza londyńskie ploteczki i wiadomości gazetowe.

Dyrektorowi Fregaty tajne służby wystawiały zdecydowanie negatywną opinię. W notatce z 1963 r. pisano: „Na terenie Londynu Kutek jest powszechnie znany i nielubiany. Ma opinię człowieka nieuczciwego, chełpliwego i zarozumiałego. Uważa, że wszyscy zazdroszczą mu majątku, inicjatywy oraz bardzo szerokich i wpływowych znajomości w kraju. Tę ostatnią opinię Kutek umiejętnie podsyca i rozbudowuje. Jest ambitny, żądny pieniędzy, powodzenia i uznania. Chce, aby się z nim liczono”.

We wnioskach dla kierownictwa wywiadu podkreślono: „Nie możemy tolerować dotychczasowych stosunków Fregata–Orbis i roli Kutka”. Planowano przystąpienie do „aktywnego rozpracowania” emigracyjnego biznesmena. W porozumieniu z Departamentem II (kontrwywiad) i III (społeczno-polityczny) miano ustalić i sprawdzić wszystkie krajowe kontakty Kutka oraz spowodować rozwiązanie umów z Fregatą przez Orbis i Bank PKO. Na podstawie uzyskanych



Warszawa, dnia 12 września 1963 r.

Tajne
Egz.Nr 1

N o t a t k a

Kutek Tadeusz s. Stanisława i Heleny, ur. 10.X.1917 r. w Tarnowie. Dyrektor "Fregata Travel LTD", mieszczącej się przy 122 Vardour Street w Londynie. Obywatel brytyjski. Żona Polka. Dwoje dzieci. Zamieszkały 22 Pennywern Rd., London S.W.5.

I. Uwagi wstępne

Kutek Tadeusz do roku 1939 ukończył szkołę średnią. Zmobilizowany, służył w marynarce wojennej i tą drogą dostał się do Anglii. Tam ukończył szkołę morską i otrzymał stopień kapitana Żeglugi Wielkiej. W czasie pewien okres pełnił funkcję komendanta pływającej szkoły oficerskiej na jednym ze statków linii żeglugowej P/O/Peninsular and Oriental Steam N. Corporation/.

W roku 1954 żona Kutka i dzieci otrzymały spadek po wuju jego - Antonim Kutku, lekarzu - w wys. k. 11 tys. brutto oraz trzypiętrowy budynek, w którym obecnie mieszkają. Realizując testament, Kutek popadł w konflikt z bratem swoim, mieszkającym w kraju, który zarzucił mu nieuczciwość i nie wyraził zgody na wykonanie przez niego testamentu.

Na terenie Londynu Kutek jest powszechnie znany i nielubiany. Ma opinię człowieka nieuczciwego, chełpliwego i zarozumiałego. Uważa, że wszyscy zazdroszczą mu majątku, inicjatywy oraz bardzo szerokich i wpływowych znajomości w kraju. Tę ostatnią opinię Kutek umiejętnie podsyca i rozbudowuje. Jest ambitny, żądny pieniędzy, powodzenia i uznania. Chce aby się z nim liczono. Ruchliwy. Oficjalnie nie należy do żadnego ugrupowania politycznego emigracji. Jedyną przynależność organizacyjną, jaką chętnie podkreśla, to członkostwo Polskiego Klubu Motorowego w Londynie. Kutek w r. 1961 brał udział w eliminacjach do Najlepszych Samochodowych Mistrzostw Europy organizowanych w Polsce, ale okazał się

Notatka wywiadu PRL na temat Tadeusza Kutka z 12 września 1963 r.: „Na terenie Londynu Kutek jest powszechnie znany i nielubiany”

danych zamierzano opracować plan rozmowy z dyrektorem Fregaty w celu jego werbunku lub zdemaskowania go jako „człowieka wrogiego i dwulicowego”.

Już kilka miesięcy wcześniej, w lutym 1963 r., oficer wywiadu ppor. Tadeusz Osmulski, rozpatrzywszy materiały dotyczące Kutka, przygotował formalne postanowienie o założeniu sprawy ewidencyjno-obserwacyjnej o kryptonimie „Kuter”. Jednak trzy lata później ze względu na „nieuczciwą postawę” Kutka podczas sondażowych rozmów na terenie kraju wywiad zerwał z nim kontakt. W listopadzie 1966 r. mjr Stefan Serbin przygotował postanowienie o zaniechaniu dalszego prowadzenia sprawy „Kuter” i przekazaniu materiałów do archiwum Departamentu I. W uzasadnieniu oficer wywiadu stwierdził, że Kutek to „wróg PRL”: „Jego kontakty z naszymi placówkami – dodał – wypływają z potrzeb firmy [Fregata]. Zainteresowanie »Kutra« koncentruje się w kraju i tu rozbudowuje [on] swoje kontakty”. Ponieważ rozpracowaniem emigracyjnego biznesmena zajmował się równocześnie kontrwywiad, mjr Serbin nie widział potrzeby dublowania sprawy. Ostatecznie z planów zwerbowania Kutka nic więc nie wyszło, a on sam okazał się sprytniejszy niż funkcjonariusze komunistycznego wywiadu.

eprasa.pl d16ae12b4e

ŚWIĘTA JADWIGA, KRÓL POLSKI

MŁODA WŁADCZYNI, CHOĆ OBJĘŁA TRON W WIEKU 11 LAT, SZYBKO ZROZUMIAŁA ISTOTĘ RACJI STANU PAŃSTWA I ZADANIA MONARCHY



MAREK BARAŃSKI

Rodzicami Jadwigi byli król Węgier Ludwik andegaweński i Elżbieta Bośniaczka, królewna przyszła na świat w końcu 1373 r. lub na początku 1374 r. Była najmłodszym dzieckiem pary królewskiej, jej starsze siostry to Katarzyna urodzona w 1370 r. i Maria urodzona w 1371 r. Jeszcze w momencie narodzin Jadwigi nie było wiadomo, czy któraś z córek Ludwika zasiądzie na polskim tronie, gdyż układ polsko-węgierski przewidywał następstwo tylko dla synów króla. Dopiero w 1374 r., po wydaniu przywileju koszyckiego, Polacy zgodzili się, aby tron mogła dziedziczyć jego córka. Początkowo miała to być najstarsza Katarzyna, jednak zmarła ona już w 1378 r. Po jej śmierci przyszłą władczynię Polski zaczęto widzieć w Marii. Ludwik Andegaweński zaręczył Marię z Zygmuntem Luksemburskim, w owym czasie margrabią brandenburskim. Jadwiga natomiast została zaręczona z Wilhelmem Habsburgiem. Mariaże te pozwalały Ludwikowi zawrzeć sojusze z Luksemburgami i Habsburgami.

Król Ludwik zmarł w 1382 r. Na wieść o jego śmierci zwołany został w Polsce zjazd do Radomska. Zebrana na nim szlachta potwierdziła chęć uznania córki Ludwika za swoją władczynię, nie zgadzała się jednak, aby była nią Maria. Marię wybrali na królową Węgrzy, Polacy chcieli mieć własnego króla. Zgodzili się, aby nim została Jadwiga. Jednak mała księżniczka nie mogła na razie przybyć do Polski, gdyż sytuacja się skomplikowała. Popierali ją zdecydowanie panowie krakowscy, natomiast Wielkopolanie opowiadali się raczej za kandydaturą Siemowita IV księcia mazowieckiego. Ponadto w Wielkopolsce wybuchła wojna domowa i matka Jadwigi obawiała się wysłać swą córkę do niespokojnego kraju. Zapewne też trudno się jej było rozstać z dziewięcioletnią córką.

Stronnicy Siemowita IV pragnęli doprowadzić do małżeństwa księcia mazowieckiego z Jadwigą. Gdy mała królewna miała jechać do Polski, planowali nawet jej porwanie i ślub z Siemowitem. Choć plan ten się nie udał, spowodował ponowne opóźnienie. W końcu jednak w październiku 1384 r. Jadwiga przybyła na Wawel i natychmiast została koronowana na króla Polski. Na króla, a nie na królową, inny był ceremoniał koronacji króla, a inny królowej, żony monarchy.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Zaraz też palący stał się problem jej małżeństwa. Była już zaręczona z Wilhelmem, jednak związany z tym sojusz z Habsburgami nikomu w Polsce nie odpowiadał. Wobec klęski militarnej księcia mazowieckiego nieaktualny był też mariaż z Siemowitem. Zamiast tego nadający ton polskiej polityce panowie małopolscy zaczęli dążyć do wydania Jadwigi za mąż za wielkiego księcia litewskiego Jagiełłę. Związek Polski z Litwą zabezpieczyłby polskie interesy na Rusi, byłby też korzystny w spodziewanym konflikcie z zakonem krzyżackim. Jednak aby do tego małżeństwa doszło, konieczna była zgoda Jadwigi. Wprawdzie była bardzo młoda, ale była królem.

Jadwiga miała dopiero 11 lat, w tym wieku panienki marzą o wspaniałym księciu, a takim był Wilhelm. Tymczasem Jagiełło wydawał się pogańskim barbarzyńcą. Jednak Jadwiga wiedziała, że wychodząc za mąż za litewskiego władcę, może doprowadzić do nawrócenia Litwinów. Była już na tyle dojrzała, że zdawała sobie sprawę z ważności zadania, jakie przed nią stawało. I zadecydowała – porzuciła swoje marzenia, zgadzając się na małżeństwo z Jagiełłą!

Jednak Wilhelm nie rezygnował. Przyjechał do Krakowa i dążył do dopełnienia małżeństwa z Jadwigą. Nie został jednak wpuszczony na Wawel i musiał powrócić do Wiednia.

W 1385 r. została podpisana unia w Krewie, potem Jagiełło przybył do Krakowa. W Krakowie przyjął chrzest, po nim nastąpiły ślub z Jadwigą i koronacja litewskiego księcia na polskiego króla.

Po ślubie z Jagiełłą Jadwiga nie przestała pełnić swych królewskich funkcji. W 1387 r. wyruszyła na czele wojsk na Ruś Czerwoną, przywracając ją Koronie Polskiej, a w 1397 r. spotkała się w Inowrocławiu z mistrzem krzyżackim Konradem von Jungingenem, podejmując negocjacje w sprawie odzyskania ziemi dobrzyńskiej.

Jadwiga zmarła w 1399 r. po urodzeniu córki, która żyła zaledwie trzy tygodnie. Przed śmiercią królowa wszystko, co miała, przekazała Akademii Krakowskiej. W ciągu swego życia fundowała też kościoły, szpitale, uposażała klasztory.

W 1979 r. Jan Paweł II dokonał beatyfikacji Jadwigi, w 1997 r. została ona kanonizowana.

WIĄZANIE HISTORII

Kiedy to się zaczęło?



PAWEŁ KOWAL

11 listopada 1918 r. Polska odzyskała niepodległość. Niby to proste. Ale mało kto pamięta, że datę tę jako Święto Niepodległości przyjęto dopiero oficjalną ustawą w 1937 r. W tle był kult Józefa Piłsudskiego, wówczas już oficjalnie popierany przez instytucje państwowe. Zapewne niejeden z tych, którzy pamiętali odzyskanie niepodległości, uważał, że można by przyjąć jako „początek wszystkiego" jakąś inną datę.

A kiedy odzyskaliśmy niepodległość po upadku komunizmu? Tylko w 1989 r. można wskazać kilka dat: początek i koniec obrad okrągłego stołu, wybory 4 czerwca, powstanie rządu Tadeusza Mazowieckiego 12 września, przywrócenie historycznej nazwy państwa i pierwsze zmiany w Konstytucji, w tym wycofanie z niej zapisu o sojuszu z ZSRS; wszystko to działo się 29 grudnia. W 1990 r. najbardziej symboliczne było przekazanie przez prezydenta RP na Uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego insygniów legalnej władzy państwowej w Polsce, które okres komunizmu przetrwały na emigracji, wywiezione w 1939 r. z ogarniętego wojną kraju. W 1991 r. datą symboliczną przejścia mógłby być dzień pierwszych wolnych wyborów w październiku. Każda z potencjalnych dat początkowych III RP, jak w II Rzeczypospolitej, ma swoich zwolenników i ma przeciwników. Lewica byłaby oczywiście rada, gdyby wszyscy włączyli się w świętowanie obrad okrągłego stołu. Dla zwolenników prawicy może najlepsza byłaby data wyborów 1991 r., bo w ich wyniku powstał gabinet Jana Olszewskiego. „Spotkanie" w tej sprawie nastąpiło widać gdzieś „w połowie drogi". Po latach wygląda, że najbliżej zwycięstwa w konkursie „kiedy zaczęła się niepodległość?" jest 4 czerwca 1989 r. Świętowanie tej rocznicy bardzo wspierał Lech Kaczyński, czerwcowa data nie jest zbyt późna (przyjęcie daty z końca 1991 r. sprawiłoby, że trudno byłoby ciągnąć opowieść o tym, że w Polsce wszystko się zaczęło). Wreszcie najważniejsze: 4 czerwca jest „ludowy". Przekaz tego dnia jest prosty: zdecydował naród.

Czy zatem 10 listopada 1918 r. Polska była zniewolona, a następnego dnia niepodległa? Czy 3 czerwca 1989 była pod sowieckim butem, a dzień później suwerenna? Czy nie nazbyt przejmujemy się datami, które tylko utrudniają zrozumienie procesów? Zmiana systemu to zawsze proces. Zbiorowe emocje ludzi potrzebują symbolu, znalezienia tego jednego dnia; rozum zaś domaga się myśleć o procesie, który prowadzi do celu, którego w stu procentach nie da się nigdy osiągnąć.

POLSKIM OKIEM

„Wiosny Ludów" nie było, ale...



RYSZARD CZARNECKI

Triumfalnie zapowiadanej „Wiosny Ludów", czyli wielkiego zwycięstwa w wyborach europejskich zwolenników Europy Ojczyzn, Europy Narodów, nie było. Wyraźnie wzrosła liczba eurorealistów, eurosceptyków i euronegatywistów, ale w parlamencie w Brukseli i w Strasburgu wciąż większość stanowić będzie euroentuzjastyczny mainstream.

Dwie największe frakcje w PE, tzw. chadecy (ze starą poczciwą Chrześcijańską Demokracją obecni mają tyle wspólnego, co kot napłakał) oraz socjaliści ponieśli kolosalne straty, tracąc aż po 25 proc. szabel. Jeszcze większy łomot dostali postkomuniści połączeni w jednej grupie politycznej z nordycką lewicą: ich regres wyniósł niemal 50 proc. Największymi wygranymi okazali się inni zwolennicy federalnego europejskiego superpaństwa, czyli liberałowie i Zieloni. Po stronie eurorealistycznej i eurosceptycznej największy triumf odniosły: PiS w Polsce, Fidesz na Węgrzech, Lega we Włoszech oraz partia Brexit Nigela Farage'a.

Wynik PiS wywarł w Brukseli wielkie wrażenie. Większe niż spektakularny sukces partii Orbána. Może dlatego, że Orbán już przyzwyczaił Brukselę do swoich wiktorii, a PiS, które dostało 45 proc., dopiero Unię do tego przyzwyczaja.

Skądinąd ten właśnie wynik jest absolutnym rekordem w skali polskich wyborów, nie tylko do PE. Pomijając czasy komuny, żadna partia w ostatnich stu latach – ani Narodowa Demokracja w 1919 i 1922, ani SLD w 1993 i 2001, ani PO między 2007 a 2014 – nie miała tak gigantycznego poparcia.

Wybory do PE w każdym kraju członkowskim Unii są w dużej mierze plebiscytem „za" i „przeciw" rządowi. W Polsce formacja rządząca zdała egzamin śpiewająco, w przeciwieństwie do liberałów rządzących Holandią czy Francją. W Niemczech pyrrusową wiktorię odniosła chadecja, ale faktycznym zwycięzcą zostali Zieloni.

Nowy europarlament rusza 2 lipca, ale stanowisko jego szefa znajdzie się na negocjacyjnym stole wraz z czterema innymi kluczowymi stanowiskami w Unii: przewodniczących KE i Rady Europejskiej, wiceszefa KE odpowiedzialnego za politykę zagraniczną i bezpieczeństwa oraz szefa Europejskiego Banku Centralnego.

„Wiosny Ludów" nie było, ale marsz zwolenników Europy Ojczyzn przez instytucje unijne (kłania się tow. Gramsci...) trwa. A za pięć lat...

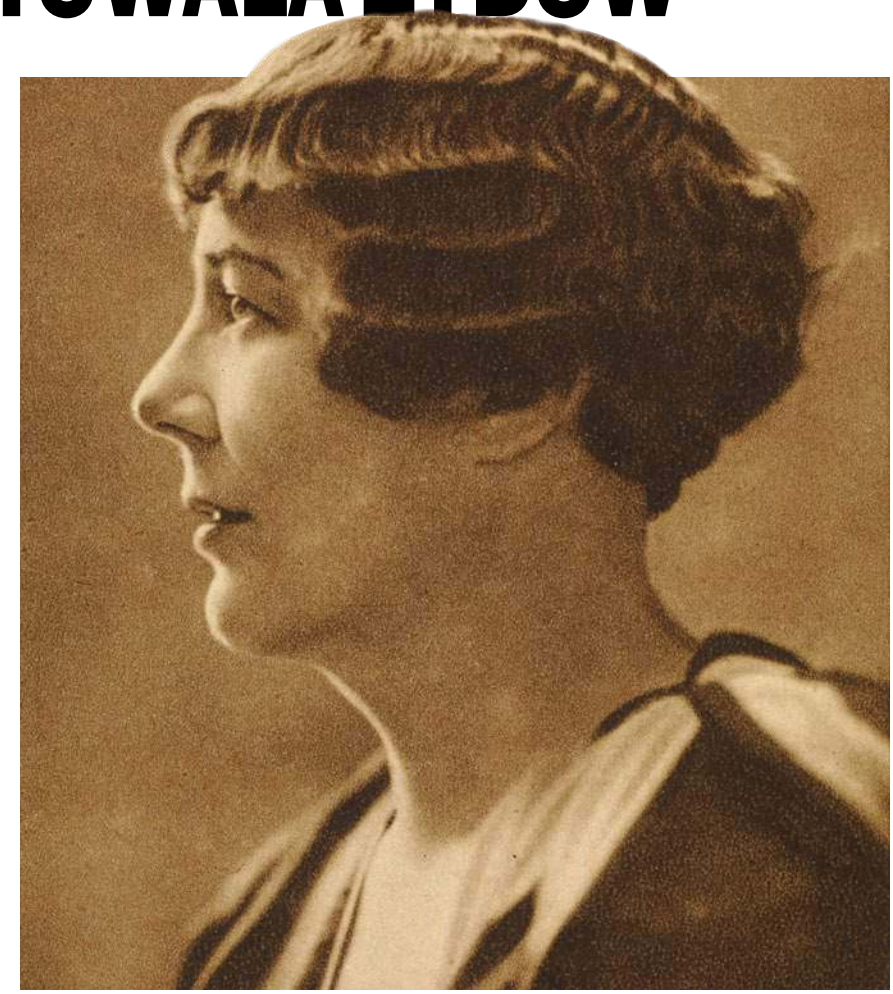
eprasa.pl d16ae12b4e

ZOFIA KOSSAK
KATOLICKA PISARKA, KTÓRA RATOWAŁA ŻYDÓW

JEJ ŻYCIE BYŁO PRZEPEŁNIONE GŁĘBOKĄ WIARĄ ORAZ PATRIOTYZMEM. ZOFIA KOSSAK TO POSTAĆ ZASŁUGUJĄCA NA PRZYPOMNIENIE I NAŚLADOWANIE, ZWŁASZCZA PRZEZ MŁODE POKOLENIE SZUKAJĄCE DLA SIEBIE WZORCÓW



ARKADIUSZ MELLER



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Zofia Kossak-Szczucka-Szatkowska to postać wyjątkowa w polskiej historii oraz kulturze. Obecnie wydaje się niesłusznie zapomniana.

Zofia Kossak urodziła się w nietuzinkowej rodzinie, gdyż w niesłychanie zasłużonej dla polskiej kultury rodzinie Kossaków. Któż nie zna takich obrazów jak „Lisowczyk na białym koniu", „Bitwa pod Raszynem" czy „Portret księcia Józefa na koniu"? Obrazy te na równi z dziełami Jana Matejki, Jacka Malczewskiego czy Stanisława Wyspiańskiego są polskim dziedzictwem kulturowym, które od pokoleń tworzy zbiorową tożsamość. Autorem wyżej wymienionych obrazów był Juliusz Kossak – dziadek Zofii. Jej ojcem był Tadeusz Kossak – brat bliźniak najbardziej utalentowanego i znanego z rodu Kossaków – Wojciecha (współautora wraz z Janem Styką „Bitwy pod Racławicami"). Kuzynkami Zofii były znane poetki: Magdalena Samozwaniec i Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, z którymi z powodów charakterologicznych i odmiennych zainteresowań już od lat młodzieńczych nie utrzymywała zażyłych kontaktów.

Rewolucyjne przeżycia

Początkowo Zofia wychowywała się na Lubelszczyźnie, a następnie na Wołyniu, który odegra w jej życiu niezwykle ważną rolę, o czym za chwilę...

W okresie swojej młodości nauki pobierała w domu. W pewnym momencie chciała podążyć za tradycjami rodzinnymi i w latach 1912–1913 studiowała malarstwo w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie. Jednak to nie malarstwo stało się jej pasją życiową. W 1915 r. wyszła za »

eprasa.pl d16ae12b4e

» mąż za Stefana Szczuckiego, z którym zamieszkała na Wołyniu. Tam była świadkiem okrucieństw towarzyszących rewolucji bolszewickiej, która wybuchła w 1917 r. Niezwykle trafne obserwacje zawarła w swoim debiucie literackim, powieści zatytułowanej „Pożoga", która ujrzała światło dzienne w 1922 r. Warto zaznaczyć, że praca ta spotkała się z ogromnym zainteresowaniem nie tylko w Polsce, ale i poza jej granicami. Wystarczy tylko wspomnieć, że powieść przetłumaczono na takie języki jak węgierski czy japoński...

Rok po literackim debiucie nastąpiła w jej życiu pierwsza tragedia, jaką była śmierć męża. Po tym traumatycznym wydarzeniu przeniosła się na Śląsk Cieszyński, a konkretnie do niewielkiej miejscowości – Górki Wielkie, gdzie będzie mieszkała aż do wybuchu II wojny światowej. W 1925 r. ponownie wyszła za mąż, tym razem za oficera Wojska Polskiego Zygmunta Szatkowskiego. Rok po ślubie dotknęła ją kolejna rodzinna tragedia, jaką była śmierć syna. Nie załamało to jej, zaczęła się twórczo spełniać jako pisarka.

Jedna z najsłynniejszych...

Okres międzywojenny to czas wzmożonej jej aktywności pisarskiej, w której da się wyróżnić kilka motywów przewodnich. Niewątpliwie Zofia Kossak była znana jako autorka powieści historycznych. Do tego gatunku należy przede wszystkim zaliczyć cykl „Krzyżowcy", który przyniósł jej największe uznanie, ale także takie tytuły jak: „Złota wolność", „Bez oręża", „Legnickie pole", „Warna". Równie ważnym nurtem literackim, co powieści historyczne, była literatura dziecięca, do której można zaliczyć takie jej utwory jak „Topsy i Lupus" czy „Bursztyny". Równie ważnym tematem w jej twórczości była regionalistyka, w której sławiła Śląsk Cieszyński. Do tej kategorii należy zaliczyć takie tytuły jak: „Z dziejów Śląska", „Na Śląsku", „Nieznany kraj".

Okres międzywojenny to czas, gdy Zofia Kossak jest doceniana i odnosi ogromne sukcesy. Warto wspomnieć, że w 1932 r. została odznaczona nagrodą literacką województwa śląskiego, a w 1936 r. otrzymała najważniejsze i najbardziej prestiżowe wyróżnienie, jakie mogło spotkać literata przed wojną – została uhonorowana Złotym Wawrzynem Akademickim przyznawanym na wniosek Polskiej Akademii Literatury.

Wybuch II wojny światowej nieuchronnie spowodował duże zmiany w życiu Zofii Kossak. Przede wszystkim przeprowadziła się do Warszawy i od razu przyłączyła do konspiracji niepodległościowej. W październiku 1939 r. ukazuje się pierwszy numer podziemnego pisma „Polska Żyje!", którego współredaktorką była nasza bohaterka. Wymienione czasopismo było drugim co do kolejności tytułem prasy konspiracyjnej, jakie się ukazały w czasie okupacji niemieckiej. Nakład tego periodyku sukcesywnie wzrastał, osiągając kilka tysięcy egzemplarzy. W 1941 r. wraz z grupą znajomych, a przede wszystkim z ks. Edmundem Krauzem stworzyła struktury podziemnej organizacji katolickiej o nazwie Front Odrodzenia Polski. Organem prasowym tej organizacji była „Prawda".

Polak katolik pomaga Żydom

Od początku okupacji Zofia Kossak włączyła się w akcję pomocy dla dzieci żydowskich. Było to możliwe dzięki jej sieci kontaktów i znajomości, zwłaszcza z duchownymi. Dzięki nim było możliwe wyrabianie fałszywych metryk chrzcielnych dla dzieci żydowskich bądź umieszczanie ich w domach dziecka prowadzonych przez katolickie zakony. Jednym z bardziej znanych przykładów pomocy udzielonej przez pisarkę Żydom było ukrywanie zbiegów z krakowskiego getta.

Pod koniec lipca 1942 r. Niemcy przystąpili do tzw. Wielkiej Akcji, czyli likwidacji getta warszawskiego. Ludność stolicy była świadkami masowych wywózek Żydów do obozów koncentracyjnych i ich eksterminacji. Zofia Kossak, mając świadomość tego, co działo się za murami getta i nie mogąc się z tym pogodzić, zareagowała, pisząc apel „Protest!", który od sierpnia 1942 r. był rozklejany na murach warszawskich kamienic. Przechodnie mogli przeczytać m.in., że: „W getcie warszawskim, za murem odcinającym od świata, kilkaset tysięcy skazańców czeka na śmierć. Nie istnieje dla nich nadzieja ratunku, nie nadchodzi znikąd pomoc. Ulicami przebiegają oprawcy, strzelając do każdego, kto się ośmieli wyjść z domu. Strzelają podobnie do każdego, kto stanie w oknie. Na jezdni walają się niepogrzebane trupy. [...] To samo, co w getcie warszawskim, odbywa się od pół roku w stu mniejszych i większych miasteczkach i miastach polskich. Ogólna liczba zabitych Żydów przenosi już milion, a cyfra ta powiększa się z każdym dniem.

Giną wszyscy. Bogacze i ubodzy, starcy, kobiety, mężczyźni, młodzież, niemowlęta, katolicy umierający z Imieniem Jezusa i Maryi, równie jak starozakonni. Wszyscy zawinili tym, że się urodzili w narodzie żydowskim, skazanym na zagładę przez Hitlera.

Świat patrzy na tę zbrodnię, straszliwszą niż wszystko, co widziały dzieje, i – milczy. Rzeź milionów bezbronnych ludzi dokonywa się wśród powszechnego, złowrogiego milczenia. Milczą kaci, nie chełpią się tym, co czynią. [...]

Nie chcemy być Piłatem. Nie mamy możności czynnie przeciwdziałać mordercom niemieckim, nie możemy nic poradzić, nikogo uratować – lecz protestujemy z głębi serc przejętych litością, oburzeniem i grozą.

Protestu tego domaga się od nas Bóg, Bóg, który nie pozwolił zabijać. Domaga się sumienie chrześcijańskie. Każda istota, zwąca się człowiekiem, ma prawo do miłości bliźniego. Krew bezbronnych woła o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera – nie jest katolikiem".

Apel Zofii Kossak zaowocował nie tylko wzbudzeniem sumień Polaków, ale także zainspirował powstanie niezwykle ważnej konspiracyjnej organizacji, jaką był Tymczasowy Komitet im. Konrada Żegoty. Komitet, w powstaniu którego uczestniczyła pisarka, został powołany do życia pod koniec września 1942 r. w porozumieniu z Delegaturą Rządu na Kraj. Jednak oficjalne ogłoszenie utworzenia Żegoty nastąpiło w połowie października 1942 r. Uważa się, że autorką nazwy Komitetu była Zofia Kossak. Żegota była wspierana finansowo przez polski rząd na uchodźstwie. Szacuje się, że w ciągu istnienia Komitetu udało się uratować ok. 200 Żydów – głównie dzieci. Zofia zaangażowała się w powstanie w październiku 1942 r. Społecznej Organizacji Samoobrony, w którym używając pseudonimu Weronika, kierowała jednym z wydziałów.

4 grudnia 1942 r. rozwiązano Żegotę i na jej miejsce powołano do życia Radę Pomocy Żydom. Organizacja ta, wspierana przez polski rząd w Londynie, działała do 1945 r. i według różnych danych przyjmuje się, że wystawiono 50–60 tys. fałszywych metryk chrzcielnych – tym samym ratując życie żydowskim dzieciom. Zofia Kossak wprawdzie nie weszła w skład struktur Rady, jednak współpracowała z tą organizacją. Warto także dodać, że jednym z ważniejszych członków Rady Pomocy Żydów był Władysław Bartoszewski – w czasie

eprasa.pl d16ae12b4e

okupacji sekretarz i bliski współpracownik Zofii Kossak-Szczuckiej.

Bohaterka bez skazy

19 kwietnia 1943 r. wybuchło powstanie w getcie warszawskim. Reakcją Zofii Kossak na to wydarzenie był głośny artykuł „Wokół płonącego getta...” opublikowany w konspiracyjnym tytule prasowym „Prawda Młodych”. Z pozycji katolickich stanowczo protestowała przeciwko ludobójstwu i wzywała Polaków do udzielenia Żydom pomocy.

Niezwykle aktywna podziemna działalność bohaterki naszego artykułu prędzej czy później skazywała ją na wpadnięcie w ręce niemieckie. Stało się to we wrześniu 1943 r., kiedy została aresztowana w Warszawie. Doświadczyła niezwykle brutalnego przesłuchania w siedzibie gestapo w al. Szucha. W październiku 1943 r. rozpoczął się dla Zofii Kossak najbardziej traumatyczny okres w życiu – trafiła do miejsca, z którego osadzeni nie mieli prawa wyjść żywi. Było to KL Auschwitz-Birkenau. Mimo doświadczenia nieludzkich warunków, z czego najcięższym było zachorowanie na tyfus brzuszny w grudniu 1943 r., nie utraciła wiary. Wspomnienia z tego okresu spisała już po wojnie w „Z otchłani”.

Koszmar obozowy zakończył się dla niej w kwietniu 1944 r., kiedy trafiła do Krakowa, gdzie pozostawała uwięziona i przesłuchiwana przez Niemców. Z Krakowa trafiła do więzienia na Pawiaku, z którego została zwolniona w wyniku starań rządu emigracyjnego kilka dni przed wybuchem powstania warszawskiego, w którym zresztą wzięła udział. Po jego upadku ukrywała się w Częstochowie.

Ze względu na swoją aktywność w okresie międzywojennym i w czasie okupacji, chcąc uniknąć represji ze strony władz komunistycznych, Zofia Kossak została zmuszona do emigracji do Wielkiej Brytanii. W Kornwalii wspólnie z mężem prowadziła gospodarstwo rolne. W okresie rządów Bolesława Bieruta jej książki były wycofywane z bibliotek. Do Polski mogła powrócić dopiero po odwilży październikowej. Osiadła na stałe w Górkach Wielkich, kontynuując twórczość literacką. Mimo powrotu z emigracji nie akceptowała polityki władz PRL, protestując przeciwko ograniczaniu swobód twórczych oraz przeciwko obchodom 1000-lecia Państwa Polskiego, które miały stanowić konkurencję dla Millennium Chrztu Polski.

Zofia Kossak-Szczucka zmarła 9 kwietnia 1968 r. Dopiero kilkanaście lat po śmierci została upamiętniona za swoją postawę w czasie II wojny światowej. We wrześniu 1982 r. Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holocaustu Yad Vashem pośmiertnie uhonorował Zofię Kossak, przyznając jej Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. W 2009 r. Narodowy Bank Polski upamiętnił pisarkę, a także Irenę Sendlerową oraz siostrę Matyldę Getter, emitując okolicznościowe monety w serii „Polacy ratujący Żydów” z ich wizerunkiem.

Zofia Kossak-Szczucka-Szatkowska to wyjątkowa postać, która kierując się chrześcijańskimi wskazaniami miłości bliźniego, z narażeniem życia ratowała Żydów. Zarówno jej dzieła literackie, jak i jej postawa pełna niezłomności w czasie wojny zasługują na upamiętnienie.

AUTOPROMOCJA



Z HERBATĄ NIE TYLKO O PIĄTEJ



MARCIN WIŚNIARSKI

HERBATA JEST JEDNYM Z NAJPOPULARNIEJSZYCH I NAJSTARSZYCH ZNANYCH CZŁOWIEKOWI NAPARÓW. WYWODZI SIĘ Z DAWNEJ BIRMY – Z GÓRZYSTEGO REJONU ŹRÓDEŁ RZEKI IRAWADI

Jednak to na terenie obecnych Chin powstały związane z nią tradycje i zwyczaje. Tam znane są wszystkie jej rodzaje. Stamtąd też wywodzi się ceremonia przygotowania i picia herbaty gonfu cha i pośrednio japońska chanoyu (wrzątek na herbatę). Sama nazwa zaś wywodzi się od dwóch słów – łacińskiego herba (ziele) i występującego w dialekcie hokkien z południa Tajwanu słowa te (stąd angielskie tea, niemieckie tee, francuskie the, włoskie te itd.). Połączone razem daje ziele rośliny te. Podobnego określenia używa się na Litwie i na Białorusi.

Na początku warto określić, czym jest herbata i dlaczego w Polsce każdy napar z ziół nazywamy błędnie herbatą. Jest to roślina z rodzaju camelia sinensis bądź camelia assamica. Pierwsza wywodzi się z gór na pograniczu Chin, Indii i Mjanmy (dawniej Birmy), obszaru wokół źródeł rzeki Irawadi. Druga natomiast z indyjskiego stanu Assam. Obie różnią się choćby rozmiarem. Krzewy assamskie są wyższe i dają bardziej wyrazisty napar. Oba rodzaje są uprawiane w wielu rejonach świata. I tak np. odmiana camelia assamica występuje w chińskiej prowincji Yunnan czy w Indonezji. Aby prześledzić początki zwyczaju picia tego naparu, trzeba się cofnąć do okresu panowania Jana Kazimierza Wazy, ściśle do 1662 r. Według anegdoty wówczas to król poprosił swoją małżonkę Ludwikę Marię Gonzagę, żeby napisała do Francji list z zapytaniem: „Ile należy wziąć herbaty i ile cukru dla tych, co chcą jej używać?".

(Nie)polskie początki

Zwyczaj ten w Polsce się wówczas szerzej nie przyjął. Herbatę kojarzono z leczniczym medykamentem, a czasami wręcz... z trucizną. I tak ks. Krzysztof Kluk w 1786 r. w pierwszej encyklopedii botanicznej napisał: „Gdyby Chiny wszystkie swoje trucizny przesłały, nie mogłyby nam tyle zaszkodzić, ile swoją herbatą". Jego zdaniem napar ów osłabiał nerwy i naczynia do strawności służące. Ks. Jędrzej Kitowicz zaś oskarżał ją o oziębianie żołądka i wywoływanie gruźlicy. Podkreślał jednak w „Opisie obyczajów za panowania Augusta III", że wywar z jej liści wielu medyków zalicza do lekarstw przeciw gorączce i wypłukania gardła po wymiotach.

Najstarszą ceremonią zaparzania i picia tego napoju jest chińskie gonfu cha. Oznacza ono dosłownie zręczność herbaty. Istotny jest tu cały szereg utensyliów. Po pierwsze, używamy do niej albo czajniczka (najlepiej z gliny Yixing z okolic miasta o tej samej nazwie – złoża datuje się na 350 mln lat), albo gaiwanu. Ten drugi może być wykonany z różnych materiałów. Znany jest od czasów dynastii Ming. Pierwszy opisał go wielki mistrz herbaty Lu Yu. Według niektórych źródeł używano go od 1350 r., a więc 18 lat przed nastaniem ostatniej chińskiej narodowej dynastii. Duży gaiwan składa się z trzech części – wieczka – symbolu nieba, podstawki – symbolu ziemi oraz dużej czarki

FOT. SHUTTERSTOCK 2X; ZARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl d16ae12b4e

– symbolu człowieka. Następnie mamy podłużne czarki do wąchania naparu zwane wenxiangbei. Dlatego do owej ceremonii używa się herbat typu oolung bądź pu-erh. Dają one bowiem bardziej intensywny zapach. Ponadto, co istotne, podziwiamy pięknie rozwinięte liście. Następnie wśród przyborów mamy czarki do picia, stolik (chapan) z otworami na wodę, na którym przygotowywana jest herbata. Wreszcie wszelkiego rodzaju szczypczyki, m.in. do podawania czarek. Nie jest elegancko podawać czarkę z herbatą rękami. Bardzo ważne są jakość wody i odpowiednie wygrzanie naczyń. Zimne utensylia oziębiają napar. Herbatę należy pić w trzech łykach, podobnie jak w japońskiej chanoyu. Inną nazwą jest chado bądź sado, czyli droga herbaty.

Zwyczaj picia herbaty Japończycy przyjęli z Chin w 805 r. za panowania dynastii Tang. Zaczął się on upowszechniać pod koniec XII w. Wówczas zaczęto ją nazywać nektarem życia. Przypisywano owej roślinie właściwości odmładzające serce i umysł. Przejęty od Chińczyków zwyczaj picia herbaty stopniowo przez kolejne wieki się doskonalił. I tak w XVI w. powstało chanoyu. Zdaniem współczesnego potomka mistrza herbaty Sen Rikyu – Sen Soshitsu ma uderzające podobieństwo do mszy św. rytu rzymskiego. On to w 1590 r. ustalił sześć zasad związanych z ceremonią picia herbaty. Były nimi: sygnał drewnianej kołatki wzywający gości do herbacianego pawilonu, miseczka do polewania rąk stale napełniona czystą wodą. Ponadto gość, jeśli zauważy jakąś nieprawidłowość w urządzeniu pawilonu, powinien wyjść z niego po cichu i bez słowa. Rozmowa może dotyczyć tylko tematów poważnych i godnych.





A ust gości nie może skazić kłamstwo, pochlebstwo, plotka ani obmowa. Ceremonia zaś nie powinna trwać powyżej czterech godzin. W przeciwieństwie do Chin używa się tu sproszkowanej zielonej herbaty – matcha, powstającej za pomocą ocieniających ją bambusowych konstrukcji. Pozwala to na wytworzenie większej ilości aminokwasów. Te zaś w końcowym efekcie dają słodszy napar. Następnie liście herbaty zwanej tencha pozbywa się żyłek i nerwów. Na końcu je się mieli. Ten ostatni proces wynaleźli Chińczycy za panowania dynastii Tang. Do tego procesu używa się kamiennych żaren. Przygotowanie 30 gramów herbaty trwa około godziny. Przy samej ceremonii potrzebujemy następujących rzeczy: dużej czarki (matchawan), bambusowego pędzla (chasen – używany był on wcześniej przez Chińczyków), szpatułki do nabierania herbaty (chashaku) i sitka. Do matchawana wsypujemy herbatę. Tę zaś rozprowadzamy przy użyciu niewielkiej ilości wody. Następnie dodajemy jej więcej i spieniamy herbatę chasenem. Sposobów przygotowania matchy jest kilka. W jednej z nich pod nazwą koicha, gdzie napar jest gęsty i gorzki, podaje się drobną przekąskę (wagashi) celem złagodzenia smaku. Japończycy używają tu słodyczy na bazie fasoli. Poza tym znane są również inne ceremonie parzenia i picia, takie jak angielska five o'clock czy też rosyjski samowar.

Herbata w Europie

W Europie zwyczaj picia herbaty rozpowszechnili Anglicy i Rosjanie. Ci ostatni spopularyzowali ją na naszym terytorium. Nasi wschodni sąsiedzi piją ją ze stakana (szklanki – najczęściej z pięknie zdobionym koszyczkiem) z dodatkiem konfitur. Samowar zaś służy do podgrzania wody. Najlepsze pochodzą z okolic Tuły. Rosjanie serwowali do herbaty słodycze i alkohole. Dodawali do niej również cytrynę. Do dziś napar z jej dodatkiem stanowi niejako synonim rosyjskiej herbaty.

Jeśli chodzi o konkretny gatunek, to była to czarna herbata z Chin dostarczana przez karawany. Niektórzy doszukiwali się w niej aromatu ognisk palonych w czasie postojów. Rosjanie gardzili herbatą dostarczaną drogą morską. Uważali, że kontakt ze słoną wodą negatywnie wpływa na jej smak. Z kolei znany od XIX w. zwyczaj five o'clock wprowadziła księżna Anna Russel. Nie mogąc doczekać się pory kolacji, wzywała służbę, a ta potajemnie dostarczała jej drobny posiłek wraz z herbatą. Wkrótce sekret wyszedł na jaw i zwyczaj przyjął się wśród wysoko urodzonych. Napój serwowano z dodatkiem mleka. Podawano drobne ciasteczka oraz koniecznie słodkie bułeczki z konfiturą i gęstą śmietaną. Zwyczaj podawania herbaty z mlekiem upowszechnił się również w brytyjskich koloniach. Przykładem może być indyjska masala chai. Ponieważ Anglicy zauważyli, że Hindusi w ogóle nie piją herbaty, zmusili ich do tego. Stało się tak, gdyż angielscy kupcy zaczęli dostrzegać potencjał w jej sprzedaży. Hindusi, ponieważ była ona droga, dodawali do mocno naparzających się assamów, lokalnych przypraw. Używali oni tego gatunku herbaty, ponieważ mleko nie zabijało jej smaku.

Swoje zwyczaje mają również Tybetańczycy i Mongołowie. Obie te nacje piją herbatę z dodatkiem soli. Różnica polega też na rodzaju herbaty. Jedni używają chińskich pu-erhów, inni natomiast herbat z gatunku zielonych. Tybetańczycy używają mleka i masła jaka. Mongołowie – tylko tłustego mleka. W Maroku zaś podaje się zieloną herbatę typu gunpowder z dodatkiem mięty nana i dużą ilością cukru w małych szklaneczkach.

Podobnie jest w Turcji. Herbatę robi się w podwójnym czajniczku pod nazwą demli cay. Na dole podgrzewamy wodę. Na górze zaś esencję. W ten sposób przygotowuje się herbatę z prowincji Rize nad Morzem Czarnym. Następnie najpierw esencję, a potem wrzątek wlewa się do szklaneczek o tulipanowym kształcie. Podobnie jak w Maroku obficie słodzi się ją cukrem. Zwyczaj picia herbaty jest w Turcji stosunkowo młody, gdyż przed 1900 r. w ogóle jej nie znano. Dopiero po I wojnie światowej ze względu na wysokie ceny kawy Ataturk zaczął promować czarną herbatę. »



Filiżanka z gliny bolesławieckiej

eprasa.pl d16ae12b4e



Rozłożony gaiwan z czarką – utensylia z chińskiej porcelany ryżowej

>> Na koniec w opisie ceremonii warto wspomnieć o Wietnamie i Niemczech. Wietnam od końca XIX w. do 1946 r. był uzależniony od Francji, stąd przyjęte z metropolii zwyczaje. A tam z kolei – prawdopodobnie również ze względu na związki z Turcją – najbardziej popularnym naparem jest do dziś kawa. Wietnam przed okresem kolonialnym miał swoje – związane przede wszystkim z religią – tradycje herbaciane. Składano ją jako ofiarę na ołtarzach świątynnych i domowych. Obecnie łączy się zwyczaje azjatyckie z europejskimi. Naczynia są typowo azjatyckie. Czajniczek i czarki podawane są na tacy. Unikatowe dla Wietnamu jest to, że czajniczki umieszcza się w ocieplanych koszach celem podtrzymania temperatury naparu. Na północy pije się herbatę gorącą. Na południu popularniejsza jest mrożona. Najczęściej wybierana jest herbata zielona. Niemcy natomiast, mimo że na co dzień częściej piją kawę, są jednymi z największych importerów herbaty. W rejonie wschodniej Fryzji w Dolnej Saksonii znana jest, pita lokalnie, herbata po fryzyjsku. Robi się ją na bazie indonezyjskich assamów – można również pić ją z dodatkiem wanilii burbońskiej. Podaje się doń biały cukier w kryształe oraz słodką gęstą śmietanę. Wszystko podaje się odrębnie bez mieszania w pięknie zdobionych filiżankach. Tu warto wspomnieć, dlaczego w Europie nie używa się tak jak w Azji czarek. Na naszym kontynencie popularniejsza jest czarna herbata. Ta zaś zalewana jest wodą o wyższej temperaturze. Damy parzyły sobie palce. Do czarki zatem dodano uszko.

Herbata zdrowia doda

Wyróżniamy kilka rodzajów herbaty: zieloną, czarną, białą, pu-erh, oolung oraz żółtą. Każda ma swoje podgatunki w zależności od sposobu przygotowania, rodzaju liści, gleby i wielu innych czynników. Pierwsza znana jest przede wszystkim w Azji. Znana jest zarówno wersja sproszkowana jako matcha – różne są jej rodzaje od wysokich gatunkowo, po spożywcze, jak i genmaicha z dodatkiem ryżu, sencha czy bancha. Ta ostatnia ma mniej kofeiny. Jest słabsza i można ją bez problemu pić wieczorem. Bardzo drogą herbatą z Kraju Kwitnącej Wiśni jest gyokuro. Smak herbat z Japonii jest trawiasty i warzywny z wyraźną nutką umami. Dzieje się tak dlatego, że powstrzymanie fermentacji następuje za pomocą pary wodnej.

Chińczycy z kolei prażą liście na ogromnych wokach. Są oni największym producentem i konsumentem herbaty na świecie. Najcenniejszym jej składnikiem – bez względu na gatunek – są przeciwutleniacze. Działają przeciwnowotworowo, zmniejszają stres oksydacyjny oraz spowalniają procesy starzenia się. Na naszym kontynencie z kolei najpopularniejsza jest herbata czarna. Krajem produkującym ją są Indie. Ogrody herbaciane powstały tam dzięki Brytyjczykom. Generalnie mamy głównie herbaty z Darjeelingu przypominające nieco zielone oraz assamskie. Podobne do tych, jednak ze względu na tanią siłę roboczą, tańsze są herbaty z Nepalu. W Indiach na bazie camelia sinensis botanik Robert Fortun założył pierwsze ogrody. Obecnie w dystrykcie Darjeeling jest ich ok. 80. Najwyżej położone znajdują się na wysokości 2,3 tys. m. Ciekawe herbaty czarne ma również Rwanda. Ich liście zwijane są za pomocą hebanowych mat. Tanina w niej zawarta pomaga przy zatruciach i trawieniu ciężkostrawnych posiłków. Ma dobry wpływ na układ krwionośny i działa przeciwmiażdżycowo, rozszerza naczynia krwionośne, obniżając ciśnienie. Herbata biała z kolei jest najmniej przetworzona. Do jej produkcji używa się najmłodszych i najdelikatniejszych listków, a zwłaszcza pąków liściowych zbieranych na wiosnę. Zawiera dużą ilość kofeiny oraz witamin i przeciwutleniaczy. Przypisuje się jej działanie przeciwmiażdżycowe, regulujące poziom cholesterolu i ciśnienia krwi oraz antystresowe. Z kolei pochodząca z prowincji Yunan pu-erh – to w Chinach herbata czarna, a u nas nazywana czerwoną, ponieważ Chińczycy oceniają barwę naparu, a my liści. Pochodzi z niejednorodnych odmian herbaty szerokolistnej. Jest ona fermentowana nawet latami pod ziemią – obecnie proces ten przyśpiesza się przez dodanie drobnoustrojów i szlachetnych grzybów. Wyróżniamy napar pu-erh surowy – sheng i gotowany – shu. Mamy również wiele jego form, m.in. bingcha – okrągłe płaskie ciastko, toucha – gniazdo szerzenia i zhuancha – tabliczka. W Chinach do dziś napar ten służy jako lokata kapitału – im ze starszej fermentacji, tym droższy. Bardzo dobrze działa na układ trawienny (znany jest jako zabójca tłuszczu) i łagodzi problemy po nadmiernym wypiciu alkoholu. Z kolei herbata typu oolung w zależności od sfermentowania bliższa jest herbatom albo czarnym, albo zielonym. Te pierwsze pochodzą z Tajwanu. Drugie z Chin. Łączy ona zalety obu. Poza tym zwiększa gęstość mineralną kości, reguluje poziom cukru i insuliny we krwi. Wreszcie herbata żółta poddawana jest procesowi podobnemu do kiszenia. Pili ją przede wszystkim władcy. Uważano, że zapewnia nieśmiertelność. Jeśli ktoś inny poważył się ją wypić, był karany śmiercią. Zawiera ona małą ilość kofeiny, działa tonizująco i odświeżająco. Ponadto poprawia trawienie bez podrażniania żołądka.

Filiżanka z porcelany opolskiej z motywami z regionu





FOT. SHUTTERSTOCK; Z ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl d16ae12b4e

117/0119/F

Życie w cieniu bomby

TOMASZ KARPOWICZ

Myśl o tym, że nasi sąsiedzi ze Wschodu, którymi z Kremla rządzi Władimir Władimirowicz Putin, posiadają w swoim arsenale najbardziej śmiercionośną broń w historii ludzkości, musi budzić dreszcz strachu. I to nie tylko nad Wisłą. Równie mało komfortowo czuć się powinni też mieszkańcy wielu innych państw świata. Których? Prawdę mówiąc, wszystkich. I to nie Rosja z jej przywódcą, który niekoniecznie miło dał się poznać mieszkańcom naszej części Europy, jest jedynym problemem. Problemem jest samo posiadanie przez światowe mocarstwa narzędzia zdolnego do anihilowania całych mas ludzkich.

Wyścig zbrojeń, stałe napięcie międzynarodowe, a i często paranoiczne skłonności przywódców posiadających pod ręką atomowy guzik, od kilkudziesięciu lat organizują życie narodów i państw. Bomba atomowa, bo o niej mowa, wciąż jest śmiertelnie niebezpiecznym elementem znanego nam świata.

Od sierpnia 1945 r., czyli momentu zrzucenia bomb atomowych na dwa japońskie miasta Hiroszimę i Nagasaki, to militarne rozwiązanie ostateczne – broń zdolna zabić wszystko w promieniu wielu kilometrów – w poważnym stopniu organizuje porządek życia ludzkości.

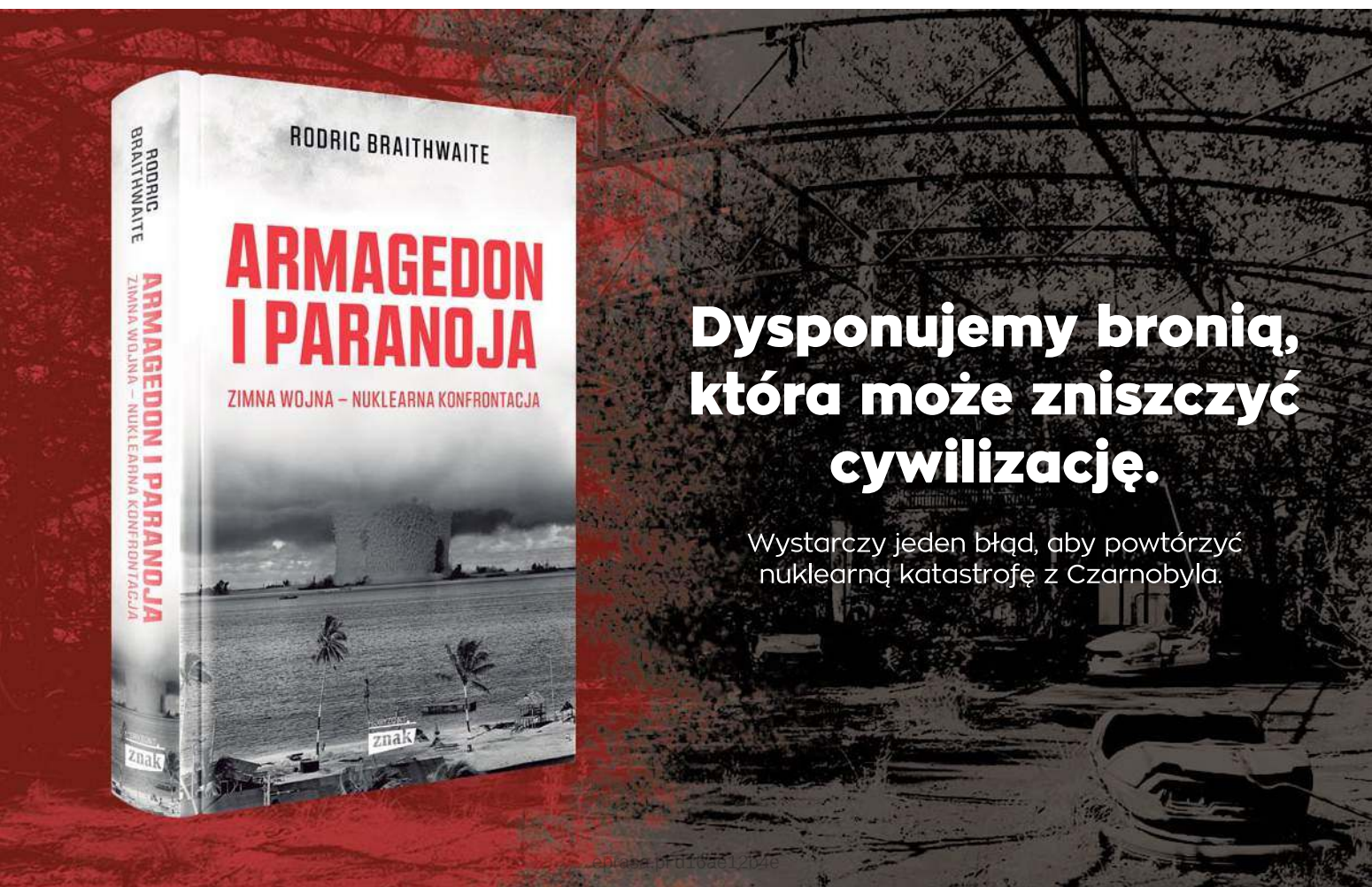
To właśnie temat bomby atomowej w swojej książce „Armagedon i paranoja. Zimna wojna – Nuklearna konfrontacja" porusza Rodric Braithwaite. Ten były brytyjski dyplomata, a przez chwilę funkcjonariusz wywiadu, pisze o problemie najniebezpieczniejszej broni w historii ludzkości.

Zaczynając od wspomnianego punktu zwrotnego w historii ludzkości – zniszczenia przez Amerykanów japońskich miast, by przyśpieszyć koniec II wojny światowej na Pacyfiku – Braithwaite pieczołowicie opisuje losy i znaczenie śmiercionośnego wynalazku.

W książce „Armagedon i paranoja" poznajemy nie tylko historię słynnego „Projektu Manhattan", ale wszelkie aspekty historyczne i polityczne związane z wynalezieniem i istnieniem bomby atomowej. Dzięki Braithwaite'owi widzimy szczegóły zimnowojennej rozgrywki, w której „atomówka" w pewnym sensie rozdawała karty. Na kartach książki spotykamy najważniejsze postaci i wydarzenia XX w. związane z dziejami rozwoju strategicznego oręża. Gorbaczow, Reagan ale też Jelcyn, Clinton, Obama, a wreszcie Putin i Trump są zmuszeni prowadzić swoją politykę w cieniu narzędzia, które raz użyte może na pokolenia zmienić polityczne i społeczne dzieje ludzkości. ■

Rodric Braithwaite, „Armagedon i paranoja. Zimna wojna – Nuklearna konfrontacja", Znak Horyzonty, Kraków 2019

REKLAMA





RAFAŁ ŁATKA

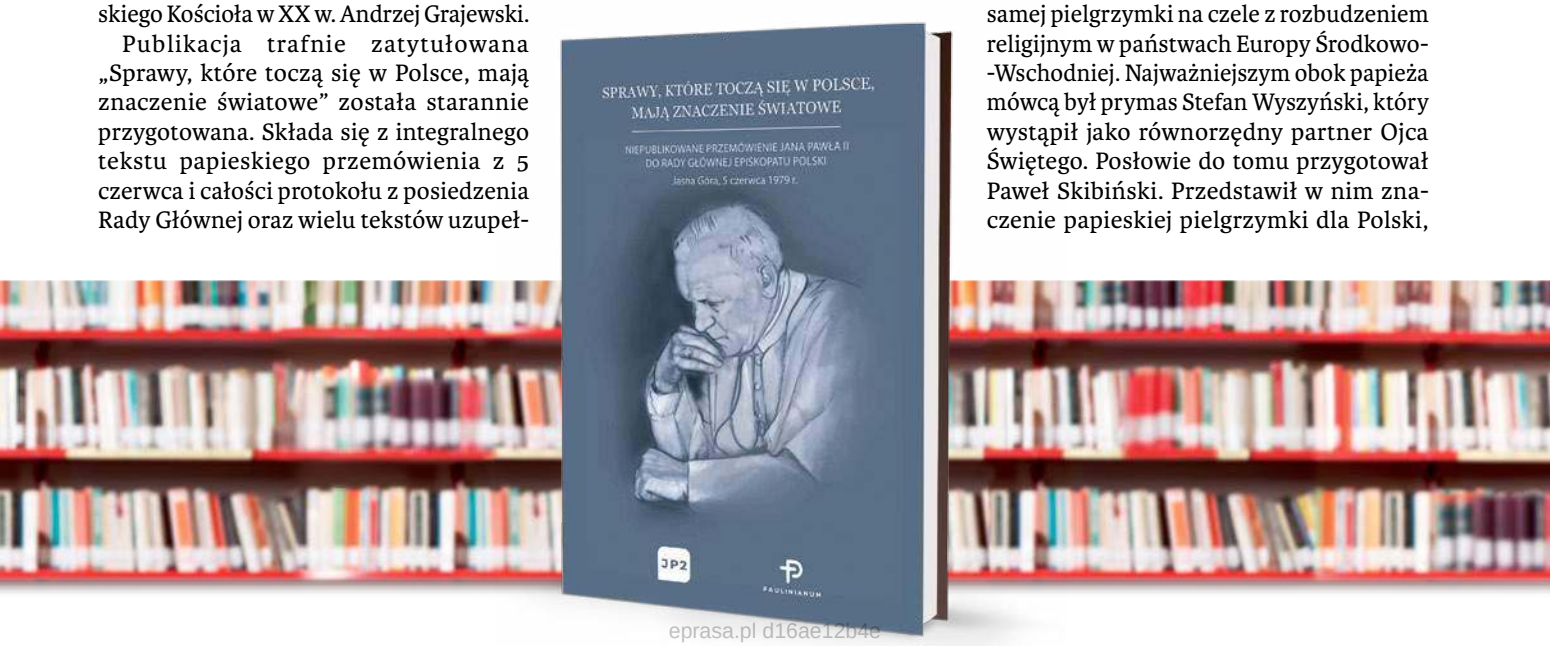
W KRĘGU KLIO

Czy o pierwszej pielgrzymce Jana Pawła II do ojczyzny wiemy już wszystko?

„Sprawy, które toczą się w Polsce, mają znaczenie światowe. Niepublikowane przemówienie Jana Pawła II do Rady Głównej Episkopatu Polski, Jasna Góra, 5 czerwca 1979 r.", oprac. Andrzej Grajewski, Paulinianum, Centrum Myśli Jana Pawła II, Jasna Góra 2019

Czterdziesta rocznica pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w 1979 r. skłania do zadawania pytania: czy wiemy już wszystko na temat wspomnianej wizyty Ojca Świętego? Okazuje się, że do niedawna nie znaliśmy jednego z najważniejszych przemówień polskiego papieża, wygłoszonego w czasie pobytu na Jasnej Górze 5 czerwca 1979 r. Była to tym bardziej istotna luka w naszej wiedzy, że słowa skierowane przez Jana Pawła II do Rady Głównej Episkopatu miały strategiczne znaczenie zarówno dla działalności Kościoła katolickiego w Polsce, jak i aktywności Stolicy Apostolskiej w państwach za „żelazną kurtyną" przez całą dekadę lat 80. Miałem zaszczyt pierwszy napisać o tym nieznanym i niezaplanowanym wcześniej spotkaniu papieża z najważniejszymi polskimi hierarchami w tekście opublikowanym na łamach „Dziejów Najnowszych" na początku 2018 r., zatytułowanym „Rada Główna Episkopatu Polski a pierwsza pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny". W czerwcu br. całe przemówienie ukazało się w tomie wydanym przez Paulinianum oraz Centrum Myśli Jana Pawła II. Opublikował je za zgodą Episkopatu Polski wybitny znawca dziejów polskiego Kościoła w XX w. Andrzej Grajewski.

Publikacja trafnie zatytułowana „Sprawy, które toczą się w Polsce, mają znaczenie światowe" została starannie przygotowana. Składa się z integralnego tekstu papieskiego przemówienia z 5 czerwca i całości protokołu z posiedzenia Rady Głównej oraz wielu tekstów uzupełniających. Poprzedzono ją wprowadzeniem przygotowanym przez bp. Jana Kopca. Nakreślono w nim znaczenie prezentowanego dokumentu dla dziejów Kościoła w Polsce oraz przedstawiono jego rangę w kontekście zrozumienia strategii działania Stolicy Apostolskiej w okresie pontyfikatu Jana Pawła II. Hierarcha zwrócił także uwagę, że posiedzenie Rady Głównej nie było areną kurtuazyjnej tylko wymiany grzeczności, ale niezwykle owocnej wymiany myśli. Kolejna część tomu to kompetentne przedstawienie kontekstu historycznego pierwszej pielgrzymki Ojca Świętego do ojczyzny oraz nakreślenie okoliczności papieskiego spotkania z Radą Główną. Andrzej Grajewski poprowadził nas od wyboru z 16 października 1978 r. aż do posiedzenia RG, które odbyło się 5 czerwca rok później. Opisywane wydarzenia przedstawił w szerokiej perspektywie światowej, zwracając uwagę na strategiczne znaczenie przemówienia wygłoszonego przez papieża do wąskiego kręgu polskich biskupów. Treść prezentowanego dokumentu dotyczy kilku niezwykle istotnych tematów: kierunku polityki wschodniej papieża; podejścia polskiego Kościoła do władz PRL w kolejnych latach i wreszcie przewidywanych efektów samej pielgrzymki na czele z rozbudzeniem religijnym w państwach Europy Środkowo-Wschodniej. Najważniejszym obok papieża mówcą był prymas Stefan Wyszyński, który wystąpił jako równorzędny partner Ojca Świętego. Posłowie do tomu przygotował Paweł Skibiński. Przedstawił w nim znaczenie papieskiej pielgrzymki dla Polski,

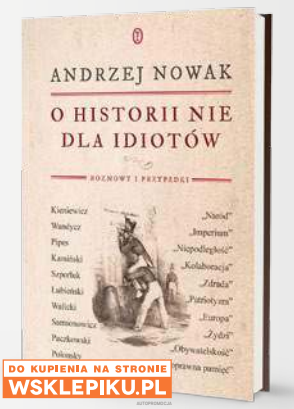


eprasa.pl d16ae12b4e

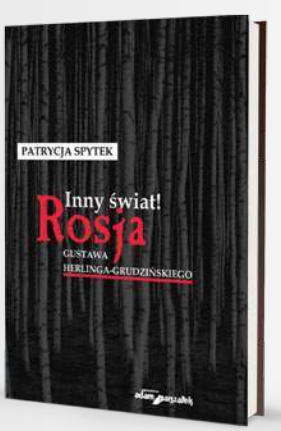
Europy i świata oraz omówił jej obraz w najważniejszych publikacjach historycznych poświęconych pontyfikatowi Jana Pawła II. Aneks do posłowia stanowi bardzo ważny dokument przygotowany przez kard. Wyszyńskiego z jego osobistą oceną efektów papieskiej pielgrzymki do Polski. Prymas odpowiedział w nim na kluczowe pytanie: kto zyskał więcej – Kościół czy władze państwowe? Warto w tym miejscu przytoczyć ciekawy fragment jego analizy: „Bądź co bądź na placu Zwycięstwa, pracowicie budowanej naszej Stolicy Państwa Laickiego [sic!], stanął ogromny krzyż z czerwoną stułą Zmartwychwstałego Chrystusa wybudowany przez państwowych techników. Pozostanie on w oczach Narodu i świata – jako wymowny symbol po 35 latach państwowej walki z religią". Trudno doprawdy o lepsze podsumowanie papieskiej pielgrzymki z 1979 r.

Andrzej Nowak, „O historii nie dla idiotów. Rozmowy i przypadki", Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

Prof. Andrzej Nowak jest wybitnym badaczem, którego przedstawiać nie trzeba. Jego książki nie tylko stoją na wysokim poziomie oraz odpowiadają na kluczowe w polskiej historii pytania (chociażby „Pierwsza zdrada Zachodu" czy „Polska i trzy Rosje"), ale również wzbudzają dyskusję i polemiki wśród profesjonalnych historyków i w szeroko pojmowanej sferze publicznej. Tym razem krakowski historyk wcielił się w nieco inną niż zwykle rolę. Postanowił bowiem zebrać swoje rozmowy z innymi wybitnym badaczami dziejów Polski i Europy Wschodniej oraz przedstawić nam własne refleksje na temat kluczowych w polskiej historii pojęć takich jak: „naród", „imperium", „niepodległość", „kolaboracja", „zdrada", „patriotyzm" czy „Europa". Wśród rozmówców prof. Nowaka znaleźli się m.in. profesorowie: Stefan Kieniewicz, Piotr Wandycz, Richard Pipes, Andrzej Walicki, Roman Szporluk, Andrzej Paczkowski, Anthony Polonsky. Czytelnikom proponuję zwrócić szczególną uwagę na dialogi z Pipesem, Paczkowskim i Polonskym. Pierwszy z wymienionych mówił nie tylko o swojej pracy naukowej, przyjmowanych założeniach metodologicznych, ale także o atmosferze panującej wśród amerykańskich sowietologów i swojej pracy w administracji rządowej Ronalda Reagana. Profesor Paczkowski z kolei z dużą swadą i swobodą wspominał o trudnej ścieżce naukowej w PRL, o tym, jak ewoluowały jego zainteresowania naukowe (od badań nad prasą w II RP do historii politycznej Polski „ludowej"), czy też o seminarium doktorskim prof. Henryka Jabłońskiego, przewodniczącego Rady Państwa PRL, na jakie uczęszczał. Profesor Polonsky barwnie przedstawił z kolei swoje badania dziejów Żydów w Polsce na przestrzeni wieków oraz interesująco nakreślił ich polityczne uwarunkowania (także współczesne). Równie ciekawa jest druga część „O historii nie dla idiotów". Andrzej Nowak przedstawił w niej, opierając się na wybranych historycznych przykładach, najważniejsze punkty sporne w polskiej historii. Warto sięgnąć zwłaszcza po eseje zatytułowane: „Horodło z perspektywy XX–XXI wieku", „Trzy patriotyzmy" i „Czy w politycznej historii jest miejsce na kategorię zdrady?". Krakowski badacz kreśli w nich własne, oryginalne spojrzenie na dzieje naszej ojczyzny, wskazując, że to, co było zawsze najważniejsze dla Polaków, to troska o wolność narodu.



DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL



Patrycja Spytek, „Inny świat! Rosja Gustawa Herlinga-Grudzińskiego", Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2019

Decyzją Sejmu RP 2019 ogłoszono Rokiem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, chcąc tym samym uświetnić setną rocznicę urodzin wybitnego pisarza. Wydaje się, że ten gest powinien spowodować zwiększone zainteresowanie twórczością autora „Dziennika pisanego nocą". Patrycja Spytek podjęła niezwykle ciekawe zagadnienie i przeanalizowała stosunek Herlinga-Grudzińskiego do Rosji, który – jak powszechnie wiadomo – był dość skomplikowany. Twórca bowiem pomimo pobytu w archipelagu Gułag z wielką sympatią podchodził do narodu rosyjskiego, a szczególnie do twórczości jego najwybitniejszych pisarzy na czele z Fiodorem Dostojewskim, a równocześnie był zdecydowanym przeciwnikiem Związku Sowieckiego. Spytek szczegółowo przedstawiła rosyjskie inspiracje w twórczości Herlinga, a także jego stosunek do rosyjskiej twórczości powstającej na emigracji, tzw. dzieł represjonowanych oraz literatury łagrowej. W spojrzeniu autorki, która jest z wykształcenia rusycystką i literaturoznawcą, brakuje jednak wyraźnie przedstawienia w sposób bardziej wnikliwy kontekstu historycznego losów autora „Innego świata", genezy jego poglądów oraz uwarunkowań, jakie się z tym wiązały. Brakuje chociażby krótkiego odniesienia, w jakim stopniu obraz łagrów, który przedstawił Herling, był zgodny z rzeczywistością sowiecką, czy też omówienia jego podejścia do komunizmu jako ideologii i systemu politycznego panującego w Związku Sowieckim (są już na ten temat prace kilku historyków).

REKLAMA



10/0119/F

eprasa.pl d16ae12b4e

Konrad masonem podszyty

HUBERT MUSIAŁ

Książka „Mickiewicz hermetyczny" na wznowienie musiała czekać blisko 40 lat. Przekleństwo? Spisek? Czy grzech małego ducha?

„Mickiewicza hermetycznego" pech zaczął prześladować jeszcze w życiu prenatalnym. Prace redakcyjne ciągnęły się latami, a o książce krążyły legendy, długo zanim ukazała się drukiem w roku 1980. Mówiono, że to erudycyjny popis, błahostka, interpretacja badacza amatora, ale też że... Maria Janion miała osobiście blokować jej wydanie. W rzeczywistości „Mickiewicz hermetyczny" Zdzisława Kępińskiego miał więcej wrogów.

Profesor Zofia Stefanowska, autorka epokowego studium o „Księgach pielgrzymstwa i narodu polskiego", w kilkudziesięciostronicowej recenzji wydawniczej (metaforycznie) wyrywała sobie włosy z głowy nad tezami Kępińskiego wiążącymi wieszcza z wolnomularstwem i – o zgrozo! – alchemią. Inny tuz, Wiktor Weintraub, w bibliografii swojej pracy „Poeta i prorok" w ogóle książki Kępińskiego nie raczył uwzględnić, bo – jak napisał – „»hermetyczny« klucz nie przystaje do analizowanych tekstów".

Przez dekady badacze twórczości Mickiewicza poświęcali uwagę czystości filomackich ideałów, nieszczęśliwej miłości, patriotyzmowi Wieszcza. Ale hermetyzm? Masoneria? Wiedza tajemna? Alchemia? – w takim kontekście twórczości największego polskiego poety nie analizował nikt. Ale też do takiego wyzwania trzeba było kogoś bezkompromisowego. I z innej niż literaturoznawstwo branży. Zdzisław Kępiński w środowisku historyków sztuki cieszył się opinią odważnego badacza. Zapracował na nią odkryciem w kościele Świętej Trójcy i Najświętszej Marii Panny w Strzelnie kolumn z przełomu XII i XIII w., pokrytych alegorycznymi płaskorzeźbami, podobnymi do tych w Santiago de Compostella i Bazylice św. Marka w Wenecji. W „Mickiewiczu hermetycznym" próbował ten manewr powtórzyć – krok po kroku obłupywał teksty poetyckie i ich interpretacyjne „przydatki", by odkryć przed światem to, co według niego jest rzeczywistą treścią Mickiewiczowskiego przekazu – hermetyzm.

Jego interpretacja jest błyskotliwa, a porównywanie bohatera ballady „Tukaj" z ćwiartowaniem zwłok i ich gotowaniem w celu odrodzenia, które występuje w mitach i misteriach Egiptu oraz Babilonii, dostrzeżenie w Karczmie Jankiela... Arki Noego czy w końcu próba wyjaśnienia zagadki liczby „czterdzieści i cztery" za pomocą opracowanych przez Paracelsusa magicznych kwadratów liczbowo-literowych, robią wrażenie również dziś. To jedna z tych książek, które rzucą nowe światło i „otwierają głowę". Najlepszy dowód, że zaczytywał się nią Jerzy Grotowski.



Zdzisław Kępiński, „Mickiewicz hermetyczny", wyd. PIW

Gołąbki śląskiej wolności



GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Wydawnictwo Literatura w swojej serii „Wojny dorosłych – historie dzieci" porusza wątki ważne dla naszej historii i – co ważne – przedstawione w sposób przystępny oraz łatwy do zrozumienia dla młodego czytelnika. Pierwsze książki tego cyklu opowiadały o wydarzeniach z okresu II wojny światowej, ale jego tematyka została rozszerzona o opowieści z czasów współczesnych oraz okresu odzyskiwania przez Polskę niepodległości.

Akcja „Gołąbka niepokoju" Kazimierza Szymeczki, jednej z najnowszych książek serii, przenosi nas na Śląsk tuż po I wojnie światowej. Główny bohater – niespełna dziewięcioletni Gustlik – mieszka z rodzicami w Bytomiu. Jego rodzina próbuje wieść po wojnie normalne życie: ojciec niedawno wrócił z frontu, jeden z jego braci zginął podczas walk, nieznane są losy drugiego wujka. Dla Gustlika bardzo ważne stają się gołębie – otrzymał je w prezencie na urodziny. Towarzysząc chłopcu i jego bliskim w codzienności między podwórkiem, gołębnikiem a Ulem, czyli Domem Polskim, śledzimy wydarzenia wielkiej historii. A czas to niełatwy, bo mimo zakończenia wojny walka o Śląsk dopiero się zaczyna.

Autor wprowadza do narracji podstawowe informacje o postanowieniach międzynarodowych odnośnie do Śląska. W historię rodziny Gustlika wplata wiadomości o trzech powstaniach śląskich, przyczynach ich wybuchu, najważniejszych momentach walk. Wreszcie młody czytelnik dowiaduje się, czym był plebiscyt, w jaki sposób oddawano w nim głosy i jaki był jego wynik. W wydarzeniach tych swoją rolę odgrywają gustlikowe gołębie – drugoplanowi bohaterowie powieści – przenoszą wiadomości przez polsko-niemiecką granicę.

Książka jest pięknie ilustrowana przez Magdalenę Pilch. Posiada także sporo materiałów archiwalnych, takich jak fotografie czy plakaty propagandowe, uzupełniających narrację. Wszystko porządkuje kalendarium, a dołączona na końcu mapa pozwala zrozumieć młodemu czytelnikowi przebieg wydarzeń.

Autor książki, pochodzący ze Śląska, w krótkiej nocie historycznej podsumowuje informacje historyczne oraz odwołuje się do wątków rodzinnych. Czy zatem Gustlik to prawdziwa postać?



Kazimierz Szymeczko, „Gołąbek niepokoju", Wydawnictwo Literatura, 2019; wiek 8+

eprasa.pl d16ae12b4e

NORWESKI HEROIZM



NORWESKI FILM „MAX MANUS" Z 2008 r. JEST CIEKAWYM PRZYKŁADEM, W JAKI SPOSÓB KRAJ, KTÓRY STAŁ SIĘ SYMBOLEM KOLABORACJI Z NIEMCAMI, WALCZY DZIŚ O SWOJE DOBRE IMIĘ, EKSPONUJĄC OSOBY, KTÓRE TEJ WSPÓŁPRACY SIĘ PRZECIWSTAWIAŁY



KAROL MAZUR

W Norwegii jedną z osób, które stawiały opór niemieckiej okupacji, był Max Manus, a właściwie Maximo Guillermo Manus, którego wyczyny łudząco przypominają osiągnięcia słynnego agenta nr 1, czyli działającego podczas wojny w Grecji pół Polaka i pół Rosjanina – Jerzego Iwanowa-Szajnowicza.

Niemcy zajęli Norwegię wiosną 1940 r., łamiąc jej status neutralności. To skandynawskie państwo odgrywało ważną rolę gospodarczą, gdyż przez nie odbywał się tranzyt szwedzkich rud żelaza. W celu przejęcia pełnej kontroli nad kluczowym szlakiem Hitler wysłał tam korpus ekspedycyjny. Po dwóch miesiącach zaciętych walk z siłami norweskimi i alianckimi Niemcy zdobyli cały kraj. Działania niemieckie zostały poparte przez Vidkuna Quislinga, przywódcę norweskiej partii faszystowskiej Jedność Narodowa, który widział Norwegię jako część pangermańskiego imperium Hitlera. Quisling został szefem marionetkowego rządu w okupowanej Norwegii i przyczynił się w znacznej mierze do eksterminacji norweskich Żydów. Sama okupacja niemiecka w Norwegii nie była oczywiście tak okrutna jak w Polsce; w końcu Norwegowie należeli w oczach Niemców do rasy nordyckiej. Poza tym wielu z nich robiło wówczas niezłe interesy na przemyśle wojennym, a norweskie kobiety wchodziły w „bliskie relacje" z niemieckimi żołnierzami. Nie wszyscy jednak Norwegowie pogodzili się z niemiecką inwazją. Król Haakon VII wraz z rządem udał się na emigrację do Wielkiej Brytanii, skąd kierował ruchem oporu w kraju. Niewielkie grupy wojskowych i młodzieży, oprócz działalności propagandowej, przy wsparciu aliantów prowadziły akcje dywersyjne i sabotażowe. Z jedną z takich grup o nazwie Gang z Oslo współpracował Max Manus.

Film Espena Sandberga i Joachima Ronninga jest bardzo dobrą wojenną biografią tego norweskiego bohatera. Manusa poznajemy na początku w Finlandii, gdzie walczył w wojnie obronnej 1939/1940 przeciw Związkowi Sowieckiemu. To tam przeszedł swój chrzest bojowy. Było to bardzo ważne dla niego doświadczenie, gdyż wielokrotnie do niego wracał w swoich wspomnieniach. Po zajęciu Norwegii przez Niemców Manus szybko włączył się w ruch oporu. Początkowo wraz ze swoimi przyjaciółmi organizuje akcje propagandowe, kolportując ulotki nawołujące do oporu. Robi to jednak na tyle beztrosko, że rychło zostaje aresztowany przez gestapo. Podczas przesłuchania wyskakuje z okna, a potem ucieka ze szpitala, gdzie leczył się z urazów doznanych podczas ucieczki. Akcja ta przysparza Manusowi sławy. U samego bohatera budzi jednak refleksje, że jego kraj ma do czynienia z bezwzględnym i okrutnym wrogiem i same działania propagandowe nie wystarczą, żeby go zwalczyć. Dlatego udaje się do Wielkiej Brytanii, gdzie przechodzi gruntowne szkolenie wywiadowcze i dywersyjne. Po powrocie do kraju organizuje już poważne akcje wojskowe. Ich głównym celem jest unieszkodliwianie stacjonujących w porcie w Oslo niemieckich okrętów. Max Manus osiąga sukcesy w zwalczaniu niemieckiej machiny wojennej, a ich zwieńczeniem jest zatopienie torpedowca Donau.

Film na szczęście nie jest tylko zestawieniem bohaterskich wyczynów Manusa. Jego twórcy subtelnie kreślą obraz psychologiczny postaci. Pokazują, jak rodzi się uczucie do jego przyszłej żony Idy, a przede wszystkim jakie skutki dla psychiki bohatera niesie stres wojenny. Wiemy, że po wojnie musiał leczyć się psychicznie, gdyż wpadał w stany lękowe. Film też dotyka spraw dla Norwegów niewygodnych. Widzimy ludzi Quislinga współpracujących gorliwie z Niemcami w rozpracowaniu Gangu z Oslo. Na drugim planie mamy też piękną Norweżkę, która wiąże się z głównym prześladowcą Manusa, czyli szefem gestapo w Oslo.

Kończąc opis tej norweskiej produkcji, ponownie nasuwa się mi się gorzka refleksja nad dorobkiem naszej kinematografii. Przecież w szeregach samych cichociemnych moglibyśmy znaleźć kilkunastu polskich Max Manusów, jak choćby Jan Piwnik „Ponury", których dokonania i bohaterstwo nie zostały jeszcze pokazane w pełnometrażowym filmie. Pozostaje nam zatem nadal oglądać polską produkcję z 1971 r., skądinąd wyśmienitą, o wyczynach wspomnianego agenta nr 1 w okupowanej Grecji.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d16ae12b4e

KSIĘŻNA MARIA, CZYLI DOMYŚLNOŚĆ SERCA

CÓRKĘ, KTÓREJ DANO IMIONA MARIA ANNA, IZABELLA Z FLEMMINGÓW CZARTORYSKA URODZIŁA W ROKU KONFEDERACJI BARSKIEJ. ZŁOŚLIWI NAZYWALI KSIĘŻNICZKĘ CIOŁKÓWNĄ, JAKO ŻE JEJ MATKA PODEJRZANIE CZĘSTO SPOTYKAŁA SIĘ ZE STANISŁAWEM AUGUSTEM



JOANNA PUCHALSKA

Po tragicznej śmierci pierworodnej księżniczki Teresy Maria była najstarsza z rodzeństwa. Rodzice pragnący jeszcze bardziej podnieść splendor rodu nalegali, by poślubiła księcia Ludwika Wirtemberskiego, spokrewnionego z panującymi dworami Europy. Księżna Izabella zarzekała się wprawdzie, że córka ma się kierować sercem, jednak delikatnie ją do małżeństwa popychała. Maria z początku nie chciała o tym słyszeć (podobno w panieńskim serduszku namieszał nieco nadworny puławski poeta Franciszek Dionizy Kniaźnin, który matrymonialnie nie wchodził w grę). W końcu uległa namowom, choć nie kochała Ludwika, a jego wybuchowy charakter ją przerażał. Lojalnie uprzedziła narzeczonego, że idzie za niego tylko z woli matki, licząc po cichu na to, że ów po takim wyznaniu sam się taktownie wycofa, tymczasem on specjalnie się tym nie przejął. Stanowił typ wiecznie tonącego w długach utracjusza i brutala, któremu potrzebny był przede wszystkim bogaty teść, toteż księżna Izabella szybko pożałowała nakłaniania córki do tego związku. Maria była subtelna i delikatna, mąż miał do niej pretensje o wszystko, dochodziło nawet do rękoczynów. Szlachetnie wybaczyła mu domową przemoc, gdy zdecydował się przyjąć indygenat i przenieść się do Polski. W patriotycznym entuzjazmie nie przyszło jej do głowy, że chodziło mu o to, by być bliżej puławskiej skarbonki.

A tak ładnie wszystko się zapowiadało! Zaprotegowany przez samego króla (co by potwierdzało dawne plotki o „Ciołkównie"), Ludwik otrzymał dowództwo armii litewskiej. Jego wojsko, utrzymywane przez księcia Adama Czartoryskiego, stacjonowało pod Gołębiem niedaleko Puław. Księżna Izabella często jeździła tam z córkami, urządzała dla oficerów bale, żywe obrazy, przedstawienia. Ułożyła nawet pieśń, którą śpiewały mieszkanki Puław:

„Żyje Polska! Żyje cnota!
Żyje nasza wolność złota,
Kiedy mamy was".

Na początku 1792 r., parę miesięcy przed wybuchem konfederacji targowickiej, Maria urodziła syna Adama Stanisława Karola Wilhelma. Dziecko nie zdołało związać sobą małżonków. Ludwik znów zaczął być brutalny, na co w imię poświęcenia dla ojczyzny przymknięto by może oczy, ale już zdrady kraju darować nie można było. Gdy przechwycono jego list do ministra pruskiego, w którym donosił, że zgodnie z rozkazami opóźnił wymarsz i rozproszył oddziały, żeby ułatwić walki Rosjanom, natychmiast zwolniono go ze stanowiska, a Maria wszczęła kroki rozwodowe. Niestety, utraciła dwuletniego zaledwie synka, który jako dziedzic nazwiska Württemberg-Montbèlliard został wywieziony do Berlina. Wychowano go w duchu antypolskim. W 1831 r. będzie wypędzał z Puław matkę i babkę.

Błękitne soboty u księżnej pani

Uwolniona od narzuconego małżeństwa, mogąc dowolnie rozporządzać swym losem, księżna Wirtemberska nie wyszła powtórnie za mąż. W czasach Księstwa Warszawskiego w swoim mieszkaniu w Warszawie przy Lesznie prowadziła salon, w którym chętnie bawiono się w gry literackie i zgadywanki, a także czytano własne utwory. Na tzw. błękitne soboty przychodzili regularnie Julian Ursyn Niemcewicz, Aleksander Linowski, Tadeusz Matuszewicz czy Jan Maksymilian Fredro, brat Aleksandra. Okazalsze bankiety zaszczycali książę Józef Poniatowski, jego siostra Maria Teresa po mężu Tyszkiewiczowa, siostra pani domu Zofia Zamoyska z mężem, a nawet pani de Vauban. Od 1813 r. Maria czytała głośno pisane przez siebie dzieło, jako że zwyczajowo wszelkie próby literackie wymagały konsultacji parających się piórem przyjaciół. Ukazało się ono drukiem w 1816 r. i od razu zrobiło furorę. „Nawet Jan Śniadecki oderwał od gwiazd swoją uwagę, a na ten romans skierował" – napisał Lucjan Siemieński. Do 1830 r. „Malwina, czyli domyślność serca" doczekała się trzech wydań polskich i dwóch francuskich (w tłumaczeniu Anny Nakwaskiej), a po 1830 r. dokonano przekładu na rosyjski. Dorastające panny pochłaniały powieść z wypiekami na twarzy.

eprasa.pl d16ae12b4e

Grunt to pomysł na dobrą historię

Zawikłana intryga oparta jest na podobieństwie dwóch braci noszących to samo imię. Młoda, zamożna i piękna wdowa zostaje wyratowana z pożaru przez nikomu nieznanego Ludomira. W tak romantycznych okolicznościach nie ma innego wyjścia, bohaterowie muszą się w sobie zakochać. Jednakże Ludomir skrywa pewną tajemnicę i postanawia się usunąć. Po kilku miesiącach ich drogi znów się krzyżują, lecz Ludomir zupełnie nie przypomina Malwinie ukochanego.

Sama autorka przyznawała, że główna bohaterka nie jest postacią „romansową", ale osobą realną, i wprost uprzedziła czytelników: „Malwiną się przezwę". Historia małżeństwa Malwiny sprzed poznania Ludomira bardzo przypomina losy nieszczęśliwego związku księżnej. Powieściowy mąż, tak jak jego pierwowzór, też nie zniechęcił się wyznaniem, że tylko z woli pani matki został przyjęty, i następnie „dzikością charakteru, zazdrością bez powodów, ustawicznymi popędliwymi wyrzutami, że go nie kocha, truł młode lata, dnie i godziny wszystkie łagodnej niewinnej Malwiny". Z kolei w dwóch Ludomirach dopatrzono się dwóch wcieleń księcia Józefa: patrioty rycerza i dworskiego bawidamka. Postać „pysznoskąpskiego" pana, który daje na ubogich tylko dlatego, że kwestarka jest ładna, wzorowana była na Tadeuszu Mostowskim, znanym edytorze, publicyście i krytyku literackim, a piękna intrygantka Doryda to Henrietta de Vauban, kochanka księcia Józefa. Opis Krzewina, majątku bohaterki, daje wierny obraz Puław z festynami, parkiem, łachą wiślaną i sielankowym otoczeniem.

Bystre oko, lekkie pióro

Autorka nie tworzy szczegółowo wykończonych wizerunków postaci, a czasem wręcz jedną kreską szkicuje ich charakter. Jak w przypadku trzpiotowatej Wandy, siostry Malwiny, o której najlepiej mówi zdanie: „Wstrzemięźliwość w gadaniu nie była [jej] cnotą pierwszą".

Prawdziwą galerię typów poznaje czytelnik, towarzysząc bohaterce kwestującej po domach warszawskich. Jest wśród nich piękna pani, przymierzająca strój balowy, która prosi Malwinę jako dobrą znajomą, „by za nią dała dukata, gdyż sama nic przy sobie nie ma obecnie".



Maria z Czartoryskich Wirtemberska (1810)

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

I oczywiście potem długu nie zwraca. Jest dziewczynka na pensji, która oddaje swą lalkę „dla biednych dzieci, co mamów nie mają, to i lalusiów pewnie nie mają".

Księżna pani z upodobaniem opisuje sceny miłosne w blasku księżyca, rycerskie turnieje, fety z siurpryzami, które tak dobrze znała z Puław. Podobnie jak matka w sentymentalnym stylu wrażliwa na dolę ludu, wprowadza do powieści tegoż ludu przedstawicieli, a więc starą Somorkową z Krzewina z wnuczką Julisią czy Cygana Dżęgę. Ten ostatni, także poprzez imię, to świadome nawiązanie do „Cyganów" Kniaźnina. Tak uczciła pamięć poety i połączyła jego utwór ze swoim nie tylko wspólnym motywem porwania dzieci przez Cyganów.

Patriotka językowa i prekursorka romantyzmu

Sentymentalna opowieść o Ludomirze i Malwinie napisana została w języku ojczystym, co było czynem patriotycznym w dobie zalewu rynku czytelniczego powieściami francuskimi (pierwsze wydanie przekładu francuskiego przeznaczone było dla tych Polek, które nie władały na tyle biegle własną mową, by książkę przeczytać). Autorka sama napisała w przedmowie: „Nie ma ona innej zalety nad tę, że w ojczystym języku pierwszym jest w tym rodzaju romansem".

Romans ów ze swoją analizą przeżyć i emocji był na tamte czasy wręcz awangardowy i uważany jest za jedną z pierwszych polskich powieści psychologicznych. Pisarka zrywa ze sztywnym oświeceniowym dydaktyzmem i głosi pochwałę serca kierującego się własnym rozeznaniem oraz tytułową domyślnością. Teraz uczucie stanowi narzędzie poznania i interpretacji świata. Jest to taka nasza polska „Nowa Heloiza", czyli sentymentalna jeszcze zapowiedź romantyzmu, będącego odpowiedzią nowego pokolenia na kryzys wartości wieku rozumu.

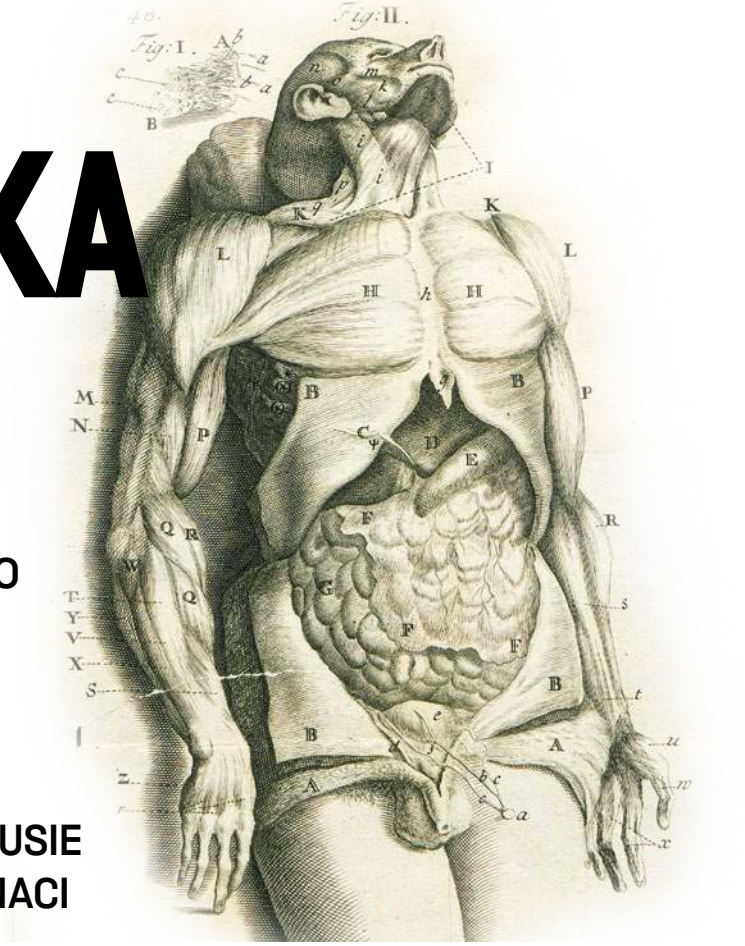
Malwiną się przezwę...

Powieściowa Malwina oddała serce Ludomirowi, nie pytając go o pochodzenie ani o nazwisko, jakby te podstawowe w jej sferze informacje w ogóle nie były dla niej ważne. Wystarczyło, że dowiódł swej szlachetności, gdy z narażeniem życia wyniósł z płonącej chaty małą Alisię. Czyżby to było literackie odreagowanie niespełnienia własnej „domyślności serca" – młodzieńczej fascynacji nadwornym poetą?

Autorka pierwszej polskiej psychologicznej prozy kobiecej napisała jeszcze kilka powieści i innych utworów, które nie są już tak znane. Zmarła w Paryżu, pochowana jest w rodowej krypcie Czartoryskich w kościele w Sieniawie.

eprasa.pl d16ae12b4e

TURYSTYKA MEDYKA



W DOBIE INTERNETU I POWSZECHNEGO DOSTĘPU DO INFORMACJI ZNACZNIE ŁATWIEJ POBIERAĆ NAUKI I SZKOLIĆ SIĘ W RÓŻNYCH DZIEDZINACH. KAŻDĄ WĄTPLIWOŚĆ MOŻNA ROZWIAĆ, NIE RUSZAJĄC SIĘ Z DOMU. O TAKIM LUKSUSIE MOGLI TYLKO POMARZYĆ NASI ANTENACI



KRZYSZTOF ŻARYN

Dla naszych przodków zdobywanie wiedzy wiązało się z dużymi kosztami oraz nakładem pracy i czasu. Księgi były rarytasem, a dostęp do nich mieli tylko wybrańcy. Trzeba było sobie radzić w tak niesprzyjających warunkach na różne sposoby. Jeden z nich wprowadził w życie Christian Heinrich Erndtel (1676–1734) – nadworny lekarz króla Rzeczypospolitej – Augusta II Mocnego. Nienasycony wiedzą zdobytą na uczelni udał się w podróż do Anglii i Niderlandów, gdzie zgłębiał arkana sztuki medycznej oraz wielu innych dziedzin życia. Był świadkiem licznych zabiegów czy operacji, co mógł wykorzystać w późniejszej praktyce. Całą podróż opisał w listach, szczególną uwagę poświęcając spostrzeżeniom obrazującym różne dziedziny nauki o człowieku. Dzieło to dało mu sławę na miarę angażu na królewski dwór, gdzie spożytkował swą wiedzę do leczenia samego monarchy. Potomnym zaś pozostawiło obraz świadomości medycznej ówczesnych uczonych.

Medicus z dziada pradziada

Uprzedzając prezentację najciekawszych opisów znajdujących się w dziele medyka, poznajmy nieco jego sylwetkę. Był jednym z wybrańców, którzy mieli szczęście dostępu do ksiąg i pomocy naukowych jako syn drezneńskiego lekarza i aptekarza oraz wnuk Heinricha II Erndtela, który świadczył usługi lekarskie na dworze Jana Jerzego I – elektora Saksonii. Jakby tego było mało, pierwszy tego imienia, pradziadek naszego bohatera, był aptekarzem nadwornym cesarza Rudolfa II. Można zatem powiedzieć, że Christian Heinrich Erndtel miał zaplecze i predyspozycje do osiągnięcia w medycynie wybitnego poziomu. A warto wspomnieć, że był on siódmym dzieckiem wśród 11 rodzeństwa, więc o zainteresowanie oraz nakłady na edukację musiał ciężko walczyć. Tym bardziej że szybko został sierotą. Najpierw odumarła go matka, a gdy miał 18 lat – odszedł ojciec. Wówczas Erndtel postanowił, że jego życie będzie kontynuacją dzieła przodków. W przedmowie do książki „Dziennik podróży uczonej Christiana Erndtela, lekarza przybocznego króla Augusta II" możemy się zapoznać z fragmentem mowy wygłoszonej przez autora na pogrzebie ojca: „Pomyślałem, że uraduję niebawem ojcowskie serce, gdy w niedługim czasie położę fundament pod mądre nauki; jego duch odnowi się wtedy, kiedy moja pilność w sposób chwalebny ziści się na uniwersytecie". Już rok później spełnił swą obietnicę. Rozpoczął studia na uniwersytecie w Wittenberdze, by później kontynuować je w Lipsku. Szybko zyskał uznanie, zasłynął jako znawca nie tylko medycyny, lecz również botaniki i filozofii. Po ukończeniu studiów został nawet jednym z wykładowców.

Człowiek wszechstronny

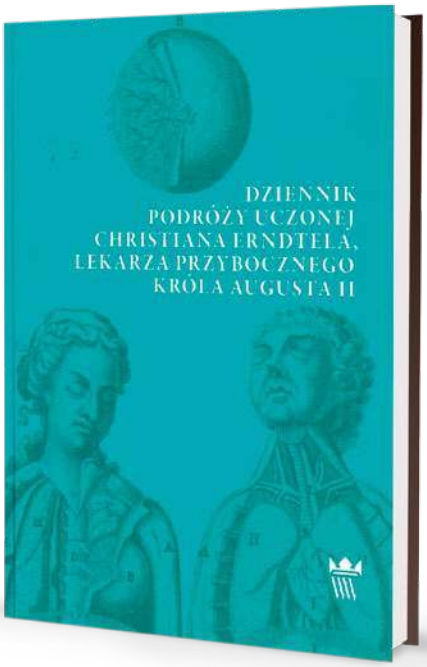
Niemiecki uczony był osobą szalenie ambitną oraz ciekawą świata. Gdy uzyskał tytuł doktora medycyny, postanowił zgłębić wiedzę w sposób bardziej praktyczny. Wyruszył więc w podróż, która okazała się biletem do lepszego życia, jakim była posługa lekarska na dworze Augusta II Mocnego. Z podróży tej wyniósł wiele niesamowitych doświadczeń.

Będąc już w Warszawie, zajmował się głównie leczeniem monarchy oraz dworzan, dodatkowo wspomagając swój stan posiadania praktyką prywatną. Christian Henrich Erndtel miał jednak bardzo duży sentyment do natury i botaniki. Na pol-

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl d16ae12b4e

skiej ziemi rozwijał tę pasję, pozostawiając po sobie dużą porcję pożytecznej wiedzy. Prowadził np. szeroko rozwinięte zapiski dotyczące klimatu polskiego. Notował skrupulatnie ciśnienie atmosferyczne, temperaturę czy siłę wiatru, przyczyniając się do rozwoju polskiej meteorologii. Badał roślinność oraz z wielką starannością i oddaniem opisywał zabytki napotkane na naszych terenach. Z tych spisanych obserwacji stworzył rzetelny katalog pięknych obiektów naszej stolicy. Można uznać więc, że zasługi lekarza zza zachodniej granicy nie ograniczały się jedynie do leczenia naszego władcy i jego najbliższych współpracowników. Był on także propagatorem kultury polskiej.



Podróże kształcą rzeczywiście

Przemierzając tereny Anglii i Holandii, medyk napatrzył się na wiele drastycznych, ale zarazem bardzo pouczających scen. Miał taką możliwość dzięki życzliwości spotkanych na swojej drodze uczonych, którzy odsłaniali przed nim nowe możliwości poznawcze. Szczególnie dwóm z nich autor listów poświęca dużo miejsca. Byli to niderlandzcy lekarze – doktor Frederik Ruysch oraz Johann Jacob Rau. Pierwszy podzielał obie pasje naszego bohatera. Był bowiem znanym botanikiem i anatomem. Według relacji Erndtela Frederick Ruysh był oddany swojej pracy, a część z niej zabierał do domu. Znajdujemy tam opisy niezliczonych eksponatów anatomicznych, które miały służyć jako materiał naukowy dla studentów. Jeden z nich szczególnie zapadł w pamięć niemieckiemu podróżnikowi: „[...] chodzi mianowicie o mumię ośmioletniego chłopca, którego ciało dzięki wstrzyknięciu pewnego płynu i sztuce balsamowania jest zachowane po śmierci w takiej świeżości i tak dobrym stanie, że kolory skóry i sprężystość mięśni wydają się naturalne, gdy na nie patrzymy i ich dotykamy". Treść listu nie mówi nam jednoznacznie, czy dany eksponat również mieścił się w domowych pieleszach holenderskiego uczonego. Trzymanie takiej pomocy naukowej może powodować ciarki i peszyć nie tylko gości, lecz przede wszystkim domowników, ale tego możemy się jedynie domyślać. Inny cytat pokazuje dokładnie, w jaki sposób zdobywano wiedzę medyczną w praktyce: „Trzynastego dnia stycznia dostarczono z miejskiego szpitala ciało kobiety, która zmarła w czasie porodu [...]. U kobiet w ciąży macica uciska na jelito, wątrobę, żołądek i przeponę tak, że jest im trudno oddychać. [...] W trakcie ciąży doszło bowiem do ogromnego rozrostu tego mięśnia, który może wydawać się niewiarygodny, zwłaszcza gdy nie bierze się pod uwagę pogrubienia środkowej błony naczyniowej macicy, która rośnie stopniowo dzień po dniu wraz z płodem". Te i wiele innych kwestii o układzie moczowym i rozrodczym Christian Henrich Erndtel zgłębiał pod czujnym okiem Ruyscha.

Drugi z mentorów – Johann Jacob Rau – również był anatomem oraz chirurgiem. Opisy sporządzone w czasie półrocznej nauki u tego mędrca dotyczą zarówno anatomicznych odkryć, jak i zabiegów chirurgicznych na żywym organizmie. Jeżeli chodzi o tę pierwszą grupę badań, pan Rau odznaczył się m.in. odkryciem stawu skroniowo-żuchwowego, który wcześniej był błędnie przedstawiany. Ciekawszym przypadkiem jest jednak zamieszczona notatka dotycząca metody poszukiwania kamienia w pęcherzu. Jest to dość drastyczny opis sposobu, w jakim lekarz za pomocą zakrzywionego cewnika odszukuje złóg i ocenia jego rozmiary, zalecając zabieg chirurgicznego usunięcia. Uczony jest na tyle doświadczony, że dba o szczegóły operacji: „Pan Raw ustalił datę tego zabiegu na nadchodzący marzec, gdyż chciał, aby minęły już niskie zimowe temperatury. W międzyczasie zalecił choremu picie dużych ilości mleka w miejsce dotychczas wypijanych innych płynów". Dawki wapnia dostarczane z mlekiem miały za zadanie zmniejszać ryzyko powstawania szczawianów wapnia w organizmie.

Wiedzę o tym, by dodawać produkty mleczne do szpinaku czy szczawiu po to, by ograniczać ryzyko powstawania kamieni przewodów moczowych, uzyskałem z książek. Jak widać, kiedyś trzeba było być dużo bardziej dociekliwym, by taką wiedzę posiąść. Same książki dawały często błędne i tylko teoretyczne informacje. W przypadku naszego bohatera idealnie sprawdza się powiedzenie, że podróże kształcą. Warto więc otwierać się na nowe i dociekać praktycznej wiedzy, zwłaszcza że dziś mamy ku temu dużo większe możliwości niż ongiś Christian Henrich Erndtel.



Erndtel podczas służby królowi w Warszawie (na ilustracji królewski pałac w Wilanowie w początkach XVIII w.) przyczynił się też do rozwoju polskiej meteorologii, notując starannie dane o pogodzie

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl d16ae12b4e

PROSTY I SKUTECZNY

POLSKI GRANATNIK WZ. 36 ODZNACZAŁ SIĘ NIESKOMPLIKOWANĄ KONSTRUKCJĄ I ŁATWOŚCIĄ OBSŁUGI



Przekazanie 20. Pułkowi Piechoty Ziemi Krakowskiej 40 granatników wz. 36, 1938 r., Kraków



KACPER GROCHOCKI

Broń wsparcia piechoty przechodziła dynamiczny rozwój w czasie I wojny światowej. Zarówno w działaniach ofensywnych, jak i defensywnych poszukiwano nowych rozwiązań mających wspomóc żołnierzy. W ten sposób narodziły się m.in. granatniki, garłacze czy miotacze min. Uzbrojenie tego typu miało zwiększyć zasięg miotania ładunków wybuchowych dostępny pojedynczym piechurom lub niewielkim pododdziałom. Stromotorowa parabola lotu pocisku sprawiała, że była to broń wysoce użyteczna w walce z przeciwnikiem ukrywającym się w okopach. Konstrukcje te udowodniły swoją przydatność w czasie I wojny światowej i po zakończeniu konfliktu weszły na stałe do wyposażenia większości armii świata.

W odrodzonym Wojsku Polskim przez pierwsze lata, jak w przypadku wielu innych typów uzbrojenia, korzystano z kilku rodzajów granatników i garłaczy różnego pochodzenia. Do najpopularniejszych należały francuskie garłacze karabinowe V.B. (Viven Bessieres) oraz niemieckie granatniki wz. 16. Rozpoczęty w latach 20. XX w. postępujący proces unifikacji uzbrojenia armii II RP nie ominął także broni wsparcia.

Prace nad własnym granatnikiem dla żołnierzy piechoty rozpoczęto w 1927 r. Miała to być broń łatwa w produkcji i obsłudze, kompaktowa oraz lekka. Pierwsze prototypy poddano testom w listopadzie 1929 r. Wykazały one wiele niedoskonałości konstrukcji, ale jednocześnie okazały się lepsze od sprawdzanych w tym samym czasie granatników włoskich. Zespół inżynierów (m.in. z J. Maroszkiem w składzie) podjął działania mające na celu udoskonalenie projektu. Poprawione prototypy powstały w kwietniu 1931 r. Po kolejnych testach broń została przyjęta do uzbrojenia jako granatnik wz. 1930. Zamówionych zostało 412 egzemplarzy, które zaczęły trafiać do jednostek liniowych w początkach 1933 r.

Nową konstrukcję sprawdzali dalej sami żołnierze mający zgłaszać swoje spostrzeżenia wynikające z codziennego użytkowania broni. Wykryte w ten sposób usterki (np. wadliwy montaż celownika czy system spustowy) zadecydowały o podjęciu prac nad dalszym rozwojem projektu. Kolejne prototypy powstały w 1935 r. i posłużyły za wzory do produkcji seryjnej granatnika oznaczonego jako wz. 1936, którego pierwsze sztuki dotarły do oddziałów w drugiej połowie 1937 r.

Wyglądem broń przypominała tubę na dwójnogu zakończoną podpórką. Nad „główną" rurą, będącą lufą, znajdowała się mniejsza połączona z nią i służąca za regulator gazowy. Za jego pomocą zwiększało się lub zmniejszało ciśnienie gazów prochowych w lufie, co było równoznaczne z ustaleniem zasięgu prowadzonego ognia. Z granatnika można było strzelać pociskami ostrymi (rozpryskowymi), ćwiczebnymi i dymnymi (wskaźnikowymi/sygnalizacyjnymi). Do wybuchu wojny Wojsko Polskie dysponowało niespełna 3,5 tys. granatników wz. 36 oraz blisko 400 wz. 30. Na dywizję piechoty miało przypadać 81 szt. wyrzutni granatów.

Według wytycznych po mobilizacji każda kompania liniowa w batalionie piechoty powinna mieć w swoich strukturach sekcję granatników, ta zaś składać się powinna z trzech granatników. Obsługa każdego miała liczyć: granatnikowego, celowniczego, dwóch amunicyjnych oraz strzelca odpowiadającego za biedkę z pociskami. Za całą sekcję odpowiadał wybrany starszy podoficer lub podchorąży. Frontowa praktyka jednak odbiegała od założeń i często drużyny z wyrzutniami granatów formowane były według aktualnych potrzeb pola walki.

Granatniki wz. 36 okazały się skuteczną bronią wsparcia. Ich największy mankament nie brał się z konstrukcji ani obsługi sprzętu, lecz z braku amunicji. Niewielka liczba dostępnych żołnierzom pocisków i problemy z uzupełnieniem tej amunicji uniemożliwiały długotrwały ostrzał. Sprawiało to, że broń szybko stawała się bezużyteczna.

Część granatników po kampanii wrześniowej trafiła w ręce Niemców, którzy wykorzystywali je w celach szkoleniowych, lecz i w tej roli długo nie posłużyły ze względu na wspomniane braki w amunicji.

FOT. NAC

eprasa.pl d16ae12b4e

NAC

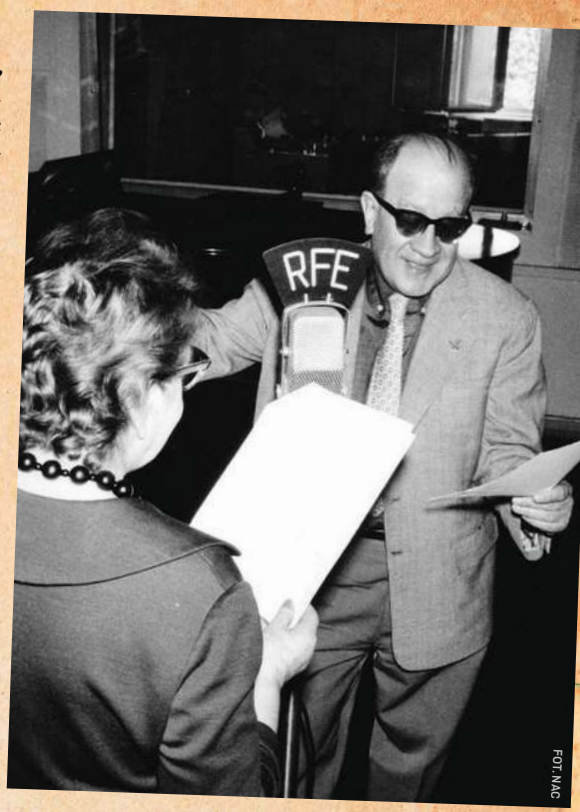
CICHOCIEMNI AKTORZY



KATARZYNA BRĄKOWSKA

Cichociemni to odważni, znakomicie wyszkoleni spadochroniarze Armii Krajowej, których zrzucano do okupowanej Polski w celu pełnienia specjalnych zadań w ruchu oporu. Pracowali w sabotażu, dywersji, legalizacji i wywiadzie. Reprezentowali też różne profesje cywilne. Wśród nich byli m.in. aktorzy: Leonard Skwierczyński ps. Aktor, Teatr (1905–1959) i Karol Dorwski ps. Duży (1906–1980).

W życiorysie Karola Dorwskiego, rodowitego lwowianina, znalazłam ciekawy epizod wojenny, który przykuł moją uwagę. Po klęsce wrześniowej pozostał przez jakiś czas w Warszawie. Pod koniec listopada 1939 r. żona kpt. Plata ze Sztabu Głównego poleciła mu, aby ostrzegł kilku znanych mu oficerów przed grożącymi im w grudniu aresztowaniami. Jednym z nich był późniejszy skoczek spadochronowy por. Jan Kochański z 2. Pułku Szwoleżerów. Po latach, już na emigracji, Karol Dorwski tak pisał w swoich „Wspomnieniach wojennych" na łamach czasopisma „Spadochron" o tym wydarzeniu: „Kochański wiedząc, że znam dobrze Lwów, zaproponował pójście przez zieloną granicę do Lwowa, gdzie mieliśmy »wykraść« znajdującego się w szpitalu garnizonowym gen. Andersa. Odpowiedziałem, że znam dobrze ogrody szpitalne przy ulicy Bonifratrów, równoległej do ul. Łyczakowskiej [...]. Niestety przyszła wiadomość, że gen. Anders został przewieziony ze szpitala do więzienia w Brygidkach, a stamtąd wywieziony do Rosji. Zmieniliśmy więc nasze plany i postanowiliśmy pójść na Rymanów, stąd przez Słowację przejść na Węgry. W Rymanowie, gdzie znaleźliśmy się po godzinie policyjnej, zabrał nas patrol na wartownię. Powiedzieli, że rano nas wypuszczą. Rano przyjechało kilku innych oficerów. Ciągle padało moje nazwisko. Ja miałem przy sobie moje autentyczne dokumenty i recenzje teatralne. Przyjaciele mieli dokumenty na inne nazwiska. Zamiast jednak wypuszczenia odesłano nas do Iwonicza do hotelu Excelsior, gdzie kwaterowała Abwehra. Przesłuchiwał nas po polsku Oberleutnant Galuszka i podoficer Janiczek. Mnie wypytywano o rozmaitych wyższych oficerów ze sztabu, ale ja nie przyznawałem się do żadnej z nimi znajomości, chociaż niektórych mniej lub więcej znałem. Odesłano nas do Gestapo do Krosna. [...]. W czasie przesłuchiwań miałem wrażenie, że podejrzewano mnie, że byłem jakimś oficerem, zbiegłym z niewoli [...]. Wypytywali nas o rozmaite sprawy, a nagle gestapowiec zapytał, czy to ja grałem w filmie »Za winny niepopełnione«, a gdy odpowiedziałem twierdząco, powiedział, że mnie pamięta ze Lwowa i z Warszawy z tego filmu i teatru. W związku z tym okazało się, że nie mogłem być kapitanem, co uciekł z niewoli (o co mnie oskarżano) [...]. Opuściliśmy więc więzienie po kilku tygodniach i pojedynczo udało się nam przekroczyć granicę [...]. Dopiero po wojnie będąc we Włoszech przyjechał do Teatru II-go Korpusu ppor. Mirecki – również aktor [...]. Opowiadał mi wtedy, że wzięto go jako zakładnika, gdy uciekł z niewoli koło Milanówka niejaki kapitan Dobrski [...]. Wtedy zrozumiałem, że podobieństwo nazwiska Dobrski i Dorwski było przyczyną moich długich przesłuchiwań w Rymanowie, Iwoniczu i Krośnie". Paradoksalnie sława aktorska uratowała mu życie. Po wojnie zamieszkał w Wielkiej Brytanii i występował w Teatrze Dramatycznym w Londynie. Pracował też jako spiker i aktor w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium. Znany był szczególnie z roli Kajtusia emigranta w audycji „Podwieczorek przy mikrofonie".



FOT. NAC

Karol Dorwski podczas nagrywania audycji „Podwieczorek przy mikrofonie" w studiu Radia Wolna Europa w Monachium



FOT. NAC

Leopold Skwierczyński w przedstawieniu „Szklanka wody" Eugeniusza Scribe'a w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Łucku

Metamorfoza



ANTONI DUDEK

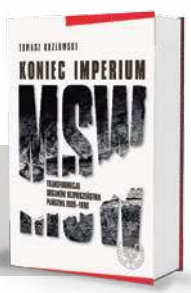
Takie właśnie słowo przyszło mi do głowy, gdy zastanawiałem się nad tym, jak najkrócej określić temat książki młodego historyka z IPN Tomasza Kozłowskiego, który postanowił opisać jeden z najbardziej frapujących procesów mających miejsce w Polsce przed niespełna 30 laty. Proces przekształcenia bezpieki w Urząd Ochrony Państwa.

Z tym tematem mierzyli się już w przeszłości różni autorzy, ale dopiero Kozłowskiemu udało się przeprowadzić naprawdę szeroką kwerendę, efektem której jest pierwsze całościowe spojrzenie na rozkład imperium MSW.

Kozłowski zaczyna od charakterystyki procesów zachodzących w SB w ostatniej dekadzie jej istnienia, koncentrując się na roli odegranej przez szefa MSW gen. Czesława Kiszczaka oraz jego rywalizacji z gen. Mirosławem Milewskim. Jednak najciekawsza jest dokonana przez niego analiza zmian zachodzących w MSW po powstaniu rządu T. Mazowieckiego, w tym zwłaszcza nastrojów panujących wówczas w środowisku funkcjonariuszy. Kozłowski przekonująco dowodzi, że bunt aparatu bezpieczeństwa wobec zmian demokratycznych był w latach 1989–1990 mało realny. Przedstawia też narastającą presję na rząd Mazowieckiego ze strony jego zaplecza parlamentarnego (zwłaszcza skupionego w OKP), postulującego przyspieszenie zmian w MSW, a także działalność związkowców w szeregach Milicji Obywatelskiej oraz pojawienie się oddolnych ruchów reformatorskich w szeregach SB.

Oczywiście nie zabrakło również wyczerpującego omówienia procesu weryfikacji funkcjonariuszy SB. Jest też obecny wątek niszczenia i ukrywania dokumentów bezpieki, a na solidne potraktowanie tematu przez autora wskazuje, że omówił on przy tej okazji próby – w większości nieudane – pociągnięcia do odpowiedzialności karnej osób odpowiedzialnych za te bezprawne działania.

W ostatniej części książki zajął się organizacją UOP, docierając do wielu nowych informacji dotyczących pierwszego okresu istnienia tej instytucji. Niestety nie pozostawiają one złudzeń, że mieliśmy do czynienia z budową nowej instytucji. UOP był bowiem rezultatem procesu metamorfozy i w pierwszych latach swego istnienia miał – przy wszystkich słabościach tej biologicznej analogii – tyle wspólnego z SB, ile gąsienica z motylem.



T. Kozłowski, „Koniec imperium MSW. Transformacja organów bezpieczeństwa państwa 1989–1990", Warszawa 2019

Obrazki z wystawy



PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Najbardziej wyczekiwana premiera sezonu zakończyła się najbardziej dojmującą porażką. Za „Borysem Godunowem" z warszawskiego Teatru Polskiego nie przemawia nic.

Być może pułapką były same huczne zapowiedzi o tym, że „Borys Godunow" w reżyserii Petera Steina będzie najbardziej wymagającą inscenizacją w polskich dramatycznych teatrach repertuarowych od 1989 r. Skala przedsięwzięcia, ranga tekstu, w końcu nazwisko jednego z najwybitniejszych reżyserów teatralnych w Europie – to wszystko zrobiło swoje: rozbudziło oczekiwania.

Tymczasem od początku oglądamy opowieść pozbawioną energii albo inaczej mówiąc, opowieść, z której energia musiała ulecieć, jeśli tylko weźmiemy pod uwagę, że przedstawienie z Polskiego stanowi powtórzenie wersji dramatu Puszkina, którą Stein pokazał w moskiewskim Teatrze Et Cetera w 2015 r. Czy zespół pod wodzą Andrzeja Seweryna mógł dodać coś od siebie i – co ważniejsze – czy Stein w ogóle traktował aktorów indywidualnie? Trudno odpowiadać, ale można odnieść wrażenie, że wszyscy grają tu role, do których nie zostali przekonani, co więcej jednak, grają tak, jakby musieli odtwarzać teatr, w który nie wierzą. Ktoś powie, że to teatr tradycyjny, klasyczny, a taki dziś natychmiast jest skazany na porażkę. To nieprawda, bo kostium zaprojektowany z dbałością o najmniejszy detal, wyraźny ton decorum i nawet scenografia sprzed lat – nie decydują jeszcze o niczym. Taki teatr bowiem potrafi przemawiać o wiele dobitniej niż niejeden odważny seans postdramatyczny.

Jedna z najbardziej znanych historii o władzy i jej pragnieniu tym razem nie zadziałała. Sam Andrzej Seweryn w roli tytułowej zdaje się pogubiony, choć na pewno korzysta z bardzo skromnych środków, jakby chciał pozostać nieco z boku, niczym postać symboliczna. Z kolei Marcin Bubółka jako Samozwaniec – rola w tym dramacie dająca najwięcej możliwości – nawet nie zbliżył się do postaci, ratując się nadekspresją i nietrafioną w stosunku do tekstu retoryką. To mało, Puszkina trzeba umieć wypowiedzieć. Cóż, otrzymaliśmy pozór problemów, zero emocji i teatr prosto z muzealnej gabloty.

Aleksander Puszkin, „Borys Godunow", reż. Peter Stein, Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana, premiera: 24 maja 2019 r.



eprasa.pl d16ae12b4e



FOT. AIPN

POLSKIE WOJSKO NA PL. ŚWIĘTEGO PIOTRA

Generałowie Bolesław Duch, Władysław Anders i Kazimierz Sosnkowski dokonują przeglądu polskich oddziałów na pl. Świętego Piotra w Rzymie przed spotkaniem z papieżem Piusem XII, 28 lipca 1944 r.



KONRAD WIESŁAW ŚLUSARSKI

W piątek 28 lipca 1944 r. w Rzymie panowała przepiękna letnia pogoda. Na placu przed bazyliką Świętego Piotra w zwartych szeregach zgromadziło się około dwóch tysięcy polskich żołnierzy walczących na froncie włoskim. Reprezentowali wszystkie wielkie jednostki oraz pododdziały samodzielne II Korpusu Polskiego, który zasłynął niedawnym zdobyciem Ankony i Loretto, a wcześniej bohaterskimi walkami o Monte Cassino.

Tego dnia Ojciec Święty Pius XII przyjął w Watykanie delegację dowództwa Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i II Korpusu Polskiego z Naczelnym Wodzem PSZ gen. Kazimierzem Sosnkowskim, dowódcą korpusu gen. Władysławem Andersem i biskupem polowym wojska polskiego Józefem Gawliną na czele oraz przedstawicieli wszystkich jednostek i formacji. Podczas spotkania Pius XII wygłosił okolicznościowe przemówienie i pobłogosławił polskich żołnierzy. Następnie przyjął w swym gabinecie na prywatnej audiencji Naczelnego Wodza, z którym rozmawiał pół godziny. Gen. Sosnkowski dzielił się z papieżem swymi doświadczeniami i obawami związanymi z sowieckim zagrożeniem dla Polski i Europy.

Dla szeregowych żołnierzy, podoficerów i oficerów korpusu wizyta w centrum chrześcijaństwa miała ogromny wymiar duchowy i emocjonalny. Ludzie ci, którzy w znacznej części mieli za sobą doświadczenia sowieckich deportacji, łagrów, wędrówki z azjatyckich regionów Związku Sowieckiego przez Persję i Bliski Wschód, wciąż jeszcze mieli nadzieję, iż zwycięstwo w tej wojnie będą świętować w wyzwolonym kraju. Dlatego gorąco wierzyli w realizację życzeń wypowiedzianych przez niezwykle przychylnego Polakom i sprawie polskiej Ojca Świętego.

Dla gen. Sosnkowskiego spotkanie z Piusem XII było ważnym elementem prowadzonego przez niego nieustannego promowania sprawy odzyskania przez Polskę suwerenności i całości przedwojennego terytorium w momencie, gdy jego zdaniem rozstrzygała przyszłość kraju. W tym czasie wojska sowieckie, zajawszy cały wschód kraju, zbliżały się do Wisły i Warszawy; istniał już konkurencyjny dla rezydującego w Londynie rządu RP na uchodźstwie ośrodek władzy w postaci Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego; a w stolicy trwały końcowe przygotowania do wybuchu powstania. Polakom zależało na maksymalnym nagłośnieniu swojego stanowiska w kwestii ustępstw na rzecz stalinowskiej wizji powojennego porządku w Europie i sprzeciwu wobec groźby sowietyzacji Polski po zajęciu jej przez Armię Czerwoną. W tym czasie kwestie te generałowie Anders i Sosnkowski poruszali także podczas wizyt w II Korpusie przedstawicieli władz brytyjskich (m.in. premiera Winstona Churchilla, króla Jerzego VI) i spotkań z najwyższymi rangą dowódcami wojsk sprzymierzonych. Wysiłki te nie mogły jednak zmienić rozstrzygnięć podjętych rok wcześniej w Teheranie ani wpłynąć na politykę Sowietów.

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

eprasa.pl/d16ae12b4e

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj od poniedziałku do piątku od godz. 14:00

Pobierz za darmo
pierwszą w Polsce aplikację mobilną,
dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji
z ulubionym dziennikarzem
w nowym programie Studio Polaków.



Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

eprasa.pl d16ae12b4e